

# BARBARA WOOD

## PRZEKLNIJ TEN DOM

Przełożyła z angielskiego  
Anna Pajek

*Książkę tę dedykuję z miłością mojej matce,  
Ruth Reta — łagodnej, pięknej i wrażliwej*

## 1

Gdy tylko zobaczyłam to miejsce, gdzie lodowaty wicher walczył o zawładnięcie moim płaszczem i czepkiem, zaczęłam się zastanawiać, czy nie popełniłam błędu. To, że po tylu latach stanęłam wreszcie przed tym domem, nie przywołało żadnych wspomnień, na co miałam nadzieję. Prawdę powiedziawszy, kiedy tak stałam, opierając się atakom wzmagającej się, narastającej burzy, i spoglądałam w górę na ponury stary dwór, nawet najmniejszy przebłysk nie rozświetlił mroków mojej pamięci.

Może nie powinnam była tu przyjeżdżać? — pomyślałam. To prawda — w tym domu się urodziłam, nosiłam nazwisko Pemberton, mój ojciec i jego ojciec także się tu urodzili. Jakież jednak mogłabym sobie rościć do tego domu prawa, skoro nie mogłam przypomnieć sobie lat, które w nim spędziłam, ani nawet ludzi, którzy tu mieszkali?

Ludzie... Stałam, walcząc z podmuchami porywistego wiatru i przysłuchując się odgłosowi kół oddalającego się podjazdem powozu, dopóki nie zniknął mi z oczu. Ze zdrętwiałą z zimna twarzą i rękami wpatrywałam się w stary elżbietenki dom, zastanawiając się, co z ludźmi, którzy tu mieszkają. Kim są i dlaczego zupełnie ich nie pamiętam? Jak przyjmą mnie po wszystkich tych latach?

A potem pomyślałam o liście. Jakże byłam zaskoczona, gdy pocztą nadeszła koperta z papieru w dobrym gatunku, opatrzona niebieską victoria za dwa pency. List zaadresowany

był do mojej matki, zaniósłam go zatem na górę, do jej pokoju, a ponieważ spała, położyłam go na łóżku z zamiarem zwrócenia na niego uwagi matki, gdy tylko się obudzi. Jednak kiedy wieczorem udałam się do jej pokoju, zauważyłam, że list zniknął, a matka nie uczyniła na ten temat żadnej wzmianki. Musiała mieć swoje powody, a ponieważ była już wówczas bardzo chora, postanowiłam nie męczyć jej wypytywaniem.

Znalazłam list tydzień później, gdy porządkowałam skromny dobytek matki po jej pogrzebie. Nigdy nie dowiem się, dlaczego postanowiła go zatrzymać, teraz jednak wiem, czemu nie chciała powiedzieć mi, co zawierał.

Kiedy tego dnia wysiadałam z dwukółki, walcząc z wichurą, która usiłowała pozbawić mnie czepka, nie miałam najmniejszego przeczucia, na jak dziwaczne ścieżki sprowadzi mnie ten list. Gdybym o tym wiedziała, nigdy nie wróciłabym do Pemberton Hurst.

Uczyniłam ten krok na ślepo, uzbrojona niemal wyłącznie w list o zagadkowej treści i wspomnienie nielicznych rozmów z matką, która wyrażała się o tym miejscu nader niechętnie i z widoczną powściągliwością. Teraz, kiedy na własne oczy ujrzałam wreszcie ten dom, zobaczyłam także twarz matki, która od czasu do czasu zwykła przyglądać mi się z dziwnym, nieodgadnionym wyrazem oczu. Spoglądała na mnie ukradkiem — a przyłapałam ją na tym wielokrotnie — jakby szukała w mojej twarzy oznak czegoś, co spodziewała się w niej znaleźć. A kiedy w końcu, gdy już nieco podrosłam, zapytałam ją o to, odpowiedziała tylko: „Należysz do rodziny Pembertonów”.

Wiedziałam zatem, iż jestem w jakiś szczególny sposób związana z tym domem, lecz chociaż kiedyś w nim mieszkałam, mój umysł nie zachował z tego okresu żadnych wspomnień. A moja matka w czasie dwudziestu lat spędzonych w ubogich dzielnicach Londynu rzadko wspominała o tym miejscu. Lecz teraz miałam ten list. Dlatego wróciłam.

Był jednak powód, dla którego tego ponurego dnia z wahaniem stanęłam przed progiem Pemberton Hurst. Gdy bowiem stałam tak przed wejściem, zbierając się na odwagę, by

zadzwoń, w moim umyśle odżyły nagle zasłyszane podczas podróży opowieści dotyczące tego miejsca.

I tak przypominałam sobie o zasłonie zła, która podobno zawisła nad Hurst, o czarodziejskich praktykach i duchach nawiedzających dom. Były to opowieści, które miejscowi chłopcy snuli podczas posępnych wieczorów, a które sprawiały, że ludzie z towarzystwa także trzymali się z daleka. Mimo to, kiedy przyglądałam się starej budowlie z szarego kamienia, a moja pamięć przywoływała historie zasłyszane w pociągu i w wiejskiej gospodzie, nadal widziałam przed sobą wyłącznie piękny, stary georgiański dwór, pamiątkę lepszych czasów.

Taki właśnie wydał mi się wówczas ów dom, gdy stałam przed nim mroźnego zimowego dnia 1857 roku, ubrana w czepek z rondkiem, krynolinę i płaszczyk, szarpana przez niesforny wiatr.

Dom był niewątpliwie wspaniały i choć ponury, otoczony zaniedbanymi ogrodami, wciąż sprawiał imponujące wrażenie. Czy nazwałam go georgiańskim? Był nim w pewnym stopniu, a przynajmniej w tym stylu dokonano przeróbek i dlatego na pierwszy rzut oka styl ten był najbardziej wyrazisty. Po bliższym przyjrzeniu się głównej bryle widać było jednak, że dwór został zbudowany w epoce Tudorów, a jego początki sięgają czasów elżbietańskich i okresu panowania królowej Anny.

Słowem, był to elegancki, solidny dom, przypominający miejskie siedziby arystokracji, stojące wzdłuż Park Lane w Londynie, lecz co dziwne, otaczające go grunty wydawały się zaniedbane, wyglądały tak, jakby nikt się nimi nie zajmował. Już frontowy dziedziniec nie oferował zbyt wiele oku przybysza: zwirowy podjazd, obrosnięte zbrązowiałym bluszczem witrażowe okna, zaniedbane trawniki i nagie drzewa. Ten na pozór zaniedbany fragment krajobrazu po dokładniejszym przyjrzeniu się sprawiał jednak wrażenie dzikiego i nieposkromionego, zdającego się szczycić pełną godności swobodą, która wyzywała przybysza, by stawił jej czoło i podjął próbę jej poskromienia. Drzewa wdzierające się na podjazd rosły dziko, ich korony szeleściły w porywach wiatru, siejąc wokół martwe liście i gałązki. Zaniedbane klomby, którymi

najwidoczniej od dawna nikt się nie zajmował, były już tylko zachwaszczonym kawałkiem gruntu. Spod okapu dobiegały skrzeczące nawoływania ptaków. Słońce skryło się za horyzontem i w zapadającym zmroku Pemberton Hurst zdawało się nabierać cech przypisywanych mu przez miejscowe opowieści z dreszczykiem.

Poczułam przypływ lęku. Teraz, po tylu latach, gdy wreszcie stanęłam przed tym domem, coś powstrzymywało mnie od uczynienia ostatecznego kroku, choć wcześniej, w ciepłe londyńskiego mieszkania, z kotem zwiniętym na kolanach i czajnikiem pełnym gorącej herbaty, pomysł zamieszkania we wspólniejszej starej posiadłości wydawał się bardzo dobry. Podczas jazdy pociągiem rozmyślałam o obfitych kolacjach i jasno płonących kominkach. Potem jednak, już na stacji East Wimsley, spostrzegłam te zagadkowe spojrzenia. Nazwisko Pemberton wzbudzało tu zakłopotanie. Nawet woźnica dwukółki nie bardzo miał ochotę mnie wieść. Nic więc dziwnego, że teraz, stojąc nieco wylękniona przed pogrążoną w gęstniejącym mroku starą budowlą, zaczęłam się zastanawiać, czy rzeczywistość nie rozminie się z moimi oczekiwaniami.

Konieczność wejścia do środka przezwyciężyła w końcu lęk. Było mnóstwo pytań, które wymagały udzielenia odpowiedzi, i wyglądało na to, że Pemberton Hurst jest jedynym miejscem, gdzie można owe odpowiedzi uzyskać. Jeszcze silniejsza była potrzeba, by znowu stać się członkiem rodziny.

Dwadzieścia lat wcześniej, w tym samym roku, w którym księżniczkę Wiktorię koronowano na królową Anglii, zostałam nagle brutalnie wyrwana z domu, pozbawiona rodziny, wywieziona daleko i skazana na życie pośród obcych.

To był właśnie prawdziwy powód, dla którego zjawiłam się tutaj, zważając na każdy swój krok, w jednej ręce ściskając torbę podróżną, drugą zaś przytrzymując poły płaszcza. Pragnęłam zobaczyć znowu moją rodzinę, nie zważając na to, jak obca mogła mi się wydać, a także odzyskać choć fragment własnej przeszłości, co pozwoliłoby mi spokojnie wkroczyć w przyszłość.

Dlatego to po dwudziestu latach stałam na progu domu, w którym się urodziłam, i tylko kilka kroków dzieliło mnie od

ludzi, z którymi łączyły mnie więzy krwi równie silne jak z bratem czy siostrą. Nie mogłam już się doczekać serdecznego powitania, uścisków i długich godzin poświęconych wspominkom.

Na razie jednak, tkwiąc przed starymi, nadgryzionymi zębem czasu dębowymi drzwiami, z konsternacją stwierdziłam, że widok domu nie przywołał nawet cienia wspomnień.

Czyż schody nie były ulubionym miejscem zabaw dziecinnych? Dlaczego zatem, ogarnięta niepewnością, lecz gotowa do uderzenia w drzwi wielką kołatką, nie mogłam przypomnieć sobie, bym kiedykolwiek bawiła się tutaj z moim bratem Thomasem? Znajome niegdyś otoczenie powinno przecież poruszyć jakąś strunę w mojej pamięci; dlaczego zatem czułam się tutaj tak obco, jakbym widziała to miejsce po raz pierwszy w życiu?

Zdjęłam dłoń z kołatki. Mogłam jeszcze odwrócić się plecami do tego domu pełnego obcych mi ludzi i wrócić do Londynu, który znałam i kochałam, i gdzie nadal mieszkali moi przyjaciele. Nie znałam nikogo spośród mieszkańców tego domu, a nawet najbliższe wspomnienie nie podpowiadało mi, jacy oni mogą być. Nie wiedziałam też, jak przyjmą osobę, która nosi ich nazwisko i w której żyłach płynie ich krew. Czy pozostaną nadal obcy, czy też w serdecznym powitaniu otworzą przede mną ramiona?

Przypomniałam sobie o liście ciotecznej babki Sylvii, który zdawał się, przynajmniej dla mnie, rodzajem zaproszenia. Zaproszenie zaś oznaczało, że ludzie ci przecież mnie oczekują. Teraz, kiedy nie żyje matka — matka, która mieszkała w tym domu i tu wyszła za mąż — moim obowiązkiem wobec niej i wobec Pembertonów było odpowiedzieć na zawarte w liście wezwanie.

Być może powinnam była zatelegrafować — uświadomiłam sobie nagle, stojąc przed zamkniętymi drzwiami. Lub też przysłać list wyjaśniający, że przyjeżdżam zamiast matki. Lecz listowne oznajmianie o jej śmierci wydawało się niestosowne. O takich wydarzeniach należało zawiadamiać osobiście. A cioteczna babka Sylvia (kimkolwiek była) z pewnością zasługiwała, by zastosować się do jej życzenia.

Zduśliłam w sobie ostatnie wątpliwości i prostując ramiona, uderzyłam ciężką kołatką w drzwi, uświadamiając sobie, że dłonie mam mokre od potu.

Minęły chyba wieki, zanim drzwi wreszcie się otworzyły, a kiedy to nastąpiło, padające spoza nich silne światło zmusiło mnie do zamknięcia oczu. Kiedy je otworzyłam, zobaczyłam przed sobą imponującą postać z koroną warkoczy na głowie.

— Jak się pani ma? — zapytałam. — Jestem Leyla Pemberton. Czy byłaby pani tak uprzejma i zawiadomiła o moim przybyciu ciotkę Sylvie.

Cisza trwała tak długo, iż zaczęłam już się obawiać, że nie mówiłam dostatecznie głośno. W końcu na dworze szalała zawierucha i korony drzew czyniły spory hałas. Kiedy już miałam powtórzyć swą prośbę, postać przemówiła zduszonym głosem:

— Pani jest Leyla Pemberton? — Zabrzmiało to niemal oskarżycielko.

— Owszem. Gdyby zechciała pani zapowiedzieć mnie rodzinie i pozwoliła mi wejść...

Masywna kobieta odsunęła się, robiąc mi przejście. Wyszłam szybko do środka, zanim wiatrowi udało się odnieść zwycięstwo nad moim czepkiem, i szybkimi ruchami dłoni starałam się przywrócić sobie porządną wygląd. Zaprzestałam tego jednak, gdy zobaczyłam utkwione we mnie spojrzenie dwojga bladobłękitnych oczu i otwarte w zdumieniu usta.

— Czy coś się stało? — spytałam zatrwożona.

— Leyla Pemberton? — powtórzyła kobieta szeptem.

Cóż ja takiego powiedziałam? Tylko swoje nazwisko. Zastanawiałam się, czy ta kobieta także była częścią mojej zapomnianej przeszłości. Czy znałam tę zażywną Teutonkę we wczesnym dzieciństwie? Czy śpiewaliśmy razem piosenki lub tańczyliśmy wokół drzew?

— Proszę powiadomić o moim przybyciu ciotkę Sylvie. Sądzę, że mnie oczekuje — powiedziałam.

Usta kobiety zamknęły się, a jej oczy przestały przypominać spodki. Szok najwyraźniej minął i kobieta zaczynała przychodzić do siebie.



— Powiedziała panienska, że panna Sylvia oczekuje pannenki? — mówiła z lekkim akcentem pruskim. Jej „Sylvia” brzmiało raczej jak „Sylfia”.

— Owszem.

Kroki w holu wejściowym przerwały tę dziwną scenę. Dobiegł nas inny głos:

— Kto to? — Druga kobieta, nie tak ociężała i o mniej pospolitym wyglądzie, najwidoczniej pani tego domu, zobaczywszy mnie zamarła z otwartymi ustami.

— Jenny! — szepnęła wreszcie.

— Nie, nie jestem Jenny. Jestem jej córką, Leylą.

Kiedy to powiedziałam, przybyła skierowała wzrok ku twarzy gospodyni i zobaczyłam, że obie kobiety spoglądają na siebie porozumiewawczo.

— Leyla? — spytała szeptem. — Ty jesteś Leyla?

Nie mogłam się zorientować, na którą część pytania kładzie nacisk. Czy było to: Ty jesteś Leyla? Czy raczej: Ty jesteś Leylą? Nigdy dotąd nie widziałam nikogo równie zaskoczonego. Choć przecież ciotka Sylvia napisała w imieniu całej rodziny i chyba oczekiwano mnie już od jakiegoś czasu.

Nie — uświadomiłam sobie nagle. List zaadresowany był przecież do mojej matki, a zatem to jej oczekiwano.

— Tak, jestem Leyla, córka Jenny. Przypuszczam, iż nie spodziewaliście się mojego przybycia. Wybaczcie, proszę, to było bezmyślne z mojej strony.

— Twojego przybycia! — Druga kobieta zamrugała z niedowierzaniem. — Drogie dziecko, nie oczekiwaliśmy ani ciebie, ani twojej matki. To takie niespodziewane! — wykrzyknęła, unosząc dramatycznie dłoń ku piersi.

— Bardzo mi przykro.

— Boże, nigdy nie sądziliśmy, że kiedyś cię zobaczymy. Leyla, Leyla... Wielkie nieba, co za niespodzianka!

Zdradzając tylko nieco więcej poczucia przyzwoitości i dobrego wychowania niż gospodyni, która nadal gapiła się na mnie z otwartymi ustami, kobieta w końcu jakoś wróciła do równowagi i wyciągnęła do mnie rękę. Na jej ustach pojawił się słaby uśmiezek, a głos stracił ostre brzmienie i stał się nieco cieplejszy. Oczywiście pozostały zimne.

— Wybacz mi, proszę, mój brak dobrych manier.

— Czy pani jest ciotką Sylvia?

Jej oczy pomknęły znów ku gospodyni.

— Nie, moja kochana, nie jestem Sylvia. Lecz patrzcie tylko! Mała Leyla, po tylu latach!

A zatem myliłam się. Jej zaskoczenie nie wynikało z faktu ujrzenia mnie zamiast matki, lecz była zdumiona moim pojawieniem się, bo nie spodziewała się zobaczyć żadnej z nas. Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego ciotka Sylvia nie wspomniała rodzinie o swoim liście.

Objęłyśmy się raczej symbolicznie, jakby odgrywając scenę z jakiejś sztuki, a potem odsunęłam się nieco, by przyjrzeć się krewnej, która zaczęła już budzić we mnie raczej złowieszcze uczucia.

Miała miłą, pospolitą twarz o nieco wyłupiastych oczach, a jej sylwetka kobiety w średnim wieku odziana była gustownie w brązową, przystrojoną zgodnie z najnowszą modą falbankami, welwetową suknię, której krynolina w kształcie kopuły zwężyła się w talii na kształt litery V. Ułożone modnie, z przedziałkiem, włosy zostały zebrane z tyłu głowy w ciasny węzeł. Tylko nad uszami zwisało swobodnie kilka loczków. Sądząc po zmarszczkach i nieco obwisłej linii zuchwy, a także sporej ilości siwych włosów, musiała być dobrze po pięćdziesiątce, a może nawet zbliżała się do sześćdziesiątki. Ponieważ nie znałam żadnego członka rodziny Pembertonów, nie miałam najblidszego pojęcia, z kim właściwie rozmawiam.

Jakby czytając w moich myślach, wyciągnęła ponownie rękę i oznajmiła:

— Jestem Anna Pemberton, twoja ciotka, a bratowa twojej matki. Pewnie mnie nie pamiętasz... — Jej głos stopniowo cichł, lecz zaraz znów rozbrzmiał głośno. — Prawda?

— Ani trochę. A powinienam?

Cichy śmiech wydawał się nieco wymuszony, mimo to zabrzmiał przyjemnie. Druga kobieta, przysadzista w swoim fartuchu, nadal wpatrywała się we mnie z osłupieniem. Najwidoczniej trzeba było wyraźnego polecenia, aby odeszła. Jednak nie tyle niepokojący stosunek służącej do mnie, co dziwaczne zachowanie ciotki spowodowały, że w mojej głowie raptem

rozległ się dzwonek alarmowy. Ten uśmiech kota z Cheshire na cienkich wargach powleczonej karminem miał najwidoczniej ukryć prawdziwą reakcję na mój przyjazd. Pomimo uśmiechu, uścisku dłoni i słów powitania ciotka Anna najwidoczniej wcale nie była zadowolona, że mnie widzi.

— Gertrude, poproszę o herbatę do saloniku, zaraz. — Machnęła niecierpliwie dłonią i kobieta ruszyła wypełnić polecenie. — Zostaw bagaże tutaj, służący zanieś je do twojego pokoju — kontynuowała ciotka. — Tymczasem musisz odpocząć. Jak to możliwe, że tak się ochłodziło!

Choć propozycja napicia się ciepłej herbaty i możliwości ogrzania się wydawała mi się bardzo kusząca, postanowiłam najpierw dopełnić obowiązku.

— Czy mogłabym zobaczyć się z ciotką Sylvia? — zapytałam. Anna zaniemówiła, łagodnie mówiąc. Jej uśmiech drżał jeszcze przez chwilę na wargach, a potem zamarł, kiedy tak stała, nie dobywając głosu. Stałyśmy więc obie w oświetlonym gazową lampą holu, dwie obce sobie osoby, które przecież powinny mieć sobie tyle do powiedzenia, tak wiele nowin do przekazania. Stałyśmy jednak jak nieme obok siebie, bojąc się wykonać jakikolwiek ruch. Jasne było, że ciotka Anna bardzo pragnie się dowiedzieć, po co właściwie przyjechałam, gdyż najwidoczniej nie wiedziała nic o liście ciotki Sylvii. Jednocześnie oczywiste było również, że osoba mojej ciotecznej babki uchodzi w tym domu za drażliwy temat.

— Proszę — powiedziała w końcu miękko. — Przejdźmy do salonu. Na pewno marzysz o tym, by usiąść i zdjąć czepek. Powiedz mi, przyjechałaś pociągiem?

— Tak, linią Greenwich do Brighton. Wsiadłam w East Wimsley i wynajęłam dwukółkę.

Ciotka Anna wstrząsnęła się.

— Straszna rzecz te pociągi! Nigdy żadnym nie jechałam, i nie mam takiego zamiaru. Jestem zdania, że gdyby Bóg chciał, abyśmy podróżowali w ten sposób, dałby nam koła zamiast nóg.

Uśmiechnęłam się mimo woli, podążając za nią korytarzem słabo oświetlonym małymi gazowymi lampkami, umieszczonymi ponad naszymi głowami. Gdy mijałyśmy ozdobne

wieszaki na płaszcze i stojaki na parasole, moje oczy poruszały się szybko, by wychwycić jak najwięcej szczegółów. Ciotka Anna sunęła powoli, a jej twarz zdradzała wysiłek, z jakim zastanawiała się, co jeszcze powinna powiedzieć, ja zaś korzystałam z okazji, żeby przekonać się, czy ten wysoki korytarz wyda mi się choć trochę znajomy. Tak się jednak nie stało i aż nazbyt szybko weszliśmy do eleganckiego pokoju, który wydawał się tonać w świetle i ciepłe. Salon urządzony był w sposób typowy dla obecnej mody — stały tu zatem ciężkie, bogato zdobione meble, wykonane z ciemnego drewna.

Pod jedną ze ścian znajdował się fortepian, a na nim otwarty zeszyt z nutami. Stoliki z papier mache, zastawione wazonami, mosiężnymi świecznikami i szkatułkami na biżuterię zajmowały sporo miejsca, musiałam więc bardzo uważać, by moja obfita spódnica nie spowodowała jakiegoś nieszczęścia. Na gzymsie kominka, w jego centralnym punkcie, wciśnięty pomiędzy figurki ze Staffordshire, pudełeczka i inne ozdóbki, stał zegar na dwóch nogach, który zaraz miał wybić piątą.

Gdy ciotka uwolniła mnie od płaszcza, usiadaliśmy na sofie i wymieniliśmy uwagi na temat słotnej pogody. Zauważyłam, że Anna bacznie mi się przygląda, oceniając moje znoszone skórzane trzewiki, praktyczną suknię z niemodnymi wąskimi rękawami i włosy zwinięte nad uszami w dwa obwarzanki z grubych warkoczy. Najwidoczniej musiałam wydać się jej szarą myszką, która donasza niemodne suknie i sama ceruje sobie pończochy. Jednak najbardziej ciekawiła ją moja twarz, ponieważ przypatrywała jej się z nie ukrywanym zainteresowaniem. Prawdę mówiąc, miałam wrażenie, iż usiłuje doszukać się w niej czegoś szczególnego, studiowała bowiem po kolei każdy jej fragment, gawędząc przy tym o pogodzie. Lustrowała moje czarne oczy otoczone gęstymi rzęsami, nieco zbyt wydatny nos, małe usta i niewielki dołek w brodzie. Kiedy mi się przyglądała, ja czyniłam to samo, obserwując z kolei ją i starając się uchwycić moment, kiedy dostrzeże w mojej twarzy to, czego tak usilnie poszukiwała.

— A zatem przyjechałaś, by nas odwiedzić? — spytała, kiedy podano herbatę. — Z cukrem i śmietanką? — Srebrna

zastawa była wspianiała i bardzo stara. Ciekawe, czy piłam już kiedyś z tych filiżanek — pomyślałam. — To właśnie przywiodło cię do Hurst, tak? Chciałaś złożyć nam wizytę? Widzisz, ostatnio rzadko miewamy gości i dlatego pokoje gościnne nie są w gotowości. Gdybyśmy wiedzieli... No cóż, pewnie nie miałaś czasu, by zatelegrafować. Gdybyś nas zawiadomiła, nie musiałybyś brać dorożki ze stacji, z radością wysłalibyśmy po ciebie powóz. No i moglibyśmy powitać cię odpowiednio. Musisz zrozumieć, jaka to dla nas niespodzianka! — Srebrna łyżeczka zadźwięczała głośno, uderzając o brzeg filiżanki. — Ileż wspomnień musi budzić w tobie ten dom, Leylo! — W miarę jak ubywało herbaty w filiżance, ciotka Anna zdawała się coraz bardziej ożywiona i odprężona. — I jakie to musi być dla ciebie ekscytujące, po tylu latach!

— Tak, ekscytujące... — powiedziała powoli.

Na ścianach nie było żadnych portretów ani dagerotypów, które mogłyby podpowiedzieć mi, jak wygląda reszta rodziny. Prawdę mówiąc, nie miałam nawet pojęcia, ile osób żyje teraz w tych murach i czy którakolwiek z nich mnie pamięta. Jakiś przeblysłk intuicji ostrzegał mnie, bym nie zdradzała przed ciotką, iż jestem rodzinie bardziej obca, niż podejrzewa. Przynajmniej do chwili, gdy już lepiej poznam ją — i wszystkich pozostałych.

— Byłaś takim kochanym dzieckiem — paplała dalej. — A jaka jesteś podobna do matki! Dobry Boże, gdy zobaczyłam cię w holu, myślałam, że to Jennifer!

— Dziękuję cioci. — Naprawdę pochlebiła mi ta opinia. Moja matka uchodziła w swoich czasach za piękność.

— Powiedz mi... — z namysłem mieszała herbatę. — Jak ona się miewa?

Spuściłam głowę i wbiłam wzrok w filiżankę. Minęły dwa miesiące, a nadal było to tak bolesne, jakby zdarzyło się wczoraj.

— Mama nie żyje — wyjaśniłam.

— Och, jakże mi przykro, — Czyżbym słyszała w jej głosie ulgę? — Nasi mężowie byli braćmi, więc uważałam twoją matkę za siostrę. Spędziłyśmy tu wiele szczęśliwych dni, ona i ja

Podniosłam wzrok na tę gadatliwą kobietę. Matka nigdy, o ile mogłam sobie przypomnieć, nawet nie wspomniała o ciotce Annie.

— Wuj Henry na pewno nie będzie mógł się doczekać, by cię zobaczyć. On i Theo, to znaczy twój kuzyn Theodore, nazywali cię Bunny, Króliczkiem, ponieważ bardzo lubiłaś skakać w kółko i udawać, że jesteś królikiem. Pamiętasz? Miałaś wtedy pięć lat, Leylo.

Dziwne, zupełnie tego nie pamiętałam. Żadnych wspomnień z okresu przed ukończeniem sześciu lat. Zupełnie, jakbym urodziła się w Londynie, nie tutaj. Przed laty, wiedziona dziecinną ciekawością, zapytałam matkę, dlaczego nie pamiętam nic ze swego wczesnego dzieciństwa jak inni ludzie. Zagadkowa odpowiedź, jakiej mi udzieliła, brzmiała następująco: „To z powodu tego, co się wydarzyło”. Najwidoczniej uznała, że powiedziała i tak zbyt wiele, bo temat ten nigdy więcej nie był poruszany.

— Kuzynka Martha także cię pamięta. Miała dwanaście lat, kiedy ty... och, kiedy... wyjechałaś.

Głos ciotki Anny cichł z wolna, wypierany przez moje pełne wątpliwości myśli. Czy tylko to sobie wyobraziłam, czy ta kobieta naprawdę miała się na bacności? To, co mówiła, brzmiało niepewnie i sztucznie, jakby przez cały czas usiłowała mówić tylko to, co należy, czy raczej, jakby ze wszystkich sił starała się nie powiedzieć tego, czego nie powinna. Wsypała jeszcze jedną łyżeczkę cukru do herbaty i głośno zamieszała.

— Babka nie może cię teraz przyjąć, będziesz więc miała czas na odświeżenie się.

Uniosłam brwi. A zatem miałam także babkę! Tym sposobem w kilka minut z sieroty stałam się członkiem licznej rodziny — z babką, ciotecznią babką, wujem, ciotką i dwójkiem kuzynów.

Ciotka odwróciła ode mnie spojrzenie, zmuszając się do obojętnego patrzenia w ogień. Od razu zorientowałam się, że jej brak zainteresowania jest sztuczny i że zamiast być pewną siebie panią domu, za jaką chciała uchodzić, za wszelką cenę stara się sprostać sytuacji. Po chwili zmusiła się do beztróskiego na pozór uśmiechu i powiedziała z nonszalancją:

— A gdybyś przypadkiem natknęła się na kuzyna Colina, najlepiej będzie, jeżeli grzecznie wymówisz się od rozmowy.

A zatem mam troje kuzynów...

— Dlaczego? — spytałam.

— No cóż, Colin jest... jak by tu powiedzieć? — Roześmiała się — ...nieco ekscentryczny. Oczywiście, bardzo go kochamy, lecz czasami straszny z niego zuchwalec. Szelma nie jest zbyt dobrze wychowany i dlatego lepiej by było, gdybyś nie spotkała się z nim od razu. Zobaczysz się z nim później, kiedy ujrzysz już Theodore'a i Marthę. W ten sposób będziesz... och... przygotowana na jego zachowanie.

Podziękowałam jej nieszczerze. Nie znając tej kobiety, nie miałam pewności, czy dobrze odczytuję jej intencje. Czy naprawdę chciała ochronić mnie przed Colinem, czy też raczej chroniła Colina przede mną?

— A ciocia Sylvia? — nalegałam.

— Wszystko w swoim czasie, drogie dziecko. Zobaczysz się z całą rodziną, na co, jestem pewna, niecierpliwie czekasz. Kiedy oni usłyszą, kto nas odwiedził, z pewnością równie niecierpliwie będą wyglądali spotkania z tobą. Po dwudziestu latach, Leylo, miło będzie usłyszeć, co się z tobą działo. Widzę, że już wypijaś. Pozwól więc, że zaprowadzę cię do twego pokoju. Musisz być zmęczona. A potem poszukam Theo. Na pewno zechce cię zobaczyć.

Nasze halki zaszeleściły, kiedy się podniosłyśmy. Płonący w kominku ogień oblewa! twarze ciepłym blaskiem. Za osłoniętymi ciężkimi kotarami oknami porywisty wiatr wiał coraz silniej. Miałam dziwne uczucie, jakbym opuściła swoje ciało i przyglądała się tej scenie gdzieś z zewnątrz. Widziałam miłe ognisko domowe, urządzone dostatnio i ze smakiem. Widziałam dwie kobiety pogrążone w niemej konfrontacji: jedną, ubraną w najmodniejszy paryski strój, i drugą, odzianą w możliwie najprostszą suknię, zachowującą się w sposób właściwy przedstawicielom londyńskiej klasy średniej walczącym o przetrwanie. W nagłym przebłytku realizmu zastanowiłam się, co też te dwie kobiety mogą mieć ze sobą wspólnego.

— Powiedz mi, Leylo, jak tam Londyn? Nadal taki hałaśliwy i zakopcony? Ostatni raz byłam tam w 51 roku, z okazji

Wielkiej Wystawy. Przez cały zapierający dech w piersiach tydzień pan Pemberton, Theo i ja miotaliśmy się po mieście, zwiedzając gorączkowo opactwo westminsterskie, Tower i ogród zoologiczny w Regents Park. Karmiono nas najdziwniejszymi, najbardziej niestrawnymi specjałami różnych narodów — na przykład czymś, co nazywało się, o ile pamiętam, lody. Okropne. A galaretka! Paskudztwo o owocowym smaku, podawane w słoikach i nakładane na pudding. Słyszałaś o czymś takim?

— Słyszałam o galaretkce, lecz nigdy jej nie próbowałam.

Idąc obok niej i przysłuchując się monologowi na temat tego „zapierającego dech w piersiach tygodnia w Londynie”, starałam się bacznie przyglądać otoczeniu. Większość podłóg pokrywały dywany, które tłumiły nasze kroki, wiele ścian zawieszonych było kobiercami. W mrocznych kątach czaiły się olbrzymie rośliny doniczkowe, a światło naftowych lamp migotało i przygasało. Wspięliśmy się po schodach prowadzących do położonych na piętrze sypialń i gdyby mnie ktoś zapytał, tu także nie było żadnych rodzinnych portretów, a rozglądałam się pilnie.

— Gaz jest tylko w kilku pokojach i w głównym holu. Słyszałam, że w Londynie wszystko teraz oświetlane jest gazem, nawet ulice. Theo nalegał, abyśmy także w Hurst wprowadzili gazowe oświetlenie — twierdzi, że jest bezpieczniejsze — lecz babka uważa, że gaz to wynalazek szatana. Nie lubi nowoczesności, woli żyć przeszłością.

Skąd zatem ten brak portretów? W epoce fotograficznych rysunków czy też fotografii — jak niektórzy wolą je nazywać — prawie w każdym domu, zamożnym i ubogim, można zobaczyć istną galerię wizerunków. Dlaczego zatem nie tu? Nigdzie ani śladu choćby najmniejszego, najprostszego portretu któregośkolwiek z Pembertonów.

— Umieściłam cię w końcu korytarza; trochę daleko od nas, lecz pokój jest przestronny i dosyć wygodny. Ma nawet niewielki baldachim nad łóżkiem i nową wannę prosto z Paryża. To jedyne ustępstwo babki na rzecz nowoczesności — kąpiel można teraz wziąć w sypialni zamiast w kuchni. Mnie ta zmiana bardzo się spodobała. Kapałaś się kiedyś w wannie?



Potrząsnęłam przecząco głową.

— Jak te czasy się zmieniają — westchnęła. — Lecz oto jesteśmy na miejscu.

Ciotka kontynuowała swoją litanie, a ja zastanawiałam się, czy celem tej niekończącej się paplaniny nie jest przypadkiem uniknięcie niewygodnych tematów... jakby naczelną zasadą tego domu było przemilczanie.

Rzeczywiście, była to piękna sypialnia z sufitem z epoki Tudorów, kamiennymi słupkami, gotyckimi oknami i obfitością luster. Śliczna staroświecka gotowalnia zajmowała niemal całą ścianę, było tam także zapowiedziane łożo z baldachimem i trzaskający w kominku ogień. Obok porcelanowego dzbanka z wodą wisiały świeże ręczniki. Moja jedyna torba podróżna stała obok łóżka.

Ciotka nadal próbowała odgrywać łaskawą panią domu, jej niepokój zdradzał jednak niebываły pośpiech, z jakim ruszyła do drzwi, zacierając dłonie i oznajmiając:

— Poślę Theo do biblioteki, możesz się tam z nim spotkać, gdy będziesz gotowa. Jeżeli będziesz czegoś potrzebowała, pociągnij za sznur przy łożku. Do zobaczenia wkrótce. — Już prawie zamknęła drzwi, gdy coś jej się przypomniało: — I, och, nie zapomnisz, prawda? O Colinie? Gdybyś przypadkiem na niego wpadła, choć nie, to się nie zdarzy. — Jej dłonie trzepotały niczym ptaki. — Theo spotka cię pierwszy. Już ja tego dopilnuję.

Jeszcze przez chwilę po wyjściu ciotki wpatrywałam się w zamknięte drzwi. Z pewnością nie takiego powitania się spodziewałam, ale zważywszy, iż nie wiedzieli o moim przyjeździe, trudno byłoby oczekiwać czegoś lepszego. Niepokój ciotki Anny mógł być spowodowany jej wiekiem lub moim podobieństwem do matki. W końcu, jeżeli ktoś czuje, iż czas cofnął się nagle o dwadzieścia lat, to ten ktoś ma prawo poczuć się nieco wytracony z równowagi.

Odsuwając dziwne przeczucia, jakie budziła we mnie moja gadatliwa ciotka, zaczęłam kręcić się ospale po pokoju, starając się uczynić go na tyle podobnym do domu, na ile to możliwe. Po śmierci matki zrezygnowałam z naszego londyńskiego mieszkania, a meble sprzedałam lub rozdałam przyjacielom,

zachowując tylko garderobę i nieliczne pamiątki, z którymi nie chciałam się rozstać. Kiedy porozkładałam je teraz w różnych widocznych miejscach, sypialnia od razu wydała mi się przytulna.

Dagerotyp przedstawiający matkę umieściłam na obramowaniu kominka, obok gablotki z paprociami i pudełka ozdobionego muszlami. Na stoliku przy łóżku położyłam trzy książki: Sandition Jane Austen, Tankreda Benjamina Disraelego i Biblię. Na blacie toaletki, tuż przed olbrzymim lustrem, umieściłam pamiątkowy przewodnik po ogrodach Cremorne (który miał mi przypominać dawne szczęśliwe chwile), a obok umywalki mały flakonik wody kolońskiej o zapachu róży, prezent od Edwarda Championa, mężczyzny, którego serdecznie kochałam i którego zamierzałam poślubić.

Gdy pokój stracił nieco swój bezosobowy charakter, ja zaś rozwiesiłam ubrania, obmyłam twarz i ponownie splotłam w warkocze świeżo wyszczotkowane włosy, poczułam się o niebo lepiej. Tak, podróż pociągiem była bez wątpienia męcząca, lecz nawet nie w połowie tak, jak wyczerpujące okazałoby się pokonanie tej samej odległości powozem. Byłam zmęczona i głodna, lecz ponad uczuciem głodu i zmęczenia dominowało podniecenie wywołane świadomością, że znów jestem częścią rodziny, że wróciłam do domu, w którym się urodziłam, i że rozciąga się przede mną całe nowe życie, dzielone odtąd z rodziną, do której należę.

Gdybym tylko wiedziała, jak bardzo moje oczekiwania mijają się z prawdą...

Gdy w kilka chwil później schodziłam po schodach, zdziwiła mnie panująca w całym domu cisza. Dochodziła siódma, na zewnątrz dawno zapadł już zmrok, a wewnątrz domu atmosferą przypominało muzeum. Grube dywany tłumiły odgłos kroków, wokół naftowych lamp drżały miękko aureole blasku. Ciemna boazeria pokrywająca ściany, wysokie, wyłaniające się z mroku meble i wielkie rośliny w masywnych donicach — wszystko to stwarzało nastrój dostojnej surowości, jakiejś kościelnej niemal powagi.

Falbany mojej sukni zamiatały chodnik, cicho szeleszcząc. Jedynie mój własny długi cień towarzyszył mi, kiedy schodziłam po schodach. Czułam, że gdybym musiała się teraz do kogoś odezwać, zrobiłabym to szeptem.

I znowu uderzył mnie brak rodzinnych portretów, który z każdą chwilą wydawał się bardziej znaczący.

Minęłam salonik, zerknąwszy szybko do środka, by przekonać się, że nikogo w nim nie ma, i nagle znalazłam się w istnym antykwariacie. Książki stały tu w niezliczonych szeregach, umieszczone jedne nad drugimi. Poza nimi w niewielkim pomieszczeniu znajdowało się tylko kilka foteli. Płonący na kominku ogień zapewnia! ciepło, lampy gazowe przepłazały mrok z kątów. W pokoju przyjemnie pachniało skórą. Gdy weszłam, spostrzegłam, że nie jestem sama.

Wyciągnięty niedbale w *prie-dieu*, z wysuniętymi daleko przed siebie nogami obutymi w wysokie skórzane buty i rękami założonymi na piersi siedział mężczyzna w wieku mniej więcej trzydziestu pięciu lat, wpatrując się ponuro w ogień. Widocznie jednak nie nazbyt głęboko pograżył się w rozmyślaniach, ponieważ gdy się do niego zbliżyłam, szybko podniósł wzrok. Nie wydawał się ani przestraszony, ani zaskoczony moim pojawieniem się. Prawdę mówiąc, zachowywał się tak, jakby mnie oczekiwał.

Zdecydowana odnowić znajomość z kuzynem i uniknąć skrupowania, które rzuciło cień na moje stosunki z ciotką, wzięłam głęboki oddech.

— Witaj, Theo — powiedziałam najprzyjaźniej, jak potrafiłam. — Jestem Leyla, twoja dawno utracona kuzynka. Ciotka Anna powiedziała, że będę mogła cię tu spotkać... — uśmiechnęłam się szeroko — ...nie natykając się na tego ekscentryka Colina, co, jak mi dano do zrozumienia, mogłoby okazać się katastrofą.

Wstał i górując nade mną niczym otaczające nas biblioteczne regały, oznajmił nader oschłym tonem:

— Jak się masz? Nie jestem Theodore'em. Jestem Colinem.

## 2

Czułam się tak zakłopotana, że nie byłam w stanie wyrzucić słowa ani zdobyć się na stosowne przeprosiny. Stałam więc, milcząc, z pokrytymi szkarłatnym rumieńcem policzkami, wpatrując się w najwyższym zmieszaniu w mężczyznę, którego tak strasznie obraziłam. On także nie spuszczał ze mnie wzroku. Zauważyłam, że oczy mają jasnozielone ze złotymi cętkami. Otaczające je rzęsy i brwi miały ten sam delikatny odcień tekowego drewna co sięgające barków pukle włosów. Jak większość młodych mężczyzn swoich czasów — a oceniałam go na niewiele ponad trzydzieści lat, kuzyn Colin nosił włosy umiarkowanej długości, nie smarowane olejkiem makasarowym i długie bokobrody. Miał prosty, wydatny nos, usta zaciśnięte w ponurym grymasie i ciężką, kwadratową szczękę.

Dziwne, ale na pierwszy rzut oka nie wyglądał wcale na Pembertona: nie miał ani gęstych rzęs, ani dołeczka w brodzie, słowem, cech, które moja matka swego czasu wymieniła jako charakterystyczne dla „tej rodziny”. Odruchowo zaczęłam porównywać go z Edwardem Championem, uderzająco przystojnym mężczyzną o niesfornej czarnej czuprynie i orlim nosie, którego kochałam bardziej niż kogokolwiek innego. Był jedynym bliskim mi człowiekiem, pomijając tę dziwną kolekcję krewnych. Myślałam o nim niemal nieustannie. Porównywanie Colina z Edwardem nie miało zresztą sensu, gdyż chociaż twarz mego kuzyna mogła okazać się czarująca, gdy się uśmiechał, w żaden sposób nie dorównywał Edwardowi.

Jakoś udało mi się wreszcie wykrztusić:

— Och, najmocniej przepraszam. To było bardzo niegrzeczne.

Wzruszył ramionami.

— Skąd miałaś wiedzieć? To takie typowe dla ciotki Anny: pomieszać komuś w głowie. Usiądź, proszę. My tutaj bardzo przestrzegamy reguł; wiesz, kolacja dokładnie o ósmej, niezależnie od tego, czy umiera się z głodu, czy też nie ma się apetytu. Ciebie zaś, po tej podróży pociągiem z Londynu, dotyczy zapewne jedno lub drugie.

— Wygląda na to, że już słyszałeś o moim przyjeździe.

— W tym domu wieści szybko się rozchodzą. W każdym razie szybko się o tym przekonasz. — Powrócił do *prie-dieu*, usiadł, wyciągnął nogi i skrzyżował stopy. — Nikt tu nie mie-  
wa sekretów.

— Jesteś bratem Theo?

— Co?! — Colin roześmiał się niewesoło. — Ten szubrawiec jest moim kuzynem, tak samo zresztą jak twoim i jak ja jestem twoim kuzynem.

— Rozumiem.

— Nie, nie wydaje mi się, żebyś rozumiała. Jak na członka rodziny Pembertonów niewiele o nas wiesz, co? Ośmielam się przypuszczać, że twoja matka niewiele o nas mówiła, a w każdym razie nie śpiewała peanów na naszą cześć. Wiesz, wszystko zaczyna się od sir Johna Pembertona, nieżyjącego od dziesięciu lat, i jego żony, Abigail. Mieli oni trzech synów: Henry'ego, Richarda i Roberta. Henry jest ojcem Theo, Richard moim, a twoim ojcem był Robert.

— A Martha?

— Martha jest moją siostrą.

— A jak jest z nami spokrewniona ciotka Sylvia?

— Sylvia to niezamężna siostra Abigail. Zamieszkała w tym domu jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat temu, gdy Abigail poślubiła sir Johna.

— Rozumiem. — Złożyłam dłonie i przez chwilę przyswajałam sobie informacje. — Bardzo chciałabym zobaczyć wszystkich: Henry'ego, Theo i twojego ojca.

Twarz Colina pociemniała.

— Mój ojciec nie żyje, podobnie jak matka. Prawdę mówiąc, z trzech synów sir Johna żyje jeszcze tylko Henry, ojciec Theo. Poza nim z ich pokolenia pozostała tylko ciotka Anna i ciotka Jenny.

— No cóż — powiedziała cicho. — Jenny także odeszła.

— Ach tak? — Nie wydawał się zdziwiony. — To dlatego przyjechałaś? Bo zostałaś sama? — Wydało mi się, że w jego kpiącym głosie zadźwięczał ton nie tyle pytania, co oskarżenia i nagle poczułam, że zaczynam mieć dosyć kuzyna Colina.

— Przyjechałam tu z osobistych powodów. Jednym z nich jest chęć zobaczenia się z rodziną i ujrzenia domu, w którym przyszłam na świat.

Przyglądał mi się bardzo uważnie, a w jego oczach dostrzegłam powagę. Pomimo to zapytał na pozór beztrąsko:

— I co, jesteśmy tacy, jakimi nas zapamiętałaś?

Wpatrując się w jego jasnozielone oczy, uświadomiłam sobie, że nie o to chciał mnie zapytać. Pytanie, jakie naprawdę pragnąłby mi zadać, brzmiałoby: „Czy w ogóle nas pamiętasz?”

— W ciągu dwudziestu lat ludzie się zmieniają — odpowiedziałam wykrętnie.

— Cóż za głęboka uwaga, moja droga kuzynko! Dwadzieścia lat temu byłem czternastoletnim urwisem, a ty miałaś zaledwie pięć lat. Jestem niepokieszony, że nasz romans nie przetrwał.

— Romans?!

— Podziwiałaś mnie wtedy, Leylo, i kręciłaś się zawsze koło mnie niczym mały piesek.

Zaczerwieniłam się, czując smutek, iż nie pamiętam owych szczęśliwych chwil, które tu spędziłam. Żałowałam bardzo, że nawet w najodleglejszych zakamarkach pamięci, pomimo wszystkich godzin spędzonych na próbach przypomnienia sobie przeszłości, nie odnalazłam nawet śladu wspomnienia po Colinie Pembertonie.

— Za domem, nie wiem, czy to pamiętasz, znajduje się zaniedbane pole, które ciotka Anna zwykła nazywać trawnikiem. Gdzieś mniej więcej w jego środku, na zboczu poniżej Hurst, rośnie mały zagajnik drzewek akacjowych, który w dzie-

ciństwie był naszym ulubionym miejscem zabaw. Pośrodku zagajnika znajdują się żałosne szczątki starego feudalnego zamczyska — chyba jeszcze z jedenastego stulecia — i my, dzieci, wyobrażaliśmy sobie wtedy, że to nasza prywatna posiadłość. Pamiętasz? — zapytał, przyglądając mi się uważnie.

Potrząsnęłam głową.

— Z początku bawiłem się tam tylko z Theo, lecz on był o cztery lata starszy i kiedy wyrósł z zabaw, które mnie nadal odpowiadały, przyłączyła się do mnie Martha, a potem twój brat Thomas i ty sama. Wspinałaś się po drzewach i biegałaś pomiędzy nimi, udając królika czy jakieś inne zwierzątko, skacząc sobie swobodnie tu i tam. Powiedz mi, kuzynko Leylo, czy nadal jesteś właśnie taka?

Zatonęłam w myślach, wyobrażając sobie czwórkę szczęśliwych dzieci bawiących się beztrudno w zagajniku, jak gdyby przyszłość nigdy nie miała nastąpić. Niestety był to wyłącznie wytwór mej wyobraźni, jako że źródło tego, co widziałam, stanowiła jedynie opowieść Colina, a nie moje wspomnienia. Nie pamiętałam nic z tego, o czym mówił — nawet jego siostry Marthy ani też mego brata Thomasa.

A potem usłyszałam, jak zwraca się do mnie miękko, uprzejmym tonem:

— Nie pamiętasz, prawda?

Jego zielone oczy o brązowych rzęsach śledziły mnie uważnie.

— Och, byłam przecież bardzo mała. A czy ty pamiętasz wiele z pierwszych pięciu lat swego życia?

— Całkiem sporo.

Zacząłam wpatrywać się w ogień, czując się bardzo niezręcznie w obecności mego kuzyna. Podobnie jak w przypadku ciotki Anny, wróciło przekonanie, że Colin nie mówi mi wszystkiego, że obydwójce ukrywają coś przede mną. Nie wiedzieć czemu czułam, że Colin myśli o czymś zupełnie innym, niż mówi, i że jego nonszalancja jest tylko pozorem swobodnego zachowania.

Stwierdziłam, że nie czuję się swobodnie w obecności dwojga członków mojej rodziny, a właściwie trojga, jeśli uznać za

rodzinę niemiecką gospodynię, która gapiła się na mnie, jakbym była zjawą z zamierzchłej przeszłości.

Pod wpływem nagłego impulsu wstałam i podeszłam do kominka, nad którym wisiało ogromne lustro. Przeglądając się w nim, mogłam dostrzec także wnętrze pokoju i Colina w *prie-dieu*, leniwie przypatrującego się swoim paznokciom. Tak, atmosfera w tym pomieszczeniu z pewnością nie była swobodna.

A potem przyjrzałam się dokładnie sobie. Przypuszczam, że dla tych ludzi musiałam być rzeczywiście zjawą z przeszłości. Moja twarz bardzo przypominała twarz matki — z czarnymi włosami, podkreślającymi bladą karnację. Tylko że moje wargi zdawały się szare, pozbawione koloru, a oczy straciły blask. Matka była piękną, ja zaś nie byłam nią na pewno, zwłaszcza dzisiaj, kiedy napięcie i smutek odcisnęły piętno na mojej twarzy. Czy tak wyglądałam również na dworcu, gdzie Edward prosił mnie, a nawet błagał, bym nie jechała? Czy wpatrywał się w tę pobladłą twarz, przysięgając, że wspomnienie mojej urody będzie ogrzewać go w samotne noce? Drogi Edward. Jakie to do niego niepodobne takie publiczne okazywanie uczuć. Kochany, grzeczny, skrupulatny Edward, *dzentelmen* w każdym calu, w odróżnieniu od tego tu *gbura* w *prie-dieu*.

Colin zauważył, że się uśmiecham, i przez chwilę wydawał się zagniewany.

— Co cię tak bawi? — zapytał.

Odwrociłam się w jego stronę.

— Myślałam o czymś przyjemnym.

— O przeszłości?

— O narzeczonym.

— Narzeczonym! — Błyskawicznie rozprostował skrzyżowane w kostkach nogi.

— Tak, dlatego tak cię to dziwi?

— Narzeczony pozwoli! ci tu przyjechać samej, bez żadnej eskorty?

Wróciłam do swego fotela i usiadłam.

— Tylko dlatego, że się uparłam. Edward obawiał się tej mojej wyprawy. Ja jednak musiałam to zrobić, a ponieważ



mama już nie żyje i nie może jej to zranić, chciałam jeszcze raz zobaczyć ten dom i rodzinę, nim wyjdę za mąż i zostanę panią Champion.

Colin złożył palce wskazujące obu dłoni na kształt wieżyczki i przycisnął je do ust. Wyglądało na to, że dałam mu do myślenia. W końcu znów popatrzył na mnie i zadał zaskakujące pytanie:

— Dlaczego przypuszczasz, że twój przyjazd tutaj mógłby zranić matkę?

— Sama nie wiem... to tylko takie wrażenie...

— Czy ona coś ci o nas mówiła?

— Nie, nigdy.

— Może chciała zapomnieć o naszym istnieniu?

— Proszę mi wybaczyć, kuzynie, ale nie wydaje mi się, że powinno cię to obchodzić. Gdy moja matka opuściła ten dom, została bez grosza, zdana na własne siły. A ponieważ musiała troszczyć się o pięcioletnie dziecko i własny honor, przez wiele lat walczyła o przetrwanie, pracując jako szwaczka dla różnych szykownych dam, które traktowały ją gorzej niż własne służące. Była kobietą szlachetnie urodzoną, a zmuszono ją do wykonywania prac posługaczki. Poślubiła Pembertona, ja jestem córką Pembertona, a mimo to przez osiem lat żyłyśmy w biedzie, podczas gdy Pembertonowie mieli to wszystko — machnęłam dłonią, wskazując pokój.

— Twój żal jest bezpodstawny, kuzynko Leylo. Musisz pamiętać, że to twoja matka nas porzuciła, a nie my ją. Prawdę mówiąc, nikt z nas nie miał pojęcia, dokąd się udała, zostawiając wszystko, co miała, nawet ubrania. Wiedzieliśmy tylko, że obie nagle zniknęłyście i nigdy więcej o was nie słyszeliśmy. Aż do dzisiejszego dnia.

Siedziałam, wpatrując się w mego kuzyna, starając się nie okazać urazy, którą czułam w głębi serca. Nie szukali nas; gdyby szukali, na pewno by nas znaleźli. Nie zależało im, w przeciwnym przypadku pomogliby nam jakoś w ciągu tych dwudziestu lat.

Colin musiał wyczytać te myśli z mojego spojrzenia, gdyż spytał tym swoim spokojnym tonem:

— A zatem powiedz, dlaczego wróciłaś?

Zanim zdołałam odpowiedzieć — prawdę mówiąc, już otwierałam usta, aby wyrzucić z siebie zwierzenia na temat mojej samotności, pragnienia posiadania prawdziwej rodziny — drzwi biblioteki otwały się i pojawiła się w nich następna postać.

— Leyla! Och, Leyla! — Młody człowiek ruszył w naszą stronę i ujął moje dłonie. — Wszędzie bym cię rozpoznał! Istny portret cioci Jenny! Witaj w domu!

Kuzyn Theodore ubrany był bardzo wytwornie w surdut koloru czerwonego wina, białą lnianą koszulę, kamizelkę i czarne spodnie. Jego włosy miały taki sam atramentowoczarny kolor jak moje, a wypukłe oczy otoczone były gęstymi rzęsami. Miał nieco zbyt wydatny nos oraz niewielki dołek w brodzie, zupełnie jak ja. To, że ten człowiek jest Pembertonem, nie mogło budzić wątpliwości.

— Jak się masz?

Colin uprzedził moją odpowiedź, wtrącając:

— No cóż, Theo. Przed chwilą Leyla myślała, że jestem tobą i poprosiła mnie o ochronę przed tym stukniętym kuzynem Colinem.

Mimo woli znów się zaczerwieniłam.

— Naprawdę bardzo mi przykro — wyjąkałam.

Colin wzruszył ramionami na swój pozbawiony dobrych manier sposób i bez słowa wymaszerował z pokoju.

Theodore spoglądał za nim przez chwilę, a potem zwrócił uwagę na mnie. Jego usta uśmiechały się, lecz oczy pozostały czujne. Najwidoczniej tak to już musiało być: budziłam zakłopotanie we wszystkich osobach, z którymi się tu zetknęłam. Niemniej spośród całej czwórki, z którą miałam do tej pory do czynienia, Theodore najbardziej starał się ukryć zmieszanie. Ścisnął mi dłonie, przemawiał donośnym głosem, słowem, wypełniał swą obecnością cały pokój.

A jednak i jego nie pamiętałam.

— Muszę przeprosić cię za zachowanie Colina. Jest człowiekiem, którego uważasz pewnie za dziwaka, do tego nie pasującego do naszej rodziny, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Jest bardziej synem swojej matki niż ojca. Bóg jeden wie, skąd bierze się u niego to wstrętne zachowanie. A teraz usiądź, proszę, i pozwól, że naleję ci kieliszek sherry.

Usiadłam przyglądając się, jak ostrożnie nalewa wino. Jego zachowanie, pomimo pozorów swobody, także zdradzało napięcie.

Wręczył mi kieliszek, po czym oparł niedbale łokcie o występ nad kominkiem i sącząc wino, uważnie mi się przyglądał.

— Przepraszam, że tak się w ciebie wpatruję — powiedział po chwili. — Ale twój widok nasuwa tyle wspomnień. Nazywałem cię kiedyś Bunny, pamiętasz? Bawiłaś się zwykle w zagajniku wraz z innymi dziećmi. Mój Boże, tak łatwo zapomina się dzieciństwo...

Kuzyn Theodore wyglądał na jakieś czterdzieści lat, co oznaczałoby, że w czasach, które wspomina, liczył mniej więcej dwadzieścia lat, no może osiemnaście czy dziewiętnaście. Wydawało się logiczne, że musiał odgrywać w moim ówczesnym życiu ważną rolę, a jednak go nie pamiętałam. A przecież jego twarz tak bardzo przypominała moją, jedynie wypukłe oczy upodabniały go do matki.

Cieszyłam się, że jestem wśród krewnych i bardzo chciałam zostać przez nich zaakceptowana. Jednak kiedy tak sączyłam wino w bibliotece, nie wiedziałam jeszcze, że przed opuszczeniem przeze mnie Hurst zdarzyło się coś, co sprawiło, że ta dziwaczna grupa krewnych stanowczo nie życzyła sobie mojego powrotu. Z tego co wiedziałam, wyjechałyśmy z matką po śmierci ojca i brata, i nigdy już nie wróciłyśmy. Nie udało mi się dowiedzieć, dlaczego opuściłyśmy nagle ten dom, czemu nigdy tu nie przyjeżdżałyśmy ani też dlaczego moja matka na resztę życia pograżyła się w smutku. Nigdy jej o to nie pytałam uznając, że po prostu ma powody, aby unikać tego miejsca.

Nawet teraz, kiedy siedziałam przed kominkiem, gawędząc z Theo, nie miałam zamiaru zgłębiać ciemnych zagadek przeszłości. Pragnęłam tylko odzyskać rodzinę i nazwisko. Potem będę mogła pójść własną drogą, znając swe miejsce w świecie.

A jednak wkrótce miał nadejść czas, gdy zacznę rozpytywać o przeszłość i wydarzenia, które doprowadziły matkę do opuszczenia Hurst.

— Czy Izba Gmin została już ukończona? — zapytał znie-  
nacka Theo.

— Tak, lecz wieża zegarowa nie jest jeszcze całkiem gotowa. Dzwon spadł podczas próby zawieszenia go. Słyszałam, że zostanie nazwany Big Benem.

— Big Ben? Bardzo obrazowe. Byłem w Londynie sześć lat temu i obiecałem sobie, że więcej tam nie pojedę. Obo-  
wiązki zmuszają mnie do bywania w Manchesterze, gdzie mamy kilka fabryk bawełny, lecz na tym koniec. My, Pembertonowie, nie należymy do... hmm... podróżników.

Rozejrzałam się wokół i pomyślałam: Dlaczego ktoś, kto ma taki dom, miałby chcieć go opuszczać.

— Jestem pewien, że niecierpliwie wyglądasz spotkania z babką, ale musisz poczekać do jutra. Ostatnio niezbyt dobrze się czuje, jakies trudne do wyleczenia przeziębienie. A tak przy okazji, czy cierpisz czasem na ból głowy?

— Nie, zdecydowanie nie. Dlaczego pytasz?

— Spotkasz się z babką jutro, kiedy poczuje się lepiej. Wiadomość o twoim przyjeździe trochę ją rozstroila.

Babka... słowo wymawiane z taką czcią, jak gdyby chodziło o szczególnie ważną osobę.

— Prawdę mówiąc, bardziej zależałoby mi na spotkaniu z ciotką Sylvia — oznajmiłam.

— Co? — Wydawał się szczerze zdumiony.

— Tak, bo to właśnie ona... — Już miałam wspomnieć o liście, lecz nagle rozmyśliłam się. — Ja po prostu pamiętam najlepiej. — Była to częściowa prawda, zważywszy, iż zanim nie ujrzałam listu od niej, nie znałam nawet imion innych Pembertonów.

— To dziwne, że chcesz zobaczyć się z ciotką Sylvia.

— Dlaczego?

Lecz zanim zdążył odpowiedzieć, do pokoju weszła kolejna osoba, która sprawiała wrażenie, jakby kręciła się w pobliżu drzwi, czekając tylko na zaproszenie. Widząc, że Theodore spogląda w kierunku drzwi, ja także popatrzyłam w tę stronę. Natychmiast przebłysk pamięci rozjaśnił mój umysł. Zobaczyłam twarz dziewczyny, bardzo ładnej dziewczyny ze szkarłatnymi wstążkami we włosach, ubranej w oszałamiającą wprost

jedwabną suknię koloru lawendy. Czując, jak oczy otwierają mi się szeroko ze zdziwienia, wstałam powoli, omal nie wypuszczając z dłoni kieliszka i wyszeptałam:

— Martha...

Gdy zbliżała się do mnie z wyciągniętymi ramionami, ujrzałam, że nie jest to już dziewczyna. Była to osoba starsza ode mnie, musiała mieć co najmniej trzydzieści lat. Ubrana była nie w lawendowy jedwab, jak mi się początkowo zdawało, lecz w elegancką popołudniową suknię z różowego brokatu, przybraną przy dekolcie pączkami róży. Talia sukni zwężyła się w kształt litery V, krynolina zaś była obfita i rozłożysta. Zauważyłam, że przybyła ma na nogach bardzo stylowe satynowe pantofelki bez obcasów i mlecznobiałe pończochy. Jej włosy, związane wysoko w węzeł, ze zwieszającymi się nad uszami loczkami, przypominały fryzurę modelki z paryskiego magazynu mody. W jednej ręce niosła torbę na robótki ręczne, z fiołkami wyszytymi na białawym tle. Z torby sterczały rozliczne druty do robótek. Kiedy ujęła moje dłonie, poczułam bijący od niej miły zapach.

— Jak się masz, Leylo. Witaj w domu.

Tylko jej powitanie zabrzmiało naprawdę szczerze.

Obraz dziewczynki zniknął, lecz nadal widziałam przed sobą ładną kobietę, do której natychmiast poczułam wdzięczność za szczere powitanie, a także za to, iż zawdzięczałam jej pierwszy przeblysł wspomnień.

— Dziękuję, Martho.

— Przykro mi z powodu twojej matki. Jak dawno to się stało?

— Przed dwoma miesiącami.

— Pamiętam, że była bardzo kochaną osobą, a ty jesteś do niej niesłychanie podobna. Chociaż dostrzegam także podobieństwo do ojca. Wuj Robert był bardzo przystojnym mężczyzną. Twoja twarz przypomina zarówno jego, jak i ciocię Jenny.

Gdybym ze wszystkich sił nie starała się panować nad sobą, łzy popłynęłyby mi z oczu strumieniem. To był przecież pierwszy strzęp informacji, jaki zdobyłam na temat mego ojca. Nie wiedziałam dotąd, jak właściwie wyglądał.

— Musimy porozmawiać o wielu rzeczach, Leylo, mamy tyle wspomnień.

— Nie śpiesz się tak, droga Martho — wtrąci! Theodore.  
— Niektórych wspomnień lepiej nie przywoływać.

Jej twarz na moment zachmurzyła się, a potem smutek zniknął i znowu uśmiechała się swobodnie.

— Oczywiście. Leyla na pewno wolałaby uniknąć rozpamiętywania przeszłości. To, co się zdarzyło, już minęło. Powinnyśmy zatem rozmawiać raczej o teraźniejszości i choćby o najnowszej modzie. Wiesz, słyszałam, że w przyszłym roku krynoliny mają zostać spłaszczone z przodu. Co o tym sądzisz, Leylo?

Absurdalność tej nagłej zmiany tematu odebrała mi mowę. Nie wróciłam do domu, gdzie przyszłam na świat, po dwudziestoletniej nieobecności, po śmierci matki i męczącej podróży pociągiem, żeby omawiać tendencje obowiązujące w damskiej modzie!

— Och, zupełnie się z tobą zgadzam — mówiła dalej Martha, choć ja nie odezwałam się ani słowem. — Po tylu latach trudno sobie wyobrazić, że znowu będziemy nosić półkrynoliny!

Wszystko przez Theo — pomyślałam. Niemal widziałam, jak wpatruje się w nią niczym jastrząb, pilnując każdego jej słowa. Wiedziałam już, że Martha okaże się takim samym rozczarowaniem jak i pozostała czwórka, a nawet piątka, jeśli liczyć Gertrude.

Pozostali jeszcze: wuj Henry, babka i ciocia Sylvia. Jeśli jednak Henry Pemberton choć trochę przypomina swego syna i żonę, nie powinnam się wiele po nim spodziewać. A skoro nie pokładałam specjalnych nadziei w osiemdziesięcioletniej, prawdopodobnie dziecinniej, babce, to cioteczna babka Sylvia była moją ostatnią nadzieją na prawdziwie serdeczne przyjęcie. W końcu to ona wysłała list, który mnie tu przywiódł.

— Już prawie ósma — powiedział Theodore. — Czy mogę zaprowadzić was do jadalni, drogie panie?

Colin i ciotka Anna już na nas czekali, gawędząc spokojnie przed kominkiem. Stół zastawiony był wypolerowaną

do połysku zastawą. Nie ulegało wątpliwości, że Pembertonowie doceniają komfort, wygodę i przytulność wewnątrz. Nie żałowano pieniędzy na wyposażenie domu, a ta wspaniała jadalnia bynajmniej nie była wyjątkiem. Uznałam bowiem, że jest wspaniała nie tyle ze względu na jej rozmiary, co przepych.

Na ciężkim mahoniowym stole przykrytym starym adamaszkowym obrusem znajdowała się zastawa z porcelany i srebra, której z pewnością nie powstydziliby się Albert i Wictoria. Na tle mis owoców i czasz suszonych kwiatów, usadowiona obok ciotki Anny i Marthy, ubranych w wytworne kreacje, czułam się jak kopciuszek.

Krzesło u szczytu stołu pozostało wolne, choć ustawiono przed nim nakrycie, a dwa sąsiadujące z nim — najwyraźniej stałe — miejsca zostały zajęte przez Theodore'a i wuja Henry'ego. Obok męża zasiadła ciotka Anna, a naprzeciwko niej Martha. Zajęłam krzesło po prawej stronie ciotki Anny, Colin zaś usiadł naprzeciw mnie, obok swojej siostry. Krzesło u drugiego szczytu stołu, oddzielające mnie od Colina, pozostało wolne, a także nie stało przed nim nakrycie. Domyślałam się, że oba miejsca u szczytu stołu należą do najstarszych członkiń klanu: babki Abigail oraz ciotecznej babki Sylvii. Z niecierpliwością oczekiwałam ukazania się zwłaszcza tej ostatniej.

Zanim zajęłam swoje miejsce, podszedł do mnie wuj Henry i mocno uściśnął.

— Bunny — wymruczał. — Jak dobrze mieć cię tu znowu. Obiecuj, że następnym razem nie opuścisz nas w takim pośpiechu.

Pragnęłam dokładniej przyjrzeć się jego twarzy, lecz nie dał mi po temu sposobności, zmykając na swoje krzesło. Wiedziałam, że jego rysy muszą przypominać mego ojca i bardzo chciałam się wujowi przyjrzeć, ale wiedziałam już i to, że ten mężczyzna, podobnie jak reszta rodziny — z wyjątkiem Marthy — nie wywołuje we mnie żadnych wspomnień.

Wszyscy uśmiechaliśmy się do siebie ponad kwiatami i mrugającymi płomykami świec, lecz kiedy rozłożyliśmy lnia-  
ne serwetki i wysączyliśmy nieco wina, zdałam sobie sprawę, że ten swobodny na pozór nastrój jest wymuszony. Usiłując

znaleźć wytłumaczenie dla rzucającego się w oczy braku entuzjazmu, z jakim mnie powitano, mówiłam sobie, że jestem przecież dla tych ludzi kimś zupełnie obcym i zaakceptowanie mnie jako członka rodziny musi zająć nieco czasu. Niepokojącą myśl, że ich zakłopotanie może być spowodowane czymś, o czym nie mam pojęcia, dogodnie odsunęłam od siebie.

Dwie służące zaczęły wnosić jedzenie — wazy gęstej zupy, stopy chleba i masła, półmiski parujących pasztetów i ostrych sosów, jarzyny z własnego ogrodu.

Jedliśmy w ciszy, a ponieważ wszyscy milczeli, zorientowałam się, że najwidoczniej taki tu panuje obyczaj. Od czasu do czasu napotykałam spojrzenie Colina. Czułam wtedy, że nadal ma mi za złe niefortunne przywitanie w bibliotece. Czasem Martha uśmiechała się do mnie przez stół, lecz ja wiedziałam już, iż ona także ukrywa swoje prawdziwe odczucia, tyle że u niej nie wyczuwałam tego ogromnego zakłopotania i niepewności co u innych. Oczy mojej kuzynki skierowane na mnie wyrażały raczej smutek i współczucie. Jakiż mógł być powód współczucia? — zastanawiałam się.

Przy smacznym deserze w postaci puddingu napięcie przy stole nieco zelżało i moi krewni zaczęli wreszcie rozmawiać.

Wuj Henry przerwał milczenie, mówiąc:

— Wygląda na to, że Amerykanom coraz trudniej się ze sobą dogadać. Zastanawiam się, jak długo potrwa, zanim wybuchnie tam wojna domowa.

— Wszystko przez kwestię niewolników — przypomniał Theodore. — Przecież w naszych koloniach uchwałą parlamentu zniesiono niewolnictwo już w roku 33. To przejaw barbarzyństwa z ich strony, że nie chcą iść za naszym przykładem.

— Do licha, człowieku! — powiedział wuj Henry. — Nie o niewolników się martwię, lecz o bawełnę. Jeśli Amerykanie wplatają się w wojnę, dostawy bawełny zostaną zagrożone.

Przysłuchiwałam się z zainteresowaniem, wspominając wzmiankę Theo na temat fabryk bawełny w Manchesterze. Czy właśnie w ten sposób Pembertonowie tak bardzo się wzbościli? To przecież podstawowa sprawa, a ja nic o niej nie wiem.



— Wszystko zależy od tego, czy w Karolinie przedłożą kwestię zasad ponad korzyści.

— Kto będzie zbierał bawełnę, gdy niewolnicy zostaną wyzwoleni? Nie rozmawiamy o moralności, Theo, lecz o gospodarce. Cały przemysł Południa opiera się przecież na niewolnictwie. Jeżeli z niego zrezygnują, tamtejsza gospodarka załamie się, a ceny bawełny wzrosną niebotycznie. Każdy, kto zajmuje się interesami, wie doskonale, iż nie można oczekiwać poważnych zysków tam, gdzie za pracę trzeba płacić.

— Ale już jedenaście lat temu uchwalono ustawę o dziesięciogodzinnym dniu pracy...

Ojciec i syn wątkowali ten temat, ja zaś obserwowałam kątem oka Colina. Raz czy dwa otwierał usta, by włączyć się do dyskusji, lecz najwidoczniej w ostatniej chwili zmieniał zdanie. Kiedy tak wuj Henry i Theo omawiali stan rodzinnych interesów — czyli głównie sprawę fabryk tekstyliów bawełnianych — zastanawiałam się, gdzie w tym wszystkim jest miejsce Colina. Choć jego twarz pozostała nieruchoma niczym maska, to ruchy zdradzały tłumioną gwałtowność, gdy przysłuchiwał się prowadzonej rozmowie.

W miarę upływu czasu ja także zaczęłam się niecierpliwić. Nie sposób było odgadnąć, na ile ta rozmowa jest zamierzona, a dyskusja na temat interesów rodzinnych prowadzona ze względu na mnie. Czy powinnam ją odebrać jako sygnał, że zostałam zaakceptowana w roli członka rodziny? A może ta namiętna debata miała po prostu mi uświadomić, że jestem ignorowana? Skłonna byłam uwierzyć raczej w to drugie.

Obiad był wspaniały, wina doskonałe, a otoczenie najwytworniejsze z możliwych. Tylko towarzystwo zawiodło moje oczekiwania. Czego jednak mogłam się spodziewać? Jak powinien wyglądać powrót na łono rodziny po dwudziestu latach nieutrzymywania ze sobą stosunków?

Ktoś rzekł kiedyś: „Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki” i właśnie zaczynałam dostrzegać, jak bardzo stwierdzenie to jest prawdziwe. Cokolwiek sobie wyobrażałam w czasie podróży pociągiem, rzeczywistość rozmijała się z wyobrażeniami. Czy możliwe, że w swojej naiwności popełniłam aż taki błąd w ocenie sytuacji?

Nagle przypomniałam sobie, co skłoniło mnie do przyjazdu do Pemberton Hurst: list ciotki Sylvii! Gdyby nie ten list, być może nigdy nie zdobyłabym się na tę wyprawę i byłabym więcej niż zadowolona, mogąc poślubić Edwarda bez uprzedniego spotkania z rodziną. Czytając jednak pełne ciepła i troski słowa mówiące o tym, iż dopiero co udało się nas odnaleźć i że bardzo im nas brakuje, tak bardzo, iż pragną, abyśmy wraz z matką wróciły do domu, wyobraziłam sobie, iż chcą tego wszyscy członkowie rodziny.

Jak bardzo się myliłam! Moi krewni w ogóle nie wiedzieli o liście.

Spojrzałam na puste krzesło ze stojącym przed nim nakryciem i znowu poczułam przemożną potrzebę rozmowy z cioteczną babką. Chrząknęłam więc i spytałam:

— Przepraszam bardzo, czy mogłabym pójść na górę, by zobaczyć się z ciotką Sylvią?

Ciotka Anna gwałtownie podrzuciła głową. Rozmawiający natychmiast umilkli, a po wyrazie ich twarzy domyśliłam się, że musiałyśmy powiedzieć coś okropnie niestosownego.

— Och, Leylo, kochanie — powiedziała Martha z tym wyrazem współczucia, tą udręką w oczach. — Czy nikt ci nie powiedział?

Dreszcz przebiegł mi po plecach.

— Nie powiedział o czym?

— O cioci Sylvii. Umarła cztery tygodnie temu.

### 3

Wiadomość ta wstrząsnęła mną, co mnie zdziwiło, gdyż nie znałam przecież ciotecznej babki, nie pamiętałam jej, choć w niej właśnie pokładałam nadzieję na zbliżenie z rodziną. Zdałam sobie sprawę, że po spotkaniu z pozostałymi członkami rodziny polegam na niej coraz mocniej, spodziewając się, iż będzie jedyną osobą, która szczerze ucieszy się na mój widok. A ona nie żyje...

— Przepraszam, Leylo — odezwała się ciotka Anna. — Powinnam była powiedzieć ci o tym wcześniej. Zepsułam ci całą kolację.

Siedzący naprzeciw mnie Colin zapytał:

— Dlaczego tak bardzo się tym przejęłaś? Ledwo ją znałaś.

— Proszę mi wybaczyć. — Zerwałam się na równe nogi, odpychając gwałtownie krzesło.

— Och, kochanie... — powiedział ktoś.

Trzej mężczyźni powstali wraz ze mną, lecz to wuj Henry pośpieszył, by wspomóc mnie ramieniem.

— Za dużo tego — mówiła Anna. — Najpierw jej matka, a teraz Sylvia. Biedactwo potrzebuje odpoczynku. Zabierz ją na górę, Henry. Przyślę Gertrude z herbatą.

Kiedy wyprowadzano mnie z jadalni, czułam się jak w oparach gęstej mgły. Aż do tej chwili nie zdawałam sobie w pełni sprawy, jak bardzo liczyłam na ciotkę Sylvie. Teraz

wyglądało to tak, jakby jej śmierć zabrała nie tylko ją samą, lecz pogrzebała również wszelkie moje nadzieje.

Wuj Henry prowadził mnie schodami na górę, podtrzymując na kolejnych stopniach.

Zapach olejku makasarowego wypełniał mi nozdrza, a wynurzające się z mgły ściany zdawały się pochyłać nade mną. Nie obawiałam się zemdlenia — nigdy dotąd mi się to nie zdarzyło — lecz zaczynałam tracić kontakt z rzeczywistością. Pograżyłam się w gorzkich rozmyślaniach. Czułam głęboki zawód i żal do krewnych. Każde z nich miało okazję, by mi powiedzieć o śmierci Sylvii, lecz nikt tego nie zrobił. Dlaczego? Przecież była tylko siedemdziesięciopięcioletnią starą panną, ciotką, której nie pamiętałam. Dlaczego sądzili, że jej śmierć szczególnie boleśnie mnie dotknie i dlaczego tak starannie ukrywali tę wiadomość?

Zatrzymaliśmy się przed drzwiami mojego pokoju. Oparłam się mocniej na ramieniu wuja. Mgła, która spowijała mój umysł, nie pozwalała mi dojrzeć jego twarzy, a tak rozpaczliwie pragnęłam to uczynić. Już podczas kolacji próbowałam zerknąć poza obfite kształty ciotki Anny, by rzucić okiem na twarz, która mogła być też twarzą mego ojca! Teraz również nie byłam w stanie jej zobaczyć, choć znajdowała się w odległości kilku cali. Wuj Henry przemawiał do mnie spokojnym, współczującym tonem. Czy był to głos, którego słuchałam w dzieciństwie, gdy uspokajał mnie i pocieszał mój własny ojciec? Bracia często bywają bardzo do siebie podobni. Czy było tak w wypadku wuja Henry'ego i mojego ojca?

Drzwi sypialni otworzyły się i jakoś dotarłam do wnętrza. Szok wywołany wiadomością o śmierci ciotki Sylvii i związane z nią rozczarowanie zaczynały zbierać swoje żniwo. Z trudem znalazłam drogę do łóżka i padłam na nie, zanosząc się łkaniem. Zdałam sobie sprawę, że wuj Henry nadal jest blisko. Jego obecność dodawała mi otuchy.

Płakałam przez jakiś czas, pozwalając, by żal roztopił się we łzach. W końcu otarłam oczy i zmusiłam się, by stanąć na nogi. Wuj Henry nadal tam stał, wyższy ode mnie o kilka cali, i obserwował mnie w milczeniu.

— Proszę o wybaczenie — powiedziała niepewnie.  
— Nie chciałam zachować się tak niestosownie.

— Nie ma nic niestosownego w opłakiwaniu czyjejś śmierci, Bunny.

Upierał się, żeby nazywać mnie w ten sposób, jakbyśmy opuściły Hurst zaledwie wczoraj. Nazywając mnie Króliczkiem, przechodził do porządku nad dwudziestoletnim okresem rozłąki.

Łzy obeschły i w końcu mogłam na niego spojrzeć. Szczelna kurtyna osłaniająca dotąd przeszłość uniosła się, ukazując na moment to, co działo się na scenie. Nie, właściwie nie była to nawet scena, nic tak realnego, raczej pewne odczucie. Kiedy tak wpatrywałam się w twarz wuja, pozbawioną wszelkiego wyrazu, doznałam nagle uczucia przeraźliwego smutku, rozpacz, udręki przechodzącej w... No właśnie, w co właściwie?

Gęste rzęsy ocieniały policzki mężczyzny. Miał nieco zbyt wydatny nos, a w brodzie niewielki dołek. Otaczała go aura, którą uznałam za poddanie się losowi przez człowieka skazanego. Wpatrując się w twarz wuja, poczułam ogarniające mnie przygnębienie, fatalizm, poczucie klęski i spadania na łeb na szyję w otchłań. Wrażenie to było tak nieodparte, iż nie sposób było mu się nie poddać.

Ale dlaczego?

Czy zresztą rzeczywiście ta twarz przypominała rysy mojego ojca? Zbliżając się do sześćdziesiątki, wuj Henry pozostał przystojnym mężczyzną, choć wiek przysporzył mu nieco zmarszczek i posrebrzył skronie. Nadal jednak był to szczupły mężczyzna, zachował też arystokratyczną postawę. Pomyślałam, że gdyby ojciec przeżył tę epidemię cholery, dziś wyglądałby pewnie podobnie.

— Rano poczujesz się lepiej, Bunny. Potrzebujesz po prostu wypoczynku.

— Tak — szepnęłam czując, że znowu opanowuje mnie uczucie przygnębienia. Tym razem przypisałam je wiadomości o śmierci ciotki Sylvii, co pozwoliło mi nieco się odprężyć. — Cieszę się, że wróciłam — dodałam, głównie po to, żeby przekonać samą siebie.

W półmroku sypialni dostrzegłam nagle, iż jestem bacznie obserwowana. Oczy wuja lustrowały mnie badawczo, jakby czegoś szukały. To określenie przyszło mi na myśl już wówczas, gdy zobaczyłam wbity w siebie wzrok ciotki Anny. Theo i Colin też przyglądali mi się w taki sposób — jakby czegoś szukali...

— Powiedz mi, Bunny... — Głos wuja brzmiał miękko i kojąco pośród otaczającej nas ponurej nocy. — ...Dlaczego tu wróciłaś?

— Co takiego?

— Dlaczego zdecydowałaś się przyjechać teraz, a nie wiele lat temu?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Milczenie matki na temat tego miejsca zawsze wydawało mi się nie wypowiedzianym życzeniem, iż mamy zapomnieć Hurst i nasz z nim związek. A potem dopiero przyszedł ten niespodziewany list od ciotki Sylvii.

— Wkrótce wychodzę za mąż, wuju, chciałam więc zobaczyć jeszcze dom rodzinny.

Odsunął się ode mnie. Jego rysy stwardniały.

— Za mąż! — Jego reakcja do złudzenia przypominała tę, jaką zaprezentował na wiadomość o ślubie Colin.

— Tak. Chciałam zobaczyć się z rodziną, zanim rozpocznę nowe życie. Zobaczyć miejsce, gdzie się urodziłam i...

— Bunny, kim jest ten człowiek?

— Nie znasz go, wuju. To architekt z Londynu, student Charlesa Barry'ego.

W swojej ignorancji wzięłam to zainteresowanie za przejaw ojcowskiej troski, za chęć dowiedzenia się czegoś o człowieku, któremu zamierzałam oddać rękę. Ale nie o to chodziło wujowi. Zupełnie nie o to.

— Jest dosyć zamożny, wuju, i wykształcony, a jego rodzina należy do wyższej sfery. Poznałam go...

— Czy ustaliliście już datę? — przerwał moje zwierzenia.

— Planujemy pobrać się na wiosnę. On pracuje teraz nad projektem nowego dworca Victoria Station i ma nadzieję, że jego praca okaże się najlepsza ze wszystkich zgłoszonych.

— Musimy go poznać, Leylo — oświadczył wuj z przesadną powagą.

— Oczywiście. — Zaczęłam uważniej przyglądać się temu mężczyźnie o twarzy przypominającej rysy mego ojca. Coś było nie tak.

Widząc moją rozterkę, złagodniał.

— Bunny, moja droga, jesteś bardzo młoda, a istnieje wiele spraw, o których nie masz pojęcia. Gdy opuściłaś ten dom dwadzieścia lat temu, baliśmy się, że nigdy już cię nie zobaczymy, a przecież rozświetlałaś nasze życie niczym jasna gwiazdka. Jesteśmy rodziną, wszyscy mamy w sobie krew Pembertonów. Widzę to i w twojej twarzy. Jesteś wprawdzie podobna nieco do Jenny, lecz znacznie bardziej przypominasz mojego brata. Ty i Theo jesteście bardzo do siebie podobni, zauważyłaś to? Chodzi mi tylko o twoje dobro. Chciałbym też, żebyś czuła się tutaj jak w domu, wszyscy zresztą tego pragniemy.

Wcale się tak nie zachowujecie! — krzyczałam bezgłośnie. Rozpaczliwie starałam się udawać przed sobą, że ten człowiek jest moim ojcem, chciałam paść mu w ramiona. Ale nie potrafiłam, bo chociaż płynęła w nas ta sama krew, choć tak bardzo byliśmy do siebie podobni, pozostał dla mnie kimś obcym.

— Jutro ucichnie ten okropny wiatr i będę mógł oprowadzić cię po majątku. Wiesz, nasze dobra to coś znacznie więcej niż tylko zalesiony pagórek\*.

— Tak. Ten zagajnik.

Nie wiem, dlaczego tak powiedziałam, lecz moje słowa wywarły na wuju wstrząsające wrażenie. Jego twarz się zmieniła, rysy znów stwardniały.

— Pamiętasz ten zagajnik, prawda? — spytał.

— Nie, Colin mi o nim wspomniał.

— Co właściwie powiedział?

— Nic, tylko że jest taki zagajnik.

— No cóż, Pemberton Hurst to duża posiadłość i większa część terenów sięgających East Wimsley do nas należy. Zo-

\* Gra słów: hurst (ang.) oznacza m.in. zalesione wzgórze (przyp. tłum.).

rientujesz się z czasem, bo mam nadzieję, że zostaniesz tu dłużej, Bunny. Bardzo tego pragnę.

I znowu uderzył mnie paradoks tej sytuacji: dlaczego wuj wypowiadał słowa, które nie były szczerze?

— O, jest Gertrudę z twoją herbatą. Spij dobrze, Bunny, jutro wszystko będzie wyglądało lepiej.

Patrzyłam, jak wychodzi, czując się nieco mocniejsza niż przedtem. Gertrudę krzątała się po cichu, przestawiając na tacy imbryk, filiżankę, cukiernicę i dzbanuszek ze śmietanką. Pewnie tylko tak mi się wydawało, lecz przysięgłabym, że kiedy stawiała tacę na małym stoliku, a następnie przygotowywała mi łóżko, również przyglądała mi się ukradkiem. Wyraźnie widziałam, że usiłuje dokładnie mnie obejrzeć, choć zarazem zmuszała się do odwrócenia wzroku.

Zbyt zmęczona, by bawić się w grzeczności, zapytałam wprost:

— Pamiętasz mnie, Gertrudę?

Zamarła nad łóżkiem niczym posąg wykuty w kamieniu.

— Tak, pamiętam, panienko Leylo — powiedziała wreszcie.

— Przykro mi, aleja ciebie nie pamiętam. — Okrążyłam słupki baldachimu, by znaleźć się naprzeciw niej. — Dawno już służysz u Pembertonów, Gertrudę?

— Prawie trzydzieści lat.

Nadal starała się na mnie nie patrzeć. Stała dziwnie czujna, niczym kot gotów do ucieczki. Uznałam to za dziwne zachowanie w wypadku kobiety, która prawdopodobnie zajmowała się mną od kolebki. Wyglądało na to, że się mnie boi.

— Dziękuję za herbatę. Nie trzeba mi niczego więcej — oznajmiłam.

Przyglądałam się, jak Gertrudę zmierza ku drzwiom, a odbłask ognia pobłyskuje w jej kędzierzawych włosach. Czy było coś znajomego w tym jej dziwnie niepewnym sposobie poruszania się? Czyjako dziecko również obserwowałam chód Gertrudę, zastanawiając się, dlaczego tak niepewnie się porusza? Gdy otworzyła drzwi, ogarnęło mnie uczucie, że kiedyś znałam tę osobę.



— Czy brakowało ci mnie, gdy wyjechałam, Gertrudę?  
 Natychmiast odwróciła się i ze zdumieniem zobaczyłam w jej oczach łzy.

— Tak, *Liebchen*. Ciebie i twojej drogiej matki, niech Bóg ma ją w swojej opiece. Zawsze modliłam się o twój powrót.

Postąpiłam krok w jej stronę.

— No i wróciłam, prawda?

— Tak, *Liebchen*. — Jej usta drżały. Nie wiedziałam, co tak wyprowadziło ją z równowagi.

— Chciałabym porozmawiać z tobą o dawnych czasach. Czy mogłybyśmy kiedyś, ty i ja...?

— Mam kiepską pamięć, panienko. Na pewno by się panienka rozczarowała.

— Nie sądzę. Mogłabyś opowiedzieć mi o mojej matce i ojcu.

— Przepraszam, panienko, lecz przeszłość powinna pozostać tam, gdzie jest. Proszę wybaczyć mi śmiałość, lecz uważam, że piękna młoda kobieta nie powinna zajmować się tym, co skończone i dawno minęło.

— Skoro tak uważasz... — Rozłożyłam dłonie w geście bezradności. — A inni? Czy oni także są podobnego zdania?

Skinęła energicznie głową.

— Czy rodzina kiedykolwiek rozmawia o przeszłości?

Potrząsnęła przecząco głową.

— Rozumiem... — Oczywiście nic z tego nie rozumiałam. — Dziękuję za herbatę — powiedziałam. — Obudź mnie na śniadanie, dobrze? Dobranoc.

Drzwi zamknęły się niemal bezgłośnie i znów pozostałam sama z trzaskającym na kominku ogniem i z własnym cieniem, tańczącym na ścianach sypialni. Jeżeli nawet była w moim życiu chwila, w której czułam się bardziej samotna, to nie mogłam jej sobie przypomnieć. Dziwaczny stosunek moich krewnych do mnie — oczywiście jeśli to wszystko nie było tylko wytworem mojej wyobraźni — i niepokojące zachowanie Gertrudę, a także świeżo odnowiona tęsknota za ojcem sprawiły, iż pogrążyłam się w smutnych rozmyślaniach.

Pokój był mały i obcy. Poza nielicznymi osobistymi rzeczami nie było w nim nic mojego. Podobnie miała się sprawa z całym domem — też wydał mi się opustoszały i nieznajomy. A ludzie — nawet ci, którzy wyglądem nieco mnie przypominali — byli obcy, nie znałam ich, a oni nie przyjęli mnie tak, jak rozpaczliwie tego potrzebowałam.

Co było nie tak? Lub: czy rzeczywiście coś było nie tak? Być może to tylko ja okazałam się przeczulona i nie umiejąca sprostać sytuacji. Urodziłam się w tym domu, przeżyłam w nim pierwsze pięć lat swojego życia; mój ojciec i brat zmarli tutaj. Może oczekiwałam zbyt wiele? W końcu jak ci ludzie mieli się do mnie odnosić, jeśli nie jak do obcej, którą przecież byłam? Muszę zdobyć się na cierpliwość. Z czasem mnie zaakceptują, a wtedy będę mogła spokojnie stąd odejść jako osoba zdecydowanie bardziej kompletna, jako kobieta mająca przeszłość i rodzinę.

Herbata zdziałała cuda. Smaczna i delikatnie aromatyzowana, wprawiła mnie w stan niemal euforii, więc bez kłopotów przebrałam się w nocną koszulę i wśliznęłam pomiędzy wykrochmalone prześcieradła, czując się o niebo lepiej. Wuj Henry miał rację. Jutro będzie zupełnie nowy dzień.

Zgasiłam świecę na nocnym stoliku i zwinęłam się w kłębek, oczekując, że sen nadejdzie natychmiast, ale tak się nie stało. Choć byłam zmęczona, mój umysł nadal intensywnie pracował. Zaczęły mnie prześladować liczne pytania. Zepchnięte wcześniej na skraj świadomości i przytłoczone nowymi wrażeniami, teraz wróciły.

Tak, niezrozumiały stosunek rodziny do mnie z pewnością da się częściowo wytłumaczyć tym, że właściwie staliśmy się sobie obcy, jak jednak wyjaśnić zdecydowaną niechęć domowników do wszelkich rozmów o przeszłości? Wszyscy starannie unikali tego tematu, jakby wspomnienia mogły okazać się bolesne lub kłopotliwe. Cóż zatem wydarzyło się w przeszłości, o czym nie można rozmawiać nawet teraz, po dwudziestu latach?

Matka powiedziała mi, że ojciec i brat zmarli w tym domu na cholera i była to jedna z niewielu informacji, jakich mi udzieliła na temat przeszłości. Choć bez wątplenia tragiczne,

wydarzenie to nie mogło być przecież aż tak niszczące w skutkach, aby wywierać wpływ na rodzinę jeszcze dzisiaj.

A jednak wszyscy oni unikali rozmów o minionych latach. Wszyscy, z wyjątkiem Colina. On jeden zdawał się znajdować przyjemność we wspomnieniach i pewnie chętnie czyniłby to przez cały wieczór, gdyby nie pojawienie się Theo.

Ciotka Anna usiłowała natomiast nakłonić mnie do unikania Colina...

Leżałam w ciemnościach, rozmyślając o Colinie i o niechętnym stosunku rodziny do niego. Moja rozmowa z nim wracała teraz fragment po fragmencie, wracało uczucie bliskości, opowieść o zagajniku. Nagle pewne jego słowa odbiły się echem w mej pamięci, nabierając znaczenia, którego nie dostrzegłam wcześniej. Kiedy wspomniałam, że moja matka nigdy nie rozmawiała ze mną o Pemberton Hurst, kuzyn skomentował to słowami: „Zupełnie, jakby chciała zapomnieć, że w ogóle istniejemy”.

Teraz słowa Colina sprawiły, iż zdałam sobie sprawę z czegoś, czego nie zauważyłam nigdy przedtem — matka zdecydowanie unikała rozmów o przeszłości.

Czyżby chodziło o to samo? Czyż nie spotkałam się i tutaj z przekonaniem, że lepiej pozostawić przeszłość zapomnianą i pogrzebaną? Tak, ów charakterystyczny „brak pamięci” był niewątpliwie jedną wspólną cechą łączącą matkę z tym domem.

Dlaczego?

Co kryło się w mojej przeszłości? Co sprawiało, że mieszkańcy Hurst, podobnie jak moja matka, nie chcieli o tym mówić?

Pogrążona w zadumie, w końcu zasnęłam, lecz nie był to zdrowy sen, a jedynie niespokojna drzemka, pełna groteskowych majaków i przedziwnych wizji. Ujrzałam twarze krewnych tak, jak je sobie wyobrażałam: wuja Henry'ego trzymającego mnie w ramionach, niczym ojciec, widziałam ciotkę Annę mówiącą kłamstwa, ale szepczącą prawdy; kuzyna Theodorem, na pozór szczerego i otwartego, dominującego w towarzystwie i śmiejącego się zjadliwie; kuzyna Colina z jego kontynentalnym sposobem bycia i brakiem troski o uczucia innych;

kuzynkę Marthę, ekscytującą się linią dekoltu sukien, które wejdą w modę w przyszłym roku. Ujrzałam także ciotkę Sylvie — w grobie, a nie widzianą dotąd babkę Abigail, matkę rodu, w wysokiej wieży. Przed moimi oczami przewinęła się też Gertrude, która wyglądała tak, jakby już, już miała mi wszystko opowiedzieć.

Po obudzeniu nie czułam się wypoczęta, ale ucieszył mnie widok słońca za oknami, poza którymi widać było zimowy las, cały w czerni i szarości, zrzucający istny wodospad uschłych liści. Wiatr, równie porywisty jak poprzedniego wieczoru, zdawał się bawić z naturą w jakąś skomplikowaną, niszczyielską grę, lecz chmury rozwiały się i widać było niebo tak błękitne, jak nigdy nie zdarzało się nad Londynem.

Wkładając świeżą suknię, także czarną z uwagi na żałobę po matce, uśmiechnęłam się na myśl o swoim dziecinnym zachowaniu poprzedniego wieczoru. Jak bardzo musiałam czuć się zmęczona, skoro wyobraziłam sobie to wszystko! Zbyt wiele emocji — zganiłam się.

Zdecydowana pozostać w dobrym nastroju jak najdłużej i okazać się tak ujmującą, jak to tylko możliwe, zesłam po schodach, kierując się w stronę apetycznych zapachów dochodzących z jadalni.

Matka i ja rzadko jadałyśmy poranny posiłek, gdyż kiedy tylko światło dnia zaglądało w nasze okna, natychmiast zabierałyśmy się do pracy. Choć nie cierpiałyśmy już wówczas biedy, daleko nam było do dobrobytu i musiałyśmy ciężko pracować, aby zapewnić sobie odrobinę wygody. Mama nauczyła mnie sztuki szycia, a następnie co dzień dawała mi jakiś projekt sukni, bym mogła doskonalić swe umiejętności, a kiedyś później zdobyć własną klientelę. Pracowałyśmy w mieszkaniu; tu odbywało się krojenie i szycie, tkaniny zaś nabywałyśmy u hurtowników w śródmieściu. Choć, jak już wspomniałam, we wczesnym dzieciństwie byłyśmy raczej biedne, to zanim skończyłam czternaście lat, matka wyrobiła sobie opinię dobrej szwaczki i pracowała tylko dla stałych klientek.

Teraz to wszystko było już za mną: spokojne życie pośród wykrojów i popołudniowe spacerowanie. Byłam zdana wyłącznie na

siebie, bez oparcia w rodzinie, przynajmniej dopóki nie ustalę swoich stosunków z Pembertonami i nie wyjdę za mąż.

W jadalni zastałam tylko Theodore'a. Wstał i uroczyście podprowadził mnie do miejsca za stołem, po czym wrócił do swego posiłku.

— Czy dobrze spałaś, Leylo? — zagaił rozmowę.

— Dość dobrze, zważywszy...

— Zważywszy co? — zapytał z lekkim niepokojem w oczach.

— Zważywszy na tę wiejską ciszę. W Londynie usypiamy przy akompaniamencie stuku końskich podków, turkocie żelaznych obręczy kół na jezdni, nawoływaniu ulicznych sprzedawców i produkcjach arabskich muzykantów.

Roześmiał się.

— Jak można mieszkać w mieście!

— Och, to wcale nie jest takie okropne. — Pomyślałam o pięknych rezydencjach na placach Grosvenor i Belgravia, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego moi krewni takiej nie mają.

— Spodoba ci się tu. Hurst nawet w zimie jest piękne.

Służąca przyniosła mi tost i herbatę. Kuzyn Theodore, znów elegancko odziany, pił teraz herbatę. Jego oczy, podobne nieco do oczu ryby, wpatrywały się w moją twarz w ten sam denerwujący, badawczy sposób. I znowu nabrałam przekonania, że powiedział coś zupełnie innego, niż miał na myśli.

— Czy mógłbym oprowadzić cię dzisiaj po posiadłości, kuzynko? — spytał.

— Tak, chętnie ją obejrzę.

Zdecydowana byłam nie dopuścić, by wyobraźnia zepsuła mi także ten dzień. Ciotka Sylvia nie żyła, a zatem wszystkie moje nadzieje wiązały się teraz z pozostałą szóstką i przysięgłam sobie, że nie wyjadę, dopóki członkowie rodziny nie zaakceptują mnie w końcu jako jednej z nich.

— Więc powiedz mi, Leylo — zapytał na pozór niedbale, mieszając łyżeczką herbatę. — Co właściwie przywiodło cię z powrotem do Hurst?

Spojrzałam na niego zaintrygowana. Oto następna prawidłowość tej wizyty: nieodparta potrzeba wypytywania mnie,

dlaczego wróciłam. Kiedy Pembertonowie nie byli zajęci grzebaniem przeszłości, natychmiast przystępowali do wypytywania mnie, dlaczego wróciłam.

— Przez dwadzieścia lat matka była dla mnie jedynym członkiem rodziny. Nikogo zresztą więcej nie potrzebowałam. Kiedy umarła, poczułam się zagubiona, porzucona. Jak każdy człowiek, poczułam wówczas potrzebę poznania rodziny.

— A co z tym twoim narzeczonym? Wkrótce to on stanie się twoją rodziną.

— On nie jest krewnym z krwi i kości jak Pembertonowie. Na pewno potrafisz zrozumieć różnicę.

— Oczywiście. — Wydawał się usatysfakcjonowany. — A tak przy okazji, babka zobaczy się z tobą dzisiaj.

— Zobaczy się ze mną dzisiaj — powtórzyłam zdziwiona formą informacji. — Czy to rozkaz?

— Pogoda ostatnio fatalnie na nią wpływa, w końcu babka ma już osiemdziesiątkę.

— Pójdę więc do niej.

— Nie teraz, po południu. Zaprowadzę cię tam i przedstawię. Ona jest nieco... jak by to powiedzieć?... ekscentryczna.

— Jak Colin?

Theodore roześmiał się, ale nie usłyszałam w tym śmiechu wesołości. Jego czarne włosy były starannie zaczesane; mógłby z pewnością uchodzić za przystojnego mężczyznę, gdyby nie wyblakłe oczy i otaczająca go aura nieszczerości. Zaczęłam się obawiać, iż w jego przypadku nigdy nie będę wiedziała, na czym stoję.

— Gdzie są wszyscy pozostali?

— Mama jest z babką, ojciec pojechał do East Wimsley, Martha wyszywa wszystko, co jej wpadnie w ręce, a Colin... no cóż, kto może wiedzieć, gdzie jest Colin?

— Powiedz mi, Theo, czy te ogromne fabryki za East Wimsley, obok stacji kolejowej, należą do nas?

Natychmiast zorientowałam się, iż poczuł się z lekka urażony użytym przeze mnie zaimkiem, ale zdecydowana byłam nie separować się od rodziny, używając takich określeń, jak:

„wasze" i „moje". Tak czy inaczej, przeszedł do porządku nad tym, co powiedziałam, i odparł:

— Tak, należą. Prawdę mówiąc, jesteśmy właścicielami niemal całego East Wimsley, a przynajmniej terenów poza granicami miasta. Pembertonowie należą do piątki największych producentów bawełny w Anglii.

— Nie miałam o tym pojęcia! — wykrzyknęłam.

Jego oczy zwięzły się nieco. Choć nie byłam pewna, co kuzyn Theodore naprawdę myśli, podejrzewałam, iż teraz przyszło mu do głowy, że zjawiłam się u nich z pobudek finansowych i że zwabił mnie tu blask fortuny Pembertonów.

— Twoja matka naprawdę trzymała cię w niewiedzy, co?

Uwaga ta zdenerwowała mnie. Choć jestem tylko niezbyt pożądanym gościem, nie dam się zastraszyć Theodore'owi Pembertonowi.

— Owszem. Wiesz może dlaczego?

Przez chwilę wpatrywaliśmy się w siebie i poczułam, że Theodore zaraz zacznie mówić. W końcu jednak opuścił wzrok i stwierdził stanowczo:

— Nie mam pojęcia.

— Witam drogie kuzynostwo.

Wzdrygnęłam się zaskoczona. W drzwiach, szeroko rozstawiwszy stopy, stał Colin i bawił się trzymanym w dłoni krótkim biczykiem.

Jego jasne włosy sterczały na wszystkie strony, jakby rozwiane wiatrem. Rozciągnął usta w głupawym uśmiechu.

— Dzień dobry, kuzynie — odparłam grzecznie.

Jego strój z trudem dawał się tolerować przy stole, a mimo to Colin przyłączył się do nas bez żadnych oporów.

— Doprawdy, Colinie, gdzie twoje maniery? Żeby tak nas zaskakiwać! — sprzeciwił się Theodore.

— Dziękuję, Theo. Wystarczy, że ty świecisz przykładem. To ważne, bo inaczej biedna Leyla, która tak bardzo pragnie zostać jedną z wielkich Pembertonów, mogłaby się poczuć rozczarowana naszym mało braterskim powitaniem. — Nalał sobie herbaty i pił ją hałaśliwie. — Powiedz mi, Leylo, czy jeździsz konno? — spytał.

— Trochę.

— Nie mam na myśli przejażdżki na kucu po Rotten Row.

Pytałem, czy jeździsz na prawdę?

— A zatem przypuszczam, że nie.

— Popatrzcie tylko, co miasto robi z człowiekiem!

Spoglądając przez stół na obu mężczyzn, nie mogłam zdecydować, co było gorsze: fałszywa grzeczność Theo czy brutalna szczerłość Colina.

— Chodź ze mną, kuzynko, pokażę ci Hurst, dobrze?

— Przyjęłam już propozycję Theo...

— No to idź z Theo. — Wstał nagle i uśmiechnął się do mnie, ujawszy się pod boki. — Stawiam gwineę, że za dwa tygodnie będziesz z powrotem w Londynie.

— Czy to wyzwanie?

— Dlaczego? Czyżbyś była w stanie ścierpieć to miejsce dłużej, żeby zarobić gwineę?

— Pemberton Hurst nie wydaje mi się miejscem cierpień.

Odrzucił w tył głowę i roześmiał się hałaśliwie:

— Słyszałaś, Theo! Jak ona mało o nas wie!

Drugi kuzyn nie doszukał się w mojej uwadze niczego śmiesznego.

— Zepsułeś nam śniadanie — stwierdził tylko.

— Daję ci jeszcze jedną szansę, kuzynko. Możesz obejrzeć Hurst w moim towarzystwie albo pójść z Theo. Dobrze się zastanów, nim podejmiesz decyzję.

— Ona idzie ze mną, Colinie, to już postanowione. Nie mógłbyś wrócić do łajania chłopców stajennych? — Theodore otarł dyskretnie usta koronkową serwetką. Ten gest na chwilę przypomniał mi Edwarda.

Colin zignorował słowa Theo i nadal wpatrywał się we mnie swymi zielonymi oczami, które wydawały się dziś o wiele ciemniejsze i bardziej niż dotąd oliwkowe.

— Nadal słuchasz mądrej rady, by unikać stukniętego Colina, co? Przypuszczam, że tak. Otrzymałaś przecież poważne ostrzeżenie.

— Theo zaprosił mnie pierwszy, w przeciwnym razie poszłabym z tobą. Przeprosiłam cię już za wczorajszy wieczór. Co jeszcze mam zrobić, by udowodnić ci moją skrucę?



W jego oczach zabłysło wyzwanie.

— Pójsz ze mną do zagajnika.

— Nie! — zaprotestował gwałtownie Theo. Skoczył na równe nogi i z napięciem wpatrywał się w Colina. — Zwariowałaś?

— Och, bardzo chciałabym zobaczyć zagajnik, Theo. Myślę, że pomogłby mi przywołać wspomnienia.

— Nie, Leylo. To niebezpieczne. W ruinach łatwo o wypadek. Jestem zmuszony zabronić ci chodzenia tam.

Moje spojrzenie musiało wyrażać najwyższe zdumienie, ponieważ Theo odwrócił wzrok. Być może ten mój kuzyn przyzwyczajony był do wydawania rozkazów, lecz przecież ja nie byłam przyzwyczajona do ich wykonywania. Już miałam zareagować równie gwałtownie, gdy przypomniałam sobie, że jestem tu tylko gościem i że zrażanie do siebie tego człowieka nie przyniesie mi niczego dobrego. Zamiast więc zaprotestować milczałam.

Colin wydawał się rozczarowany.

— No cóż, droga kuzynko, jak widzę, słowo Theo jest dla ciebie rozkazem. Ale nie dla mnie. Mogę jeździć, gdzie zechcę. Mam nadzieję, że spacer sprawi wam przyjemność. — Odwrócił się na pięcie i wymaszerował z jadalni.

— Przykro mi — powiedziałam, choć wcale nie poczuwałam się do winy.

Theo zajął swoje miejsce.

— Przywykniesz do niego. Czasami wydaje mi się, że wychowali go nie Pembertonowie, ale Cyganie — rzekł.

Spojrzałam na drzwi, przez które wyszedł Colin.

— Jak zginął jego ojciec? — spytałam.

— Wuj Richard? W wypadku. Jechał powozem i konie się spłoszyły czy coś takiego.

— Nie wiesz? Nie było cię tutaj?

— Nie, nie mieszkaliśmy wtedy w Hurst. To stało się, och, chyba jakieś dwanaście lat temu. Colin miał wtedy dwadzieścia dwa lata. Ciężko przeżył ten wypadek. Najpierw szalał, a potem całymi miesiącami do nikogo się nie odzywał. Przy najmniej tak nam powiedziano, gdy wróciliśmy.

— A jego matka?

Theo mieszał zimną już herbatę.

— Zginęła razem z mężem. Oboje znajdowali się w po-  
wozie.

— Mój Boże... — Przez dłuższą chwilę wpatrywałam się  
w drzwi. — Gdzie to się stało?

— Na drodze. Odwróciłam się gwałtownie.

— Chyba nie tu, w Hurst?

— Dlaczego nie?

— Ale jego ojciec i... mój ojciec! To nieprawdopodobne.

— Po raz pierwszy poczułam, że coś łączy mnie z którymś  
spośród Pembertonów. — Nie miałam pojęcia...

— No cóż, to duża rodzina, Leylo, a wypadki się zdarzają  
— stwierdził, jakby to wyjaśniało wszystko.

Wpatrywałam się w mego kuzyna, lecz on nie patrzył na  
mnie. Nagle zaświtała mi pewna myśl.

— Gdzie byłeś, gdy to się stało? — spytałam.

— Mieszkaliśmy wtedy w Manchesterze, gdzie ojciec za-  
rządzał fabryką.

— Więc nie mieszkałeś w Hurst przez całe życie?

— Nie.

Jego odpowiedzi stawały się coraz bardziej lakoniczne  
i sama już nie wiedziałam, co zmusza mnie do zadawania  
kolejnych pytań. Kiedy jednak przyszło mi do głowy następne,  
zadałam je również:

— Kiedy wyjechałeś z Hurst?

Theo milczał przez dłuższą chwilę, jakby wając w myśli  
odповідź:

— Zaraz... Fabryka ruszyła w roku 1838, a ojciec musiał  
pojechać tam wcześniej, by przejrzeć plany i obsadzić stano-  
wiska. To było dawno, ale wydaje mi się, że wyjechaliśmy  
z Hurst w tym samym roku co ty z matką. Zbieg okoliczności  
po prostu.

— W tym samym roku?

— Uhm. — Starannie odmierzoną ruchem odwrócił się,  
by zerknąć na zegar na kominku. — Teraz, kiedy zacząłem  
o tym myśleć, dochodzę do wniosku, że wyjechaliśmy wkrótce  
po opuszczeniu przez was Hurst, mniej więcej w miesiąc póź-  
niej.

Nadal uważnie wpatrywałam się w niego.

— I co, skończyłaś już herbatę? Będziesz potrzebowała płaszcza, bo wieje dziś iście piekielne wietrzyisko.

— Z pewnością.

Wstaliśmy oboje. Choć nie mogłabym dokładnie określić, o co chodzi, poczułam, że jakaś myśl dobija się do mojej świadomości, krystalizując się w końcu w konkretny domysł, a kiedy ten proces dobiegł końca, nawet ja byłam zdumiona pytaniem, które zadałam.

— Kuzynie, powiedz mi, proszę, czy jeszcze ktoś w tym domu ucierpiał z powodu tej epidemii cholery?

— Jakiej epidemii cholery? — spytał zdumiony.

— Tej, która dwadzieścia lat temu zabiła mego ojca i brata.

Jego twarz zdała się pozbawiona wszelkiego wyrazu.

— Co masz na myśli, Leylo? Twój ojciec i brat wcale nie zmarli na cholere.

## 4

Stałam w bezruchu, doznając dojmującego uczucia bezradności. Choć byłam kompletnie zaskoczona, zachowałam na tyle przytomność umysłu, żeby zarejestrować reakcję Theo na to zadziwiające oświadczenie. Nie był z siebie zadowolony. Tak jak ja wyrzuciłam z siebie pytanie, zanim w pełni uświadomiłam sobie jego treść, tak on udzielił na nie odpowiedzi, nim zdążył ugryźć się w język. A potem zrobiło się za późno na zaprzeczenia. Puszka Pandory została otwarta.

Słowa, które wypowiedział tak po prostu, jak i wyraz jego twarzy, powiedziały mi, iż w Pemberton Hurst rzeczywiście dzieje się coś, o czym powinnam wiedzieć. W tej samej chwili uświadomiłam sobie, że milczeniu mojej matki towarzyszyło świadomie wygłoszone kłamstwo.

Usiadłam. Po chwili wahania Theo, wyglądający jak uosobienie skruchy, dołączył do mnie. Wyraźnie żałował słów, które mu się wymknęły, lecz nic już nie mógł poradzić.

— Jak oni umarli? — spytałam.

— Leylo, co ci przyjdzie z rozgrzebywania przeszłości? Kłamstwo, którym, jestem pewien, twoja matka posłużyła się celowo, dotąd ci wystarczało. Ufaj więc nadal jej rozeznaniu. To zdarzyło się dwadzieścia lat temu.

— Jak oni umarli? — nalegałam. Moje ręce spoczywały złożone na kolanach. Byłam opanowana. To Theo się denerwował.

Ze smutkiem potrząsnął głową.

- Nie chcę ci tego powiedzieć.
- Więc będę musiała zapytać Colina.
- Boże, nie! Leylo... — pochylił się ku mnie.
- Więc powiedz, proszę.
- Po co?
- Mam prawo wiedzieć.
- Jeśli ci powiem, zawsze już będziesz żywić do mnie

żał.

- Dlaczego?
- Ponieważ to cię unieszczęśliwi. Czy nie mogłabyś po prostu wyjechać z Hurst... Nie, sądzę, że nie mogłabyś. Przyjechałaś tu w poszukiwaniu swojej przeszłości i rodziny. Muszę więc ci je dać. — Wstał znowu, lecz teraz zdawał się lepiej nad sobą panować. — Chodź ze mną — polecił.

Opuściliśmy jadalnię, przeszliśmy oświetlonym gazowymi lampami korytarzem i znaleźliśmy się w bibliotece, gdzie poprzedniego wieczoru spotkaliśmy się po raz pierwszy. Rozpalony na kominku ogień ogrzewał pokój, a płonące świece nadawały wnętrzu przytulny charakter. Minęłam Theo i usiadłam w pobliżu paleniska, on zaś zamknął drzwi i zajął miejsce naprzeciw mnie w *prie-dieu*. Obserwowałam, jak odbłask ognia odbija się w jego oczach osłoniętych gęstymi rzęsami, tak bardzo podobnymi do moich. Przez dłuższą chwilę w milczeniu wpatrywał się w płomień, wciąż nie podnosząc na mnie wzroku.

— Przeszłość to dla nas drażliwy temat, Leylo. Dlatego niechętnie o niej mówimy. Straciłaś ojca i brata, Colin — oboje rodziców. Nie chodzi wcale o to, że te zgony zdarzyły się tutaj, gdyż w wielkich domach, zamieszkanym przez kilka generacji, jest to zjawisko normalne. Chodzi o okoliczności, w jakich się zdarzyły. Wypadki z powozami się zdarzają, naturalnie, ale rzadko tak dziwne jak ten. Pogoda była wówczas dobra, koń wypoczęty, a powóz, kryty jednokonny, zupełnie nowy. Nikt nie wie, co spowodowało jego przewrócenie się. Ciocia Jane i wuj Richard zginęli wówczas na miejscu. Jak już mówiłem, my tylko o tym słyszeliśmy, lecz to nieszczęście zupełnie załamało Colina. Nie był już potem taki sam.

Widocznie najtrudniej było zacząć, gdyż teraz Theo wydawał się bardziej rozluźniony. Usiadł wygodniej, z rękami ułożonymi płasko na kolanach.

Za jego przykładem ja także zaczęłam wpatrywać się w ogień, cofając się w czasie o dwadzieścia lat.

— Nie było tu żadnej epidemii cholery, Leylo, nigdy. Twój ojciec przez dłuższy czas chorował na jakąś tajemniczą chorobę, której lekarze nie potrafili rozpoznać. Przychodziła i odchodziła, aż w końcu ataki trwały coraz dłużej i były wciąż bardziej i bardziej gwałtowne, a przerwy pomiędzy nimi coraz krótsze. Próbowaliśmy wszystkiego; wyjazdów dowód, opium, ograniczenia swobody ruchów. Nic nie pomagało. Wuj Robert był skazany. Pewnego dnia... — Głos uwiązał Theo w gardle, ale czekałam cierpliwie. — Pewnego dnia powiedział, że czuje się lepiej i chętnie zabierze Thomasa na spacer. Kiedy zaczęło się zmierzchać, a oni nie wracali, poszliśmy z ojcem ich szukać. Byliśmy zaniepokojeni z powodu stanu zdrowia wuja Roberta. W końcu ich znaleźliśmy... w zagajniku.

Ogień trzeszczał, wiatr gwizdał w koronach drzew. Nic z tego, co mówił Theodore, nie wydawało mi się znajome — ani mój ojciec, ani jego choroba, ani Thomas, ani... zagajnik.

— Mów dalej, proszę.

Głos Theo dobiegał jakby z oddali.

— Musiał skądś zdobyć nóż, a atak choroby dosięgnął go najwidoczniej podczas spaceru. Obaj nie żyli. Wuj zabił twojego brata, a potem siebie.

Znajdowaliśmy się gdzieś poza czasem, ja i Theo. Byliśmy teraz i tutaj, a zarazem wówczas i tam. Pokój jakby zamykał się nad nami, ogień zdawał się o wiele gorętszy, a płomień jaśniejsze. Wpatrywałam się w palenisko czując, że twarz mi płonie. Szukałam w płomieniach twarzy dwóch ludzi — mężczyzny, którego powinnam pamiętać jako ojca, i chłopca, który był moim bratem. Nie ujrzałam ich jednak; żaden do mnie nie wrócił.

— Rozumiesz, Leylo, wyjechałyście w tak tragicznych okolicznościach, że kiedy wczorajszego wieczoru zjawiłaś się nagle, tak nieoczekiwanie, po prostu nie wiedzieliśmy, co ci po-

wiedzieć. Nie wiedzieliśmy, jak traktować twój powrót, tym bardziej że żadne z nas nie orientowało się, co pamiętasz i co powiedziała ci matka. Teraz widzę, że mieliśmy rację, zachowując milczenie.

Twarz piekła mnie i paliła. W końcu spojrzałam na Theo.

— Tak, oczywiście — powiedziałam nieobecny głosem.  
— Chyba rozumiem.

— Przeczuwaliśmy, że Colin wyciągnie wszystko na światło dzienne, nie troszcząc się zupełnie o twoje uczucia. A ponieważ i tak by ci to wszystko powiedział, cieszę się, że zrobiłem to pierwszy.

— Ja także. Oczywiście, jestem ci wdzięczna. — Gdzieś, jakby z oddali, dobiegł mnie szelest moich spódnic, a potem zorientowałam się, że stoję przed kominkiem.

To dlatego tak dziwnie mnie traktowali! Takie jest wyjaśnienie wielkiej tajemnicy. Więc to tak... Ojciec popełnił zarówno morderstwo, jak i samobójstwo. Nic dziwnego, że Pembertonowie czuli się w mojej obecności niezręcznie.

— Wiesz, Theo, jakoś straciłam ochotę na spacer i zwiedzanie posiadłości, więc jeśli nie masz nic przeciwko temu, to może innym razem... — powiedziałam.

— Rozumiem.

— Widzisz, to tak, jakbym straciła ojca i brata po raz drugi. Przez dwadzieścia lat nie żyli z powodu cholery, a teraz nie żyją... z innego powodu. Odczuwam to tak, jakby powtórnie umarli. Co za los! W ciągu dwóch miesięcy straciłam cztery osoby: matkę, ojca, Thomasa i ciocię Sylwii. — Zmierzrzałam powoli w stronę drzwi. — Bardzo żałuję, że ich nie znałam. Nawet nie wiesz, jak trudno opłakiwać kogoś, czyjej twarzy nie sposób sobie przypomnieć. A teraz, jeśli mi wybaczysz...

Otworzył drzwi i odprowadził mnie do końca korytarza. U podnóża schodów odwróciłam się i powiedziałam:

— Wolałabym pójść na górę sama, jeżeli nie masz nic przeciwko temu. Z pewnością czekają cię inne sprawy.

— Zajmę się nimi dopiero, gdy się upewnię, że nic ci nie jest.

Roześmiałam się cicho.

— Nie bądź niemądry. Oczywiście, że nic mi nie jest. Wy tłumacz mnie przed rodziną, dobrze? Ta podróż pociągiem byia bardziej męcząca, niż sądziłam. Wybacz.

Schody płynęły pode mną, jak gdybym frunęła nad nimi, nie dotykając stopni. Moją głowę spowijała mgła, a myśli wirowały jak na karuzeli. Szok wywołany nowinami był o wiele bardziej bolesny niż ten spowodowany śmiercią ciotki Sylvii. To, czego się dowiedziałam, zmieniało wszystko: i Hurst, i moją matkę, i ostatnie dwadzieścia lat, i — w końcu — zmieniało także mnie.

Nie wiem, jak długo leżałam na łóżku, lecz kiedy odwróciłam głowę, by spojrzeć w okno, przez szyby padały ukośnie długie pomarańczowe promienie zachodzącego słońca. Spędziłam zatem wiele godzin pogrążona w smutku.

Czym innym jest opłakiwanie kogoś, kto zmarł na cholerę, czym innym zaś rozpacz po mordercy i jego ofierze. Bolałam nad męczarnią, jaką przechodził mój ojciec, nad udręką jego duszy, która doprowadziła go do popełnienia niegodziwego czynu. Krwawiło mi serce na myśl o biednym szaleńcu zabierającym na ostatni spacer swego syna, siedmioletniego Thomasa, zasztyletowanego przez ojca, który nie wiedział, co czyni.

Ojczy — płakała moja dusza. — Czy dlatego skierowałeś przeciwko sobie nóż? Czy w nagłym przebłytku świadomości zobaczyłeś — zbyt późno! — czego się dopuściłeś i nie mogłeś znieść katuszy spowodowanych potwornością tego czynu?

Potem płakałam nad matką, jej rozpaczą i latami samotności, które spędziła w plugawych slumsach Londynu, ochraniając swoje jedyne już teraz dziecko przed przeszłością i teraźniejszością.

A więc wróciłam do Hurst. Odnalazłam to, po co przyjechałam: rodzinę i przeszłość. Jak bardzo tego żałowałam! Ileż musiała wycierpieć matka przez wszystkie te lata. I przez cały ten czas dochowała tajemnicy! Patrzyła na moją twarz i widziała ich. Jakiż to ciężar dla samotnej kobiety. Gdybym tylko mogła go z nią dzielić! Gdyby matka zdobyła się, by mi powie-



dzieć, mogłybyśmy dźwigać ten ciężar razem... Lecz nie zrobiła tego; wzięła wszystko na siebie, by zaoszczędzić mi cierpienia. Okazało się jednak, że tylko po to, bym teraz wróciła do Hurst i dowiedziała się tego, co ona przez dwadzieścia lat tak starannie przede mną ukrywała.

Gdy wypłakałam ostatnią łzę, uświadomiłam sobie, że zapadł już zmrok, na dworze nadal wieje silny wiatr, a ja jestem głodna. Spędziłam w pokoju dziesięć godzin, bolejąc nad wydarzeniami z przeszłości. Teraz jednak czas było zmierzyć się z teraźniejszością. Zdecydowałam się stanąć z nią twarzą w twarz ze względu na matkę, która z pewnością nie życzyłaby sobie, bym pograżyła się w smutku, jaki jej przypadł w udziale. Postanowiłam zatem nie rozpaczać już nad tym, czego zmienić nie sposób. Przywdziałam świeżą suknię, ponownie spłotłam włosy i postanowiłam żyć dalej zwyczajnie, czego z pewnością życzyłaby sobie matka.

Lecz los, jak się okazało, miał dla mnie coś innego w zanadru.

Przykładałam właśnie po raz kolejny mokry ręcznik do opuchniętych oczu, kiedy skrobanie do drzwi zmusiło mnie do zaprzestania tej czynności i skłoniło do przysłuchania się dziwnym odgłosom, które brzmiały tak, jakby do pokoju usiłowało dostać się jakieś zwierzątko. Odgłosy nie milkły, dopóki nie otworzyłam drzwi. Stała za nimi Martha.

— Czy mogę wejść? — zapytała.

— Oczywiście, bardzo proszę. Właśnie miałam zejść na dół.

— Martwiliśmy się o ciebie, Leylo. Theo powiedział nam o tym, co zaszło rano. Bardzo mi przykro; nam wszystkim jest przykro.

— Dziękuję.

Weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

— Jeżeli zeszłego wieczoru nie wydaliśmy ci się serdeczni, to teraz wiesz dlaczego. Nikt nie chciał przypadkiem powiedzieć czegoś niewłaściwego. Nie mieliśmy pojęcia, co wiesz o swoim ojcu i bracie. Jak się okazało, mieliśmy rację.

— Tak właśnie uważa Theo.

Usiadłam przed toaletką i kontynuowałam upinanie włosów. W lustrze dostrzegłam, że Martha wstaje i z wolna prze-

mierzą pokój, by przyrzeć się fotografii mojej matki, potem przestudiować etykietkę na butelce wody kolońskiej, a wreszcie przejrzeć książki leżące na nocnym stoliku. Wszystko to sprawiło na mnie wrażenie, że zastanawia się, co powinna powiedzieć.

— Wuj Henry wspomniał, że jesteś zaręczona.

— Tak. — Uśmiechnęłam się do lustra.

— Czy twój wybranek jest przystojny?

— O, raczej tak. Poznasz Edwarda przed ślubem i na pewno go polubisz. Jest bardzo elegancki i to niewątpliwy dżentelmen w każdym calu.

— To architekt?

— Jeden z najlepszych w Londynie.

— Masz wielkie szczęście, Leylo.

Spojrzałam ponownie w lustro i dostrzegłam, że Martha bacznie mi się przygląda. W jej oczach znowu gościł ten smutek, to samo współczucie, które zdawałam się w niej budzić. A przecież nie było po temu potrzeby teraz, kiedy znałam już prawdę o śmierci ojca. Jeżeli już raz zdecydujemy się zaakceptować prawdę, staje się łatwiejsza do zniesienia niż wcześniejsze domysły.

— Czy coś się stało, Martho?

— Nie — odparła aż nazbyt pośpiesznie. — Absolutnie nic. Wiesz, my już zjedliśmy kolację, ale Gertrudę odłożyła coś dla ciebie. Sądziła, że możesz być głodna.

— Jestem rzeczywiście. Dziękuję ci.

Gdy wreszcie ukończyłam toaletę, uznałam, że mogę już pokazać się towarzystwu na dole. Pomimo zaczerwienionych oczu i nowo zyskanej świadomości przeszłych wydarzeń byłam wciąż tą samą Leylą, która przybyła wczoraj do tego domu. Tylko że teraz wszystko będzie inaczej. Krewni nie będą już mieli powodu do unikania pewnych tematów albo do wymiany porozumiewawczych spojrzeń. Wreszcie będziemy mogli być wobec siebie szczerzy. Będziemy znów jedną rodziną.

Kiedy wychodziłyśmy z pokoju, omal nie wpadłyśmy na wuja Henry'ego. Pochylił się nade mną, a jego spojrzenie wyrażało ojcowski niemal niepokój.

— Wybaczcie, sądziJem, że słyszycie moje kroki.

— Nic nie słyszałyśmy. — Serce zabiło mi gwałtownie, kiedy wuj tak nagle wynurzył się z cienia.

— Czy na pewno czujesz się dobrze, Leylo?

— Tak, tak. Już wszystko dobrze. — Zamknęłam za sobą zdecydowanie drzwi i odwróciłam się, aby obdarzyć wuja najserdeczniejszym z moich uśmiechów. Kiedy jednak moje oczy napotkały jego twarz, znowu doznałam tego dziwnego wrażenia, zupełnie jak poprzedniego wieczoru.

— Czy coś się stało?

— Nie, ja...

Przycisnęłam dłoń do czoła, próbując pozbyć się tego uczucia. Pomimo to, gdy znowu spojrzałam mu w oczy, powróciło silniejsze nawet niż przedtem. Wzmagało się we mnie przekonanie, iż mam do czynienia z człowiekiem nieodwołalnie skazanym. Dlaczego? Czy chodziło o coś, co przywoływało moją utraconą pamięć? Z pewnością widziałam w nim mojego biednego ojca, traktowałam go jako jego zastępcę. Ale z drugiej strony odniosłam to wrażenie już wczoraj, zanim dowiedziałam się o prawdziwych okolicznościach śmierci ojca. Co zatem sprawiało, że czułam się przy wuju tak przerażająco bezradna? Tak pozbawiona nadziei?

— Być może powinnaś pozostać na gorze — powiedział z troską.

— Nie, wuju Henry, naprawdę...

— Nie jadła od wielu godzin, wuju. To dlatego tak kiepsko wygląda. Zabierzmy ją na dół i wmuśmy w nią nieco mięsnego pasztetu Gertrudę. — Głos Marthy brzmiał miękko i przekonująco. Im więcej z nią przebywałam, tym bardziej ceniłam ją za cierpliwość i uprzejmość, które mi okazywała, nie wspominając o współczuciu. Czyż ona także nie straciła w tragicznych okolicznościach obojga rodziców? — Chodź, Leylo. Na dole jest ciepło, a gorący poncz z pewnością przywróci kolor twym policzkom.

Ujęłam ramię wuja i poszliśmy razem w kierunku schodów. Choć przyjemnie było mieć obok siebie jego silną postać, to owo uczucie beznadziejności nadal unosiło się wokół, choć nie wiedziałam, skąd się bierze.

Ciotka Anna i Colin byli w salonie, gdy weszła tam nasza trójka, i choć protestowałam przeciwko spożywaniu posiłku w najładniejszym pokoju, ciotka Anna nie słuchała moich obiekcji.

— Może choć w saloniku... — błagałam.

— Nonsens. Usiądź wygodnie i oprzyj nogi na tym stoleczku. — Krzątała się wokół mnie niczym troskliwa matka, a kiedy się poruszała, na jej szyi i nadgarstkach połyskiwały diamenty. Szyfonowa suknia szeleściła, a stalowy stelaż krynoliny skrzywnął cichutko, gdy pochyliła się, by podnieść stołek. — Proszę. Wygodnie?

— Dziękuję, ciociu Anno. — Oparłam się z ulgą, poddając się miłemu uczuciu, że teraz wszystko już będzie dobrze.

Nagle zobaczyłam utkwione we mnie spojrzenie Colina. Złośliwy uśmieszek wykrzywił jego wargi, gdy stwierdził sucho:

— A zatem drogi kuzyn Theodore wyciągnął królika z cylindra? I pomyśleć, że kazali ci trzymać się z daleka ode mnie! Czyż to nie zabawne?

— Och, Colin, bądź cicho! — rzekła Martha.

Uśmiechnął się do siostry i skinął głową na znak zgody. Kiedy jednak Anna obrzuciła go zagniewanym spojrzeniem, przypomniało mi się, jak bardzo starała się wczoraj coś przede mną ukryć. Dzisiaj ta sama chęć znowu dała się zauważyć w jej zachowaniu. Wyglądało na to, że Theo nie powiedział mi wszystkiego. Cóż jeszcze było do ukrycia?

— Już wszystko dobrze — powiedziałam, choć wcale nie byłam o tym przekonana. — Theo wszystko mi opowiedział. Szkoda, że nie dowiedziałam się o tym już dawno. Trudno mi pogodzić się z myślą, że matka sama musiała się z tym borykać.

Colin, jak zwykle impulsywny, zapytał:

— Dlaczego sądzisz, że Theo powiedział ci wszystko? Otworzyłam szeroko oczy, zaskoczona.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Colin! — krzyknęła Anna.

Znów wzruszył ramionami i powiedział:

— Jak się domyślam, babka nie była zadowolona, że nie zjawiłaś się na spotkanie.

Zupełnie o tym zapomniałam!

— Mam nadzieję, że ktoś z was jej powiedział... — wyjąkałam.

Anna udawała, że jest zajęta układaniem niezliczonych metrów materiału swojej spódnicy. Przekonanie, iż wciąż szuka sposobu na ukrycie swych prawdziwych myśli, zaczynało mnie już irytować.

— Babka uważa, że powinno się dotrzymywać terminów spotkań bez względu na okoliczności. Wiesz, jaka ona jest — rzekła.

— Nie, nie wiem. Proszę, powiedzcie mi.

Anna wybałuszyła oczy i wyglądała teraz jak Theodore.

— Nie pamiętasz babki Abigail? — Była tak zdumiona, jakbym oznajmiła, że nie słyszałam o Jezusie Chrystusie. — Sądziłam, że pamiętasz nas wszystkich!

— Kuzynka Leyla pamięta znacznie mniej, niż skłonna jest przyznać.

Spojrzałam na Colina. Z przykrością uświadomiłam sobie, że znowu gramy w tę samą grę, że wciąż pojawiają się nowe tajemnice i że wyznanie Theo w niczym nie pomogło.

Tym razem to Martha przyszła mi z pomocą. Podeszła do brata i potrząsając palcem wskazującym przed jego twarzą, oświadczyła:

— Jesteś pan zuchwałym brutalem i unieszczęśliwiasz naszego gościa. Mam zamiar złożyć panu propozycję: albo będzie się pan zachowywał jak należy, albo opuści ten pokój.

Uśmiechnął się rozbijając i znowu wzruszył ramionami.

— Cóż mam powiedzieć? Wybacz mi, kuzynko Leylo. Okażesz, że przyjmujesz moje najgorętsze przeprosiny, wyrażając na coś zgodę.

— Na co mianowicie?

— Pozwolisz mi oprowadzić się jutro po posiadłości.

Już miałam powiedzieć zdecydowane „nie”, gdy zobaczyłam, że ciotka Anna i Martha znów wymieniają między sobą spojrzenia. Lęk, który pojawił się w ich oczach na myśl, że mogłabym zostać z Colinem sama, zmusił mnie do przyjęcia zaproszenia. Pomimo swego zuchwalstwa Colin zdawał się

jedynym pewnym źródłem informacji. Jeżeli rzeczywiście jeszcze czegoś mogłabym dowiedzieć się o ojcu i bracie, nie zamierzałam stracić tej okazji.

Kuzyn Theo wkroczył do salonu pięknie przyodziany w ciemnozielony żakiet i dopasowany do niego fular. Jeżeli Paryż stanowił centrum mody damskiej, to bez wątpienia Pemberton Hurst było nim w odniesieniu do mody męskiej. Theo pozdrowił najpierw matkę, potem kuzynkę Marthę, a na końcu mnie, odwołując się w ten sposób do przeprosiny za swoją nieobecność.

— Byłem u babki. Wiecie, jak trudno ją ułagodzić. Obawiam się, że to przez tę pogodę, nieodpowiednią jak na zimę. Przyjmie cię jutro, Leylo, w porze herbaty. Wytłumaczyłem twoją dzisiejszą nieobecność.

— Dziękuję ci.

— Myślę, że dosyć tu chłodno, prawda?

— Jeśli idzie o mnie, to wszystko w porządku — odpowiedziałam, ponieważ siedziałam najbliżej ognia.

Theo sięgnął po moją dłoń, by sprawdzić temperaturę, przybierając minę zaafetowanego lekarza, a kiedy się rozśmiałam, uchwyciłam kątem oka błysk na jego prawej dłoni. Na środkowym palcu Theo błyszczał olbrzymi rubin w ciężkiej złotej oprawie. Impulsywnie chwyciłam tę dłoń i przyjrzałam się pierścieniowi.

— Ten pierścień... — powiedziałam niemądrze.

— Co z nim?

— No cóż, ja... — Wspomnienie nie ujawniło się dostatecznie wyraźnie, puściłam więc dłoń kuzyna. — Nic takiego. Po prostu zdawało mi się, że go poznaję. Wydał mi się nagle bardzo znajomy, a potem, równie nagle, wrażenie to minęło.

— To dość pospolity wzór. — Podniósł dłoń do twarzy i zmrużył oczy. — Obawiam się, że kamień nie jest doskonały. Na pewno widziałas mnóstwo podobnych w Londynie.

— Przypuszczam, że tak.

— To był pierścień dziadka — usłyszałam głos Colina. — Sir John przekazał go Theo.

— To znaczy, że chyba naprawdę go sobie przypomniałam! Musiałam w dzieciństwie widywać go na dłoni dziadka.

Takie mało ważne wspomnienie, a tak wiele dla mnie znaczy. Nie mogę przypomnieć sobie twarzy ludzi, ale pamiętam nieistotne drobnostki.

— Jakie na przykład? — zapytał wuj Henry, który powrócił do nas razem z towarzyszącą mu nieodmiennie aurą melancholii, do której już zaczęłam się przyzwyczajać.

— No cóż, tak naprawdę, to nie pamiętam niczego.

— Niczego? — Ciotka Anna z niedowierzaniem na twarzy opadła na krzesło naprzeciw mnie. — Nie pamiętasz w ogóle n i c?

— Życie zaczyna się dla mnie od szóstych urodzin, dlatego też znam tylko Londyn.

— Przecież byłaś tu szczęśliwa... — powiedziała Anna z napięciem w głosie.

— Nieszczęśliwa także — dodał Colin. — Dziwne, że tego nie pamięta. Jak myślicie — dlaczego?

— Mnóstwo ludzi nie sięga pamięcią we wczesne dzieciństwo — stwierdził nieprzekonywająco wuj Henry.

Jego postać zdominowała pokój, kiedy tak stał przed kominem na szeroko rozstawionych nogach, z założonymi z tyłu rękami.

Nie widziałam powodu, żeby ukrywać przed nimi dłużej swe zamierzenia.

— To właśnie był jeden z powodów mego powrotu do Hurst — tych pustych pięć lat. Prawdopodobnie nikt nie pamięta wiele z okresu, gdy miał rok czy dwa, lecz z późniejszych lat powinnam przecież coś pamiętać. Pomyślałam, że pobyt w Hurst pomoże mi w odzyskaniu wspomnień.

— I co? Pomógł? — spytała Anna z niepokojem.

— Nie. Dom nie wydaje mi się ani trochę znajomy, podobnie jak wy.

— Mnie pamiętałaś...

— Tak, Martho. Gdy tylko weszłaś do biblioteki, pamięć podsunęła mi twój obraz sprzed dwudziestu lat.

— Obraz dwunastolatki, zbyt wysokiej jak na swój wiek.

— Owszem, ale już wtedy byłaś równie ładna jak dzisiaj.

— Pamiętasz kogoś jeszcze? — naciskała Anna. Staralam się nie patrzeć na wuja Henry'ego.

— Nie, nikogo. Od czasu do czasu miewam przebłyski pamięci, tak jakby kurtyna podnosiła się na mgnienie oka. To za krótko, bym mogła się czegoś uchwycić..

— Założę się, że kiedy jutro spotkasz się z babką, na pewno ją sobie przypomnisz. Okropnie się jej bałaś.

— Kto się jej nie boi? — dodał Colin.

Anna przysunęła się bliżej mnie.

— Czy nigdy nie pytałaś Jenny o przeszłość?

— Owszem, z początku nawet bardzo często, lecz kiedy nie odpowiadała w ogóle albo udzielała nader skąpych odpowiedzi, przestałam pytać. Bardzo się cieszę, że jej nie naciskałam, gdyż byłaby zmuszona podać mi jeszcze więcej nieprawdziwych informacji. Tak bardzo chciała mnie ustrzec...

— Jak sądzisz, przed czym tak chciała cię ustrzec? — spytał Colin.

Jego zachowanie zaczęło stawać się prowokujące i byłam już tym zmęczona, podobnie zresztą jak odpowiadaniem na kolejne pytania. Na szczęście ten właśnie moment wybrała Gertrudę na wniesienie tacy z moją kolacją. Ciotka Anna pomogła jej rozstawić naczynia. Jakby za milczącym porozumieniem trzech mężczyźni opuścili pokój, Martha zaś wyjęła z torby wyszywaną ścięgami krzyżykowym robótkę i pogrążyła się w pracy. Ciotka pozostała przy moim boku, zajęta, jak przypuszczałam, rozmyślaniami o tym, czego się przed chwilą dowiedziała.

Był to bardzo spokojny wieczór. Postanowiłam zlekceważyć niepokojące myśli kłębiące się w głębi czaszki. Po dwudziestu czterech godzinach spędzonych w towarzystwie moich krewnych zaczęliśmy nawzajem do siebie przywykać. Pełne zaakceptowanie mnie w roli członka tej rodziny musiało być już bliskie, gdyż każda godzina pobytu w Hurst odsłaniała nowe fakty. A wiadomo, że im mniej tajemnic pomiędzy nami, tym bliższa więź. Ponieważ tak rozpaczliwie pragnęłam przywrócić atmosferę zażyłości i przyjaźni z czasów mojego najwcześniejszego dzieciństwa, celowo ignorowałam ujawniające się sprzeczności.

Po kolacji słuchaliśmy Marthy, która grała na fortepianie, po czym udaliśmy się na górę, by uciec w sen i przetrwać w ten



sposób burzliwą noc. Colin przypomniał, że obiecałam obejrzeć z nim rano Hurst, a ja po raz kolejny pożałowałam swej obietnicy. Jaki jednak miałam wybór? Nie mogłam przecież wybrać się z wujem Henrym, tkwiącym w przykrej aurze beznadziejności, Theo zaś ze swymi doskonałymi manierami wydawał mi się wprost nie do zniesienia.

Zabrałam do łóżka przewodnik po ogrodach Cremorne i pozwoliłam, by ukoiły mnie słodkie myśli o moim Edwardzie. Wspominałam nasze poznanie przed rokiem; z przyjemnością rozmyślałam o tym, jakim czarującym mężczyzną jest mój narzeczony, i o dumie, którą odczuwałam, mogąc pokazać się z nim nad Serpentine. Edward był wszystkim, czego kobieta może oczekiwać po mężczyźnie, i miałam wiele szczęścia, że zainteresował się akurat mną.

Gdy wreszcie mocno zasnęłam, nie śniłam jednak o Edwardzie. Prześladowały mnie dziwaczne wizje związane z Colinem Pembertonem.

Następny poranek był równie wietrzny jak poprzedni. Przerażające wietrzysko smagało Hurst niczym gigantyczny bicz, przyginając do siebie korony drzew i sprawiając, że uschłe liście wirowały w szaleńczym tańcu. Wszyscy zjawili się przy śniadaniowym stole, z apetytem racząc się potrawami i rozgrzewając kolejnymi filiżankami aromatycznej herbaty. Sympatyczna atmosfera w jadalni podniosła mnie na duchu, choć wspomnienie brata i ojca nadal mnie przygnębiało.

Martha i ciotka Anna planowały udać się do East Wimsley powozem, korzystając z tego, iż wuj Henry jechał tam w interesach. Zwykle jeździły do miasteczka dwa razy w miesiącu, by złożyć wyrazy uszanowania pastorowi i przekazać stare ubrania dla biednych. Jak dowiedziałam się z ich rozmowy, w East Wimsley było wiele biedoty i liczne rodziny robotników.

— Gdyby nie Pembertonowie... — przechwalał się wuj Henry nad tostami z dżemem — ...ci nicponie nie mieliby w ogóle pracy. Dołączyliby do tych, którzy napływając do wielkich miast, powodują stałe rozrastanie się slumsów. Musimy

zrobić wszystko, żeby przytrzymać chłopów na wsi, gdzie jest ich naturalne miejsce.

— To wszystko przez pociągi, ojciec—wtórował mu Theo, który zdawał się wręcz drzeć z niecierpliwości, by jak najszybciej powiedzieć to, co należy. — Zanim wynaleziono silnik parowy, chłopci nie mieli jak podróżować, a teraz, płacąc pensa za milę, mogą zapakować rodzinę do pociągu i pojechać, dokąd chcą i kiedy chcą. To właśnie rujnuje Londyn.

— Londyn nie jest wcale zrujnowany — zdecydowałam się wtrącić. — Na pewno jest hałaśliwy i zatłoczony, lecz są tam za to najlepsze na świecie szpitale.

— Głupstwo! Nie potrzebowalibyśmy ich w ogóle, gdyby miasta były czystsze. — Wuj Henry machnięciem ręki rozprawił się z moją opinią. Rzuciło się w oczy, iż najwidoczniej nie wierzy, by kobieta mogła mieć coś istotnego do powiedzenia. Nie oczekiwano po nas, byśmy miały własne zdanie, a już na pewno, byśmy je wyrażały.

— Leylo, moja droga — powiedziała ciotka. — Czy przywiozłaś z sobą ubrania odpowiednie na tę okropną pogodę? Figurę masz podobną do Marthy i jestem pewna.

— Dziękuję, ciociu Anno. Mam dosyć garderoby. Nauczono mnie praktycznego podejścia do stroju, zwracania uwagi raczej na walory ubrania niż modny krój.

— Możesz mieć i to, i to — rzekła, przyglądając się krytycznie mojej porannej sukni. Widać było, iż strój ten niezbyt się jej podoba.

— Wystarczy mi to, co mam, dziękuję bardzo.

Colin odezwał się po raz pierwszy dzisiaj rana:

— Przypuszczam, że teraz, kiedy wróciłaś na łono rodziny Pembertonów, będziesz mogła ubierać się jak pozostali Pembertonowie. Sądzę, że to właśnie miała na myśli ciotka Anna.

— Pozwól nam zamówić dla ciebie kilka sukien, Leylo! — poprosiła Martha. — To taka świetna zabawa!

Colin przyglądał mi się uważnie i wiedziałam dobrze, co myśli. Kuzynka Leyla powróciła do rodziny, by cieszyć się jej bogactwem i żyć jak Pembertonówna. I choć wielką przyjemność sprawiłoby mi rozwianie przekonania, iż przyjechałam

tu, ponieważ chodzi mi o fortunę rodziny, postanowiłam, że nie zniżę się do poziomu jego rozumowania.

— To bardzo miło z waszej strony, doprawdy, doceniam to, ale i tak będę sobie musiała sprawić nowe stroje, gdy wyjdę za mąż.

— Oczywiście! — Martha wydawała się jeszcze bardziej przejęta. — Czy wesele odbędzie się tu, w Hurst?

Wuj Henry gwałtownie poderwał głowę.

— Co?

— Ależ nie! — zaprotestowałam. — Wystarczy nam jakiś mały kościółek i kilkoro przyjaciół.

— Och, nie wolno ci tak postąpić. Ciociu Anno, zgodzisz się, prawda? Nie mieliśmy wesela w Hurst od lat, od dziesiątków lat! Wuju Henry?

— Jestem pewien, że Leyla i jej narzeczony mają własne plany, nie możemy narzucać się, proponując jakieś inne rozwiązania. — Jego głos zabrzmiał jakoś złowroźnie. Wuj nie patrzył na mnie, gdy mówił, i nie wiedzieć czemu odniosłam wrażenie, że wolałby nie poruszać tematu mojego małżeństwa.

To bardzo dobrze. I tak zamierzałam wyjechać z Hurst na długo przed tym wydarzeniem.

— Czy możemy już iść? — spytał Colin, wstając od stołu. Działał jak zwykle pod wpływem impulsu i nie przejmował się innymi. Wyglądało na to, że ten mój kapryśny kuzyn nic nie wie o etykiecie i zasadach dobrego wychowania.

— Doprawdy, Colinie! — zganiła go ciotka.

— Filiżanka Leyli stoi pusta już od dziesięciu minut. W przypadku Angielki oznacza to, że skończyła śniadanie. Mamy wiele do zobaczenia.

— W porządku. Pójdę tylko po płaszcz — powiedziałam.

— Zaczekam tu na ciebie — odrzekł.

Wuj Henry i Theo wstali, gdy wychodziłam. Zrobiłam dokładnie to, co obiecałam: wbiegłam na górę, chwyciłam płaszcz, czepek, rękawiczki i zbiegłam po schodach niemal tanecznym krokiem, gdyż z niecierpliwością oczekiwałam możliwości obejrzenia Hurst. Kiedy zbliżyłam się do jadalni, uzmysłowiłam sobie, że moja nieobecność nie była najwidoczniej dostatecz-

nie długa, gdyż, jak usłyszałam, rodzina pogrążona była w ożywionej dyskusji na mój temat.

— Zabiorę ją, dokąd będę chciał — dobiegł mnie głos Colina. — A raczej, dokąd ona zechce, jeśli już o to chodzi.

— A ja ci mówię, że nie zrobisz tego! — To był głos wuja Henry'ego. Wydawało się, że jest bardzo zagniewany. — Obiecuj mi, że ominiesz to miejsce albo zabronię ci w ogóle z nią wychodzić!

— Leyla ma własny rozum, wuju — odparł Colin. — Jestem pewien, że niedługo i tak by się tam wybrała. Byłoby lepiej, gdyby ktoś z nas towarzyszył jej wówczas.

— Nie dzisiaj, Colinie. Zabraniam ci!

Zdając sobie sprawę, że jestem powodem kłótni, i czując się nieswojo, ponieważ podsłuchiwałam, umyślnie wykonałam jakiś głośny ruch przy drzwiach i z udanym pośpiechem wpadłam do pokoju.

— Jestem gotowa! — oznajmiłam zdyszczanym głosem.

Kuzyn Colin i wuj Henry stali po przeciwnych stronach stołu, wpatrując się w siebie niczym dwa jelenie, które za moment zewrą się rogami. W ich oczach dostrzegłam zawziętość, będącą przejawem walki o dominację. Wydawało się jednak, że żaden z nich nie osiągnął przewagi.

— Kuzynie...?

Colin zwrócił wzrok w moim kierunku. Jego spojrzenie wyrażało silny gniew i tłumioną pasję. Co to było za miejsce, którego wuj Henry tak bardzo nie chciał mi pokazać?

— Jestem gotowa — dodałam.

— Doskonale. — Odsunął gwałtownie krzesło i podszedł do mnie. Odebrał ode mnie płaszcz, obrzucił pozostałych gniewnym spojrzeniem, i z buntowniczą miną opuścił pokój. Pospieszyłam za nim, dogoniłam go w holu wejściowym i zapytałam:

— Czy coś się stało, Colinie?

Nie odpowiedział. Rozpostarł płaszcz, by łatwiej mi było go włożyć i bez słowa zawiązał mi go pod brodą. Kiedy nakładałam czepek i rękawiczki, stał pogrążony w rozmyśleniach, z mocno zachmurzoną miną. Widząc, że jestem gotowa, otwo-

rzył frontowe drzwi, wskazał mi drogę przed sobą, a potem zamknął je za nami z głośnym trzaśnięciem. Lodowaty wiatr natychmiast smagnał nasze twarze, rozwiewając włosy Colina i wrywając mi poły płaszcza z rąk. Staliśmy dłuższą chwilę na progu — mój kuzyn pogrążony w niewesołych rozmyślaniach, ja czekając cierpliwie, aż sobie o mnie przypomni. Choć bardzo pragnęłam zapytać go o to zakazane miejsce, nie zrobiłam tego, ponieważ nie chciałam, aby wydało się, że podsłuchiwałam. Okazja wkrótce się nadarzy, przekonywałam sama siebie, a wtedy dowiem się od Colina, której to części Hurst nie powinnam odwiedzać.

— Dokąd pójdziemy najpierw? — zapytał nagle. — Czy jest coś, co szczególnie chciałabyś zobaczyć?

— Nie, nie ma niczego takiego.

— A zatem zaczniemy od stajni. — Zbiegł szybko po schodach i musiałam niezle wyciągać nogi, by za nim nadążyć. Walcząc z podmuchami lodowatego wichru, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że spacer po posiadłości nie okaże się tak przyjemny, jak oczekiwałam. Colin był w ponurym nastroju i najwidoczniej w myślach nadal toczył spór z wujem. Naturalnie, musiał podporządkować się wujowi, który był głową rodziny, ale stawało się coraz bardziej oczywiste, że mój kuzyn niezbyt przejmuje się pozycją wuja.

Stajnie znajdowały się na lewo od głównego budynku i miały własny podjazd. Obecnie przebywały w nich tylko cztery konie, którymi zajmował się jeden stajenny. Powietrze przesiąknięte było charakterystyczną wonią zwierząt. Gdy wreszcie wpadliśmy do środka, napierając ze wszystkich sił na drzwi, żeby zamknęły się za nami, musiałam odczekać chwilę, by złapać oddech i poprawić czepek, Colin zaś przeczesywał palcami swoją niesforną fryzurę.

W stajni panował półmrok i było ciepło, ciszę zakłócały tylko odgłosy zwierząt. Przestraszona mysz wyskoczyła nam spod nóg. Konie wpatrywały się w nas swoimi wielkimi oczami. W ciemności dostrzegłam też czarne kształty powozów. Ciekawe, gdzie też podziewa się stajenny, pomyślałam.

— Tak to wygląda — powiedział Colin. — Niezbyt imponujące, lecz użyteczne.

Postąpiłam krok naprzód, ale on pozostał z tyłu, wciąż oparty o drzwi.

— Colinie — poprosiłam pod wpływem impulsu, bacznie obserwując w półmroku jego twarz — zabierz mnie do zagajnika.

— Do zagajnika? — Uniósł brwi. — Po co?

— Powiedziałaś, że bawiliśmy się tam jako dzieci. Bardzo chciałabym go zobaczyć. Może coś sobie przypomnę.

Colin zdawał się z trudem powstrzymywać śmiech.

— Nie wiesz, o co mnie prosisz.

— Dlaczego?

— Wuj Henry nie życzy sobie, żebyś tam chodziła.

A zatem trafiłam. Nadal bacznie obserwując Colina, zapytałam:

— Dlaczego? Chyba wiatr nie przeszkodzi nam w spacerze?

— Nie chodzi o wiatr, Leylo. Myślę, że wiesz, dlaczego wuj nie chce, żebyś tam chodziła.

— Z powodu mego ojca i brata, prawda? Doceniam jego troskę o moje dobre samopoczucie, ale potraktuję zagajnik wyłącznie jako teren naszych zabaw, mimo iż wiem, co się tam stało. Proszę, zaprowadź mnie.

Potrząsnął przecząco głową.

— Ty naprawdę nie wiesz, dlaczego powinnaś trzymać się z daleka od tego miejsca, prawda?

— Czy właśnie ci nie powiedziałam?

— O tak, z powodu ojca i brata. Lecz to nie wszystko.

— Więc powiedz mi.

— Nie mogę.

— Mam prawo wiedzieć!

Colin nagle chwycił mnie za ramiona i spojrzał tak, że przeszedł mnie dreszcz mimo panującego w stajni ciepła.

— Dlaczego wróciłaś, Leylo?! Nie przyniesie ci to niczego dobrego, nie widzisz?! Wydaje ci się, że wiesz wszystko, a w rzeczywistości nie wiesz nawet połowy! Wyjedź z Hurst jeszcze dzisiaj...

— Nie!

— ...i wróć do swojego przystojnego architekta. Zapomnij o Pembertonach; to ci wyjdzie tylko na dobre.

— Colin, proszę cię, opowiedz mi o tym, co wszyscy przede mną skrywają! Czuję to, wiem, że wszyscy macie przede mną tajemnice. Chcę wiedzieć, mam prawo!

— Nie masz żadnego prawa!

— Skoro masz je ty, to mam i ja. W końcu jestem członkiem tej rodziny. Urodziłam się w tym domu! Nasi ojcowie byli braćmi. Choćby było to coś nie wiem jak wstydlivego, mam prawo wiedzieć, o co chodzi. Dlatego wróciłam. Nie dla pieniędzy ani modnych fatałaszków, lecz po dziedzictwo, które mogłabym uznać za swoje.

— Nawet jeżeli dziedzictwo to oznacza mord i szaleństwo?

— Tym bardziej. Opowiedz mi o wszystkim, Colinie, proszę!

Jego zielone oczy badały moją twarz w sposób, do którego zaczęłam już niemal przywykać.

— W porządku — mruknął. — Powiem ci. Kiedy jednak już to usłyszysz, musisz mi obiecać...

— Co takiego?

— Że nie będziesz mną gardziła i nie znienawidzisz mnie za to, że ci powiedziałem.

— Colinie...

Piekielny wiatr nadal wygrywał swe ponure pieśni w koronach drzew. Colin zrobił jeszcze bardziej posępną minę i monotonnym głosem rozpoczął opowieść:

— Twoja matka opuściła ten dom przed dwudziestu laty nie tylko dlatego, że była pogrążona w smutku; wyjechała, by cię stąd zabrać. Żeby cię zabrać, Leylo, i wywieźć daleko od tego, co się tu zdarzyło. Wiem, że zastanawiałaś się, dlaczego nie pamiętasz niczego z czasów przed wyjazdem do Londynu, lecz ja znam powód, podobnie, jak znają go inni. W nas wciąż tkwią wspomnienia, których tobie litościwie oszczędzono. Wiąza się z zagajnikiem i z tym, jak zginęli twój brat i ojciec, ale nie tylko z tym.

Wziął głęboki oddech. Jego dłonie nadal leżały na moich ramionach.

— Byliśmy tu wszyscy tego dnia: sir John i babka Abigail, cioteczna babka Sylvia, moi rodzice, wuj Henry i ciotka Anna, Theodore i Martha. Oczywiście, również ty i twoja matka. Wszyscy byliśmy w domu. Och, Leylo... — Przerwał, by jeszcze raz spojrzeć na mnie z uwagą. — Bardzo trudno mi to powiedzieć, ponieważ wiem, jaki wpływ wywrą na ciebie moje słowa. Gdybyś nie wróciła, mogłabyś nadal prowadzić szczęśliwe życie, poślubić Edwarda Championa i nigdy nawet nie pomyśleć o Pemberton Hurst. Ponieważ wróciłaś i ponieważ ja muszę powiedzieć ci prawdę, twoje życie nigdy już nie będzie takie samo.

Westchnął głęboko, a jego palce zacisnęły się mocniej na moich ramionach.

— Chodzi o twego ojca i brata. Wszystko, co Theo powiedział ci o nożu, morderstwie i samobójstwie, jest prawdą, ale nasz drogi kuzyn pominął ważny fakt. Fakt, że w zagajniku była tego dnia jeszcze jedna osoba.

Zesztywniałam, a kuzyn kontynuował swą opowieść:

— Trzecia osoba stała wśród drzew i przyglądała się, jak popełniano krwawe uczynki. Osoba, która widziała, jak Robert Pemberton poderznął gardło małego Thomasa, a potem zagłębił nóż w swojej piersi. Tą osobą, Leylo, byłaś ty...



## 5

Odwrociłam się od Colina i zakryłam twarz dłońmi. On mówił dalej:

— Znaleźliśmy cię tam. Stałaś nad zwłokami z kompletnie oszołomionym wyrazem twarzy. Nie rozpłakałaś się ani nie wydałaś żadnego dźwięku. Byłaś po prostu małą pięcioletnią dziewczynką, ze zdumieniem wpatrującą się w postacie leżące na ziemi. Wuj Henry wziął cię na ręce i zaniósł do domu, a ja pojechałem do East Wimsley po lekarza. Theo odnalazł w ogrodzie twoją matkę i zaprowadził ją do domu, gdzie przekazano jej tę straszną wiadomość.

Dłonie Colina znowu spoczęły na moich barkach.

— Nie odezwałaś się, Leylo, tego dnia ani następnego. Przestałaś także jeść. Siedziałaś po prostu w swoim pokoju z nieprzytomnym wyrazem buzi. Twoja matka natomiast krzyczała. Krzyczała tak głośno, że słyszeć ją było w całym domu. To było straszne. Nigdy przedtem nie przeżyłem równie kosztownego dnia.

Udało mi się dobyć głos i zapytałam:

— Co stało się dalej?

— Obie zniknęłyście. Wczesnym rankiem trzeciego dnia usłyszeliśmy turkot kół na podjeździe i odkryliśmy, że zniknęła dwukółka. Wyjechałyście nią, pozostawiając wszystkie swoje rzeczy. Twoja matka nie spakowała nawet jednej walizki.

— Nikt za nami nie pojechał?

Colin milczał.

Odwrociłam się gwałtownie.

— Pograżona w rozpacz wdowa i pięcioletnie dziecko pozostawione samym sobie i nikt z was nawet za nimi nie pojechał?

— Posłuchaj, proszę...

— Musiałyśmy żyć w nędzy i odorze slumsów Seven Dials! Moja biedna matka wychudła niczym szkielet, ja pozbawiona pamięci, podczas gdy wy żyliście tu sobie, opływając w dostatki, jakbyśmy przestały istnieć! — Mój głos wznosił się aż pod powałę. — Jak mogliście spokojnie sypiać?! — krzyczałam piskliwie. — Jesteście potworami! Wszyscy!

Uderzałam pięściami w pierś Colina, dopóki kolana nie ugięły się pode mną i nie oparłam się o niego ze szlochem. Otoczył mnie ramionami, uspokajając i niosąc pociechę, której tak bardzo potrzebowałam dwadzieścia lat temu. I znowu było wczoraj, znowu wypłakiwałam oczy nad moim nieszczęsnym ojcem i bratem, nad cierpieniem, które musiała znosić matka. Tym razem płakałam jeszcze z innego powodu. Ubolewałam z powodu pięcioletniego dziecka, którego pamięć została zatarta przez tragedię.

Staliśmy tak dłuższą chwilę, a ja wypłakiwałam serce w jego przesiąkniętą łzami kamizelkę. Gdy wreszcie wróciła mi umiejętność formułowania słów, wykrztusiłam pomiędzy jednym szlochem a drugim:

— Nie pamiętam tego. Nie pamiętam.

— Bóg okazał się dla ciebie łaskawy, Leylo — szepnął w moje włosy. — To najlepsze, co mogło ci się przydarzyć.

Odsunęłam się od kuzyna i twardo popatrzyłam mu w oczy. Jego twarz tonęła w smutku, lecz było w niej coś jeszcze, coś niejasnego i nieuchwytnego...

— Nie powiedziałaś mi jeszcze wszystkiego, prawda? Odwrócił wzrok.

— Nie zataiłem niczego.

— Nie kłam, Colinie. Nie zasługuję na to. Z każdą godziną coraz bardziej zagłębam się w tragedię Pembertonów. Jestem jej częścią, i to bardziej niż ktokolwiek z was. Mam prawo poznać całą prawdę, Colinie.

Gdy jego oczy napotkały moje, zorientowałam się, że zwyciężyłam. Niezależnie od tego, jak bolesna czeka mnie

prawda, muszę ją poznać. Przez wzgląd na moją matkę, która nosiła to brzemie przez dwadzieścia lat. Teraz nadeszła moja kolej, by je przejąć. Jestem jej to winna.

Colin podjął wyjaśnienia:

— Cała prawda związana jest z osobą twego ojca, a raczej w ogóle z rodem Pembertonów. Usiądźmy, Leylo — zaproponował.

Podeszliśmy do ławy. Colin oczyścił ją nieco i usiedliśmy, opierając się o drewnianą poręcz. Zapach siana i skóry, ciche rżenie koni przydawały temu miejscu wrażenia nierealności; czułam się tak, jakbyśmy znajdowali się o całe mile i lata oddaleni od innych ludzi.

Dobiegły mnie słowa Colina wypowiedane pozbawionym wyrazu tonem tuż przy moim uchu. Gdy mówił, przed moimi oczami zaczęły pojawiać się obrazy.

— To, czego byłeś świadkiem tamtego dnia i czego nie możesz sobie przypomnieć, zdarzało się tu już wcześniej. Jest jakaś skaza we krwi Pembertonów — nikt nie wie, skąd się wzięła — która powoduje, że członkowie tej rodziny popadają w przerażający w skutkach obłąd. Twój ojciec nie cierpiał na żadną tajemniczą gorączkę, padł po prostu ofiarą szaleństwa Pembertonów. Dziwne i tajemnicze zgony zdarzały się w naszej rodzinie od pokoleń. Wiele z tych przerażających opowieści, które słyszałaś o Hurst, ma swoje źródła w historii naszego rodu i dlatego okoliczni mieszkańcy unikają nas. Mówi się o nas, że jesteśmy przeklęci, że naszym przekleństwem jest zła krew, która skazuje każdego Pembertona na straszliwe los.

Spojrzałam na niego ze znużeniem. Byłam zmęczona, wycieńczona wręcz, jakbym przebiegła wiele kilometrów.

— Każdego bez wyjątku Pembertona? — spytałam z niedowierzaniem.

Z powagą skinął, głową.

— Jeśli wierzyć temu, co powiedział mi sir John, jak dotąd żaden Pemberton nie został oszczędzony. W końcu obłąd dopada każdego z nas.

— Ależ to absurd! Nawet jeśli szaleństwo jest dziedziczne, rzadko dotyka wszystkich potomków i zwykle przeskakuje jedno czy dwa pokolenia.

— Nie u nas. My jesteśmy skazani.

Pokonani. Skazani. Nieuchronnie. Tu zatem leżała przyczyna owej aury beznadziejności otaczającej wuja Henry'ego. Być może wskutek jakichś strzępków wspomnień z dzieciństwa, fragmenty zasłyszanych rozmów dorosłych powróciły teraz, sprawiając, że widok wuja Henry'ego skojarzył mi się z aurą otaczającą człowieka skazanego.

— To zbyt naciągane, Colinie. Nie wierzę.

— Dlaczego zatem matka wywiozła cię stąd? Żebyś nie przypomniła sobie tragedii w zagajniku? Być może, lecz ja uważam, że zabrała cię, bo miała nadzieję, że w ten sposób zdołasz uniknąć swego losu.

— Nie, nie i jeszcze raz nie! — powtarzałam z uporem.  
— To nie ma sensu!

— Sir John popełnił samobójstwo, rzucając się ze wschodniej wieży. Jego brat Michael otrął matkę, a potem siebie. Ta klątwa sięga głęboko w przeszłość. Mojemu ojcu oszczędzony został ten los, ponieważ zginął w wypadku. Gdyby nie to, on także odszedłby w sposób typowy dla Pembertonów.

— Źle się czuję, Colinie. Proszę, zaprowadź mnie do domu.

Kiedy oparłam się o niego, poczułam, że on także nie czuje się najlepiej. Obojgu nam trzęsły się nogi, gdy wstawaliśmy z ławki. Obawy Colina łatwo mogły się teraz ziścić. Okazał się postać przynoszącym bardzo złe wieści, zmienił moje życie w koszmar, przez moment więc poczułam do niego silną niechęć, czego się obawiał, zanim przystąpił do snucia tej ponurej opowieści.

Musiał zdać sobie z tego sprawę, gdyż zwróciłam się do niego innym tonem, unikałam też patrzenia mu w oczy. Gdy się znów odezwał, w jego głosie wyczułam ból i smutek.

— Nie chciałem ci tego mówić. To niczemu nie służy, lecz ty musiałaś wiedzieć, nalegałaś. Żywię jedynie nadzieję, że teraz opuścisz Hurst jak najszybciej, wrócisz do Londynu i rozpoczniesz nowe życie ze swoim Edwardem. Zapomnij o nas. Nigdy nawet o nas nie myśl — prosił.

Wyszliśmy ze stajni i zmagając się z wiatrem, w milczeniu dotarliśmy do domu.

Ramię Colina podtrzymywało mnie, gdy wspinaliśmy się na schody tego cichego, jakby wymarłego domu. Kiedy zatrzymaliśmy się przed drzwiami mego pokoju, odepchnęłam jego dłoń, by udowodnić, że mogę stać o własnych siłach, i zapowiedziałam gorzkim tonem:

— Nie wyjadę z Hurst.

— Pobyt tu nie przyniesie ci niczego dobrego — ostrzegł.

Potrząsnęłam stanowczo głową. Choć nie potrafiłabym powiedzieć, skąd bierze się to przekonanie ani wypowiedzieć go słowami, wiedziałam, iż siła inna niż mój upór wzywa mnie do pozostania w tym domu. Nie wiedziałam, co przyjdzie mi uczynić ani dlaczego, wiedziałam jednak, że muszę zostać.

Kiedy Colin odwrócił się, by odejść, dodałam stłumionym głosem:

— Możesz powiedzieć babce, że przyłączę się do niej podczas herbaty.

Kiedy znalazłam się w swoim pokoju, stanęłam przed lustrem, wyprostowałam plecy i ściągnęłam do tyłu ramiona niczym żołnierz podczas musztry. Miałam przed sobą niewątpliwie jeden z najważniejszych momentów w życiu, babka bowiem była bardzo ważną osobą. Przypuszczałam nawet, że to ona, a nie wuj Henry zawiaduje siedzibą i majątkiem Pember-tonów. Gdyby okazało się to prawdą i gdyby Abigail rzeczywiście była królową Wiktoria tego małego światka, oznaczałoby to zarazem, iż zna ona odpowiedź na wiele pytań, które zamierzałam jej zadać. Chciałam ją spytać o kilka spraw dotyczących mojego pochodzenia, przeszłości, rodziców i dawnego życia w Hurst. Musiałam wiedzieć to wszystko, zanim zostanę panią Champion i odsunę się od głównych gałęzi drzewa rodowego Pembertonów.

Godziny spędzone z Colinem były bardzo męczące. Minęły mi na zmaganiach o zachowanie poczucia rzeczywistości. W niecałe czterdzieści osiem godzin musiałam stawić czoło tak niezwykłym rewelacjom, że mój umysł zaczynał mieć kłopoty z przystosowaniem się do nich. To, co zaczęło się jako

przyjemny pobyt wśród dawno utraconych krewnych, zmieniło się w istny koszmar.

Moje nieoczekiwane pojawienie się w Hurst zburzyło codzienny spokojny rytm życia rodziny, i to do tego stopnia, iż kuzyni czuli się w mojej obecności nieswojo, a w związku z tym mieli mi za złe to wtargnięcie. A rozkoszne wspomnienia, do których tak bardzo tęskniłam, zmieniły się w przerażający koszmar, który każdy z nich wolałby pozostawić w mrokach niepaamięci.

Hart ducha, jakim musiała wykazać się moja matka, coraz bardziej mnie zadziwiał. Zanim tu przyjechałam, wiedziałam od dawna, że matka zniosła wiele, by zapewnić mi w miarę wygodne życie, co przecież nie jest łatwe dla kobiety samotnie wychowującej dziecko. Udało jej się to wyłącznie dzięki nie-spotykanej sile charakteru i odwadze. Teraz, gdy wiedziałam już, co kryło się za jej pełnym rozpaczą milczeniem, podziwiałam ją jeszcze bardziej.

Byłam też gotowa na spotkanie z babką Abigail.

Zapukałam śmiało i mocno do drzwi jej pokoju. Uznałam za konieczne, aby od razu dać jej do zrozumienia, iż bez względu na to, jaka tajemnicza siła pozwalała jej sprawować władzę nad rodziną, ja jestem panią samej siebie, i tym właśnie różnię się od pozostałych Pembertonów.

Gdy weszłam do pokoju, przekonałam się, że moja ocena babki była trafna. Władczy charakter tej kobiety dał się wyczuć natychmiast, gdy tylko zamknęłam za sobą drzwi. Moje wkroczenie przypominało wejście do ściśle strzeżonej twierdzy tyra. W atmosferze tej komnaty wyczuwało się pewność i swoisty majestat. Meble były piękne i okazałe; nawet ściany, draperie i rośliny zdawały się przepojone duchem władzy.

— Podejdz bliżej, bym mogła cię dobrze widzieć — dobiegł mnie zimny głos.

Siedziała wyprostowana na krześle z oparciem; jej twarz skrywał półmrok. Abigail Vauxhall Pemberton ubrana była w czerń, która spowijała ją całą, począwszy od kołnierzyka, opinającego cienką szyję, po sięgającą podłogi, szeroką spódnicę. Ostrożnie podeszłam nieco bliżej, zachowując czujność,

i stanęłam tam, gdzie, jak się spodziewałam, pragnęła mnie zobaczyć.

— Jeszcze bliżej, moje dziecko. — Był to wypowiedziany chłodnym tonem rozkaz: bezcielesny głos dobywający się z cienia. — Mam osiemdziesiąt lat i słaby wzrok. Jak mam cię zobaczyć, skoro stoisz tak daleko?

Podchodząc kilka kroków, poczułam się nieswojo z powodu krytycznych słów i tonu, które wskazywały, że babka błyskawicznie oszacowała mnie. Kiedy tak stałam, starając się dostrzec jej twarz ukrytą za zasłoną mroku, przypomniała mi się wzmianka w niedawno czytanej gazecie, mówiąca o amerykańskim żeglarzu nazwiskiem Peny, któremu udało się zwiedzić Japonię, ten tajemniczy kraj, gdzie nieczęsto gościli przedstawiciele innych kultur. Jego podróże zaowocowały dziwnymi opowieściami, drukowanymi regularnie w londyńskim *Time-sie*, z których jedna właśnie przyszła mi na myśl. Otóż podobno cesarz Japonii nigdy nie ukazuje swej twarzy, gdyż jest zbyt dumny, by pozwalać na siebie patrzeć. Stojąc przed tą matką rodu, która zdawała się równie niechętnie ukazywać twarz, odnosiłam wrażenie, że znalazłam się przed cesarzem.

— Zachowujesz się bardzo powściągliwie — orzekła babka Abigail. — Boisz się mnie, prawda?

— Mój dystans wynika z szacunku, nie ze strachu.

— Podejdź jeszcze bliżej, Leylo. Światło jest słabe, a ja nie czuję się ostatnio dobrze. O, teraz lepiej. Widzisz tę lampę na stole po prawej stronie? Zapal ją. Chcę, by oświetlała ci twarz.

Zrobiłam, jak mi kazano, zwiększając płomień do maksimum. Kiedy się odwróciłam z powrotem do babki, stwierdziłam, że światło lampy wydobyło z mroku nie tylko moje rysy, lecz także i jej. W rezultacie pozostałyśmy obie sztywno upozowane, przyglądając się sobie nawzajem poprzez dzielące nas dziesięciolecia.

Babka Abigail była bardzo starą kobietą. Ze swoją bladą karnacją, przypominającą woskowe figury z gabinetu madame Tussaud, reprezentowała charakterystyczny typ majątnej wdowy. Jej białe włosy były kędzierzawe, a otulającej ją czerni ubioru nie rozjaśniała żadna biżuteria. Nie używała też żad-

nych kosmetyków, które mogłyby złagodzić surowość jej wyglądu. Lecz choć jej pozbawiona koloru skóra zwisała w fałdach, i szczupłe, wychudłe ręce pokryte brązowymi plamami przypominały szkielet, chociaż wydawała się niepokojąco wyniszczona, to jej osobowość nadal wyrażała się w oczach. Zimne i błyszczące niczym oczy borsuka świadczyły o młodości ducha i żywotności. Siła nieugiętego spojrzenia sprawiała, iż babka Abigail była w stanie sprostać każdej sytuacji i sprawować władzę nad każdym, kto choćby przypadkowo znalazł się w jej zasięgu.

— Bardzo jesteś podobna do matki... — szepnęła ze zgrozą, jakby zobaczyła ducha. — Jennifer...

— Mówiono mi już o tym.

— Czy mnie poznajesz? — spytała drżącym głosem.

— Nie, nie poznaję cię, babko. Jesteś dla mnie kimś zupełnie obcym, choć wiem przecież, że jesteś matką mojego ojca. Mam w sobie twoją krew, ale nie czuję żadnej bliskości.

— Matka nigdy ci o mnie nie mówiła?

Potrząsnęłam głową.

— Ten gest nie świadczy najlepiej o twoim wychowaniu. Mogłabym spodziewać się go po Colinie, lecz nie po tobie. Jeżeli chcesz udzielić odpowiedzi, powinnaś uczynić to za pomocą głosu. To bardzo niestosowne ze strony młodej damy zwracać uwagę na swoje ciało.

— Tak, babko — przyznałam, nieco zakłopotana. I znowu poczułam niepokój: ta kobieta była dla mnie kimś zupełnie obcym, a przecież wiedziałam, że to moja najbliższa żyjąca krewna.

— Jak rozumiem, wiesz o nas bardzo niewiele, a skoro tak, to dlaczego wróciłaś?

Nie przemawiała przez nią ciekawość; otrzymałam po prostu polecenie wytłumaczenia swojej obecności w Hurst. W ten właśnie sposób babka zwykła zapewne zadawać pytania. Nie spuszczała z mojej twarzy oczu przypominających małe, twarde kulki, czarne jak smoła i błyszczące niczym klejnoty.

Pomyślałam o liście. Czy ciotka Sylvia zwierzyła się swojej siostrze z napisania listu? Z jakiegoś powodu, którego nie



byłam w stanie rozpoznać, wewnętrzny głos ostrzegł mnie przed ujawnieniem istnienia listu.

Milcząc, wpatrywałyśmy się w siebie, ja — niechętna udzielaniu odpowiedzi, ona — rejestrująca tę niechęć. Przenikliwie czarne źrenice, wpatrujące się we mnie spod ciężkich powiek, zdawały się przenikać moje myśli, nie ujawniając przy tym niczego, co się za nimi kryło; nie byłam więc w stanie odgadnąć, jaki jest stosunek babki Abigail do mego nagłego pojawienia się w Hurst. Kiedy tak mierzyłyśmy się wzrokiem niczym dwaj zawodnicy walczący o laurowy wieniec, wiatr zawodził dziko za oknami, a miotane nim gałęzie uderzały głucho w dzielone kamiennymi słupkami okna.

Gdy babka wreszcie przemówiła, drgnęłam zaskoczona.

— Dwa dni temu w Hurst panowała cisza i spokój, a potem zjawiłaś się ty, razem z tym piekielnym wichrem. Chyba przywiozłaś go z sobą, Leylo.

— Przyjechałam z Londynu, nie z piekła.

Uniosła brew, jakby na znak, że dla niej Londyn i piekło to to samo.

— A zatem moja synowa nie żyje, natomiast jej córka wróciła, by zgłosić pretensje do rodzinnej fortuny — rzekła.

Starała się mnie sprowokować, lecz nie zamierzałam ulec emocjom. Przypuszczenie, że zjawiłam się tu wyłącznie po należną mi część majątku, odczytywałam już wcześniej z wypowiedzi innych członków rodziny, zdążyłam więc do nich przywyknąć i nie wzbudzały już we mnie gniewu.

— Przyjechałam, aby odzyskać rodzinę i własną przeszłość, babko. Nie mogłam uczynić tego wcześniej, ponieważ matka długo chorowała. Teraz jestem wolna, a ponieważ planuję zamążpójście, chciałam spotkać się z rodziną.

— A ta przeszłość... Czego właściwie szukasz?

— Pięciu pustych lat mojego życia, które chciałam wypełnić treścią.

Jej pełne niechętnego dystansu zachowanie nie zmieniło się ani na jotę i choć nie wiedziałam, czy moje słowa zdołały choć trochę ją poruszyć, to przecież musiała wyczuć w moim głosie gorycz, kiedy mówiłam o chorobie matki.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju weszła osobista pokojówka babki, niosąc tacę z herbatą i ciasteczkami. Bez słowa postawiła ją na niskim stoliku stojącym między nami i wyszła.

Babka tymczasem mówiła dalej:

— Podejrzewam, że Pemberton Hurst i jego mieszkańcy nie okazali się tacy, jak oczekiwałaś. Nikt nie spodziewał się ciebie więcej zobaczyć, Leylo, musisz więc zrozumieć, że trudno im od razu cię zaakceptować.

Jak na inwalidkę, która nigdy nie opuszcza swego pokoju, babka orientowała się całkiem nieźle w tym, co dzieje się w otoczeniu. Najwidoczniej w domu obowiązywało ścisłe porządkowywanie się odgórnym poleceniom; byłam zdania, że wydaje je wuj Henry, najstarszy syn Abigail.

— Wiem, że zbliżenie z rodziną wymaga czasu — odparłam.

Z niejaką trudnością, spowodowaną artretycznym zesztynieniem stawów, babka zaczęła nalewać herbatę.

— Z cukrem i śmietanką? — spytała.

— Tak, proszę.

Stałam, spoglądając na nią z góry, obserwując jej pozbawione pierścionków palce i zastanawiając się, jak też wyglądała pięćdziesiąt lat temu, gdy jej synowie byli małymi chłopcami. Zastanawiałam się także, jakim człowiekiem był wielki sir John i dlaczego umarł w tak tajemniczy sposób. Co też mogła sądzić babka o tym dziwnym szaleństwie Pembertonów, o którym mówił Colin? Z pewnością była zbyt rozsądną kobietą, by dawać wiarę podobnym bajkom!

Raptem inna myśl zaczęła krystalizować się w zakamarkach mego umysłu: niejasna, mglista idea, która wykiełkowała w mojej głowie, gdy Colin przekazywał mi przerażające wieści. Czułam, że wkrótce już będę w stanie ją sformułować.

Choć nadal stałam, babka postawiła przede mną na stoliku filiżankę, sama zaś usiadła wygodniej na krześle i podniosła do ust herbatę.

— W tym domu od pokoleń podaje się mieszanekę z Darjeeling. Czy twoja matka dochowywała tej tradycji w Londynie? — spytała.

Poczułam ogarniające mnie oburzenie. Godna szacunku matka rodu czy nie, ta stara kobieta świadomie bawiła się ze mną, zadając mi bzdurne pytania, zamiast wykazać choć odrobinę zainteresowania dwudziestoma latami rozłąki. I nadal nie zachęciła mnie do zajęcia miejsca przy stoliku.

— Nie mogłyśmy sobie na nią pozwolić — powiedziałam.

— Szkoda. — Przełknęła herbatę i zacisnęła wąskie wargi. — Powiedz mi, Leylo, czy dokuczają ci bóle głowy?

Bóle głowy? Ktoś już — kto właściwie? — zadał mi ostatnio to samo pytanie.

— Nie, głowa boli mnie bardzo rzadko.

— Gdyby ci się to przytrafiło, mam tu stare lekarstwo, które działa cuda. — Pociągnęła kolejny łyk herbaty, spoglądając na mnie znad filiżanki. — Gdyby kiedyś naprawdę mocno rozboleła cię głowa, użyj go.

— Dziękuję, będę o tym pamiętała. — Spojrzałam na swoją filiżankę. Unosząca się znad niej para pachniała bardzo zachęcająco.

— Wiesz, Leylo, nie masz właściwie po co dłużej tu zostać. Zobaczyłaś już rodzinę, a więc nie widzę żadnego powodu...

— Jest powód — powiedziałam miękko, starając się zapanować nad swymi uczuciami. — Te pięć lat.

— Nonsens. Mnóstwo ludzi nie pamięta swego wczesnego dzieciństwa.

— Ale ja powinnam pamiętać, przynajmniej pewien szczególny dzień...

— Mianowicie? — spytała, przyglądając się uważnie ciasteczkom na srebrnej paterze.

— Dzień, w którym zobaczyłam, jak mój ojciec zabija Thomasa, a potem siebie.

To było niemal niedostrzegalne. Gdybym celowo nie przyglądała się babce, by obserwować jej reakcję na moje słowa, na pewno przegapiłabym tę niezmiernie krótkotrwałą utratę pewności siebie. Potem, doszedłszy szybko do siebie, stara kobieta wyprostowała się i podniosła na mnie te swoje podobne do czarnych porzeczek oczy. A zatem nie wiedziała, że ktoś poinformował mnie o tym dniu.

— To chyba wystarczający powód, by zapomnieć o tym zdarzeniu. Myślę, że ten brak pamięci został spowodowany przez mechanizm obronny twego umysłu, który uwolnił cię od brzemienia tragicznych wspomnień, co pozwoliło ci żyć normalnie.

— A może straciłam pamięć ze strachu przed czymś, co się tam jeszcze wydarzyło, co prawdopodobnie wydarzyło się mnie.

Jej wargi zadrżały.

— Skoro widziałaś, że twój ojciec umarł, nie mogłaś się przecież obawiać, że zabije także ciebie.

— Racja, o ile, oczywiście, to mój ojciec był sprawcą tych uczynków...

Wreszcie to powiedziałam. To właśnie była myśl, która kołatała mi się po głowie. Uderzyłam na ślepo, nie przemyślawszy tego, co mam zamiar powiedzieć i zlekceważywszy konsekwencje. Czułam, że muszę zdradzić swe podejrzenia, muszę poinformować babkę o tym, co naprawdę myślę. Serce biło mi jak oszalałe, gdy mówiłam dalej:

— Być może pięcioletnie dziecko ukryte w krzakach widziało trzecią osobę, która weszła do lasu i zamordowała ojca i syna. To z pewnością wzbudziłoby w nim dostateczny lęk, by postarało się zapomnieć o tym, co widziało, prawda?

Babka zapałała gniewem.

— Nie ulega wątpliwości, Leylo, że zrobił to twój ojciec. Był obłąkany.

— Wiem, „szaleństwo Pembertonów”.

Jej oczy otworzyły się szeroko.

— Kto ci powiedział? I kto ci powiedział, że byłaś tam tego dnia? Czy to Colin?

— Nie wiem, dlaczego w tym domu obowiązuje zakaz mówienia o wielu sprawach, babko. Ty również byłaś chyba przekonana, że nie wiem nic o moim ostatnim dniu w Hurst i wcale nie życzyłaś sobie, żebym się dowiedziała.

— To tylko twoje domysły.

— Dlaczego nie chciałaś, bym poznała prawdę? W końcu minęło ponad dwadzieścia lat i być może prawda nie okazała-

by się już tak bardzo bolesna. Bałaś się, że mogę sobie wszystko przypomnieć? Czy przestraszyłaś się, że opowieść Colina spowoduje nawrót mojej pamięci? Że będę już wiedziała, czego byłam świadkiem?

— Ależ to absurd! Czego miałabym się obawiać?

— Tylko jednego — tego, że przypomnę sobie tę trzecią osobę...

— Nie było nikogo więcej! — Jej głos wzniósł się do krzyku. — To twój ojciec! Wpadł w obłąd, ponieważ dosięgło go szaleństwo Pembertonów. Nikomu z nas nie uda się go uniknąć, Leylo; twojemu ojcu także się nie udało.

— Nie wierzę! — Coś do mnie wracało; powoli mglisty obraz formował się w moim umyśle. Wiązało się to z rękami babki.

— Musisz natychmiast opuścić ten dom! Nie masz tu nic do roboty. Jeżeli chcesz pieniędzy...

— Nie chcę pieniędzy.

— Wracaj więc do swego wspaniałego architekta.

— Jesteś dobrze poinformowana, babko. Jakież to szpieg domowy wślizguje się nocą do twego pokoju i szepcze ci nowiny? Kto pełni rolę twoich oczu i uszu, podczas gdy ty pozostajesz uwięziona w tym pokoju? Wuj Henry? Ciotka Anna? Theodore? Martha?

— Twoje zuchwalstwo jest w najwyższym stopniu irytujące. Chcę, by pozostawiono mnie samą. Jesteś niezmiernie podobna do swojej matki: męczysz mnie. Jest w tobie jednak także wiele z ojca: coś w oczach i w kształcie podbródka.

— Czy próbujesz ostrzec mnie przed obłądem, babko? Wypytywanie o ból głowy nie wynikało z czystej troski, prawda? Czy ten obłąd zaczyna się od bólów głowy?

— Przekonasz się, tak jak przekonali się inni.

Znowu zwarłyśmy się spojrzeniami. Bardzo zdenerwowała mnie ta rozmowa i czułam się ogromnie rozczarowana! Moja rodzona babka także odmawiała mi serdecznego powitania, którego tak bardzo potrzebowałam. Nagle poczułam, że rodzi się we mnie gniew. Ta kobieta była przecież matką mego ojca! Urodziła go, pielęgnowała, patrzyła, jak wyrasta na wysokiego, przystojnego mężczyznę. Prawdopodobnie

czuwała także nad moimi narodzinami i pewnie nieraz huśtała mnie na kolanach, przepełniona miłością. Jakże rozpaczyliwie pragnęłam cofnąć czas o te dwadzieścia lat; znów stać się dzieckiem i raz jeszcze poczuć się kochaną i bezpieczną pośród członków żytej z sobą rodziny.

Lecz ten czas już nie wróci. Cokolwiek wydarzyło się podczas minionych dwudziestu lat — od tego katastrofalnego dnia do dzisiaj — ludzie ci zmienili się w moich przeciwników; jasno dali mi do zrozumienia, iż nie jestem w Hurst mile widziana.

— Nie wierzę w żadną głupią klątwę i dziwię się, że ty traktujesz ją poważnie. Skoro wiesz o mnie tak dużo, babko, i widzisz, jak bardzo jestem podobna do matki, musisz także wiedzieć, iż jestem osobą upartą. Nie opuszczę więc tego domu, dopóki nie dowiem się wszystkiego, czego chcę się dowiedzieć.

Powiedziałam to spokojnym, cichym głosem, a mimo to moje słowa wywarły na babce wielkie wrażenie. Jej małe, bezlitosne oczy błysnęły gniewem.

— Widzę, że już postanowiłaś. Ponieważ pochodzisz z rodu Pembertonów i jesteś w prostej linii potomkinią sir Johna, nie mogę zabronić ci przebywania w tym domu. Jak długo będziesz tu mieszkać, możesz żyć tak jak każdy z nas. Twoje pochodzenie zapewnia ci prawo do tego. Jednak nie mogę gwarantować, iż uda ci się przeprowadzić to... to śledztwo, przy którym tak bezsensownie się upierasz. Przypuszczam, że nie zaznasz spokoju, dopóki nie uznasz, że dowiedziałas się wszystkiego. Muszę cię jednak ostrzec...

Jej starczy głos rozbrzmiewał w półmroku, co nadawało wypowiedzanym słowom mocy ponurych wróżb starej wieszczki.

— Jednego nie uda ci się zignorować; mam na myśli twoją krew, krew Pembertonów, twoje dziedzictwo. Ostrzegam cię więc: wyjedź jeszcze dziś, wyjdź za swego architekta, dopóki możesz się cieszyć małżeństwem. Wiem, oczywiście, że i tak nie przyjmiesz mojej rady. A zatem na razie...

— Na razie, droga babko, wydasz edykt zakazujący rodzinie uprzyjemniania mi życia i wszelkich rozmów o przeszłości, prawda?

— Masz bardzo bujną wyobraźnię, Leylo. — Pochyliła się nad ciasteczkami i wybrała sobie jedno.

Widok jej dłoni wywołał nowy obraz w mojej głowie. Były to dłonie różniące się od tych tutaj — mniej wychudłe i nie tak żylaste, lecz bez wątpienia chodziło właśnie o te dłonie. Po-tem we wspomnieniu mignął mi na jednej z nich pierścień, sygnet z czerwonym kamieniem.

— Nie spróbowałaś herbaty... To niegrzeczne.

Wspomnienie dłoni rozwiało się. Spojrzałam na filizankę, zastanawiając się, jak smakowałyby ta aromatyczna, importowana herbata. Nie miałam jednak krzesła, a nie mogłam prze-cież pić na stojąco. Zorientowałam się w porę, jaką grę prowa-dzi babka i odmówiłam uczestniczenia w niej.

— Wypiłam już dzisiaj mnóstwo herbaty, babko. Jestem bardzo zmęczona. Pójdę do swego pokoju.

— Wyjście bez pytania o zgodę też nie jest grzeczne. Z ubolewaniem stwierdzam, że twoje wychowanie pozostawia wiele do życzenia.

— Jak przypuszczam, moje braki w wychowaniu spowo-dowane zostały tym, że moja matka musiała spędzać dłu-gie, męczące godziny na pracy w zatłoczonych, mrocznych pomieszczeniach, dopóki suchoty nie zniszczyły jej płuc. Kie-dy nie wiadomo, skąd zdobyć środki na codzienne obiady, trudno przejmować się zasadami dobrego wychowania.

Wygłosiwszy tę opinię, odwróciłam się na pięcie i z ulgą pomaszerowałam do drzwi. Kiedy już miałam je otworzyć, usłyszałam głos staruchy:

— Jesteś bardzo źle wychowaną dziewczyną, Leylo, do tego niewybaczalnie impertynencką. Jeżeli masz zamiar zo-stać tu na dłużej, będziesz musiała się zmienić.

Wyszłam i cicho zamknęłam za sobą drzwi. Łzy kłuły mnie pod powiekami, a szloch ścisnął krtań. Bardzo pragnęłam zostać przez babkę zaakceptowana, móc uścisnąć ją i cieszyć się wzajemną miłością, jaka z natury powinna łączyć babkę i wnuczkę. Najwidoczniej jednak było to niemożliwe.

Pośpieszyłam do swego pokoju z nadzieją, że nie spotkam po drodze żadnego z członków rodziny. Starannie zamknęłam za sobą drzwi. Ten przytulny pokój z ogniem na kominku nie

był moim pokojem. Nie było nim także mieszkanie w Londynie, z którym łączyło mnie tyle drogich wspomnień: spłata przez matkę ostatniej raty, wizyta mego pierwszego adoratora, kolacja z Edwardem, jego oświadczyzny w saloniku. Jedyne szczęśliwe przeżycie, jakiego doznałam, wiązało się z tym skromnym mieszkankiem. Tutaj zaś, w starej, królewskiej niemal sypialni, nie czułam się wcale szczęśliwa.

Niespokojnie przemierzałam pokój. Incydent z babką wprowadził mnie z równowagi znacznie bardziej, niż działało się to w kontaktach z innymi krewnymi. Pozyskanie jej przychylności było dla mnie ogromnie ważne. Teraz jednak wszystko przepadło. Nie sprostałam sytuacji. Pozwoliłam zapędzić się do pułapki, nie przewidziałam przebiegłości babki i zdobyłam się na okazanie gniewu, a także niepotrzebnej hardości. Jakkolwiek niewielka była szansa na wzbudzenie w babce cieplejszych uczuć, to teraz i tę straciłam. Wraz z nią runęły wszelkie nadzieje na zaprzyjaźnienie się z którymkolwiek członkiem rodziny.

Zostałam zupełnie sama.



## 6

Wiatr wył potępieńczo przez całe popołudnie i wczesny wieczór. Dwudniowe usiłowania, by sprostać coraz to bardziej przerażającym rewelacjom i bezustanne rozmyślania wyczerpały zarówno mój umysł, jak ciało. Usiadłam więc przy oknie i wpatrywałam się w szaleńczy taniec miotanych wichrem drzew.

Podobny zamęt panował w mojej głowie. Prześladowały mnie tysiące pytań. Nie ma co ukrywać, że babce udało się wyprowadzić mnie z równowagi. Jej ostrzeżenia... polecenie opuszczenia Hurst... jej niewątpliwa wiedza na temat wszystkiego, co działo się w domu... Kto jest jej zaufanym? Na pewno nie Colin, gdyż nie wiedziała jeszcze o naszej rozmowie w stajni.

A ta rozmowa? Czy naprawdę opowiedziano mi jakąś dziwną historię o zabójstwach? Czy naprawdę byłam świadkiem tych wydarzeń?

Ta niesłychana myśl, którą rzuciłam babce w twarz — o trzeciej osobie w zagajniku — skąd mi się wzięła? Czy istotnie sama w to wierzyłam?

A klątwa, obłąd, w którego istnienie najwidoczniej nikt nie wątpił? Jakie wydarzenia legły u podstaw tego przekonania?

Gdy próbowałam teraz znaleźć odpowiedź na nękające mnie pytania, przyszła mi na myśl nowa wątpliwość: ciotka Sylvia. Dlaczego ona jedna spośród całej rodziny, która nie-

wątpliwie zrezygnowała ze mnie, pragnęła mego powrotu? Czym Sylvia różniła się od reszty rodziny? O co jej chodziło, kiedy postanowiła napisać ten list? Czym się kierowała?

Retoryczne pytania. Nic nie miało sensu, nic nie pasowało do rzeczywistości.

Nie myśląc o tym, co robię, podeszłam do toaletki i wzięłam do rąk przewodnik po ogrodach Cremorne. Romantyczne ścieżki, zapach kwitnących akacji, latarnie błyszczące na tle letniego nieba, wszystko to do mnie wróciło. Właśnie tam Edward lubił mnie zabierać. Mogliśmy pić lemoniadę, spacerować wśród klombów, tańczyć kadryla lub o wiele żywszą polkę. Bardzo kochałam Edwarda, miłego, przystojnego mężczyznę o nienagannych manierach, dżentelmena, którym każda dziewczyna mogłaby się szczycić.

Wiosną będę już jego żoną, żoną człowieka, który brał udział w projektowaniu Trafalgar Square i nowego gmachu Parlamentu; mężczyzny nieskazitelnego pod względem zachowania i stroju, noszącego jedwabny cylinder i laseczkę z rączką z kości słoniowej. Mój przystojny Edward, którego kobiety obserwowały ukradkiem! Zostanę jego żoną, osobą, której inne kobiety będą zazdrościć i już na zawsze uwolnię się od Pemberton Hurst.

Potem pomyślałam o Colinie, moim trzydziestoczteroletnim kuzynie o manierach karczmarza, którego falujące włosy nierzadko pozostawały w nieładzie. Dlaczego się nie ożenił?

Pukanie do drzwi wyrwało mnie z zamyślenia. Przyszła Martha, ubrana jak zawsze w piękną suknię i pachnąca kosztownymi perfumami. Coraz lepiej pamiętałam ją jako małą dziewczynkę, która wygrywała proste melodyjki na fortepianie i z zapałem zajmowała się wyszywaniem. Ona także miała gęste rzęsy Pembertonów, nieco zbyt wydatny nos i dołek w brodzie. Ze swoim wdziękiem, dobrym smakiem i umiejętnościami pani domu byłaby łakomym kąskiem dla każdego mężczyzny. Pomyślałam więc: Dlaczego ona także nie wyszła za mąż?

— Już prawie pora kolacji, Leylo — przypomniała, przyglądając mi się badawczo.

Przypuszczałam, że cała rodzina zdążyła się już dowiedzieć o niedyskrecji Colina i teraz kuzynka Martha na swój zwykły, współczujący sposób obserwowała mnie, szukając na mojej twarzy smutku.

— Leylo... — podeszła, wyciągając do mnie ręce. — Bardzo mi przykro, że musiałaś dowiedzieć się prawdy. Miałam nadzieję, my wszyscy mieliśmy tę rozpaczliwą nadzieję, że przynajmniej jedno spośród Pembertonów będzie mogło wieść zwyczajne, szczęśliwe życie, nie obciążone lękiem przed szaleństwem. Ja także padnę jego ofiarą, podobnie jak ty, ponieważ nasi ojcowie byli braćmi. Gdyby tylko Colin...

— Nie, Martho, to nie jego wina. Zmusiłam go, by mi o wszystkim powiedział. Od początku było dla mnie jasne, że coś przede mną ukrywacie. Wcześniej czy później prawda wyszłaby na jaw.

— Kiedy już wiesz... — Ścisnęła moje dłonie. — ...Wyjdziesz stąd, prawda? Pozwoli ci to wieść szczęśliwe życie.

Patrzyłam na nią w milczeniu.

Na kolacji zjawili się wszyscy poza Colinem. Nikt nie wyjaśnił jego nieobecności, a ja nie pytałam. Atmosfera w jadalni była równie gęsta jak zupa w naszych talerzach i podejrzewałam, że dzieje się tak za sprawą babki Abigail. Wiedziałam już to, czego nigdy nie miałam się dowiedzieć. Nie tu zatem kryła się przyczyna tego posępnego nastroju. Gdyby to od nich zależało, pewnie woleliby, bym nie poznała prawdy, lecz skoro już się stało, nie mieli powodu do minorowego nastroju.

Chyba że nie poznałam jeszcze wszystkich faktów.

Baranina była wyborna, a ziemniaki ugotowane jak należy. Wiejskie powietrze wpłynęło na zwiększenie mojego apetytu, czego nie mogła dokonać przesycona sadzą londyńska mgła. Czując, że fiszbiny gorsetu zaczynają wpijać mi się w ciało, starałam się omijać przysmaki Gertrudę. Pomimo doskonałego jedzenia i wspaniałości otoczenia nikt nie był w rozmownym nastroju.

Ciotka Anna siedziała przed swoim nakryciem z miną namaszczonej, starannie omijając mnie wzrokiem. Złożywszy jedną dłoń na obfitym podołku, jadła automatycznie niczym

maszyna. Wuj Henry, roztaczający wokół siebie aurę skazańca, zdawał się czymś bardzo zaprzętnięty i nie jadł prawie w ogóle. Kuzynka Martha zachowywała się jak zwykle: była sympatyczna i zatroskana o moje samopoczucie. Kuzyn Theo znowu, który wyraźnie cieszył się ze smacznego posiłku, podobnie jak ja, parę razy otwierał usta, by przemówić, lecz powstrzymywał się w ostatniej chwili i tylko zerkał na mnie niepewnie.

Wiedziałam, o czym myślą, i byłam gotowa udzielić im wyjaśnień. Mogłam powiedzieć, że gdy przyjechałam do Hurst — czy naprawdę zdarzyło się to zaledwie dwa dni temu? — zamierzałam jedynie odnowić więź z rodziną, a odtworzenie pięciu zapomnianych lat dzieciństwa nie wydawało mi się wcale najważniejsze. Jednak w trakcie mego krótkiego pobytu w tym domu usłyszałam tyle, że z całą mocą zapragnęłam nagle odzyskać wspomnienia z dzieciństwa.

Przypomniałam sobie słowa Colina, wypowiedziane po naszym wyjściu ze stajni: „Wyjedź z Hurst natychmiast. Wracaj do Londynu i zapomnij o nas”. Przypomniałam sobie także swoją reakcję na te słowa: poczułam, że jakaś dziwna, nieodparta siła wzywa mnie do pozostania. Późniejsze godziny walki wewnętrznej i absurdalne spotkanie z babką umocniły mgliste wrażenie — mające być może źródło w czymś, co tkwiło w mej podświadomości, a czego nie potrafiłam sformułować — że mimo wszelkich pozorów ojciec mój był niewinny.

Wrażenie to było tak silne, że wiedziałam, iż muszę porządkować mu swoje przyszłe działania. Teraz, kiedy dowiedziałam się, że moje odczucia związane z wujem Henrym mają uzasadnienie w jego przekonaniu o nieuniknionym szaleństwie Pembertonów, uwierzyłam, iż przeczucia co do niewinności ojca mają oparcie w zapomnianych faktach.

Dlatego właśnie musiałam pozostać w Hurst, przypomnieć sobie ten ostatni dzień, a wówczas mogłabym zapewne zdjąć z ojca oskarżenie o morderstwo i popełnienie samobójstwa.

Byłam coraz bardziej przekonana, iż ojciec nie popełnił straszliwej zbrodni i wiedziałam, że ujawnienie prawdy zależy od mojej pamięci. Gdybym przypomniała sobie, co naprawdę widziałam w zagajniku, pamiętałabym również, kim był praw-

dziwy morderca. Jeśli był nim jeden z Pembertonów, którzy siedzieli teraz ze mną przy stole, ponury nastrój rodziny łątwo dałby się wytłumaczyć. Pembertonowie nie chcieli, żebym sobie przypomniała tamten dzień, ponieważ starali się kogoś chronić.

Kiedy podano biszkopt w winie z kremem, wuj Henry zdecydował się wreszcie rozpocząć rozmowę. Jak zwykle próbowałam sobie wyobrazić, że przysłuchuję się mojemu ojcu. Jak zwykle też ciotka Anna wypowiedziała parę banałów, które, jak już wiedziałam, stanowiły zasłonę dla jej prawdziwych myśli. Jak zwykle również kuzynka Martha nie włączyła się do rozmowy, czekając niecierpliwie, jak przypuszczałam, aż będzie mogła wstać od stołu i znaleźć sobie coś do wyszywania.

— Powiedz mi, kuzynko Leylo — odezwał się z kolei Theo z wymuszoną beztroską — ...czy ulice Londynu są mniej hałaśliwe, odkąd zastąpiono kamienny bruk drewnem?

— Eksperyment został przerwany, kuzynie, ponieważ okazało się, iż drewno staje się bardzo śliskie podczas deszczu. Niestety, Londyn najwidoczniej na zawsze już pozostanie hałaśliwy. Myślę, że to jeden z powodów, dla których trzymacie się z daleka od tego miasta.

— Nie chodzi tylko o hałas, moja droga. Jak wiesz, Pembertonowie nie są podróżnikami. — Powtórzył swoje słowa sprzed dwóch dni.

Pembertonowie nie podróżują. Pembertonowie rzadko wyjeżdżają. Dlaczego?

— Wiele tracicie, pozostając w domu — orzekłam.

Wuj Henry natychmiast odparł zarzut:

— Mamy tu wszystko, czego potrzebujemy. Pembertonowie nie potrzebują ludzi z towarzystwa, ponieważ są dość pomysłowi, by znaleźć rozrywkę we własnych czterech ścianach i własnymi środkami. Ziemiaństwo, które nie może się obejść bez domu w mieście, to ludzie pozbawieni wszelkiej fantazji.

Patrzyłam na krewnych. Byli dumni ze swego osiadłego trybu życia, a nawet chełpili się nim. Przypominali członków zakonu o ścisłej regule, związanych przysięgą dochowania tajemnicy i wiecznego braterstwa. Z każdą godziną ten dom wydawał mi się coraz dziwniejszy.

Znowu zapanowało milczenie, choć jestem przekonana, że każdy z moich krewnych gorączkowo poszukiwał tematu do rozmowy. Ku mojemu zdziwieniu głos zabrała ciotka Anna. Składając i rozkładając na kolanach serwetkę, zapytała, nie podnosząc wzroku:

— Kiedy masz zamiar opuścić Hurst?

— Ciociu Anno! — krzyknęła Martha. — To nie było grzeczne.

Theo, spoglądając wprost na mnie, zapytał:

— Jakie masz plany teraz, kiedy już się dowiedziałaś?

— Teraz, kiedy dowiedziałam się czego?

— Kiedy już przekonałaś się, że nie potrafisz przypomnieć sobie przeszłości, pewnie wyjedziesz z Hurst — odpowiedziała Martha.

Spojrzałam na nią. Ona też chciała mego wyjazdu.

— Masz na myśli mojego ojca? — uściśliłam.

W milczeniu skinęła głową.

— Pewnie opuściłabym Hurst już jutro, gdybym uwierzyła w tę historię, ale nie uwierzyłam. W związku z tym postanowiłam pozostać, dopóki nie przypomnę sobie dokładnie, co właściwie zdarzyło się tamtego dnia.

— Co masz na myśli? — Ciotka Anna uniosła ku piersi pulchną dłoń. — Chcesz powiedzieć, że cię oszukujemy?

— Nie, nie wy. Myślę, że wy także zostaliście wprowadzeni w błąd i nawet nie macie o tym pojęcia. Mam jednak wrażenie, ciociu Anno, a właściwie silne przekonanie, że ojciec nie zrobił tego, o co go oskarżacie. Czuję to.

— Ależ to absurd! — zaprotestował Theo.

— Skąd wiesz? — zwróciłam się do niego. Teraz nie broniłam już tylko ojca, lecz także matki i siebie samej. — Czy ktokolwiek z was to widział? Czy ktoś z was był tam także? Ktoś, kto widział, jak popełniano morderstwo? Nie, prawda? Skąd więc możecie być pewni, jak było naprawdę? Kiedy zjawiłam się w Hurst, cieszył mnie każdy, najmniejszy nawet przeblask pamięci. Zadowolilibym się wtedy choćby najbardziej ulotnym wspomnieniem, lecz teraz już nie. Teraz odzyskanie pamięci stało się dla mnie najważniejsze. Dlatego nie będę siedziała z założonymi rękami, czekając, aż wspomnienia same

do mnie powrócą. Postaram się zmusić je do tego. Rozumiesz, wuju Henry?

— Wyrządzisz sobie jedynie krzywdę, Bunny. Przypomnisz sobie szczegóły tragedii, która będzie prześladowała cię w snach do końca życia. Oszczędź sobie tego, Leylo.

— Wygląda na to, że i tak jestem skazana na obłąd, jak wszyscy Pembertonowie. Cóż więc za różnica?

Nie dostrzegając w moim tonie sarkazmu, wuj Henry pochylił się ku mnie nad stołem i poprosił z błaganiem w oczach:

— Daj temu spokój, Bunny.

— Nie mogę, wuju! Nie rozumiesz? Nie wierzę, że mój ojciec był mordercą. Nie wierzę, że matka uciekła z powodu złych wspomnień. Myślę, że zabrała mnie stąd, aby uchronić mnie przed czymś lub przed kimś. Co więcej, nie wierzę w żadną klątwę; jest rok 1857, wiek postępu i nauki. Duchy i klątwy straciły rację bytu.

— Ale to właśnie one kierowały twoim ojcem.

— Nie wiemy tego! — Zapominając o swoim postanowieniu, wstałam gwałtownie i spoglądałam teraz z góry na tych ludzi, którzy skazali mego ojca na potępienie. — Uważam, że klątwa Pembertonów to tylko mistyfikacja, że została wymyślona po to, by złożyć winę na mojego ojca i osłonić prawdziwego mordercę.

— Przestań, Leylo! — powiedział wuj.

— Henry! — krzyknęła Anna z lękiem w oczach.

— Wszyscy z niecierpliwością czekacie na mój wyjazd. Dlaczego? Miałam zaledwie pięć lat, kiedy mnie stąd zabrano. Powinnam była zostać powitana z otwartymi ramionami, powinniście cieszyć się wraz ze mną z ponownego spotkania, snuć radosne wspomnienia. Tak się nie stało. Potraktowaliście mnie jak dopust boży. Co naprawdę wydarzyło się przed dwudziestu laty? Powiedzcie mi, co też takiego się wydarzyło, że zachowujecie się w ten niepojęty sposób?

— Swoją obecnością zmuszasz nas do powrotu myślami do tragicznych chwil i tyle.

Wszyscy drgnęli, gdy Colin wszedł znienacka do pokoju. Jego dłonie tkwiły głęboko w kieszeniach, a uśmiech był rów-

nie buntowniczy jak jego włosy. Najwidoczniej stal w drzwiach od dłuższej chwili.

— Zepsułaś im całą radość z deseru, Leylo. Widzisz? Zaledwie zdążyli go skosztować. Twoja obecność każe im pamiętać fakty, o których chcą zapomnieć.

— Colinie... — zaczął wuj Henry.

— Czy zauważyłaś, że w domu nie ma żadnych obrazów? To dlatego, że nikt nie chce, by o czymś przypominały.

— O czym? — spytałam.

Wzruszył ramionami, co mnie zdenerwowało.

— Spóźniłem się na baraninę? No cóż, zadowolę się podwójnym deserem. Podaj mi czarękę, dobrze, droga siostrze?

Kiedy sadowił się naprzeciw mnie i brał z rąk siostry deser, czułam, że mój gniew rośnie. Jak bardzo ten nonszalancki prostak siedzący z nami przy stole różnił się od mężczyzny, z którym rozmawiałam rano w stajni! Pomyślałam znów o Edwardzie, o moim drogim Edwardzie — zrównoważonym, którego zachowanie zawsze dawało się przewidzieć — i poczułam się jeszcze mocniej dotknięta kapryśnym zachowaniem kuzyna. Nie tylko był niegrzeczny, lecz nie dbał o to, jakie wrażenie wywiera na innych jego brak manier.

— Colinie, Leyla postanowiła pozostać z nami — oznajmiła Martha.

Nie podniósł wzroku.

— Doprawdy? Gertrudę znowu dodała za mało krojonych migdałów do deseru. Będziesz musiał z nią o tym porozmawiać, wuju — rzekł.

Wuj Henry, jego żona i Theodore wymienili spojrzenia, podczas gdy Martha znowu zamknęła się w sobie, onieśmielona. Teraz nie zależało mi na tym, co sobie o mnie pomyśla, nie byłam im nic winna, podobnie jak oni uważali, że nie są nic winni mnie. Przepełniona gniewem opuściłam ich i skierowałam się do holu.

Ciemność otoczyła mnie ze wszystkich stron, olbrzymie rośliny stały w kątach niczym żołnierze czekający na wydanie rozkazów, ponure gobeliny pokrywały obite boazerią ściany, ogromne meble górowały nade mną, tak jakby z pewnością



chciała górować babka. Wszędzie tu wyczuwało się jej obecność, wszechmocną i wszechwiedzącą. Dom należał do niej.

Po chwili odnalazłam drogę do biblioteki i zapadłam w fotel przed kominkiem. Nic nie miało sensu. Nic nie działało się po mojej myśli.

Wpatrywałam się ponuro w ogień, gdy weszła Martha. Przekradła się cicho jak kot do wyścielanego krzesła stojącego naprzeciw mnie, przez chwilę stała nad nim, niezdecydowana, a potem usiadła, zwracając na mnie przepełnione smutkiem oczy. Gdy wyjechałam, była dwunastolatką, a zatem teraz musiała mieć trzydzieści dwa lata: stara panna, dziewicza, jakby przywdziała zakonny welon.

— Och, Leylo, tak bardzo mi przykro. — Zaciskała swoje małe białe dłonie, które wydawały się zupełnie bezkrwiste. — Jakże żałuję, iż nie mogę odmienić twego losu. Dobrze wiem, przez co teraz przechodzisz!

Podniosłam na nią wzrok. Lubiłam ją najbardziej ze wszystkich Pembertonów, nie znaczy to jednak, że lubiłam ją bardzo.

— Martho — zapytałam znużona. — Dlaczego w Hurst nie ma portretów rodzinnych?

— To życzenie babki; ona nie chce, by przypomniano jej o rodzinnym obłędzie.

— Nie wierzę w żaden obłąd!

— Ależ to prawda! Sir John, nasz dziadek, zmarł dziesięć lat temu, kiedy to oszalał i rzucił się ze wschodniej wieży. Ta kłątwa ma już swoją historię!

— Jak długa?

— Pardon...?

— Jak daleko wstecz sięga to przekleństwo? Potrafisz powiedzieć?

— No cóż... — Zmrużyła w zamyśleniu swe ładne oczy. — Niech pomyślę. Powiedziano mi, że kłątwe tę odnotowano już przed wielu pokoleniami, ale najstarsza opowieść, którą słyszałam, dotyczy brata sir Johna, Michaela. W napadzie sza-leństwa otrął on siebie i swoją matkę. Nie słyszałam jednak niczego konkretnego o ojcu sir Johna czy o wcześniejszych przodkach.

— Kto ci opowiedział o dziadku i jego bracie?

— Oczywiście babka.

— Rozumiem. — Powędrowałam spojrzeniem do komin-ka, jakbym spodziewała się zobaczyć tam zwiędłą twarz „cesar-zowej” Abigail, sprawującej tajemniczą władzę nad garstką poddanych.

— Czy jest tu jakaś Biblia z rodzinnymi zapiskami lub genealogia rodu, z którą mogłabym się zapoznać?

Martha obrzuciła spojrzeniem regały wokół nas. Widać było, że nie należy do pilnych czytelników.

— Nie wiem nic na ten temat.

— W porządku, Martho. Mam mnóstwo czasu. — Wsłu-chując się w trzask płonących na kominku polan, zapytałam: — Co możesz powiedzieć o ciotce Sylvii?

— O ciotce Sylvii? Och, była bardzo stara, choć nieco młodsza od babki. Jako osoba niezamężna przyjechała z Abi-gail wiele lat temu i zamieszkała na stałe w Hurst.

— Czy ona także umarła jako obłąkana?

— Och, nie. Ona pochodziła z Vauxhallów, nie miała w sobie krwi Pembertonów, a tylko oni skazani są na szaleń-stwo. Dotknięte jesteśmy nim my obydwie, wuj Henry, Theodore i Colin. Babka Abigail i ciotka Anna pochodzą z innych rodów, klątwa więc ich nie dotyczy.

— Wiesz może, Martho, kto mieszka! w tym domu, gdy miałam pięć lat? — spytałam ostrożnie.

Wahała się przez chwilę.

— Sir John i babka Abigail, ciotka Sylvia, a także wuj Henry, ciotka Anna i Theo, moi rodzice, ja i Colin. Także twoi rodzice i ty.

— I Thomas.

— I Thomas — potwierdziła.

— Mieszkało więc tu wówczas na stałe czternaście osób. A teraz, w dwadzieścia lat później, zostało ich tylko siedem.

— Dwadzieścia lat to kawał czasu, a niektórzy z nich byli starzy. Ciotka Sylvia miała w chwili śmierci siedemdziesiąt pięć lat, a sir John siedemdziesiąt.

— Twoi rodzice nie byli jednak starzy...

Martha spojrzała na swoje zaciśnięte dłonie, których kost-ki wydawały się zupełnie białe.

— Oni zginęli w wypadku — wyjaśniła.

— Martho — powiedziałałam, widząc iskierkę nadziei. Jeśli wykażę dość sprytu, jeżeli okażę się wystarczająco przebiegła, może uda mi się ją przekonać. — Martho, kochanie, wybaczone, że przywołuję te okropne wspomnienia, lecz muszę jakoś wypełnić dwadzieścia lat mojego życia. Proszę, bądź cierpliwa. Straciłaś oboje rodziców, ja straciłam rodziców i brata. Czy nie widzisz, że pozostaje nas coraz mniej do podziału rodzinnej fortuny... — mówiłam spokojnym, cichym głosem.

Przez chwilę wpatrywała się w moje oczy tym swoim spojrzeniem, a potem krzyknęła:

— Leylo Pemberton! — Zerwała się z krzesła tak gwałtownie, iż mało nie straciła równowagi. — Jak śmiesz insynuować coś podobnego!

— Proszę cię, Martho... — Spojrzałam w kierunku drzwi.

— Jak możesz mówić takie okropne rzeczy? Moi rodzice zginęli w wypadku jak setki innych osób. Twój ojciec popełnił samobójstwo, a matka zmarła w Londynie, ponieważ była chora. Jak możesz przypisywać te zgony jakiemuś nikczemnemu spiskowi! — Jej głos wznosił się coraz wyżej. Nie przypuszczałam, że zdolna jest do takiej reakcji. — To, o czym myślisz, jest wstrętne! Jesteśmy kochającą się rodziną, a ty jesteś obca! Nikt o tobie nie myślał, kiedy zjawiłaś się jak żebrak. Babka ma rację. Jeżeli ktoś tu poluje na fortunę Pembertonów, to tylko ty!

— Martho, to nieprawda! — Ja także zerwałam się na równe nogi, za wszelką cenę starając się ją uspokoić.

— Nie podoba mi się to, co powiedziałaś, Leylo. Zdenerwowałaś mnie i teraz trudno mi będzie pozostać twoją przyjaciółką.

Ruszyła w stronę drzwi. Chwyciłam ją za przegub i usiłowałam coś jeszcze tłumaczyć, gdy przerwał mi spokojny głos.

— Pozwól jej wyjść, kuzynko. Wystarczy już tego.

Spojrzałam gniewnie na Colina.

— Czy ty nie masz zwyczaju pukać do drzwi?

— Powiedziałem: puść moją siostrę.

Martha przemknęła pomiędzy nami i wypadła z pokoju. Słysząc było, jak biegnie po schodach. Dokąd się udawała? Poskarżyć się babce?

— To nie twój interes! — powiedziałam wściekła.

— Daj spokój, droga kuzynko. — Znów wzruszył ramionami, kopnął drzwi, które zatrzasnęły się z hukiem i opadł na krzesło w pobliżu kominka. — Wszystko, co dotyczy Pembertonów, dotyczy także mnie. Ostrzegałem cię: jesteśmy bardzo zżytą rodziną.

— Ale dlaczego...

Znów wzruszenie ramion.

— Na miłość boską, Colinie — zaczęłam, zajmując miejsce naprzeciw niego. — Dlaczego nikt nie chce odpowiedzieć na moje pytania?

— Usiądź, zasłaniasz mi ogień.

Klapięłam na krzesło niczym skarcone dziecko, po raz kolejny wyrzucając sobie, że znów popełniłam gafę.

— Czy odzyskanie pamięci o tych ponurych wydarzeniach jest dla ciebie naprawdę tak bardzo ważne?

— Oczywiście!

— Dlaczego? Co ci to da?

— Nie wiem. Mam jednak przeczucie, że kiedy będę mogła wyjaśnić przeszłość, potrafię zmienić również teraźniejszość.

— Nie jesteś teraz szczęśliwa?

Wytrzymałam jego przenikliwe spojrzenie.

— Już nie. Nim przyjechałam do Hurst, miałam świadomość zupełnie innej przeszłości; sądziłam, że mój ojciec i brat umarli na cholere. A teraz przeszłość uległa zmianie, zmieniając tym samym teraźniejszość.

— Dlaczego uważasz, że twój ojciec był niewinny?

— Gdzieś głęboko we mnie tkwią wspomnienia, których nie potrafię przywołać. A jednak jakiś cień tych wspomnień, jakaś aura przenika do mojej świadomości, nie pozwalając mi uwierzyć, iż to, co słyszałam dotąd o wydarzeniach w zagajniku, jest prawdą. Choć nie pamiętam, co się tam wówczas naprawdę zdarzyło, wiem, że nie było tak, jak mi to przedstawiono. Rozumiesz?

Kiedy spjrzałam na niego z twarzą rozgrzaną od płonącego na kominku ognia, zobaczyłam go takim, jakim był tego ranka — poważnym, współczującym i silnym. Niemal natychmiast wrażenie owo zniknęło, spłoszone jego kpiącym uśmiechem. Zapytał:

— To trochę melodramatyczne wyobrażenie, nie sądzisz?  
Pochyliłam ramiona.

— Nie wierzę w ten koszmar. Dzieje się tu coś bardzo złego i muszę dowiedzieć się, co to takiego. Powiedz mi, Golinie, czy ciotka Sylvia wspominała kiedykolwiek o mnie?

— Ciotka Sylvia? — Zastanawiał się przez chwilę. — Nie, a przynajmniej nigdy o tym nie słyszałem. Nikt z nas zresztą nie wspominał ciebie ani twojej matki. Dlaczego pytasz?

Potrząsnęłam głową.

— Dlaczego przyszła ci do głowy ciotka Sylvia?

— Nie odpowiem na twoje pytanie, Colinie, jeśli ty nie odpowiesz na moje.

— Do licha, Leylo, bądź ze mną szczerą!

— Bardzo też proszę, byś zmienił sposób wyrażania się. To nie targ w Billingsgate!

— Przypuszczam, że twój dobrze wychowany Edward nigdy nie zachowuje się niestosownie.

— Oczywiście, że nie! Edward jest dżentelmenem.

— Więc wracaj do niego. Uciekaj z tego domu, do którego nie należysz, i wyjdź za mąż za tego biednego nudziarza, zanim przyjedzie tu za tobą i zacznie dobijać się do drzwi.

Ten ze wszech miar zabawny obraz mimo woli wywołał na mojej twarzy uśmiech, gdyż Edward nigdy nie zachowałby się tak głupio, żeby szturmować drzwi. Takie zachowanie pasowało już raczej do Colina, który z pewnością nie zawahałby się przed podobną bezczelnością.

— Co cię tak bawi?

— Zachowujesz się jak nadopiekuńczy starszy brat.

— Zawsze nim dla ciebie byłem. Nasi ojcowie byli przecież braćmi, co sprawia, że jesteśmy blisko spokrewnieni.

Uśmiechnęłam się do niego przyjaźnie, choć tak bardzo mnie irytował, i ze zdziwieniem spostrzegłam, że odwzajemnia mój uśmiech.

— Co miałeś na myśli mówiąc, że powinnam być z tobą szczerą?

— Zmusiłaś mnie, żebym powiedział ci więcej, niż sądziłiśmy, że powinnaś wiedzieć. — Podniósł uspokajająco rękę. — Proszę, wysłuchaj mnie. Wszyscy zgodziliśmy się z babką, która orzekła, że dla twego własnego dobra nie powinniśmy dopuścić, byś dowiedziała się prawdy o przeszłości. Pragnęliśmy, byś była od niej wolna, tak jak sami chcielibyśmy być wolni. Ja jednak nie wytrzymałem i zacząłem się zastanawiać, jak to jest, gdy pytasz, a nikt ci nie odpowiada. Powiedziałem ci więc o twoim ojcu, a potem o jego szaleństwie, abyś wiedziała, że nie był odpowiedzialny za swój czyn. Żałuję tej swojej słabości, Leylo, bo widzę, że cierpisz, próbując przypomnieć sobie coś, co może tylko przyczynić ci jeszcze więcej bólu.

Westchnęłam niespokojnie, spoglądając na mego kuzyna. W oczach Colina widziałam szczerłość, a słowa przemawiały do mojej wyobraźni. Czy rzeczywiście wszystko było takie proste? Czyżby historia o szaleństwie i obłądnie ojca była prawdziwa, a ci ludzie po prostu próbowali uchronić mnie przed tą ponurą prawdą?

Badałam wzrokiem twarz Colina. Choć nie tak przystojny jak Edward ani tak dobrze wychowany, miał cechy świadczące o niezłomnym charakterze, szczerości i wielu innych zaletach.

Nie! To wszystko nie tak. Intuicja przemawiała teraz silniej niż kiedykolwiek i nie powinnam jej zlekceważyć. Mój ojciec był niewinny, a klątwa to tylko mit. Dowód krył się gdzieś w zakamarkach pamięci przerażonego dziecka.

— Odpowiedz na moje pytanie, Colinie, proszę. Dlaczego nikt z was nie opuścił tego domu? Dlaczego najmłodszym członkiem rodziny jest wciąż Martha, która ma przecież już trzydzieści dwa lata? Dlaczego nie potrafisz pozbyć się wrażeń, że nadal coś przede mną ukrywacie? Co miałeś na myśli, kiedy pierwszego wieczoru po moim przybyciu wyraziłeś przypuszczenie, że moja matka nie śpiewałaby pieśni pochwalnych na cześć rodziny Pembertonów? Dlaczego babka...

— Leylo, Leylo! Przestań, proszę. Twoje pytania są równie dziwaczne jak twoja wyobraźnia. Wcale nie próbujesz rozwiązać zagadek, lecz wciąż tworzysz nowe.

— Chcę oczyścić pamięć ojca.

— I dlatego pytasz mnie, dlaczego moja siostra ma trzydzieści dwa lata?

— Ty diable! — krzyknęłam, wyprowadzona z równowagi. — Nie jesteś ze mną szczery. No cóż, panie Colinie Pembertonie... — powiedziałam, opierając dłonie na biodrach. — Jeżeli chcesz, abym wyjechała z Hurst, musisz odpowiedzieć na moje pytania.

Wygłosiwszy to ultimatum, wypadłam z pokoju, co zaczęło już wchodzić mi w nawyk, i pognałam schodami na górę w sposób zgoła niestosowny dla damy. Znalazłszy się w swoim pokoju, usiadłam przed lustrem, zła na siebie, że znowu pozwoliłam wyprowadzić się z równowagi nieokrzesanemu kuzynowi. Irytowało mnie, że jest tak zmienny i nieprzewidywalny. Najbardziej zaś denerwowała mnie jego niewiele mająca wspólnego z dobrym wychowaniem szczerłość.

Spojrzałam na książkę o ogrodach Cremorne i postanowiłam napisać do Edwarda. Chciałam opowiedzieć mu o wszystkim, zasięgnąć jego rady, a nawet poszukać u niego obrony, gdyby okazało się to konieczne. Byłam jedyną osobą, która mogła przywrócić memu ojcu dobre imię, a jeśli ściągnę w związku z tym na siebie jakieś niebezpieczeństwo, Edward na pewno pośpieszy mi z pomocą.

Pisałam już od godziny, gdy ktoś zapukał do drzwi. W wyniku kilku nieudanych prób rozpoczęcia listu pod moimi stopami piętrzyła się teraz góra papierów, a na twarz spadały mi rozplecione włosy. Po godzinie męki nie potrafiłam znaleźć właściwych słów, zdolnych przedstawić Edwardowi całą tę historię.

— Proszę wejść — powiedziałam znużona.

Wuj Henry zajrzał do środka.

— Spisz, Bunny?

— Nie. Proszę, wejdz, wuju.

Wszedł do pokoju, zachowując się tak, jakby obawiał się, że ktoś go zobaczy. Sunąc cicho po dywanie, popatrzył najpierw na lewo, potem na prawo, a w końcu wyszeptał:

— Przeszkodziłem ci?

Spojrzałam na list i zakryłam go dłońmi.

— Ależ skąd, zawsze jesteś mile widziany, wuju. Może usiądziemy przy kominku?

— Tak, o tak.

Poprowadziłam go do sofy połyskującej żółto w świetle kominka, zastanawiając się nad tajemniczym zachowaniem wuja. Otaczała go wciąż ta sama aura beznadziejności, ale zdążyłam już do niej przywyknąć. Dziś jednak było w nim coś jeszcze, coś dziwnego, czego nie potrafiłam określić, lecz z istnienia czego zdawałam sobie doskonale sprawę. Wuj wydawał się pogrążony w zamyśleniu, ale nadal obrzucał pokój ukradkowymi spojrzeniami.

— O co chodzi, wuju?

W końcu zwrócił wzrok na mnie, a wtedy dostrzegłam jego pomniejszone źrenice i szklane spojrzenie, świadczące o tym, że wuj znajduje się pod wpływem opium.

— Zdenerwowałaś dziś kuzynkę Marthę. Prawdę mówiąc, twoje słowa zaniepokoiły nas wszystkich. Stajesz się nierozsądna, Leylo, i muszę cię ostrzec — rzekł po krótkim wahaniu.

— Ostrzec? Przed czym?

— Nie ryzykuj i nie mieszaj się do spraw, które cię nie dotyczą.

— Nie dotyczą? Sądziś, wuju, że nie dotyczy mnie śmierć mego ojca i brata?

— To zdarzyło się dwadzieścia lat temu, Bunny!

— Dwadzieścia lat czy wczoraj, wszystko mi jedno. Mam obowiązek przywrócić dobre imię ojcu!

— Zastanów się, Leylo! To, co usiłujesz sobie przypomnieć, to tylko koszmar. Uwierz mi, jeśli pewnego dnia przypomnisz sobie, co widziałas w zagajniku, przekonasz się, że powiedzieliśmy ci prawdę.

— Skoro tak, drogi wuju, to dlaczego tak się przejmujecie tym? Dlaczego wszyscy sprawiacie wrażenie, jakbyście obawiali się tego, co mogę sobie przypomnieć?

— To tylko przez wzgląd na ciebie, Bunny.

— Dlatego chcielibyście, żebym jak najprędzej wróciła do Londynu i wyszła za Edwarda, tak?



Wuj znów obrzucił pokój niespokojnym spojrzeniem. Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego bierze opium.

— A może... — zawiesiłam głos. — ...Może jesteście zdania, że nie powinnam wychodzić za męża?

Odwrocił się i ujął moje dłonie. Jego dłonie były wilgotne i lepkie.

— Jeżeli wyjdiesz za męża, Leylo, przekażesz dalej klątwę Pembertonów! — rzekł wreszcie.

— Żadna klątwa nie istnieje, wuju. Jak możesz wierzyć w coś tak bzdurnego?!

— Zapewniam cię, że klątwa istnieje.

— Niewierze!

Wuj Henry zasępił się.

— Nie powinnaś była tu wracać, Leylo — stwierdził.

— No cóż, ja jednak to zrobiłam, a teraz nie ma już odwrotu. Zamierzam zrealizować swoje plany i odzyskać pamięć, nawet jeśli wspomnienia okażą się upiorne.

— Twoja pamięć może nigdy nie wrócić, Leylo.

— Wróci. Wiem, że wróci.

— Nikt z nas ci w tym nie pomoże.

Tak, jakbym nie wiedziała. Ciotka Anna w ogóle nie okazała się pomocna. Także Colin był przeciwny, bym dowiedziała się wszystkiego. Martha poczuła się obrażona. A Theo? Jakie jest jego stanowisko? *M u s i a ł a m* sobie wszystko przypomnieć, choć wiedziałam, że nie będzie to łatwe i że mogę liczyć tylko na siebie.

— W jaki sposób masz zamiar odzyskać wspomnienia, które najwyraźniej wcale nie mają chęci się ujawnić?

Wpatrywałam się w wuja Henry'ego starając się za wszelką cenę zachować zimną krew, co wcale nie było łatwe, zważywszy, iż czułam zmęczenie i zdenerwowanie. Najbardziej stanowczym tonem, na jaki mogłam się zdobyć, oświadczyłam:

— Spróbuję osiągnąć to, udając się jutro do zagajnika.

## 7

Przez dłuższą chwilę wuj wpatrywał się we mnie bez słowa, tak że zaczęłam już wątpić, czy w ogóle dosłyszał, co powiedziałam. W końcu oblizał wargi i mruknął:

— Nie wolno ci iść do zagajnika. Nigdy.

Jak bardzo musiał przypominać mego ojca — rysami twarzy, postawą, barwą głosu! W normalnych okolicznościach pokochałabym tego mężczyznę o oczach i zarysie podbródka tak podobnych do moich, o uderzająco bujnych, siwych włosach i jasnej cerze. Nie kochałam go wszakże i z pewnością nie pokocham, przynajmniej tak długo, jak długo nie przestanę się go obawiać. Nie bać w zwykłym sensie tego słowa, ale obawiać tego, jak daleko może się posunąć, aby ochronić rodzinny sekret. Wuj Henry nigdy by mnie przecież nie skrzywdził! Byłam tego pewna, ale jego sprzeciw w sprawie zagajnika wywołał we mnie głęboki żal.

— Pójdę tam, ponieważ muszę pójść.

— Dlaczego?! — wybuchnął. — W jakim celu?

— Jestem pewna, że w ten sposób łatwiej sobie przypominę.

— Wiem, jakie masz zamiary, Leylo. Wiem, o co ci chodzi. Ponieważ chcesz, aby twój ojciec okazał się niewinny, próbujesz zrzucić jego winę na innego mieszkańca tego domu. Oskarżasz w ten sposób jedno z nas o morderstwo!

— Mój ojciec także był Pembertonem, a mimo to oskarżenie go nie sprawiło wam żadnej trudności.

— To co innego. Nie panował nad sobą.

— Jakże to wygodne dla was, lecz ja w to nie wierzę.

— A motyw? Jakież mógłby ktoś z nas mieć motyw? Twoje insynuacje, że staramy się wyeliminować konkurencję do rodzinnej fortuny, są wprost okropne. To niegodziwy i prymitywny pomysł!

Jego słowa zraniły mnie do żywego. Oskarżenie mojego bezbronnego ojca o morderstwo wydawało się im objawem szlachetności, a kiedy ja oskarżyłam o coś podobnego jedno z nich, okazało się to dowodem mojej trywialności!

— Nie ma innego sposobu, by przekonać się o tym, co zdarzyło się naprawdę w zagajniku. Dlatego pójdę tam jutro.

Po tym oświadczeniu wuj Henry jakby pogrążył się w swoim własnym świecie. Nie miałam pojęcia, ile laudanum zażył i dlaczego, wiedziałam jednak, że jest to silny środek uśmierzający ból.

Moja ciekawość została zaspokojona, gdy wuj nagle przyłożył dłoń do czoła i powiedział:

— Ten jest znacznie silniejszy niż jakikolwiek dotąd.

— Co jest silniejsze, wuju?

— Ból głowy. Och, te bóle głowy, Leylo. Jakież potrafią być dokuczliwe.

Wpatrywałam się w niego z niepokojem.

— Ile laudanum wzięłeś, wuju?

— Hmm? — Jego spojrzenie o milimetry minęło moje. Nie był w stanie skupić wzroku. — Anna podała mi je w herbacie, ale chyba za mało. Ten okropny wiatr powoduje silne przeciągi w domu, a one zaś wywołują bóle głowy.

— Rozumiem... Powiedz mi, wuju, czy mój ojciec także się na nie uskarżał?

— Co takiego...? Och, muszę już iść. Matka oczekuje, że przyjdę się z nią zobaczyć, zanim uda się na spoczynek.

— Babka może poczekać... — powiedziałam.

Roześmiał się głośno, śmiechem człowieka chorego.

— Jak mało wiesz, Bunny. Nikt nie ośmielił się zmusić Abigail Pemberton do czekania! — Wsta! niepewnie i nie patrząc na mnie, położył dłoń na moim ramieniu. — Wracaj do Londynu, dopóki jeszcze możesz — powiedział.

— Nie, wuju Henry. Nie teraz...

Jego oczy niespokojnie obiegały pokój. Zauważyłam, jak rozjaśniły się na widok nie dokończonego listu.

— Pisałaś do kogoś?

— Nie — skłamałam. — Zanotowałam tylko kilka myśli do pamiętnika. Ten wiatr natchnął mnie...

— Ten wiatr wywołuje u mnie przeklęty ból głowy!

— Przerwał mi wuj Henry, na powrót ogłupiały. — Wybacz mi to słownictwo, Leylo. Głowa rozpada mi się na kawałki. Porozmawiamy rano, gdy będziesz się lepiej czuła.

— Czuję się dobrze.

— Czy mogłabyś odprowadzić mnie do drzwi? Kręci mi się w głowie.

Prowadziłam go, jakby był kaleką. Pomyślałam, że musiał zażyć lekarstwo tuż przed przyjściem do mnie, ponieważ jego działanie zdawało się nasilać. Przy drzwiach zatrzymał się i przez chwilę błędził spojrzeniem po mojej twarzy. Jakże bardzo pragnęłam być kochana przez tego mężczyznę, który mógłby być moim ojcem, lecz który uczynił to niemożliwym, podobnie jak babka Abigail, której miłość bardzo pragnęłam pozyskać, a która mnie także odrzuciła.

— Spij dobrze, Bunny.

— Dobranoc, wuju Henry. — Pocałowałam go w policzek, lecz chyba w ogóle tego nie zauważył.

Gdy patrzyłam, jak wlecze się oświetlonym światłem świec korytarzem w stronę swego pokoju, poczułam, że ogarnia mnie rozpacz. Wuj Henry to doprawdy tragiczna postać. Jakiegokolwiek były przyczyny — nadmiernie dominująca matka, niezdolność do sprawowania funkcji głowy domu czy oszałamiające bóle głowy — wuj z pewnością nie stanie się dla mnie podpora.

Wróciłam do swego pokoju, oparłam się ciężko o drzwi i stojąc w ciemności, rozmyślałam o tym, jak zdołam to wszystko znieść. Babka Abigail odrzuciła mnie, wuj Henry zawiódł, Martha gniewała się na mnie, a na Colina trudno było liczyć w jakiegokolwiek sprawie. Kto zatem pozostał? Ciotka Anna? Nie, ona dostosuje się do woli babki jeszcze szybciej niż jej mąż. Theo? Nie! Z entuzjazmem popierał stanowisko rodziców.

Kto więc?

W zamyśleniu przeszłam przez pokój, kątem oka dostrzegając ostatnie błyski dopalających się głowni.

Podeszłam do okien, które zatrzymywały zdrowy świat na zewnątrz, a nas trzymały w zamknięciu. Okien, przez które można było przyglądać się atakom sił natury bez konieczności stawienia im czoła. Postąpiłabym, jak na dobrze wychowaną pannę przystało, gdybym wróciła natychmiast do Londynu i zajęła swe miejsce u boku Edwarda! Z drugiej strony miłość, nienawiść i rozpacz nie mają nic wspólnego z dobrym wychowaniem. Nie ma żadnych racjonalnych przesłanek dla porywów serca.

Odwrociłam się, by spojrzeć w ciemniejące palenisko kominika. Gdybym zdołała nakłonić Edwarda, żeby do mnie dołączył, mogłabym zrealizować swe zamierzenia, pozostając jednocześnie taką, jaką mnie kochał. Zanim to jednak nastąpi, potrzebuję kogoś, z kim mogłabym szczerze porozmawiać. Kogoś, kto odpowie na moje pytania.

Nagle pomyślałam o Gertrudę, niemieckiej służącej, której wyrazu twarzy, gdy zobaczyła mnie w progu, nigdy nie zapomnę. Co to było? Szok? Lęk? Może po prostu zaskoczenie? Co ona sądziła o moim powrocie? Choć omawianie rodzinnych spraw ze służbą wydawało mi się z gruntu niewłaściwe, to jednak Gertrudę w dzieciństwie musiała być dla mnie ważną osobą. Może nawet od czasu do czasu zajmowała się mną jako niania? A jeśli tak i jeśli udałooby mi się sprawić, aby popatrzyła na tamte dni z odrobiną smutku i zadumy nad upływem czasu, być może potrafiłabym skłonić ją do mówienia.

Rozmowę taką należałoby przeprowadzić w sekrecie. Byłam tego pewna.

Pisanie listu do Edwarda poszło mi teraz całkiem łatwo, gdyż wizyta wuja umocniła mnie w przekonaniu, iż muszę dowiedzieć się prawdy, bez względu na cenę, jaką przyjdzie mi za to zapłacić. Pozwoliłam myślom i pióru biec swobodnie, przenosząc na papier to, co czułam w głębi serca. Tylko w ten sposób mogłam go o wszystkim powiadomić. W zakończeniu błagałam, by wziął pod uwagę moją desperację i przybył natychmiast, porzucając zawodowe obowiązki.

Zapiecztowałam list bardzo starannie i postanowiłam poprosić pokojówkę o wysłanie go porannym dyliżansem do East Wimsley. Po dwóch dniach powinien znaleźć się w Londynie. Jeżeli Edward wyjedzie natychmiast, mogłam mieć nadzieję, iż zobaczę go najprędzej za cztery dni, najpóźniej zaś za sześć.

Teraz kiedy zdecydowałam się już na ten śmiały krok, poczułam się znacznie lepiej i odprężona nerwowo rozpoczęłam przygotowania do snu. W pokoju panował chłód i mrok, ale nie czułam się w nim obco. Myśl o rychłym zjawieniu się Edwarda przynosiła mi ukojenie i poczucie bezpieczeństwa.

Kiedy materac ugiął się pode mną z cichym szmerem, poczułam podniecenie na myśl o jutrzejszym dniu. Pobyt w zagajniku przywróci mi zapewne pamięć, a zatem wszelkie wątpliwości zostaną rozwiane. Zanim zapadłam w sen, postanowiłam, iż muszę również zbadać całe to wspaniałe stare domostwo, aby przekonać się, czy nie wrócą jeszcze jakieś inne wspomnienia z wczesnego dzieciństwa. Były tu przecież inne piętra, dwa nie używane skrzydła budynku, niezliczone zamknięte pokoje...

Tuż przed świtem wstałam i, czując się całkiem wypoczęta, dokonałam pośpiesznej toalety i zeszłam po cichu na dół. Dom był jeszcze uśpiony. Włożyłam na siebie poranną suknię wełnianą z ozdobionym frędzlami szalem, który miał ochronić mnie przed chłodem. Ze świecą w dłoni ruszyłam przed siebie.

W domu panował dokuczliwy ziąb. Mały płomyk świeczki stanowił lichą obronę przeciwko cieniom, które otaczały mnie ze wszystkich stron, lecz byłam zdecydowana przeprowadzić to, co sobie zamierzyłam. Tej nocy spałam dobrze po raz pierwszy, odkąd zjawiałam się w Hurst, i choć nadal prześladowały mnie dziwaczne sny związane z Colinem i Edwardem, czułam się wypoczęta i bardziej niż kiedykolwiek zdecydowana, by stawić czoło przeszłości.

Służba zgromadziła się już w kuchni, starając się ogrzać przy ogniu płonącym w kuchennym piecu na węgiel. Gdy weszłam, grzecznie pochylili głowy. Wręczyłam list i banknot

funtowy jednej z pokojówek, której twarz wydała mi się znajoma — dziewczyna ta sprzątała zwykle pokoje na piętrze — zwracając uwagę na pilność sprawy. Nie mówiąc ani słowa, wzięła niezdarnie banknot, włożyła pośpiesznie płaszcz i wyszła z kuchni, kierując się w stronę stajen. Pozostali obserwowali mnie w milczeniu. Większość z nich była zbyt młoda albo też służyła tu za krótko, by mnie pamiętać sprzed dwudziestu lat.

- Gdzie jest Gertrudę? — zapytałam.
- Jeszcze na górze, psze pani. Nie schodzi przed szóstą.
- Dziękuję.
- Czy chce pani, żeby posłać po nią?
- Nie, nie, wszystko w porządku. Dziękuję.

Musi więc minąć jeszcze godzina, zanim będę mogła porozmawiać z Gertrudę, i dwie, zanim obudzi się reszta rodziny. Prawdopodobnie nie trafi mi się już lepsza okazja do obejrzenia domu mojego dzieciństwa. Postanowiłam uczynić to właśnie teraz, tym bardziej że umysł miałam wyostrzony, resztki snu pierzchły i tryskałam wręcz optymizmem.

Ciemne i lodowate korytarze pełne były przeciągów i cieni pełzających po ścianach. Skrzydło przeciwległe temu z okresu Tudorów było teraz na dobre zamknięte, nigdy nie używane, a ja usiłowałam sobie wyobrazić, jak wyglądało ono w czasach, kiedy rodzina Pembertonów była liczna i często przyjmowała gości, co wymagało wykorzystania każdego skrawka powierzchni, jaką Pemberton Hurst mogło zaoferować. Lecz teraz, przy zaledwie siedmiu stałych mieszkańcach, których z rzadka ktoś odwiedzał, wykorzystywana była tylko centralnie położona część domu.

Natknęłam się na wiele zamkniętych pokoi, zwłaszcza na trzecim piętrze, gdzie znajdowały się sypialnie gościnne, teraz opustoszałe. Snując się po zakurzonych korytarzach, wdychając stęchły zapach nie używanych pomieszczeń, starałam się otworzyć umysł na najmniejszy choćby przebłysk wspomnień, które mogłyby tu do mnie wrócić, lecz nic takiego się nie stało.

Na drugim piętrze, gdzie znajdowały się nasze sypialnie, zauważyłam dwa długie korytarze, które wyglądały tak, jakby

zamknięto je później niż resztę domu. Tu i ówdzie rośliny doniczkowe jeszcze nie uschły, w niektórych lampach widać było resztki nafty. Ostrożnie próbowałam otworzyć kolejno wszystkie drzwi, nie bardzo wiedząc, czego oczekiwać po drugiej stronie, lecz wszystkie okazały się zamknięte.

Wszystkie poza jednym.

Pokój, do którego prowadziły, położony najbliżej naszego korytarza, musiał być używany całkiem niedawno, gdyż stolik przy drzwiach nadal błyszczał, starannie wypolerowany i nie zakurzony, a paprotkę najwidoczniej niedawno podlewano.

Bardzo powoli pchnęłam drzwi, wsunęłam przez nie najpierw świecę, a potem wetknęłam głowę, żeby zobaczyć, co jest w środku. Pokój okazał się sypialnią, i to na pierwszy rzut oka należąca do kobiety. Otworzyłam drzwi na oścież i stałam w progu, rozglądając się ciekawie.

Sypialni niewątpliwie nie używano od jakiegoś czasu, nie było tu bowiem żadnych lamp ani świec, na kominku zaś nie pozostał ślad ognia. Lecz meble pozostały, a wraz z nimi figurynki ze Staffordshire, zdobione muszelkami puzderka, ciężkie zasłony i delikatna pościel. Ciekawe, czyj to mógł być pokój...

Kiedy zbliżyłam się do łóżka, doznałam dziwnego wrażenia, że już tu kiedyś byłam, że znam ten pokój, a raczej, że znałam go kiedyś. Wrażenia z tym związane były dobre, przyjazne. Kimkolwiek zatem była zamieszkująca go kobieta, musiałam ją kochać, choć teraz nie miałam pojęcia, kim była.

Na nocnym stoliku zobaczyłam oprawny w skórę tom bez tytułu, co zmusiło mnie do postawienia świecy i otwarcia książki.

Miałam w rękach dziennik Sylvii Vauxhall z 1856 roku, zapełniony rządkiem starannego, kobiecego, łatwego do odczytania pisma. Kiedy rozpoczęłam lekturę dziennika — jakieś słodkie glupstewka o przepisie uzyskanym od żony proboszcza — poczułam falę emocji, przypływ uczucia tak silny, że wycisnął mi łzy z oczu. Doznałam nagłego wrażenia bliskości ciotki Sylvii. Kobiety, której nie potrafiłam sobie przypomnieć, lecz którą — wiedziałam to z pewnością!



— uwielbiałam jako dziecko. Kiedy czytałam jej ozdobne pismo, przyszedł mi nagle na myśl piernik, potem lawenda. Domyśliłam się, iż jako dziecko musiałam utożsamiać ją z tymi zapachami. Choć niezbyt sprawne w zapamiętywaniu twarzy, każde pięcioletnie dziecko zapamiętałoby z pewnością zapach ciepłego piernika, upieczonego przez miłą starszą ciotkę, która nie żałowała sobie lawendowej wody kolońskiej.

Droga ciotka Sylvia. Jakże bardzo żałowałam, że teraz, kiedy zaczęłam za nią tęsknić, ona już nie żyła...

Dobry Boże, cóż to mogłoby być za cudowne połączenie! Żaden inny Pemberton już by się nie liczył, ponieważ byłaby ciotka, która by mnie kochała.

Zamarłam, nie ocierając nawet z policzka łez, które popłynęły na myśl o przewrotności losu. Nadal wpatrywałam się w słowa pamiętnika, który trzymałam w ręce. W jednej chwili cała słodycz doznań odpłynęła, zastąpiona śmiertelnym wprost przerażeniem — wydawało się, że nawet serce przestało mi bić. Słowa pokrywające stronicę krzyczały do mnie, jakby domagając się uwagi. Delikatne, ozdobne zawijasy i małe kółeczka, wieńczące każde „i” nie wyglądały w ogóle jak litery listu, który napisała do nas ciotka Sylvia.

Byłam zdumiona. Trzymałam przecież w ręku jej dziennik, który prowadziła niemal do końca roku, dziennik wypełniony pismem nie przypominającym nawet pisma z listu ciotki. Nawet gdyby w ostatnich tygodniach cierpiała na artretyzm, pismo nie mogłoby zmienić się tak zupełnie. Słowa, które czytałam w Londynie, napisane zostały silną, pewną ręką, z całą pewnością inną niż słowa dziennika. Lecz czyją? Dlaczego autor listu podszył się pod ciotkę Sylvie?

Byłam tak zdumiona i pogrążona w myślach, iż nawet nie zauważyłam, że nie jestem już sama w pokoju; że ktoś wszedł cicho do środka i stoi teraz tuż za mną. Dopiero gdy usłyszałam cichy odgłos zamykających się drzwi, odwróciłam się gwałtownie, przestraszona.

— Dobry Boże, przestraszyłeś mnie! — powiedziałam bez tchu do postaci stojącej za mną.

Z ciemności dobiegł mnie cichy śmieшек.

— Czy to ty, Theo? — Odwróciłam się, wzięłam świecę i szybko wysunęłam ją przed siebie.

Z ciemności wyłoniła się ku mnie twarz Colina, jasno teraz oświetlona. Stał tam z tym swoim sardonycznym uśmiechem na ustach i zmierzwionymi włosami.

— Co robisz w pokoju ciotki Sylvii? — spytał oskarżycielskim tonem.

— Ja... ja szukałam miejsc, które mogłyby okazać się znajome. Te drzwi nie były zamknięte...

— Co za brak wychowania — czytać osobisty pamiętnik innej kobiety...

Spojrzałam na książkę.

— Pamiętnik sprawił, że poczułam bliskość ciotki... Niemal ją sobie przypomniałam.

— I co jeszcze?

Poderwałam głowę.

— Co masz na myśli?

— Czy znalazłaś tam coś o sobie i dlatego czytałaś? Musisz być bardzo rozczarowana, Leylo. Ciotka Sylvia nigdy o tobie nie wspominała, nikt z nas zresztą tego nie robił.

— Nie... tutaj też o mnie nie wspomina. — Rozmyślałam gorączkowo. Kto też mógł napisać list!

— Wiesz, kuzynko — powiedział miękko, zbliżając się do mnie. — Niebezpiecznie tak buszować po starym domu zupełnie samej. Powinnaś mieć przewodnika. Gdybyś miała chociaż przewodnika... Niektóre z nie używanych schodów są w kiepskim stanie i mogłabyś zrobić sobie krzywdę.

— Nie miałam cierpliwości czekać, a żadne z was jeszcze nie wstało.

— No cóż, ja już nie śpię i mogę zaproponować ci moje towarzystwo. Theo także już wstał, pojechali do East Wimsley.

— Pojechali?

— On i wuj Henry. Raz w tygodniu jeżdżą doglądać fabryk.

— Ty nie jeździsz z nimi?

— Nie mam tam nic do roboty. Ani mój wuj, ani kuzyn Theo nie sądzą, iż byłbym w stanie nimi zarządzać, w związku

z czym nawet mnie nie wprowadzili w sprawy fabryk. Był jednak czas, gdy bardzo interesowałem się zarządzaniem fabrykami, lecz było to dawno i szybko się skończyło.

— Dlaczego?

Jego oczy spochmurniały, a głos dobiegał jakby z daleka.

— Wkrótce po waszym wyjeździe wuj Henry zabrał Annę i Theo do Manchesteru, gdyż zarządzał tam jedną z naszych fabryk. W Hurst zostałem więc tylko ja i mój ojciec. Doglądaliśmy produkcji w imieniu sir Johna. Potem jednak ojciec...

— Umilkł na chwilę. — ...Ojciec i matka zginęli w wypadku, a wuj Henry wrócił z rodziną do domu. Przejął wraz z Theo kierowanie fabrykami i tak pozostało do dziś. Przypuszczam, że nie byłbym już do tego zdolny.

— A to czemu?

Roześmiał się gorzko.

— Nie zależy mi na fabrykach; nie jestem człowiekiem interesu, ale człowiekiem z zasady niepracującym, a poza tym...

— Jego głos stwardniał. — ...A poza tym nie przepadam za doglądaniem hałaśliwych zakładów bawełnianych wydzielających przykrą woń i powodujących choroby pośród nieszczęśników, którzy zmuszeni są w nich pracować. Nie mam zamiaru obstawać przy konieczności wprowadzenia zmian, ale boleję nad warunkami, które muszą cierpieć ci biedacy.

Colin mówił dość chaotycznie, ale nie miałam mu tego za złe. Zdumiała mnie jednak niewątpliwa gorycz w jego głosie. Wymowa jego słów zaintrygowała mnie wręcz, ponieważ w pełni się zgadzałam z jego opinią. Podobnie zresztą, jak każdy, kto kiedykolwiek widział fabryki Londynu.

— Wyobraź sobie, że mój wspaniały wuj był przeciwny — tak, droga Leylo, przeciwny — wprowadzeniu ustawy o dziesięciogodzinnym dniu pracy! Twierdził, że rozpróżnienia robotnicy będą w efekcie tej zmiany spędzać więcej czasu w szynkach. Nie widzę w tym niczego złego! Nadejdzie zresztą dzień, kiedy uchwalony zostanie ośmiogodzinny dzień pracy i nie będzie wolno zatrudniać w fabrykach dzieci. A kiedy dzień ten nadejdzie... — Colin umilkł nagle i zamyślił się.

— Tak? Mów dalej, proszę.

Z lekkim niedowierzaniem w głosie zapytał:

— Ty się ze mną zgadzasz, prawda?

— Oczywiście, że się zgadzam. I ty twierdzisz, że nie nadajesz się do zarządzania! Jaka szkoda, że nie możesz tego robić! Kiedy pomyślę, ile ulepszeń...

Colin machnął niecierpliwie dłonią. Nastrój minął, ogień przygasł, a mój nonszalancki kuzyn był teraz taki jak zwykle.

— Chodź stąd, Leylo, niczego tu nie znajdziesz — powiedział.

Odłożyłam pamiętnik na miejsce, postanawiając później rozważyć tajemnicę listu, i wyszłam z pokoju.

W holu kuzyn odwrócił się do mnie, wyjął mi świecę z ręki i uniósł ją ku mojej twarzy.

— Jakże jesteś podobna do matki — powiedział miękko. — Bardzo podobna.

— A do ojca?

Zmrużył oczy.

— Tak, do ojca także. Masz rysy Pembertonów, które czynią cię jedną nas — równie przekłętą jak reszta.

— Nie będę rozmawiała o kłatwie, Colinie.

— Masz rację! Och, Leylo, gdybyś wiedziała, jak bardzo twój widok przywołuje przeszłość! Mogłem mieć wówczas zaledwie czternaście lat, ale umiałem rozpoznawać piękno i wdzięk. Jako dorastający romantyczny młodzian często trawiłem czas na marzeniach o tym, by ujrzeć kostki nóg twojej matki. Co z tego, że była moją ciotką, skoro sprawiała, że krew szybciej krążyła mi w żyłach.

— Och, Colinie! — roześmiałam się.

— A ty, Leylo, ty płocho kobietko! Jakże łatwo kobiety odwracają od nas swe serca! Chodziłaś za mną niczym małe utrapienie. Teraz wszystko to minęło. — Jego oczy przez chwilę spoczęły na mojej twarzy. — Prawda?

— Musiałeś się pomylić, kuzynie. Na pewno spoglądałam na ciebie jak na starszego mądrego brata; mogę zresztą nadal tak cię traktować. Rzecz jasna, bardzo niemądre byłoby zakochanie się w kuzynie pierwszego stopnia.

— Czy pamiętasz, że często ci wówczas czytywałem?

Czułam, że twarz mi pochmurnieje.

— Nie... Nie pamiętam...

— Raz zrobiłem ci nawet taką zabawkę optyczną. Na urodziny. Pracowałem nad nią przez wiele tygodni.

I nagle błysk pamięci.

— Colinie! — Szarpnęłam go za rękę. To nie było mgliste wspomnienie czy wrażenie wspomnienia, lecz wyrazisty obraz. — Chyba p a m i ę t a m . Czy był na niej obrazek królika?

— Tak, był.

— Ubranego w sukienkę, taką samą jak moja. Ten królik miał wyobrażać mnie, skakał w górę i w dół, kiedy kręciłam cylindrem. Och, Colinie, p a m i ę t a m !

— Wykonanie jej zabrało mi całe tygodnie, lecz warto było. Widok twojej twarzy, gdy nakręcałaś tę zabawkę, wynagradzał mi wszelkie trudy. Cieszę się, że to pamiętasz.

— Tak, pamiętam.

Mimo woli moje palce mocniej ścisnęły jego ramię. Wracają również inne wspomnienia, niczym fragmenty tej samej układanki. Zobaczyłam przyjęcie urodzinowe w jadalni, ciasta i słodycze ułożone ozdobnie na stole, który w moim odczuciu był olbrzymi i niedosiężny jak wysoka góra. Zobaczyłam wirujące wokół mnie tęcze barwy sukni: różową satynę i błękitny brokat. Nosiło się wówczas inny fason spódnic, nie krynoliny, jak dzisiaj. Przypomniałam sobie zabawkę, jak i to, że pocałowałam Colina w podzięce.

— Droga kuzynko, chyba się rumienisz.

Spojrzałam na Colina, wyrwana z zamyślenia.

— I ramię mi już zupełnie zdrętwiało... — dodał.

— Och, wybacz! — Rozluźniłam uchwyt palców. — Przypominałam sobie! Pamiętam prawie wszystkich, którzy byli na tym przyjęciu! Bo byli wszyscy, prawda? Lecz oczom pięcioletki jawili się tylko jako anonimowa gęstwa męskich nóg i damskich spódnic. Nie widzę twarzy.

— Z czasem zobaczysz je.

Nasze oczy spotkały się ponownie i na długi czas przywarły do siebie spojrzzeniami. Nie wiem dlaczego, lecz wpatrując się tak w Colina, spróbowałam przywołać w myśli twarz Edwar-da, i nie udało mi się to.

— Myślę, że nie chcesz, bym przypomniała sobie wszystko — powiedziałam.

— Chcę, ale wolałbym, abyś przywołała pamięć tylko dobrych chwil. Nie chcę, by wspomnienia cię zraniły.

— Dziękuję, kuzynie: tak czy inaczej muszę tam pójść.

— Pójść dokąd?

— Do zagajnika, oczywiście. Wybieram się tam dzisiaj, żeby zobaczyć...

Teraz to on chwycił mnie za nadgarstek, i to z taką siłą, aż się skrzywiłam.

— Nie możesz tego zrobić, Leylo! Nie możesz tam pójść!

— Ale ja muszę, Colinie. Sprawiasz mi ból.

— To czyste szaleństwo! Nie przypomnisz sobie niczego poza przerażeniem, jakie przeżyłaś.

— Proszę, puść mnie.

Puścił wreszcie moje ramię, ale w jego oczach dojrzałam wzburzenie. Jak szybko ten człowiek potrafił się zmieniać, jak łatwo przechodził z nastroju w nastrój, niczym aktor zmieniający przebrania. A jego nieoczekiwane wybuchy, nieprzewidywalność zachowania po prostu mnie przerażały.

— Leylo, proszę...

— Idę, Colinie.

— Więc pozwól mi pójść z tobą.

— Po co?

— Nie pytaj. Po prostu pozwól mi towarzyszyć ci w tej wyprawie. Mogę okazać się potrzebny, jeśli... jeśli... gdybyś sobie przypomniała.

Wzruszyła mnie jego troska. Może ta braterska dbałość o mnie rekompensowała mniej chwalebne cechy charakteru Colina?

— Dobrze. Nie pójde bez ciebie. Wybieram się tam dziś po południu.

— Będę w pobliżu, Leylo. A teraz, jeżeli chcesz zobaczyć resztę domu, mogę cię oprowadzić.

Nagle przypomniałam sobie Gertrudę.

— Nie, dziękuję ci bardzo, Colinie, ale poczułam się zmęczona i chętnie odpocznę. Może zobaczymy się później?

Odprowadził mnie do pokoju, poczekał, aż zamknę za sobą drzwi, a potem udał się korytarzem w kierunku schodów — słyszałam jego kroki.

Kiedy mówiłam, że czuję się zmęczona, nawet nie mijałam się z prawdą, gdyż wydarzenia poranka były zaiste niebagatelnej wagi. Przyjęcie urodzinowe najwidoczniej pamiętne wydarzenie w życiu dziecka przypomniało mi się już po pierwszej wzmiance Colina i teraz miało już zostać ze mną na zawsze.

Pozostawała jeszcze kwestia listu. Usiadłam na sofie przy kominku i po raz tysięczny odczytałam jego treść.

*Droga Jenny — pisała ciotka Sylvia. — Proszę, wybacz, że komunikuję się z Tobą tak nagle po wszystkich tych latach milczenia, lecz tęsknię za Tobą i bardzo pragnę Cię zobaczyć. Wiem, co musisz czuć w związku z Hurst i nie winię Cię za to. Jednak wszystko to zdarzyło się już dawno i od tego czasu wiele się zmieniło. Bardzo chciałabym zobaczyć się z Tobą, ale nie mogę przyjechać do Londynu, ponieważ jestem już starą kobietą i pragnę być blisko rodziny, gdy Pan powoła mnie do siebie. Czy mogłabyś, proszę, przyjechać do nas na jakiś czas i przywieźć ze sobą małą Leylę? Przyniosłoby to mojej duszy ukojenie. Z wyrazami miłości, ciotka Sylvia.*

Był to zwykły list: niezwykle jednak było to, że nie został napisany przez moją cioteczną babkę. Kto w tym domu mógłby pragnąć naszego powrotu? Dlaczego, kimkolwiek był autor, nie napisał we własnym imieniu, ale posłużył się imieniem ciotki Sylvii, która musiała wówczas być już bliska śmierci?

Ze wszystkich zagadek, najakie natknęłam się w Hurst, ta zdawała się najbardziej niepojęta.

Wróciłam, odpowiedziałam na wezwanie zawarte w liście, a mimo to wszyscy domownicy okazywali zdumienie na mój widok. Było jasne, że wszyscy chcą się mnie jak najszybciej pozbyć, co mogło oznaczać tylko jedno: ktoś tu nie mówi prawdy.

## 8

Gertrudę przyszła, gdy tylko ją wezwałam. Kiedy pojawiła się w drzwiach, cała jej sylwetka emanowała niechęcią, a w oczach widniało strapienie. Dotychczas niewiele ze sobą rozmawialiśmy, mimo to żywiłam nadzieję, że uda mi się coś od niej wyciągnąć. By tego dokonać, musiałam posłużyć się całym sprytem, na jaki tylko mogłam się zdobyć. Widząc niepokój w jej oczach, obawiałam się, że nie podda się chętnie indagacji.

— Wiesz, Gertrudę — powiedziałam, gdy razem przemierzałyśmy pokój. — Żałuję, że nie miałyśmy dotąd okazji usiąść i spokojnie porozmawiać. Mamy przecież wiele wspólnych wspomnień z dawnych, dobrych czasów.

— Wie pani, panienko Leylo, że moja pamięć nie jest już tak dobra jak kiedyś.

— Moja także, jak zapewne ci wiadomo. Bardzo chciałam odzyskać wspomnienia, a jestem przekonana, że ty mogłabyś mi w tym pomóc, gdybyś tylko zechciała.

— Chciałabym pomóc, panienko, ale obawiam się, że nie potrafię.

— Co ci szkodzi spróbować? Kiedyś musiałyśmy być dobrymi przyjaciółkami, czuję to.

— O tak, tak, byłyśmy.

Usiadłyśmy obok siebie na sofie, przy małym stoliku, na którym Gertrudę ustawiła tacę z herbatą i biskwitami. Oznaki



nadejścia pogodnego ranka przenikały przez okna, rzucając na dywan słoneczne promienie. Choć nadal wiał silny wiatr, to niebo miało odcień wspaniałego błękitu, a powietrze zdawało się mile orzeźwiającej.

Obsłużyłam nas obie, pragnąc, by Gertrude poczuła się swobodniej. Na razie bowiem siedziała na skraju sofy, z łokciami przyciśniętymi do boków. Czas okazał się łaskawy dla naszej pruskiej gospodyni, gdyż pomimo wieloletniej służby i ciężkiej pracy jej twarz niemal pozbawiona była zmarszczek, a w jasnych włosach widniały tylko nieliczne siwe pasma. Musiała być w wieku ciotki Anny, to znaczy dobiegać sześćdziesiątki, lecz była nieco niższa i pulchniejsza od niej. Jako osoba sprawująca nadzór nad spiżarnią, miała potężne biodra i obfitą pierś, świadczące o tym, iż chętnie próbuje swoich wyrobów. Gertrude była dobrą gospodynią, lubianą przez podwładnych. Pracowała w Hurst od dawna; doglądała mojej matki w połogu.

— Z cukrem i śmietanką? Proszę, poczęstuj się biskwitem, Gertrude. Przywiozłam je z Londynu.

— W puszcze?

— Tak, lecz są naprawdę świetne. Czy nie zechciałybyś usiąść wygodniej?

— Mam wiele rzeczy do zrobienia, panienko, zanim rodzina wstanie.

— Nie jest jeszcze późno, a my nigdy nie mamy okazji do rozmowy, a jest o czym.

— Skoro panienka tak uważa...

— Nie tylko uważam, ja to wiem. Musiałaś przecież znać mnie jako dziecko. Czy piekłaś wtedy dla mnie, dla wszystkich dzieci?

Milczała przez chwilę, zastanawiając się nad odpowiedzią.

— Taa. Oczywiście, że piekłam.

— Twoją specjalnością był piernik, prawda?

— *Nein*, panienko Leylo. To ciotka panienki, panna Sylvia, piekła najlepsze pierniki. Wy, dzieci, bardzo lubiłyście mój gorący strudel z jabłkami.

— Ależ tak, oczywiście! Zupełnie zapomniałam.

— I gorącą czekoladę, którą przyrządzałam na sposób niemiecki. Taka jest lepsza niż angielska. Wszystkie dzieci wołały tę czekoladę od innej.

— Naprawdę?

Gertude wciąż pozostała sztywna. Ktokolwiek ją poinstruował, jak ma prowadzić rozmowę ze mną, wykonał dobrą robotę. A przecież na ogół gospodynie są dość sentymentalne i na to właśnie liczyłam.

— Czy był to także ulubiony napój mojego brata? — pytałam znienacka.

Zeszytniała jeszcze bardziej, trafiłam widać w czuły punkt.

— Mały Thomas był taki jak inne dzieci. Uwielbiał wszystko, co upiekłam.

— Nie pamiętam go, czy mogłabyś mi o nim opowiedzieć?

— Mam kiepską pamięć, panienko. Tylko bym panienkę rozczarowała. Nie mam nic do opowiadania.

Wiatr gwizdał za oknami i w kominie. Ten dźwięk zdawał się stanowić złą wróżbę dla naszej rozmowy.

Odstawiłam filiżankę i położyłam dłoń na ramieniu Gertrudę siedzącej sztywno, ze wzrokiem utkwionym w palenisku kominka.

— Gertrudę, proszę, postaraj się zrozumieć... Straciłam wszystkie wspomnienia z dzieciństwa spędzonego w Hurst, a rozpaczliwie pragnę wszystko sobie przypomnieć. Miałam nadzieję, że pomożesz mi w tym...

Pozostała niewzruszona. Najwidoczniej przeceniłam jej skłonność do sentymentalizmu albo nie doceniłam jej poczucia obowiązku. Skądkolwiek pochodził rozkaz — od babki czy wuja Henry'ego — ta kobieta miała zamiar go wykonać.

— No cóż — powiedziałam z westchnieniem. Tym razem rozczarowanie było łatwiejsze do zniesienia, bo już kolejne. Najpierw zawiodłam się na ciotce i wuju, potem na trójce kuzynów, następnie na babce, a teraz na Gertrudę. — Przepraszam, że oderwałam cię od obowiązków — dodałam. — Miałam jednak nadzieję, że dzięki tobie odzyskam choć część wspomnień, coś, co będę mogła pamiętać, zabrać ze sobą na dalsze życie i przekazać swoim dzieciom, kiedy dorosną. Możesz już iść, jeśli chcesz.

— Państwo będą chcieli śniadanie.

— Rozumiem.

Wstałyśmy z sofy, a wówczas przyszła mi na myśl jeszcze jedna sztuczka. Przyłożyłam nagle rękę do czoła i jęknęłam:

— Och, moja głowa...

Poskutkowało! Gertrudę zatrzymała się i spojrzała na mnie uważnie. W jej oczach dostrzegłam smutek, całe morze smutku. Nie była więc tak niewzruszona, jak się wydawało.

— Dokucz panience głowa? — spytała.

— Troszeczkę. — Nie było to prawdą, ale posłużyłam się tym wybiegiem, bo przypuszczałam, że uda mi się w ten sposób przełamać opór Gertrudę. Nie pomyliłam się.

— Zdarzało się to już wcześniej?

— No cóż, kiedy o tym wspomniałaś, uświadomiłam sobie, że istotnie w ostatnich miesiącach kilka razy bolała mnie głowa. Skąd o tym wiedziałaś?

— Biedna, mała Leyla. — Jej oczy nie mogłyby wyrazić więcej współczucia. — Na to samo cierpiał ojciec panienki, świeć Panie nad jego duszą. W ostatnich tygodniach miewał straszliwe bóle głowy.

Znów przez umysł przemknęło mi ulotne wspomnienie płaczu mężczyzny za zamkniętymi drzwiami.

— Cierpiał straszliwie, *Liebchen*, a żaden doktor nie potrafił mu pomóc. Dawaliśmy mu lekarstwa, wciąż więcej i więcej, aż w końcu nic już nie pomagało. Wtedy przyszła gorączka, a wraz z nią szaleństwo. Och, *Liebchen*, nie powinnaś pragnąć powrotu takich wspomnień! Są takie smutne, są tragedią.

Słuchałam jej ostrzeżeń jednym uchem. Choć wcześniej starałam się za wszelką cenę skłonić Gertrudę do mówienia, teraz coś innego zaprzętało mi umysł. Jakaś nieuchwytna myśl, której nie potrafiłam sprecyzować...

— Jesteś za młoda na bóle głowy, *Liebchen*. Twój ojciec był mężczyzną w kwiecie wieku, kiedy dotknęła go ta choroba, a dziadek niemal starcem. Modłę się do Boga, by okazało się, że to coś całkiem innego. Może po prostu jesteś zmęczona, albo wciąż przeżywasz śmierć matki...

Głos Gertrudę cichł; zdaiam sobie sprawę, że jej słowa nasuwają mi nową myśl. Bóle głowy, zwiększane wciąż dawki opium — wszystko to skojarzyło mi się z wujem Henrym. Niewątpliwie przeżywał teraz to samo co mój ojciec przed dwudziestu laty!

Przyjrzałam się twarzy Gertrudę, szukając w jej rysach oznak fałszu. Ale jej Izy były prawdziwe, nie wyglądały na wymuszone. Musiała być pewna, że ojciec naprawdę cierpiał z powodu wyniszczających bólów głowy. Ta część historii była zapewne prawdziwa, zważywszy na przerażenie widoczne w oczach Gertrudę i drżenie jej rąk. Mój ojciec najwidoczniej istotnie padł ofiarą jakiejś nie znanej choroby.

Gertrudę w końcu wyszła; widać było, że jest ogromnie przybita. Odczekałam cierpliwie, aż umilkł odgłos jej kroków na schodach. Być może to, jak z nią postąpiłam, nie było tak zupełnie w porządku, lecz wiele wyjaśniało. Wyglądało na to, że ojciec rzeczywiście cierpiał na jakąś szczególną chorobę, gdyż rozpacz Gertrudę zdawała się szczerą, a i ja czułam, że przebłyski wspomnień potwierdzają słowa gospodyni. Przypomniałam sobie jak przez mgłę jakiś pokój, do którego nie wolno mi było wejść, zamkniętego w nim mężczyznę, chyba mojego ojca, do którego desperacko próbowałam się dostać. Jeżeli rzeczywiście sprawy tak się miały, jeżeli w oczach Gertrudę naprawdę widniało współczucie i lęk, a moje wspomnienia były prawdziwe, to ojciec rzeczywiście musiał być bardzo chory.

Nadal jednak tkwiło we mnie przekonanie, iż — chory czy nie — nie popełnił przypisywanych mu czynów. Czegoś jeszcze brakowało mi do wypełnienia pustki w pamięci, a ponieważ Gertrudę, moja ostatnia nadzieja na uzyskanie informacji, zawiodła, postanowiłam poszukać rozwiązania zagadki gdzie indziej.

Było już późne popołudnie, kiedy zdecydowałam, że nadeszła odpowiednia pora, by udać się do zagajnika. Ciotka Anna drzemała po obfitym lunchu, kuzynka Martha zaabsorbowana była wyszywaniem nowej poduszki do salonu, wuj Henry i Theo nadal przebywali w East Wimsley. W domu panowała cisza, w której wyczuwało się coś złowieszczonego.

Chwyliłam narzutkę i czepek, wyszłam z pokoju i po cichu przemierzyłam hol, starając się, by nikt mnie nie zauważył.

Oczekiwałam, że spacer w zagajniku będzie jedną z najdo-  
nioślejszych chwil w moim życiu, chwilą, która przywróci mi  
wspomnienia i rozwiąże wątpliwości. Tam spodziewałam się  
odzyskać swoje dzieciństwo, ponieważ uwolnienie jednego złe-  
go wspomnienia, blokującego wszystkie inne, pozwoli mi po-  
znać także i te dobre chwile z minionych dawno dni. Pobyt  
w zagajniku pozwoli mi także odpowiedzieć na pytanie, kto  
zamordował mego ojca i brata, kto wysłał list, podszywając się  
pod ciotkę Sylvie, kto zapoczątkował tę nieprawdopodobną  
opowieść o szaleństwie Pembertonów i kto był w Hurst moim  
największym wrogiem.

Wychodząc z domu, nie dostrzegłam nikogo ze służby  
— nigdzie ani śladu pokojówki, lokaja ani też Gertrude. Nie  
widziałam również Colina. Zapomniał o obietnicy czy też zmie-  
nił zdanie? Wszystko jedno. Wyglądało na to, że będę musiała  
pójść do zagajnika sama. Nie załowałam jednak braku towa-  
rzystwa; pierwotnie planowałam przecież samotną wyprawę.

Wiatr znów się nasilił, jego lodowate porywy miotają ko-  
ronami nagich drzew. Czułam, że czubek nosa błyskawicznie  
mi ziębnie. Na niebie widać było szare chmury, spośród któ-  
rych dobiegł nagle odgłos przypominający głuchy turkot kół  
olbrzymiego wozu. Nadchodziła burza — z piorunami, błys-  
kawicami i ulewą, musiałam więc się pośpieszyć, by zdążyć na  
moje spotkanie z przeszłością.

Obiegłam dom, kurczowo trzymając obiema rękami poły  
płaszczka i spódnice. Wreszcie znalazłam się na ścieżce prowa-  
dzącej do stajen, skąd mogłam widzieć zielony trawnik opada-  
jący ze wzgórza ku odległemu, gęstemu lasowi w dole. Szare,  
wyglądające z tej odległości na niezwykle kruche drzewa ude-  
rzały o siebie gałęziami, miotanymi wściekłymi podmuchami.  
Olbrzymie cienie tańczyły na trawniku, kiedy pędzące po nie-  
bie chmury przesłaniały słońce. W miarę jak burza zbliżała  
się, coraz ich więcej gromadziło się na niebie. Cienie pokry-  
wały teraz cały trawnik, przepuszczając tylko pojedyncze pro-  
mienie światła słonecznego. Wyglądało na to, że moja wy-  
cieczka nie potrwa długo.

Podążałam ścieżką na szczyt wzgórza, skąd mogłam zobaczyć drogę prowadzącą w dół łagodnego wzniesienia, aż po jego zalesione podnóże. Z mego punktu obserwacyjnego mogłam także dostrzec wyrastającą pośrodku dużej polany gęstą kępę drzew rosnących blisko siebie i wyglądających jak oaza na pustyni.

Wiedząc, co to za zarośla, cofnęłam się nieco i z wahaniem popatrywałam w dół, przyglądając się zagajnikowi, który jawił się teraz moim oczom niby wróg, z którym przyjdzie mi walczyć o moje prawo do odzyskania przeszłości. Nagie akacje stały ciasno przy sobie, opierając się podmuchom silnego wiatru, jakby desperacko próbowały chronić patetyczny sekret, którego tak pilnie strzegły przez wszystkie te lata, dopóki nie zjawiłam się ja, aby im go wydrzeć. Tak, skoro zajdzie taka potrzeba, rzeczywiście może rozegrać się tu walka, gdyż jeśli wspomnienia nie wrócą same, spróbuję je do tego zmusić, choćby wymagało to przychodzenia do lasku, dopóki najmniej ważne z nich nie będzie należało do mnie — bez względu na to, jak przerażające mogłoby się okazać.

Stałam więc, jakbym znów miała pięć lat, i spoglądałam w dół na zagajnik, do którego niegdyś weszli mój ojciec i brat. Pozostali członkowie rodziny przebywali w domu albo, jak moja mama, pracowali w ogrodzie. Byłam małą, ciekawską dziewczynką, która chciała pójść z ojcem i bratem.

Zaczęłam więc schodzić w dół. Czy tamtego dnia także było zimno? Czy szare chmury również pokrywały niebo, zapowiadając rychłą burzę? A może zbiegałam w dół w ciepłym słońcu, udając, że jestem króliczkiem powracającym do swojej norki?

W miarę zbliżania się do zagajnika moje zdenerwowanie rośnie. Na razie nie wróciło do mnie żadne wspomnienie, nic, co pozwoliłoby mi sądzić, że już tu byłam. Wiatr smagał mnie po twarzy lodowatymi podmuchami, trawa chrzęściła pod stopami. Byłam jak podróżnik zwiedzający nie znany sobie ląd. Jakiegokolwiek wspomnienia wiązały mnie z tym miejscem, powinny były powrócić, kiedy znalazłam się na miejscu zdarzenia sprzed lat.

W końcu byłam świadkiem morderstwa, które sprawiło, że cała moja dotychczasowa pamięć zamknęła się przede mną. Próbując ocalić mnie przed wiedzą o tym przerażającym wydarzeniu, mój umysł zablokował także wszystkie inne wspomnienia — zarówno złe, jak i dobre. Aby je teraz odzyskać, będę musiała przełamać barierę dzielącą mnie od tego jednego, najstraszliwszego. Aby tego dokonać, muszę powrócić do punktu wyjścia.

Bałam się coraz bardziej. Co zobaczę oczami pamięci? Jakie przerażające obrazy będę musiała uwolnić, aby osiągnąć cel? Posuwając się niechętnie w stronę zagajnika, wmawiałam sobie, że przecież mogę w każdej chwili zrobić w tył zwrot i wrócić do domu, a potem do Londynu, gdzie mogłabym podjąć próbę wymazania z pamięci i tego, czego dowiedziałam się w Hurst. Ale mój ojciec był przecież niewinny — byłam tego pewna, a ja musiałam dowieść jego niewinności. Byłam to winna jego pamięci, sobie, a przede wszystkim mojej matce, która cierpiała z tego powodu przez ponad dwadzieścia lat.

Nagle stałam już obok pierwszych drzew zagajnika. Odwróciłam się i spojrzałam za siebie, na stary dom, stojący na szczycie zalesionego pagórka, wyglądający jak miejsce akcji żywcem wyjęte z romantycznej powieści. Wszystko, co mi się dotąd zdarzyło, było takie dziwaczne, absurdalne wręcz. Czy naprawdę wyjechałam z Londynu zaledwie kilka dni temu? Czy rzeczywiście jeszcze tak niedawno nie wiedziałam o podwójnym morderstwie popełnionym w tym lasku i o kłątwie, która — jakże dogodnie! — miała je usprawiedliwić? Czy rzeczywiście był taki czas, kiedy imiona Colin, Anna, Henry i Theo nic dla mnie nie znaczyły?

Musiałam stawić czoło zagajnikowi. Bez dalszej zwłoki, bez żadnego ociągania się. Przyszłam tu w określonym celu, a odkładanie spraw, które należało załatwić, nie leżało w moim charakterze. Pośrodku szerokiego, płaskiego trawnika o powierzchni akra rosła grupa drzew i gęstych krzaków. Drzewa rosły tak blisko siebie, że ktoś, kto znalazł się w środku zagajnika, nie mógł widzieć rozciągającej się wokół przestrzeni.

Wpatrywałam się w gąszcz zmrużonymi oczami, ze wszystkich sił starając się ujrzeć czwórkę dzieci bawiących się radośnie pośród średniowiecznych ruin. Nie udało mi się zobaczyć żadnego z nich — ani pięcioletniej Leyli, ani siedmioletniego Thomasa, dwunastoletniej Marthy czy czternastoletniego Colina. Widziałam tylko wyglądający groźnie ciemny las i nagie drzewa, wstrząsane podmuchami silnego wiatru.

Najtrudniej było mi zrobić pierwszy krok, reszta poszła już łatwiej. Kiedy tak parłam do przodu, z płaszczem i spódnicą ciasno przylegającymi do nóg, czułam się tak, jakbym przekraczała tajemnicze drzwi dzielące mnie od przeszłości. Wszystko wokół zdawało się ulegać dziwnej przemianie: wiatr ucichł i wiał teraz jakby w oddali, powietrze stało się bardziej przejrzyste, ostrzejsze, przepojone zapachem wilgotnej ziemi. Czułam, że mój umysł natęża się i walczy z sobą, rozpaczliwie próbując przywołać choćby ślad wspomnienia. Czy to wrazenie było częścią przeszłości, czy tylko wytworem wyobraźni?

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, dotarłam do środka lasu i zatrzymałam się. Oczywiście, szeroko otwarte i wytrzeszczone, bolały mnie od wytężonego wypatrywania czegoś, co mogłoby stać się pożywką dla pogrążonego w rozpaczy umysłu. Uszy chłonęły każdy dźwięk, a nozdrza wypełniły się zapachami. Wszystkie zmysły, nad którymi miałam kontrolę, pracowały do granic możliwości, próbując wypełnić mój umysł obrazem, zapachem, odgłosami, w nadziei uchwycenia najmniejszego choćby śladu, zdolnego w nagłym przebiegłym przywrócić mi pamięć.

Patrzyłam na zwałowisko kamieni, na wygładzone przez czas i wodę otoczaki. Widziałam porośnięty mchem mur z szarego kamienia i zgniły pień. Opuszczony ul. Czy którykolwiek z tych przedmiotów może poruszyć moją pamięć, zrywając wreszcie kurtynę, która zapadła nad przeszłością? Jakże byłam zdenerwowana! Jak rozpaczliwie pragnęłam, by przeszłość wróciła!

Czy wydarzyło się to właśnie tutaj? Ten „wypadek”? Czy jako pięcioletnie dziecko stałam opodal tego miejsca, przyglądając się, jak popełniano ów zbrodniczy uczynek — tam, przy kamiennym murze?



Spojrzałam szybko na fragment błękitu, widoczny pomiędzy wierzchołkami drzew. Oczami wyobraźni zobaczyłam złoty sygnet, sygnet z czerwonym kamieniem.

Spojrzałam znów na ruiny zamku, skupiając umysł na wspomnieniu sygnetu. Teraz widziałam również ręce mężczyzny. Nie... chyba nie mężczyzny. Dłoń była szczupła, koścista. Rubinowe oczko błysnęło w świetle słońca. Znałam ten sygnet. Widywałam go już.

A potem, tak nagle, jak się pojawił, obraz znikł i stałam znów w mrocznym lesie. Co znaczył ten rubinowy pierścień, błyszczący w słońcu? Kto umiałby wyjaśnić, jak funkcjonuje pamięć pięcioletniego dziecka? W żaden sposób nie potrafiłam doszukać się związku pomiędzy sygnetem — noszonym teraz przez Theo — a tym, co zaszło w lasu dwadzieścia lat temu. Może morderca miał go wówczas na palcu? Lecz w takim razie na pewno zapamiętałam coś więcej. Skoro jednak pamiętam sygnet, inne wspomnienia na pewno też w końcu powrócą. Czy ten właśnie sygnet ozdabiał dłoń, która dzierżyła nóż? Czy też był częścią zupełnie innego wspomnienia związanego z zagajnikiem? Być może jako dziecko przychodziłam tu z dziadkiem Johnem i zafascynowana przyglądałam się jego pierścieniowi? Może więc był to fragment jakiegoś szczęśliwego wspomnienia, nie mającego związku z morderstwem?

Jak, u licha, mam się tego dowiedzieć?

Nagle poczułam, że ciarki przebiegają mi wzdłuż kręgosłupa. Nie wywołały ich wspomnienia, lecz coś realnego, coś, co działo się teraz. Ogarnął mnie lęk, odniosłam bowiem wrażenie, że nie jestem już w lasu sama. Błyskawicznie rozejrzałam się dookoła. Cóż za absurdalne uczucie! Nikogo przecież nie widziałam ani nie usłyszałam niczego. A jednak pewna byłam, że jestem obserwowana.

Zdesperowana, zdobyłam się na to, by krzyknąć:

— Kto tam?!

Przez chwilę nasłuchiwałam, ale dobiegał mnie jedynie gwizd wiatru buszującego wśród drzew.

— Proszę się pokazać! Wiem, że tam ktoś jest i nie podoba mi się, że jestem śledzona!

Mimo że tego oczekiwałam, ruch w krzakach zaskoczył mnie. Czyjeś ciężkie stąpnięcia łamały uschłe gałązki, a silne ramiona odsuwały gałęzie na bok.

— Czyż dobre wychowanie nie nakazuje, by się przedstawić?! — krzyknęłam znowu, starając się, aby mój głos brzmiał pewnie. — Iw ogóle proszę dać sobie spokój z zabawą w szpiegowanie!

Nikt nie odpowiedział. Kroki najwyraźniej zbliżały się. Intruz pragnął widocznie pozostać nie rozpoznany, chociaż nie zadał sobie trudu, aby poruszać się cicho.

Czułam, że kark sztywnieje mi ze strachu. To niedorzeczne! Dlaczego ten ktoś się nie odzywa? Postanowiłam wziąć się w garść i nie okazać strachu w obliczu kogoś, kto prawdopodobnie obserwował mnie, szukając w moim zachowaniu śladu słabości.

Kroki rozbrzmiewały już bardzo blisko. Stałam w bezruchu, niemal nie oddychając i czując, jak serce wali mi w piersi.

— Witam — powiedział nagle przybysz.

Wciągnęłam gwałtownie powietrze i odwróciłam się.

— Colin! To wcale nie było zabawne!

— A kto powiedział, że miało być? — Wzruszeniu ramion towarzyszył niedbały uśmiezek.

— Dlaczego nie odezwałeś się, kiedy wołałam?

— Nie chciałem ci przeszkadzać.

— Rzeczywiście! — Położyłam dłoń na piersi w symbolicznym geście mającym uspokoić rozszalałe serce. — Zachowałeś się bardzo niestosownie.

— Przepraszam.

— Dlaczego mnie szpiegowałeś?

— Ponieważ sądziłem, że lepiej będzie pozostawić cię samej sobie. Po tym, jak zgodziłaś się, bym towarzyszył ci w wyprawie do zagajnika, jeszcze raz przemyślałem tę sprawę i doszedłem do wniosku, że lepiej będzie, jeżeli przyjdiesz tu sama. Moja obecność mogłaby zepsuć nastrój, na pewno trudniej byłoby ci się skupić. Tak czy inaczej, choć zdecydowałem, że powinnaś być w zagajniku sama, nie chciałem jednak, byś była n a p r a w d ę sama.

— A więc towarzyszyłeś mi w oddali. Godna podziwu troska, drogi kuzynie, lecz przestraszyłeś mnie niemal na śmierć.

— Daj spokój, czym jest ta kępa drzew w porównaniu z londyńską ulicą po zmierzchu? Z pewnością zetknęłaś się już z gorszym niebezpieczeństwem!

Mimo woli musiałam się uśmiechnąć, tym bardziej że odczuwałam zadowolenie z obecności kuzyna. W zagajniku panowała dziwnie niezdrowa atmosfera, która sprawiała, że czułam w sobie pustkę i przygnębienie, co nie wiązało się bynajmniej ze wspomnieniami minionych wydarzeń, lecz raczej z tym, czego dowiedziałam się od rodziny. W końcu było to miejsce, gdzie mój ojciec i brat zostali w tak okrutny sposób zamordowani. Miejsce odpowiedzialne za to, że musiałam przed laty wyjechać do Londynu.

— Czy przypomniałaś sobie coś? — spytał Colin.

Rozejrzałam się wokół jeszcze raz, przesuwając spojrzeniem po zrujnowanym murze i uschłych drzewach.

— Nie, Colinie, zupełnie nic. — Postanowiłam nie wspominać na razie o pierścieniu z rubinem. — Dziś jest chyba nieodpowiedni dzień. Może chodzi o pogodę? Czy wtedy, tamtego dnia... czy było ciepło?

— Tak. Ciepłej niż dziś i nie zanosiło się na burzę.

— Więc może to kwestia pogody. Będę musiała powrócić tu w jakiś ładniejszy dzień. Atmosfera musi być właściwa. Będę wracała tu tyle razy, ile okaże się konieczne.

— Czy to naprawdę dla ciebie ważne?

Spojrzałam na Colina, którego oczy zdradzały zatroskanie. O kogo się troszczył? Mogłam się tylko domyślać.

— Tak, bardzo ważne — rzekłam.

— A jeśli zajmie ci to dużo czasu?

— Wówczas będziesz musiał zapłacić mi gwineę.

— Zapłacić ci...? — Odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

Był to dobry śmiech, serdeczny i szczery. Sprawił, że musiałam się uśmiechnąć. Jakże niezwykle mogłoby być dorastanie z Colinem! Mógł być dla mnie starszym bratem, wskazującym mi właściwą drogę, a już na pewno rozbawiającym mnie

serdecznie. Nauczyłam się go rozumieć, tak jak rozumiała go Martha, zamiast dociekać przyczyn jego oryginalnego zachowania.

Jak bardzo Colin różnił się od Edwarda, a przecież wkrótce miał nadejść dzień, kiedy to ten ostatni zasiądzie z nami przy stole, dokonując milczącej oceny moich ekscentrycznych krewnych. Już niedługo mój znakomicie wychowany i w pełni przewidywalny Edward zajmie miejsce obok mojego nieokiełznanego kuzyna, przeklinając prawdopodobnie każdą minutę spędzoną w jego towarzystwie.

Scena, którą sobie wyobraziłam, wywołała szeroki uśmiech na mojej twarzy, co widząc, Colin stwierdził:

— Jednak nie jesteś aż tak przygnębiająco poważną dziewczyną. Chodź, Leylo, wydostałmy się z tego ponurego miejsca.

Odwrócił się i przeszedł kilka kroków w stronę skraju lasu.

— Nie wracaj tu zbyt szybko — zaproponował. — Daj sobie trochę czasu. Pozwól uspokoić się swemu umysłowi i, wróć tu, powiedzmy, kiedy przeczytasz dobrą książkę. Uważam, że wkładasz za wiele wysiłku w swe starania.

— Może masz rację...

— Następnym razem powinnaś wejść do zagajnika z innej strony — dodał.

Zatrzymałam się nagle.

— Dlaczego?

Twarz Colina znowu zmieniła się w maskę, gdy odpowiedział:

— No cóż, jeśli naprawdę pragniesz odtworzyć atmosferę tamtego dnia, to powinnaś przynajmniej znaleźć się we właściwym miejscu.

Spojrzałam na niego przez ramię.

— Właściwym miejscu?

— Tak. Dzisiaj nie trafiłaś tam. Kiedy siedziałaś ukryta pomiędzy krzewami, obserwując przed dwudziestu laty swego ojca i brata, znajdowałaś się zupełnie gdzie indziej.

## 9

Gdy wróciliśmy do domu, przekazano nam dwie wiadomości. Po pierwsze, wuj Henry leża! chory w swoim pokoju a po drugie, babka Abigail życzyła sobie zobaczyć się ze mną. Żadna z tych nowin nie poruszyła mnie zbyt, gdyż odkąd rozstałam się z Colinem i wbiegłam po schodach do swego pokoju, jedno tylko kołatało mi w głowie: skąd Colin wiedział, gdzie stałam ukryta tego dnia, dwadzieścia lat temu?

Niczym we śnie zamknęłam za sobą drzwi, niedbale rzuciłam na łóżko płaszcz i czepek, po czym z westchnieniem opadłam na ławę przed toaletką. Dziś lustro nie ukazało mi jednak pobladłej twarzy, bezkrwistych warg czy pustego spojrzenia. Przeciwnie, policzki miałam zarumienione, a wargi czerwone. Oczy mi płonęły, wyglądałam tak, jakby moje ciało powróciło nagle do życia.

To dlatego, że zobaczyłam zagajnik — tłumaczyłam sobie. Albo może to skutek pogody — zimnej i wietrznej. I długiej drogi na wzgórze. A może jestem tak ożywiona, bo przypomniałam sobie rubinowy sygnet? Wynajdowałam coraz to nowe powody, za wszelką cenę starając się zaprzeczyć ogarniającemu mnie podejrzeniu, iż to kuzyn Colin wywiera na mnie tak ożywczy wpływ.

Kiedy wyszczotkowałam włosy i właśnie miałam spleść warkocz, usłyszałam głosy na dole. Rozpoznałam głos Gertrudę, ciotki Anny i Theo. Każde z nich starało się w jakiś sposób ulżyć wujowi Henry'emu, który, jak mnie poinformo-

wano, cierpiał znów na dokuczliwy ból głowy. Ja jednak zignorowałam krzątanicę za drzwiami, gdyż umysł miałam zbyt zaprzątnięty innymi sprawami, które domagały się natychmiastowego przemyslenia.

Podobnie jak wszystkie dotychczasowe dni mego pobytu w Hurst także i ten obfitował w rewelacje, rodzące liczne pytania. Na przykład sprawa autorstwa listu od ciotki Sylvii, o której nie zapomniałam, choć odłożyłam ją na później. Teraz doszły jeszcze słowa Colina. Skąd wiedział, gdzie się ukryłam? Skoro byłam tam tylko ja i skoro znaleziono mnie stojącą przy ciałach, skąd mógł ktoś wiedzieć, gdzie wcześniej byłam ukryta?

Nagle ktoś mocno zapukał do drzwi.

— Leylo? — usłyszałam zaniepokojony głos Theo.

— Wejdz, proszę — powiedziałam, odwracając się w stronę wejścia.

— Leylo... — wsunął głowę przez drzwi, wytrzeszczając oczy podobne do oczu ryby. — Co ty, do licha, wyprawiasz?! Babka czeka...

— Och, babka! Jak widzisz, właśnie szcnotkuję włosy. Babka będzie musiała więc chwilę zaczekać.

Biedny Theo z wrażenia do reszty zapomniiał o zasadach dobrego wychowania i wpakował się do pokoju.

— Doprawdy, Leylo, będziesz musiała się wiele nauczyć. Rozumiemy, że okoliczności, w jakich dorastałaś i tak dalej... Lecz będziesz musiała się zmienić. Jeżeli masz zostać członkiem naszej rodziny, musisz przestrzegać zasad, którymi my wszyscy się kierujemy. Zasada numer jeden głosi zaś, iż pod żadnym pozorem nie wolno skazywać babki na wyczekiwanie.

— Przepraszam bardzo — rzekłam dość chłodno. Wstałam, zrzucając szcnotkę na podłogę. — Czy inna wasza zasada głosi, że można bezceremonialnie wchodzić do pokoju młodej damy, która nie przebywa w towarzystwie przyzwoitki? Och, Theo, miałam ciężki dzień. Przed spotkaniem z babką chciałabym nieco odpocząć, ogarnąć się i napić herbaty.

Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale nie dopuściłam go do głosu.

— Co więcej, drogi kuzynie, babka czekała dwadzieścia lat, by mnie zobaczyć, może więc poczekać jeszcze chwilę.

— Dobry Boże, co w ciebie wstąpiło?

— Nic! — Pochyliłam się i podniosłam szczotkę.

— Gdzie ty w ogóle byłaś! Wyglądasz, jakbyś zobaczyła diabła, Leylo.

Usiadłam z rozmachem na ławie, aż skrzypnęła, i przesunęłam szczotką po włosach.

— Poszłam do zagajnika — oświadczyłam.

— Cóżże zrobiła? — szepnęła grubiańsko.

— Poszłam do zagajnika — powtórzyłam.

Zobaczyłam w lustrze, że twarz kuzyna zbiełała nienaturalnie.

— Leylo, ja... nie... — Przesunął ręką po czole. Zwróciłam się do niego poważnym tonem:

— Co takiego? O co chodzi?

Przez chwilę rozglądał się za krzesłem, w końcu przysunął je sobie i usiadł, kiwając głową, najwyraźniej skonsternowany. Ta utrata panowania nad sobą bardzo nie pasowała do mego kuzyna.

— Proszę, powiedz mi, co się stało? — nalegałam.

Gdy jego spojrzenie napotkało w końcu mój wzrok, przestraszyłam się, gdyż w jego oczach dostrzegłam strach i zmartwienie. Przez chwilę myślałam, iż spowodowane zostały moim zachowaniem, lecz szybko zorientowałam się, że nie w tym rzecz.

— Nie powinnaś była tam chodzić... — Wydawało się, że słowa z trudem przechodzą mu przez gardło. — Naprawdę, nie powinnaś była.

— Dlaczego? Och, Theo, co tu się stało?

— Powiedz mi, Leylo, czy... czy przypomniawsz sobie coś?

Spojrzałam na rubinowy sygnet na jego palcu, sygnet, który tak pięknie błyszczał w słońcu i był w jakiś sposób związany z minionymi wydarzeniami w lasku. Przez chwilę wahałam się, a potem powiedziałam:

— Nie, nie przypominałam sobie niczego.

Choć ulga odbiła się wyraźnie na jego twarzy, głos pozostał napięty.

— To mogłoby się okazać dla ciebie niszczące, gdybyś przypomniała sobie wszystko. Bóg ulitował się nad tobą, odbierając ci pamięć. Gdybyś musiała zobaczyć to wszystko jeszcze raz... Mój Boże, to było potworne!

Przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w mego kuzyna, obserwując jego niespokojne gesty i przyglądając się, jak strapienie zmienia rysy jego twarzy. Miałam rację. Theo martwił się czymś innym niż tylko moim zachowaniem. Chyba nawet wiedziałam, o co chodzi; obawiał się tego, co mogłam sobie przypomnieć.

— Zapewniam cię, że odzyskanie przeze mnie pamięci nie byłoby tak tragiczne w skutkach, jak przypuszczacie — powiedziałam spokojnie. — Mieszkając tyle lat w Londynie, byłam już świadkiem wielu okropnych wydarzeń i śmierć nie jest dla mnie nowością, podobnie jak widok krwi. Pewnego razu widziałam na przykład, jak jakiś człowiek stracił nogi, przygnieciony wózkiem z jarzynami...

— To nie to samo, Leylo. — Oczy Theodore'a zdawały się wychodzić z orbit, rozłożył dłonie jakby w błagalnym geście. — Wypadki z pewnością bywają przerażające, ale tylko fizycznie. Morderstwo natomiast to także straszliwe przeżycie emocjonalne. Widok mordowanego ojca i brata musi przerażać jeszcze bardziej. Nie mogę pojąć, dlaczego tak pragniesz odzyskać wspomnienia, Leylo. Po prostu nie mogę tego zrozumieć.

Tym razem nie zerwałam się na równe nogi, lecz wstałam spokojnie i skierowałam się w stronę drzwi.

— A ja uważam, że rozumiesz, Theo.

— Cóż to ma oznaczać?

— Wiesz dobrze, dlaczego pragnę sobie przypomnieć, co widziałam tamtego dnia, i sądzę, że zrobiłbyś wiele, by mi w tym przeszkodzić.

Zerwał się z krzesła.

— Doprawdy! Wyprowadziłaś już z równowagi Marthę, opowiadając jej okropne rzeczy, aleja nie zamierzam ci na to pozwalać. A twój spacer do zagajnika i tak okazał się bezowocny.

— Tym razem tak, lecz będą inne okazje. — Spojrzałam na jego sygnet. — Być może za każdym moim tam pobytom



uda mi się osłabić barierę dzielącą mnie od przeszłości. Pewnego dnia może się zdarzyć, że pogoda będzie odpowiednia, nastrój właściwy i nawet światło takie samo jak dwadzieścia lat temu. A wtedy, drogi kuzynie, przypomnę sobie wszystko.

Wygłosivszy te słowa, odwróciłam się na pięcie i wyszłam z pokoju. Miałam wprawdzie zamiar zmienić suknię przed spotkaniem z babką, lecz Theo zdenerwował mnie i jak najszybciej chciałam znaleźć się możliwie daleko od niego. Odziedziczył nie tylko wyłupiaste oczy swej matki, jej nerwową gestykulację, ale i zwyczaj mówienia wszystkiego poza tym, co myśli naprawdę. Zdradzał też nader niepokojącą skłonność do komenderowania mną, tak jak komenderował matką i Marthą. Ja jednak zbyt długo byłam pozostawiona samej sobie, by jakimkolwiek mężczyźnie pozwolić na pełnienie roli mego pana i władcy.

W takim właśnie nieprzejeźdanym nastroju udałam się do babki Abigail. Gniew, irytacja i smutek sprawiły, że stanęłam przed drzwiami jej sypialni niespokojna i zupełnie nie przygotowana, by stawić jej czoło. Pomimo to, nie zwlekając ani chwili dłużej, przyglądałam stanik sukni, otrzepałam nieco spódnice i lekko zapukałam do drzwi.

— Wejdz — powiedziała.

Wszystko wyglądało tak samo jak poprzedniego wieczoru. W pokoju panował mrok, rozświetlony tylko słabymi płomnikami lamp naftowych i migotliwym światłem świec. Wszystko to sprawiało wrażenie, iż znalazłam się w kaplicy. Babka siedziała znowu w swoim ulubionym fotelu z prostym oparciem, złożywszy swe małe stopy na stołeczku, a dłonie na oparciu fotela. Ukośny cień znów padał jej na twarz tak, że sama nie będąc widoczna, mogła obserwować twarz gościa. Tym razem nie miałam jednak zamiaru pozwolić jej rozegrać tej partii tak, jak zamierzała, gdyż poznałam ją trochę; przypuszczałam też, że wiem już, o co jej chodzi. Zamiast więc stanąć przed nią, pozwalając, by światło lampy świeciło mi prosto w twarz, podeszłam do kominka, gdzie mogłam być widoczna tylko jako sylwetka mająca w mroku. Zmusiło to babkę do obrócenia głowy, na co — jestem pewna — nie miała ochoty.

- Dlaczego tam stanęłaś? Nie widzę cię.
- Zimno mi, babko.
- Podejdź bliżej, dziecko, moje oczy nie są już tak dobre jak twoje.
- Wolałabym pozostać w pobliżu ognia, jeśli pozwolisz. Strasznie tu zimno.

Po ledwie wyczuwalnym wahaniu powiedziała:

— Nie powinnaś więc była wychodzić dziś na dwór. Zanim stanęłaś na progu naszego domu, świeciło w Hurst słońce, a teraz nic tylko ten diabelski wiatr. Uważaj, dziecko, szatan depcze ci po piętach.

— Przechadzka podczas chłodnej pogody jest zdrowa, babko.

— Podobnie jak wizyty w zagajniku?

A zatem wiedziała. Czy mnie to zdziwiło? Zważywszy na fakt, iż Theo nie wiedział o mojej wyprawie — tak. Kto jej powiedział? Kto poza Colinem wiedział, że byłam w zagajniku? Oczywiście, ktoś mógł nas widzieć, ale przypuszczałam raczej...

— No i niczego sobie nie przypomniałaś — mówiła dalej babka z ledwie skrywanym zadowoleniem w głosie.

Dobry Boże, czy to Colin jej powiedział?

— Mylisz się, babko. Coś sobie jednak przypomniałam.

Choć niedostrzegalnie, babka nagle zmieniła się. Nie wykonała żadnego ruchu, nie wydała dźwięku, lecz a t m o s f e r a w pokoju uległa zmianie. Stała się wprost nasycona wrogością; cienie na ścianach ściemniały, a wiatr za oknami zawył głośniej.

— Cóż takiego mogłaś sobie przypomnieć? Pewnie nic ważnego.

— Nie wiem, babko. To się dopiero okaże. Był to zaledwie przebłysk pamięci, lecz nastąpił właśnie w lasku i jestem pewna, że doprowadzi do dalszych odkryć. — Kiedy mówiłam, moje oczy mimo woli pobiegły ku jej dłoniom, pokrytym brązowymi plamami, twardym i guzowatym niczym pędy bambusa. A potem wyobraziłam sobie, jak te dłonie musiały wyglądać dwadzieścia lat temu — silne, kościste i zapewne upierścienione.

— Czy powiesz mi, co to było, Leylo?

Spojrzałam na prawie niewidoczną, ukrytą w cieniu twarz babki, odzianej od stóp do głów w czarną koronkę. Obrała najwyraźniej nową taktykę — zamiast nazywać mnie dzieckiem i na każdym kroku podkreślać moją podległość, prosiła, i to nazywając mnie po imieniu. Wzmogło to moją czujność, toteż natychmiast zaczęłam się zastanawiać, co babka knuje.

— Rozumiem twoją niechęć, moja droga, i żałuję, że nie potrafię sprawić, byś czuła się swobodniej. Nie musimy wcale być wrogami; w końcu płynie w nas ta sama krew. Jestem matką twego ojca. Powinniśmy zostać przyjaciółkami.

— Próbowałam wczorajszego wieczoru.

— Jesteś bardzo samolubnym dzieckiem, Leylo, a twój młody wiek usprawiedliwia cię tylko częściowo. Myślisz wyłącznie o własnym samopoczuciu, nie zadając sobie trudu zrozumienia racji innej osoby. Przyjechałaś tutaj pełna nadziei, naiwnych oczekiwań i to, co zastałaś, bardzo cię rozczarowało. Zamiast łez radości i gotowej na przyjęcie kochającej cię rodziny znalazłaś dom pełen obcych, których twoje nagłe pojawienie się wytrąciło z równowagi. A potem, jak rozpuszczone dziecko, którym w istocie jesteś, postanowiłaś nie przyjmować do wiadomości tego, co zastałaś, i zaczęłaś snuć melodramatyczne, głupie fantazje na nasz temat, fantazje, w których nie ma cienia prawdy. Twoje oskarżenia, Leylo, z pewnością się nam nie spodobały. Uważamy, że nie jesteś wobec nas w porządku.

Pozostałam przy ogniu jeszcze przez chwilę, by zastanowić się nad usłyszana opinią, a potem, doszukawszy się w słowach babki odrobiny prawdy, podbiegłam do fotela i opadłam na kolana.

— A co ze mną? — spytałam. — Czy zadaliście sobie trud postawienia się w mojej sytuacji? Czy możecie sobie wyobrazić, jak się czułam, wracając tu i niemal błagając, byście mnie pokochali, a w zamian doświadczać jedynie podejrzliwości i obojętności? Wysunęłam te oskarżenia tylko dlatego, że wy postąpiliście podobnie wobec mojego ojca!

Tak, przyjechałam tu pełna nadziei i oczekiwań, ponieważ sądziłam, że zasługuję na serdeczne przyjęcie. Przez lata całe, babko, kiedy przyodziewając się w łachmany i jedząc byle co, walczyłyśmy z matką o przetrwanie w slumsach Londynu, przez wszystkie te lata marzyłam o ponownym ujrzeniu tego domu i wytwornych ludzi, którzy w nim mieszkają. Powinnam była zostać potraktowana jak owieczka powracająca do stada, nie jak intruz. Tutaj się urodziłam, babko, i tu przynależę. Wyjechałam nie z własnej woli; zostałam zabrana. Gdyby to ode mnie zależało, nie opuściłabym Hurst. Nie jest moją winą, że mieszkałam daleko stąd. Kiedy tylko nadarzyła się okazja — zaraz po śmierci matki — powróciłam do Pemberton Hurst i do rodziny. Powiedz mi, proszę, w jaki sposób tak bardzo was uraziłam!

Ze zdziwieniem dostrzegłam, że oczy babki wypełniły się łzami. Nie patrzyła na mnie, wzrok jej skierowany był gdzieś przed siebie. Widać jednak było, że moje słowa głęboko ją poruszyły.

— To szatan sprawił, że musiałaś nas opuścić, Leylo — powiedziała nieobecny głosem. — Twój biedny ojciec, a mój ukochany syn, został nawiedzony przez demony i pod ich wpływem popełnił straszliwe czyny. Nasza rodzina jest skazana, wszyscy Pembertonowie pójdą w jego ślady.

— Ależ to nieprawda, babko! Mój ojciec był niewinny. Szatan nie ma z tym nic wspólnego! Nie ma żadnej klątwy, żadnego szaleństwa, na które rzekomo jesteśmy skazani. Nie wiem, dlaczego wszyscy upieracie się, by w to wierzyć, lecz czuję, że to nieprawda, i chcę to udowodnić. Gdybym tylko przypomniała sobie, co zobaczyłam tamtego dnia...

— Nie, Leylo! — Siła jej głosu zaskoczyła mnie. — Daj temu spokój. Nie powinnaś była wracać; to zły pomysł. Pozwól zmarłym spoczywać w pokoju i wracaj do Londynu. — Jedną z kościstych rąk schwyła moją dłoń z niespodziewaną siłą. — Leylo, droga Leylo. Wyjedź z tego domu, i to natychmiast! Narażasz się na wielkie niebezpieczeństwo! Wyjedź stąd i nigdy nie wracaj! Zaklinam cię!

Łzy popłynęły mi po policzkach, gdy przyglądałam się, jak drżącej cienkie wargi, kiedy błaga mnie o opuszczenie domu.

Wyobraziłam sobie, jaki koszmar musiała przeżywać, wiedząc, że syn i wnuk zostali w potworny sposób zamordowani. Pomyślałam, że wspomnienia tych strasznych wydarzeń wciąż do niej wracają, do czego przyczyniła się zapewne moja obecność.

— Wybacz mi, proszę — szepnęłam. — Nie mam jednak wyboru. Jestem to winna swemu ojcu.

— Twój ojciec nie żyje!

— A zatem jego nieszczęsnej pamięci oraz pamięci mojej matki, cierpiącej przez dwadzieścia lat z powodu rzekomej zbrodni popełnionej przez ojca. Muszę udowodnić, że wszyscy się mylili — dopiero wówczas będę mogła zająć się własnym życiem. Nie mogłabym wyjechać stąd i spokojnie poślubić Edwarda, gdyż miałabym świadomość, że w jakiś sposób zawiodłam ojca i matkę. Mam nadzieję, że zrozumiesz to, babko... — Pozwoliłam, by moje łzy spadły na jej dłoń. — ...Ze będziesz chciała oczyszczenia pamięci twego syna.

— To zbyt bolesne — jęknęła. — Nie mogę tego znieść...

Pozostałam przy niej na tyle długo, by moje łzy obeschły, a potem, stając niepewnie na nogi i ocierając policzki, powiedziałam:

— Jak przypuszczam, to w pewnym sensie moja wina. Gdybym tu nie wróciła, oszczędziłabym wam bólu; wuj Henry i Theo nadal zarządzaliby fabrykami, ciotka Anna bez przeszkód zajmowałaby się domem, a Martha byłaby szczęśliwa, haftując poduszki. Colin... No cóż, Colin pozostałby dla was tym samym utrapieniem, jakim jest. Wybacz mi, ale wróciłam i muszę skończyć to, co zaczęłam.

Podeszłam do drzwi, uświadamiając sobie, że jestem o wiele spokojniejsza, niż mogłam oczekiwać. Mimo to zaważałam się, zanim nacisnęłam klamkę. Z głębi pokoju dobiegł mnie głos babki:

— Czym to się skończy?

Czarna ściana wyrosła mi tuż przed oczami. Wiedziałam, że to drzwi prowadzące na korytarz. W tym jednak momencie wydało mi się, że to moja przyszłość stoi przede mną, równie ponura i obca, jak moja przeszłość. W tej krótkiej chwili poprzedzającej otwarcie drzwi wydało mi się, iż jestem osobą, która nie wie ani dokąd zmierza, ani też skąd przybyła. Moja

przeszość i przyszłość pozostawały nieznane, a wyglądało na to, że i terażniejszość nie przedstawia się zbyt pewnie.

— Skończy się to połączeniem przeszłości z terażniejszością, babko — odparłam jednak spokojnie.

— Co to da? I tak wszyscy wiemy, co niesie przyszłość.

Odwróciłam się, by spojrzeć na nią, usadowioną w przytulnym mroku niczym pustelnik zamknięty na zawsze w czasie minionym, odmawiający zrobienia kroku w przyszłość. Czy żyła tak od tego fatalnego dnia przed dwudziestu laty? Czy też pograżyła się w samotności po śmierci ojca Colina, w osiem lat później? A może kroplą, która przepełniła czarę, stał się samobójczy skok męża ze wschodniej wieży przed dziesięciu laty?

— Nie wierzę w tę czarną przyszłość! Nie ma żadnej kławy. Pembertonowie nie są skazani — powiedziałam.

— Tak sądzisz? — dobiegł mnie słaby głos dobiegający z mroków przeszłości. — A zatem powtarzaj to sobie za każdym razem, kiedy odwiedzisz wuja Henry'ego, ponieważ historia znowu zaczyna się powtarzać.

Przez „historię” rozumiała zapewne objawy, które najwidooczniej towarzyszyły obłądowi: bóle głowy, gorączkę, delirium, a w końcu śmierć. Taki podobno był przebieg śmiertelnej choroby brata sir Johna, Michaela, zmarłego czterdzieści pięć lat temu. Mój ojciec także zmarł podobną śmiercią, a potem ten sam los spotkał sir Johna. Wuj Henry miał być następną ofiarą.

Gdy wreszcie wyszłam z pokoju babki, ciotka Anna wydała się wręcz nieprzytomna ze zmartwienia. Dobrą chwilę zajęło mi otrząśnięcie się z nastroju, w jaki za jej sprawą popadłam, i to tylko po to, by zdać sobie sprawę z panującego wokół zamieszania. Obok mnie przebiegła Gertrudę z depczącymi jej po piętach dwiema pokojówkami, z których jedna niosła poduszkę, a druga tacę z herbatą. Ciotka Anna stała obok drzwi ich małżeńskiej sypialni, ściskając dłonie, aż stały się niemal zupełnie białe, a starannie ułożone zazwyczaj loczki zwiślały jej do ramion niczym pędy dzikiego wina.

— O Boże, Boże... — powtarzała. Oczy prawie wychodziły jej z orbit, a twarz ściągnęła się w wyrazie rozpaczy.

Kiedy podeszłam i położyłam jej dłoń na ramieniu, spojrzała na mnie nieprzytomnie i powiedziała:

— Och, Jenny, odchodzę od zmysłów. Już nie wiem, co robić.

— Wuj Henry...?

Skinęła potakująco głową.

— Wezwaliśmy doktora Younga. Przyszedłby wcześniej, lecz w fabryce zdarzył się jakiś wypadek. Chłopak powiedział, że doktor zjawi się, gdy tylko będzie mógł. Nie wiem, co robić do tego czasu.

Już miałam zamiar wejść do swego pokoju, gdy jej pulchna dłoń powstrzymała mnie.

— Dziś jest gorzej, Jenny, gorzej niż dotąd, niż wczorajszej nocy i przedwczorajszej. To tak samo jak u Roberta... Pamiętasz, zaczęło się od lekkich bólów głowy, które jednak pojawiały się coraz częściej i coraz silniejsze, a w końcu stały się nie do zniesienia.

Drgnęłam na odgłos krzyku dobiegającego z pokoju. Rozpoznałam zduszony głos wuja, cierpiącego najwidoczniej straszliwie.

— Na razie nie ma gorączki, Jenny — mówiła dalej ciotka gwałtownym szeptem. — Ale i ona się pojawi, zobaczysz. Jego czas nadszedł. O Boże, mój biedny Henry! — Przycisnęła dłonie do twarzy i wybuchnęła niepowstrzymanym łkaniem.

Wpadła w histerię, nie ulegało wątpliwości, że wpadła w histerię, a o nasileniu jej zdenerwowania najdobitniej świadczył fakt, iż brała mnie za moją matkę. Widziałam, że znajduje się u kresu wytrzymałości i że to pełne podporządkowanie się „nieuniknionemu” przywiodło ją do zguby. Nie mogąc zaoferować nic więcej jak tylko pocieszający uścisk, wysunęłam się z jej objęć i cicho przekradłam do zaciemnionego pokoju, gdzie leżał wuj miotając się pośród wilgotnej pościeli.

Zmierzwione włosy przylepiły się do jego spoconego czoła. Twarz miał szarą, a wargi pozbawione koloru. Zbliżyłam się ostrożnie, niepewna, co zrobić czy powiedzieć, tylko na pół świadoma milczącej obecności Gertrudę, która stała w mroku niczym zapomniana zbroja.

Wuj Henry jęczał, zaciskając powieki w atakach bólu. Widząc to skotłowane łóżko, tę pobielającą twarz i słysząc jęki, wydarte cierpieniem, poczułam, że moje serce rwie się do niego. Przeciwnik czy nie, był przecież bratem mego ojca i człowiekiem straszliwie cierpiącym.

— Wuju Henry — szepnęłam, osuwając się na kolana.  
— Wuju Henry...

Biedna, umęczona głowa przetoczyła się na bok i nagle dojrzałam oczy wuja o źrenicach nie większych niż główka szpilki.

— Boże... — westchnął z trudem suchymi, splekanymi ustami. — Jenny, ja umieram.

— Nonsens, wuju. — Położyłam delikatnie dłoń na jego czole, zdumiona chłodem chorego ciała. — To minie. Wyzdrowiejesz.

— Nie, nie — szepnął. — Wuj Michael, mój ojciec, mój brat, Robert, a teraz ja. Potem przyjdzie kolej na Colina i Theo. I na Marthę, i Leylę, małą Leylę. Wszyscy jesteśmy Pembertonami. O Boże... — Zacisnął znów powieki, a jego ciałem wstrząsnął kolejny spazm. — Głowa zaraz rozpadnie mi się na kawałki! Boże, dopomóż mi! — Jego głos wzniosł się do krzyku. — Boże, pomóż mi!

— Proszę, uspokój się — powiedziałam łagodnie. — Wyzdrowiejesz, wuju, wiem, że wyzdrowiejesz.

Powiedziałam to bardziej dla przekonania samej siebie niż jego, gdyż otaczająca nas wszystkich atmosfera nieuniknionej katastrofy sprawiała, że serce zamierało mi w piersi. Miałam również wrażenie, że i tak nie docierają do niego moje słowa. Pograżony w cierpieniu, trwał pomiędzy przeszłością a terażniejszością, między śmiercią mego ojca a moim przybyciem. Jego spojrzenie nabrało nagle dzikiego wyrazu. Widziałam, że wuj traci kontakt z rzeczywistością.

— Dobry Boże, nie pozwól mi popełnić czynów, do których zmuszony został mój brat. Proszę, oszczędź mi tego. Nie pozwól, bym stał się następną przyczyną tragedii w rodzinie! — szepnął.

Wpatrywałam się w niego przerażona. Jego palce rozpaczliwie szarpały prześcieradła, a oczy wpatrywały się nieprzy-



tomnie w sufit, zachował jednak tyle świadomości, by obawiać się czynów, które mógłby popełnić w ataku szaleństwa. Dwa-dzieścia lat temu widział cierpienia brata, widział te same objawy, które w końcu doprowadziły do przerażających czynów.

— Nie, wuju Henry! — krzyknęłam. — Nie bój się! Mój ojciec nie popełnił żadnej zbrodni On był ofiarą, nie zabójcą.

— Nie wiesz tego, Jenny. Nie było cię tam.

— Ja tam byłam! Leyla! — Uderzyłam zaciśniętą w pięść dłońią w czoło. Gdybym tylko mogła sobie przypomnieć! — Wuju Henry, gdybym mogła sobie przypomnieć, co widziałam tego dnia w lasku, mógłbyś przestać się zamartwiać. Wiem, że mój ojciec nie był mordercą, i wiem, że także ty nim nie będziesz. Nie rozumiesz? Wmówiłeś sobie, że...

— Mój Boże! — krzyknął, szarpiąc obiema dłońmi włosy. — Ten ból! Jakby ktoś wetknął mi w mózg rozżarzony pogrzbacz!

Zaczął rzucać się tak mocno, że poczułam strach. W następnej chwili ciotka Anna już pochylała się nad nim, obejmując go i pocieszając.

— Cicho, kochanie — powiedziała, a łzy spływały jej po twarzy. — Uspokój się, wszystko będzie dobrze. Doktor Young już jedzie.

Kiedy wuj się uspokoił, ciotka odwróciła się do mnie i przemówiła z taką gwałtownością, że aż się przestraszyłam.

— To przez ciebie! Ty go zdenerwowałaś! Wynos się stąd i nie wracaj, dopóki jest tak chory!

— Ależ... Chciałabym pomóc... — wyjąkałam.

— Zrobiłaś już dosyć! Wyjdź stąd!

Odsunęłam się od ciotki, jakby była pensjonariuszką St Mary's i odszukałam drogę do drzwi. Wokół mnie roztaczała się scena niczym z nocnego koszmaru — głębokie cienie, ukośne kąty, wszystko to sprawiało, że moje ramiona pokryły się gęsią skórka.

Widok wuja, silnego mężczyzny, którego chciałam traktować jak ojca, wuja miotającego się bezsilnie po łóżku i pogrą-

żonego w delirium, wstrząsnął mną do głębi. Brakowało mi słów, nie mogłam rozumować logicznie. Wszystko, na co mogłam się zdobyć, to była ucieczka do mego pokoju.

Śmierć zdawała się otaczać mnie ze wszystkich stron. Wyczuwałam wokół obecność duchów: mego ojca i brata, dziadka, który zginął samobójczą śmiercią, zabitych w wypadku ciotki Jane i wuja Richarda, samobójcy Michaela, zmarłej nieoczekiwanie ciotki Sylvii i mojej matki, której przedłużająca się choroba zabrała z sobą część mnie.

Kiedy zmieszana przemierzałam korytarz, nie zauważyłam kuzyna Colina i wpadłam na niego z impetem, który omal nie zwałił z nóg nas obojga. Colin jednak chwycił mnie w ramiona i trzymał tak, aż oboje byliśmy w stanie złapać oddech, po czym puścił mnie i zapytał:

- Dokąd to tak ci spieszo, droga kuzynko?
- Nie dokąd, Colinie, lecz skąd.
- A zatem skąd tak umykasz?

Spojrzałam przez ramię. Wizja wuja Henry'ego nadal tkwiła mi przed oczami — jego bladość, szalone spojrzenie, błędzące po omacku dłonie. To nie był w ogóle dom, to nekropolia.

- Leylo...?

Podniosłam wzrok na Colina, który patrzył na mnie z troską w oczach.

- Odwiedzałam wuja Henry'ego — wyjaśniłam.
- Och... rozumiem...

— Jest w okropnym stanie! Dlaczego nie zrobisz czegoś dla niego? Laudanum...

— Bierze największe dozwolone dawki, Leylo. Doktor Young obawia się je zwiększyć, bo... — Rozłożył bezradnie dłonie.

Byłam obeznana z laudanum. Ta mieszanka morfiny i alkoholu to wspaniały środek przeciwbólowy, lecz zastosowany w nadmiarze, może zabić.

- Nic więcej nie da się zrobić.
- Lecz on tak strasznie cierpi!

Wyraz twarzy Colina powiedział mi więcej, niż mogłyby przekazać słowa. Colin myślał o tragicznym losie mojego ojca,

o sir Johnie rzucającym się z wieży, o Michaelu, który otruił siebie i swoją matkę.

— Nie zgadzam się na to! — szepnęłam zawzięcie. — To nieprawda. Nie ma żadnej choroby Pembertonów.

— Nie sądzisz więc, że wszyscy jesteśmy na nią skazani?

— Oczywiście, że nie! To tylko dziwny zbieg okoliczności, lokalna choroba, która atakuje co jakiś czas. Musi istnieć jakieś wytłumaczenie, a ty jesteś głupcem, jeśli nie potrafisz go znaleźć! Jak możesz być takim ignorantem, Colinie!

Złoszcząc się na niego, wyładowywałam swój ból, wywołany cierpieniem wuja, rozpaczą ciotki Anny, pamięcią o latach nędzy, które przeżyła moja matka. W oskarżeniach rzuconych pod adresem Colina znalazło upust napięcie całego dnia, rozpoczętego znalezieniem pamiętnika ciotki Sylvii, po którym nastąpił pobyt w zagajniku, błagania babki i wreszcie uświadomienie sobie ciężkiego stanu wuja Henry'ego. Wyglądało na to, że nie potrafię znieść już niczego więcej.

Pomimo to starałam się nieco uspokoić, przynajmniej na zewnątrz, gdyż nadal płonęłam gniewem. Zielone oczy kuzyna wpatrywały się we mnie z uporem, maskując — jak to było w zwyczaju Pembertonów — jego prawdziwe myśli. Stał spokojnie, przyglądając mi się, jakby na coś czekał.

— Byłam także u babki — powiedziałam najspokojniej, jak tylko mogłam.

— Tak?

— Tak, i wszystko wskazuje na to, iż ona wie już o mojej wyprawie do lasu.

— Trudno byłoby powiedzieć, że utrzymujesz swoje plany w sekrecie, Leylo.

— Wiedziała także, że wyprawa okazała się daremna, bo niczego sobie nie przypomniałam. W jakiś sposób... — Wyprostowałam ramiona i uniosłam brodę do góry. — ...W ciągu tych kilku minut pomiędzy moim powrotem a pójściem do niej zdążyła zostać o wszystkim poinformowana.

— Doprawdy?

Jego twarz nie zdradzała niczego.

— Och, Colinie, przypuszczam, że nie powinnam czuć się zaskoczona i chyba nie mam prawa się gniewać, ale czy na-

prawdę musisz biegać do niej i wszystko jej opowiadać? Musisz być jej zaufanym szpiegiem?

Dziwne, ale Colin pozostał nieporuszony. Czujny wyraz jego twarzy ani nie przeczył oskarżeniu, ani go nie potwierdzał, co jeszcze bardziej wyprowadziło mnie z równowagi.

— Co się z tobą dzieje? Z wami wszystkimi! — krzyknęłam w furii. — W nielicznych przeblyskach pamięci, jakie mi się trafiają, widzę ten dom jako siedzibę ludzi szczęśliwych i uśmiechniętych. — Łzy zakłuły mnie pod powiekami, grożąc stoczeniem się po policzkach. — Co się z wami stało? Co zrobiliście, że dom zmienił się w mauzoleum?

Colin ujął moją dłoń gestem nieoczekiwanie tklwym i powiedział:

— Chodź ze mną, Leylo, chciałbym ci o czymś powiedzieć.

Niczym dziecko pozwoliłam mu się prowadzić wzdłuż korytarza i w dół po schodach, do biblioteki. Dom stał cichy i spokojny, jeśli nie brać pod uwagę odgłosów szalejącej na zewnątrz ulewy. W przytulnym zaciszu biblioteki, wypełnionej tykaniem zegarów, z ogniem płonącym wesoło na kominku, poczułam, że wraca mi opanowanie. Na górze, w atmosferze wiszącej nad wujem śmierci i rozpaczy, czułam się bezsilna, schwytna w pułapkę. Tu, otoczona rzędami książek, z ogniem na kominku, uspokoiłam się i z ulgą zapadłam w jeden z foteli ustawionych przodem do paleniska.

Colin stanął przede mną.

— Ani przez chwilę nie byłaś tu szczęśliwa, Leylo. Odkąd przyjechałaś, nic nie szło tak, jak powinno, a moja niemądra ciotka próbuje ci wmówić, że to twoja wina, co, oczywiście, nie jest prawdą. W tym domu od dziesiątków lat nie dzieje się nic, jak należy, i wątpię, czy dzieć się tak będzie kiedykolwiek. Nawet w przyszłym stuleciu, jeżeli rodzina przetrwa tak długo, w Hurst nic się nie zmieni — dom pozostanie taki, jak jest, stanowiąc siedzibę przeklętych Pembertonów, odosobnionych w nim jak członkowie zakonu o ścisłej regule.

Przywarłam do niego spojrzeniem. Zaskoczyło mnie, że użył tej samej analogii, którą posłużyłam się, by opisać moją rodzinę. Byliśmy naprawdę jak grupa pustelników, odizolo-

wana i tajemnicza, jakby zaprzysiężona jakiemuś sekretnemu kanonowi, który wiązał nas ze sobą.

— Zapytałaś mnie kiedyś, dlaczego żadne z nas nie założyło rodziny. Zauważyłaś, że najmłodsza z nas jest Martha, a i ona ma już trzydzieści dwa lata. Pewnie nie uszło też twojej uwagi, choć nigdy o tym nie wspomniałaś, że w Hurst nie ma dzieci. Nie ma, od kiedy zginął Thomas, a ciebie wywieziono. Na pewno zastanawiałaś się nad tym...

— Z powodu kłatwy — stwierdziłam bezbarwnie.

— No właśnie. Rozumiesz, nie możemy pozwolić, by ta skaza przeszła na następne pokolenia. To trzeba powstrzymać. Gdyby nasi przodkowie w porę zdali sobie z tego sprawę, to nie siedzielibyśmy tu teraz w obliczu tego samego losu, który już trzyma w swoim uścisku wuja Henry'ego. Nie, zaczekaj, pozwól mi skończyć. Wiem, że się z tym nie zgadzasz, lecz z czasem to się zmieni. Widziałem, co stało się z twoim ojcem, potem z sir Johnem i widzę, co dzieje się z wujem. Theo i Marthę, ciebie i mnie — wszystkich nas czeka ten sam los. O ile wiem, brat sir Johna, Michael, był młody, kiedy dopadła go kłatwa; nie miał czterdziestu lat.

— Nie, Colinie. Nigdy w to nie uwierzę.

— Jeśli nawet nie wierzysz, to jesteś w tym odosobniona. Pozostali Pembertonowie już dawno zdecydowali, że trzeba oszczędzić cierpień przyszłym pokoleniom.

Przez dłuższą chwilę wpatrywałam się uporczywie w twarz kuzyna.

— Rozumiem... Taki rodzaj celibatu. Czy właśnie dlatego żadne z was nie założyło rodziny?

Z powagą skinął głową.

— To okropne i przeciwne boskim prawom — nie żenić się i nie mieć dzieci. Nie macie prawa postępować w ten sposób!

— Tak uważasz? A czy sądzisz, że powoływanie na świat dzieci, które staną się z czasem takimi monstrami jak my, jest zgodne z naturą i boskimi prawami? Czy mamy do tego prawo? Czy ty, Leylo, czy ty mogłabyś dać życie dziecku, o którym wiedziałabyś, że będzie skazane na los, jaki stał się udziałem twego ojca?

— Nie ma żadnej klątwy!

— Nie spodziewam się, że uwierzysz w nią od razu, ale to przyjdzie z czasem.

Wpatrywałam się w ogień, bardzo niezadowolona z mego kuzyna. Jego słowa zaniepokoiły mnie. Nie wiedziałam już, co myśleć.

— Więc to dlatego wuj Henry jest przeciwny memu małżeństwu?

— Nie bez powodu.

— Absolutnie bez powodu! Poślubię, kogo zechcę i kiedy zechcę. Och, Colinie! — Wbiłam w niego wzrok. — A ty, czy ty masz zamiar podporządkować się temu zobowiązaniu?

Jego spojrzenie wyrażało taki bezmiar rozpacz, że musiałam odwrócić wzrok.

— Musi być jakieś wyjaśnienie — powiedziałam z determinacją. — I ja je znajdę. Ty, Colinie, stałeś się równie zrezygnowany jak reszta i także straciłeś nadzieję. We mnie jednak tkwi jeszcze duch walki; udowodnię wam, że się mylicie. Zamierzam mieć z Edwardem zdrowe i silne dzieci, które dożyją późnej starości.

Patrzył na mnie z uwagą, lecz — ku mojemu zdziwieniu — nie podjął wyzwania. Zamiast usiłować mnie zniechęcić, jak tego oczekiwałam, po prostu patrzył na mnie swymi zielonymi oczyma.

— Znajdę sposób — obiecałam nieco mniej pewnie.

— Niech Bóg ci dopomoże — odparł.

## 10

Nie spałam tej nocy dobrze, niepokojona rozlegającymi się w korytarzu krokami i zamieszaniem, związanym z późnym przybyciem doktora Younga, więc kiedy obudziłam się o świcie w lodowato zimnej sypialni, ból głowy nie zaskoczył mnie. Zanim udałam się na spoczynek, milcząca Gertrudę przyniosła mi lekką kolację i dzbanek gorącej czekolady, ale jedzenie wcale nie pomogło mi się odprężyć, gdyż umysł zbyt miałam rozbudzony wydarzeniami dnia. Leżąc pod kołdrą i przysłuchując się odgłosom szalejącej burzy, usiłowałam ożywić w pamięci uczucia, jakich doświadczyłam po południu w lasku, ale wspomnienia te były tak odległe, jakby zdarzyły się nie godziny, ale miesiące temu. To słowa Colina, jego pogodzenie się z losem i decyzja o niespłodzeniu dziedzica prześladowały mnie przez całą noc. Brzmiało to niemal groteskowo i trudno było uwierzyć w powagę tej decyzji.

No i pamiętnik ciotki Sylvii, który przekonał mnie, że nie ona napisała list. Gdyby zaś nie to wezwanie, nie przyjechałabym do Hurst. Kto to zrobił? Dlaczego ta osoba posłużyła się imieniem ciotki Sylvii? Dlaczego, skoro jedno z nich mnie tu zwabiło, wszyscy wydawali się tak niecierpliwie oczekiwać mojego wyjazdu?

Odsunęłam zasłony i wyjrzałam na dwór. Zaczynał się już kolejny szary, nieprzyjemny dzień. Wielkie kałuże sprawiały, iż podjazd wyglądał jak fosa, a drzewa ugiwały się pod ciężarem nasiąkniętych wodą gałęzi. Krople rosy lśniły na liściach

firletki. Konaryjesionu i akacji błyszczały jak przybrane sznurami diamentów. Był to zimny, mokry świat, a życie domu przedstawiało się niewiele lepiej.

Pokojówka przysłała, by pomóc mi się ubrać. Wyszczotkowała moją aksamitną suknię poranną, zacisnęła sznurówkę gorsetu i ułożyła fałdy krynoliny. Pracowała w milczeniu, w ogóle na mnie nie patrząc, z czepkiem starannie umocowanym na miedzianych lokach, ja zaś zastanawiałam się, co też może myśleć służba o naszej ekscentrycznej rodzinie.

Gdy zesłam do jadalni, zdziwiłam się, że poza mną nie ma tam nikogo. Gertrudę poinformowała mnie, że ciotka Anna i Theodore nadal czuwają przy wuju, którego stan uległ dalszemu pogorszeniu, a Martha zdecydowała się pozostać w swoim pokoju i zająć się robótką. Kuzyn Colin udał się na wczesną przejażdżkę na swojej ulubionej kłaczy.

Po herbacie i biskwitach wypiłam kropelkę brandy, która miała pomóc mi przezwyciężyć ból głowy, po czym zdecydowałam się pospacerować nieco po domu. W Londynie, gdy tylko miałam do rozwiązania jakiś problem, wolałam spacerować nad Serpentine, niż siedzieć zamknięta w mieszkaniu. Świeże powietrze i wysiłek fizyczny pomagały mi sprawniej myśleć, lecz dziś pogoda była tak paskudna, że postanowiłam przemierzyć raczej mile schodów i korytarzy, składających się na to opustoszałe domostwo.

Zatrzymałam się na chwilę w salonie z zamiarem zagrania paru melodii na fortepianie, lecz czułam się tak rozstrojona, że trudno mi było usiedzieć przy klawiaturze. Udałam się zatem na wyprawę po mniej używanych pokojach pierwszego piętra, był tam jeszcze jeden salon, studio, wypełnione stęchłym powietrzem solarium i sala balowa, gdzie kurz grubą warstwą pokrywał żyrandole. Dokądkolwiek się udałam, moje kroki albo odbijały się echem od wypolerowanych drewnianych podłóg, albo szeptały cicho na grubych dywanach. Natknęłam się na wiele roślin, masywnych mebli i gotyckich rzeźb.

Wszędzie panowała ta sama złowieszcza cisza co w pozostałych rejonach domu. Wszędzie też dawało się wyczuć złowrogą obecność babki Abigail, jej niezachwianą dominację nad tym sekretnym stowarzyszeniem, jej nieustępliwe przy-



wiązanie do przeszłości i jej uwiecznione powodzeniem wysiłki, aby powstrzymać przyszłość, hamując tym samym upływ czasu.

Odbywszy długą wycieczkę po parterze i nie natknąwszy się na nikogo poza ugrzecznioną, lecz milczącą służbą, zawędrowałam w końcu z powrotem do biblioteki, która stała się moim ulubionym pomieszczeniem. Zaczęłam przerzucać licznie zgromadzone tu przez lata książki, zastanawiając się, czy uda mi się znaleźć dobrą powieść i pogрузić się na jakiś czas w lekturze.

Kiedy przyglądałam się grzbietom książek, zaczęłam drzeć z powodu wilgoci i przeciągów, tak typowych dla dużych starych domów. Przeniosłam się więc bliżej kominka i ustawiwszy się w bezpiecznej odległości, usiłowałam rozgrzać skostniałe członki. Stałam przez kilka minut, zahipnotyzowana, tak nieruchomo zapatrzona w płomień, jak to miałam w zwyczaju. Moje myśli dryfowały swobodnie, dopóki nie spostrzegłam nadpalonych szczątków na skraju paleniska. Przez chwilę przyglądałam się im bezmyślnie, aż w końcu mój umysł podążył za spojrzeniem. Wracając do rzeczywistości, zaczęłam się zastanawiać, co też widzę. Nagle zdałam sobie sprawę, iż jest to fragment kartki papieru listowego.

Nie zdając sobie sprawy, dlaczego to robię, pochyliłam się i — dostrzegłszy na zwęglonej niemal kartce ślady pisma — wyciągnęłam ją z ognia. Poczerniała na brzegach, stanowiła najwidoczniej część zawartości kosza na papiery, wrzuconej do kominka przez kogoś ze służby. Podmuch powietrza musiał zwiać ją z paleniska, ocalając przed płomieniami.

Rozprostowałam strzęp papieru w palcach i przeczytałam zachowane w całości słowa. Zamarłam, a lodowate przerażenie ścisnęło mi serce. Nadpalony strzęp listu, który trzymałam w ręce, pochodził z mojego listu do Edwarda.

— Och, nie — szepnęłam mimo woli. — Dobry Boże, nie!

Na osłabłych nogach dobrnęłam do najbliższego fotela, co uchroniło mnie przed osunięciem się na podłogę. Pot zrosił mi czoło i powrócił ból głowy.

List do Edwarda został otwarty, przeczytany przez kogoś, a potem wrzucony do ognia — miał widać zniknąć bez śladu.

Kto spośród członków mojej rodziny mógł dopuścić się takiego postępku? Do kogo pobiegła z tym listem służąca, prawdopodobnie poinstruowana wcześniej?

Potańczałam skronie czubkami palców, które zupełnie zlodowaciały. Tylko babka Abigail miała dość władzy, by przeciwstawić się mocy funtowego banknotu. Choć nie, równie dobrze mógł to być wuj Henry lub ciotka Anna. Theo też miał możliwość polecenia służbie, by dostarczała mu wszelką korespondencję wychodzącą spod mojego pióra.

Znów ten koszmar! W ogniu dopalała się mój list do Edwarda, list, w którym błagałam go o przyjazd i pomoc. List będący jedynym ogniwem łączącym mnie ze światem zewnętrznym. I oto ktoś spośród moich diabolicznych krewnych otworzył list, przeczytał — dobry Boże, co ja tam napisałam! — a potem zniszczył. Dlaczego?

Najwidoczniej ten ktoś nie życzył sobie, by Edward dowiedział się, co się tu dzieje, by pośpieszył mi z pomocą.

Czy oznaczało to także, iż jestem więźniem w tym domu? Zaczęłam się zastanawiać, czy osoba, która dopuściła się tego okropnego uczynku, jest tą samą, która napisała jako Sylvia i ściągnęła mnie tutaj. Najwidoczniej jedno z moich krewnych — a może wszyscy razem, działający wspólnie? — pragnęło, żebym przyjechała, zwabiono mnie do Hurst, a teraz uniemożliwiano mi otrzymanie pomocy. Uniemożliwiano mi otrzymanie pomocy i powrót do Edwarda.

Oczywiście! Na pewno o to chodziło. Wstałam powoli i położyłam na zwieńczeniu kominka dłoń, która przestała już drżeć. Wuj Henry był przeciwny mojemu małżeństwu z Edwardem. Chciał, żebym żyła tak jak oni: niezamężna i bezdzietna do końca swoich cłni.

Czy jednak wyjaśnia to sprawę rzekomego listu od ciotki Sylwii? Po co wuj Henry miałby sprowadzać tu moją matkę? To nie miało sensu...

Głowa bolała mnie teraz okropnie. Pomyślałam, że muszę wrócić na górę i dobrze to wszystko przemyśleć. Mój list do Edwarda... wrzucony w płomień...

Nowy atak nawałnicy smagał szyby deszczem, którego odgłos tłumiły nieco grube kotary. W powietrzu unosiła się woń wilgoci. Ogień na kominku niezbyt dobrze radził sobie z lodowatymi podmuchami, którym udało się znaleźć drogę pomiędzy szczelinami konstrukcji z okresu Tudorów. Nie było to przytulne pomieszczenie, ale panował w nim spokój i byłam tu sama.

Bardziej niż czegokolwiek innego pragnęłam właśnie kilku chwil samotności. Musiałam zastanowić się nad różnymi faktami, wrócić pamięcią do ostatnich czterech dni — czy to możliwe, że było ich tylko cztery? — i zdecydować, od którego momentu sprawy zaczęły iść źle. Chociaż właściwie był to daremny wysiłek, gdyż całe zło zaczęło się już w chwili, gdy zapukałam do drzwi tego domu, a Gertrudę była bliska szoku na mój widok.

Wszystko było takie pogmatwane... Niechęć rodziny do serdecznego przyjęcia mnie, sekrety, potem prawda o śmierci mojego ojca, fakt, że byłam jej świadkiem, i wiadomość o nieuniknionej chorobie wszystkich członków rodziny. Nie bez znaczenia była też przykra reakcja babki na mój powrót, choroba wuja Henry'ego, tajemniczy list — rzekomo od ciotki Sylvii, a teraz mój list do Edwarda. Wszystko to składało się na koszmar, z którego rozpaczliwie pragnęłam się wyrwać. Potrzebowałam do tego pomocy z zewnątrz. Domownicy bowiem znali odpowiedzi na wszystkie dręczące mnie pytania, jednak z pewnością nie podzielią się nimi ze mną.

A przecież wytłumaczenie leżało w mrokach mojej pamięci. Gdzieś tam tkwił obraz sceny w zagajniku, której świadkiem byłam w dzieciństwie. Obraz ten jednak wciąż mi się wymykał. Co powinnam zrobić, by go przywołać? Najwidoczniej moje siły obronne wzniosły mur pomiędzy mną a tym przeżyciem, lecz teraz dla własnej obrony będę musiała odgrzebać to wspomnienie i znów je przywołać.

Kiedy ból głowy znacznie zelżał, a szok minął, moja determinacja, by znaleźć odpowiedź na dręczące mnie pytania, znów się umocniła. Pójdę jeszcze raz do zagajnika, zrobię wszystko, co w mojej mocy, by przypomnieć sobie, co zdarzyło się tam, i udowodnię rodzinie, że to mój ojciec został zamordowany!

Będzie to oznaczało zarazem, iż kłątwa jest niczym więcej jak tylko mistyfikacją, historyjką wymyśloną po to, by ukryć właściwe okoliczności zbrodni.

Lunch zjadłam w swoim pokoju przed kominkiem. Służąca przyniosła mi tacę i ustawiła ją na małym stoliku. Jednakże nastrój, w jakim się znajdowałam, sprawił, że herbata wydawała się gorzka, a zupa mdła, zjadłam więc niewiele, uznając, że bardziej posłuży mi drzemka.

Około wpół do czwartej obudziło mnie pukanie do drzwi. Otworzywszy je, ujrzałam na korytarzu Marthę, wyraźnie zdenerwowaną. Jak zwykle miała ze sobą torbę z przyborami do ręcznych robótek, która stała teraz na podłodze u jej stóp.

— Babka chce cię widzieć, Leylo — oznajmiła.

— Teraz? Czy ona dobrze się czuje?

— Chce widzieć nas wszystkich, natychmiast. Lepiej chodź ze mną.

Poważny ton jej głosu sprawił, że natychmiast zaczęłam mieć się na baczności.

— Dobrze — powiedziałam i cofnęłam się do pokoju po szal, po czym zamknęłam za nami drzwi. — Chyba się nie rozchorowała? — zaryzykowałam powtórne pytanie o stan zdrowia babki.

— Ona nigdy nie choruje — poinformowała mnie Martha.

W milczeniu przemierzałyśmy korytarz. Gdy doszłyśmy do apartamentów babki, jak zwykle w pobliżu tej władczej starej kobiety owładnął mną zimny lęk. Nie znosiłam wpływu, jaki na mnie wywierała, wrażenia, że jestem w jej mocy, co jak lubiłam sobie wyobrazać, nie było prawdą.

Drzwi były szeroko otwarte. W klasztornej celi babki zgromadziła się już cała rodzina.

Babka siedziała jak zwykle na swoim tronie, za ochronną zasłoną mroku. Na krześle ustawionym przed nią przycupnęła ciotka Anna, mając po obu bokach Colina i Theodore'a. Wuj Henry pozostał na łożu boleści. Nikt nie odwrócił głowy, gdy weszłyśmy. Oczy zebranych zwrócone były na matkę rodu. W powietrzu czuto się napięcie. Zaczęłam się zastanawiać, co też mogło się wydarzyć.

Martha ujęła brata pod ramię, pozostałam więc nieco z boku.

Babka przemówiła:

— Wszyscy wiecie, dlaczego się tu znaleźliście, nie będę więc dłużej zwlekać. Ktoś z nas dopuścił się podłego uczynku i jego sprawca musi zostać ujawniony. Zdecydujcie sami, jak należy postąpić.

Skonsternowana, spojrzałam na twarze krewnych, które jak zwykle nie wyrażały niczego.

— Jakiego podłego uczynku? — spytałam.

— Leylo Pemberton — dobiegł mnie władczy głos babki. — Ty przede wszystkim powinnaś wiedzieć, o czym mówię.

— Ale nie wiem.

— Chodzi o sygnet Theo — poinformowała cicho Martha. — Zniknął.

— Sygnet?

— Nie zniknął, dziecko — powiedziała babka. — Został skradziony! A ja chcę wiedzieć, kto jest złodziejem.

Nagle mnie olśniło. Rubinowy pierścień, który Theo odziedziczył po swoim dziadku, sir Johnie! Pierścień, którego wspomnienie nawiedziło mnie w lasku i który musiał być jakoś związany z tamtym wydarzeniem, choć nie wiedziałam jeszcze w jaki sposób.

— Któż mógłby go zabrać? — spytałam.

Nikt w pokoju nie odezwał się ani nawet nie drgnął. Pojedynczy dźwięk na szyi babki połykiwał w mroku, unosząc się wraz z jej oddechem — jedyny dowód, że stara kobieta żyje. Wszyscy pozostali znaleźli sobie jakiś punkt, by wbić w niego wzrok. Wreszcie do mnie dotarło.

— Co miałaś na myśli, mówiąc, że przede wszystkim ja powinnam wiedzieć, o co chodzi? Czy oskarżasz mnie o kradzież sygnetu?

— Ty to powiedziałaś — stwierdziła babka.

— Co za niedorzeczność!

Teraz przemówiła ciotka Anna:

— Podziwiałaś go wczoraj wieczorem w salonie. Wszyscy to zauważyliśmy.

— Nie podziwiałam. Po prostu przypomniałam sobie ten sygnet, i to wszystko.

— Skąd go pamiętasz? — spytała babka.

— Nie wiem... To był tylko taki przebłysek.

— No dobrze, a kto inny mógłby go wziąć? — zapytała oburzona ciotka.

— Ciotko Anno, jak śmiesz! Nie mam zamiaru stać tutaj i wysłuchiwać oskarżeń jak pospolity złodziej!

Teraz odezwał się kuzyn Theodore:

— Leyla ma rację, babko. To nie w porządku z naszej strony. Biżuteria ginęła już przedtem, ostatnio także. Uważam, że powinniśmy wy badać służbę.

Kiedy ujął się za mną, spojrzałam na niego poprzez panujący w pokoju mrok i po raz pierwszy dostrzegłam w nim człowieka. Wysoki, wyprostowany i jak zwykle ubrany nienaganie, przedstawiał sobą obraz całkiem przystojnego mężczyzny, zwłaszcza w porównaniu z Colinem, którego fryzura pozostawiała jak zwykle wiele do życzenia, a fular zawiązany był krzywo. Stał rozparty, z rękami niedbale założonymi na piersi, zmuszając mnie, bym broniła się sama. Nie powiedział ani słowa w mojej obronie. Miałam mu to za złe.

Theo uśmiechnął się do mnie pojednawczo. Za plecami Colina i Marthy, ponad głową ciotki Anny odpowiedziałam na jego uśmiech pełnym wdzięczności spojrzeniem.

— Przepytamy służbę — zarządziła babka. — I bardzo dokładnie poszukamy sygnetu. Nie ścierpię żadnego drobnego złodziejstwa wśród mojej rodziny.

A jakiego mogłabyś ścierpieć? — pomyślałam złośliwie, lecz powstrzymałam się przed wypowiedzeniem tego pytania.

Odprowadziła nas machnięciem dłoni, a ja poczułam, że ogarnia mnie złość. Cała ta scena została zaaranżowana wyłącznie po to, by mnie poniżyć, gdyż babka dla własnego kaprysu od razu uznała mnie za winną. Choć zdenerwowało mnie to w najwyższym stopniu, nie dałam tego po sobie poznać. Walczyłam o swoje prawa i o oczyszczenie imienia ojca. Jedna z zebranych tu osób przeczytała mój list do Edwarda i zniszczyła go. Jedno z nich nie chciało, bym otrzymała pomoc.

Mimo to miałam zamiar kontynuować walkę o odzyskanie wspomnień, a wszelkie pogroźki i oskarżenia nie odstraszyły mnie, dolewając jedynie oliwy do ognia.

W holu odsunęłam się na bok, aby przepuścić ciotkę Annę. Rzuciła mi przelotne spojrzenie, a w świetle gazowej lampy spostrzegłam, jak pełna napięcia i wymizerowana stała się jej twarz. Widocznie nie kładła się przez całą noc, czuwając przy wuju, którego stan zdrowia nie poprawiał się. Poczulałam przypływ życzliwszych uczuć. Po dwudziestu czterech godzinach bez snu i jedzenia ciotka miała prawo zachowywać się w przykry sposób.

Kiedy mijał mnie Colin, spojrzałam na niego ostro, ale on zdawał się tego nie zauważać. Jego bliski związek z babką zaczynał mnie irytować, gdyż wyglądało na to, że Colin nie jest panem samego siebie. Pomyślałam, że to tylko udająca chojraka kukiełka, uczepiona spódnicy starej kobiety.

Przechodzący Theo zatrzymał się, aby obdarzyć mnie ciepłym uśmiechem, zdradzającym sympatię i sprzeciw wobec sposobu, w jaki mnie potraktowano. Właśnie gdy nasze oczy spotkały się, poczułam przypływ nadziei. Być może spróbuje my jeszcze raz i w końcu uda nam się nawiązać przyjaźń.

Wracałam do swojej sypialni razem z Martha; ja zatopiona głęboko w myślach, ona ze zmartwionym wyrazem twarzy, kurczowo ściskająca rączki swej torby. Kiedy doszłyśmy do drzwi mojego pokoju, nie byłam zdziwiona, widząc, że kuzynka się zawahała; od dłuższej chwili zdawałam sobie sprawę, że chce coś powiedzieć.

— Leylo, babka naprawdę myśli, że to ty zabrałaś pierścionek z pokoju Theo. Nigdy jeszcze nie widziałam jej tak zagniewanej.

— Ona jest po prostu dziecinna, Martho. Po co miałabym tak postąpić?

— No... ponieważ... — Nie patrzyła teraz na mnie. — Babka mówi, że to dlatego, że jesteś bez grosza. Utrzymuje, że przyjechałaś do Pemberton Hurst po pieniądze, a kiedy ci ich nie zaoferowano, uciekłaś się do kradzieży.

— To nielogiczne — stwierdziłam sucho. — Pomijając już inne względy, mężczyzna, za którego mam wyjść za mąż,

jest dobrze sytuowany. Kiedy zostanę panią Champion, nie będę potrzebowała fortuny Pembertonów. Możecie sobie zatrzymać swoje fabryki, swoją ziemię i pielęgnować swoje drobne sprzeczki. Przyjechałam po to, by odzyskać jedno — moją przeszłość, a kiedy już się to stanie, wyjadę na zawsze.

Patrzyła teraz wprost na mnie, jej oczy błyszcząły. W wieku trzydziestu dwóch lat twarz Marthy nadal pozostała gładka i młoda, oczy ocienione gęstymi rzęsami, a linia szczęki delikatnie zarysowana. Dołeczek pośrodku brody do złudzenia przypominał mój własny. Byłyśmy do siebie dosyć podobne, to spokojne stworzenie i ja, lecz było to podobieństwo czysto fizyczne, charakterem bowiem różniłyśmy się definitywnie. Kuzynka Martha była skromna i małomówna, w obecności mężczyzn z reguły milczała. Zdawało się, że prowadzi jakies odrębne, wewnętrzne życie.

— Zazdroszczę ci — szepnęła nieoczekiwanie.

— Zazdrościsz mi? Czego?

— Możesz opuścić ten dom, wyjechać, wyjść za mąż i mieć dzieci.

— Możesz zrobić to samo, Martho.

Potrząsnęła głową, aż zatańczyły otaczające jej twarz spiralne loczki.

— Babka Abigail wydziedziczy każdego, kto opuści rodzinę. Zabroniła nam się żenić i wychodzić za mąż. Zapowiedziała, że jeśli ktoś z nas nie posłucha, zostanie bez grosza. Ty masz Edwarda, który czeka na ciebie, sama mówisz, że nieźle mu się powodzi. Ja, gdybym nawet zdecydowała się stąd wyjechać, nie miałabym dokąd. Jestem więźniem tego domu, podobnie jak wszyscy pozostali.

Choć mówiła na pozór bez emocji, w jej oczach widać było żal.

— Nie przeszkadza mi to nawet — mówiła dalej drżącym głosem. — Po prostu zastanawiam się czasem, jak to jest... znać mężczyznę. — Nagle jej twarz oblała się szkarłatem. — Och, wybac mi. Nie powinnam była tego mówić.

— Nonsens! Wszystkie kobiety marzą o miłości. Pragną poślubić odpowiedniego mężczyznę i mieć z nim dzieci. Nie różnisz się w tym od innych.



— Owszem, różnię się. Muszę się różnić, ponieważ należą do rodziny Pembertonów. Byłoby wstrętne z mojej strony, gdybym pragnęła dać życie dzieciom, które pewnego dnia musiałyby stawić czoło temu, co kiedyś spotka i nas. Babka ma rację — nasz ród musi wygasnąć. — Łza spłynęła jej po policzku, a ja omal nie zapłakałam razem z nią. — Pomimo to... od czasu do czasu spostrzegam w East Wimsley jakiegoś przystojnego chłopca i zastanawiam się...

— Uspokój się, Martho...

— Nawet nie wiem, jak to jest, gdy całuje cię mężczyzna. Pomyślałam o Edwardzie i jego chłodnych pocałunkach w policzek.

— Dowiesz się pewnego dnia, gdy wyjdiesz za mąż.

Przesunęła dłońmi po powiekach, by otrzeć łzy.

— Myślę, że nie wzięłaś tego sygnetu. — Pociągnęła nosem. — Będziesz jednak musiała przekonać o tym babkę.

Zesztywniałam.

— Moje słowo powinno jej wystarczyć. A teraz, jeśli mi wybaczysz...

Wsunęłam się do swego pokoju smutna i zagniewana. Fakt, że zostałam tak obelżywie potraktowana w obliczu całej rodziny i że nikt poza Theo nie stanął w mojej obronie, był poniżający. Teraz zaczęłam się zastanawiać, co naprawdę kryje się za tą kradzieżą.

Czy to przypadek, że właśnie wczoraj przypomniałam sobie ten klejnot? A może odgrywał on znacznie ważniejszą, niż sądziłam, rolę w wydarzeniach tamtego tragicznego dnia i ktoś o tym wiedział? Po co jednak miałby kraść pierścień?

Nabierałam coraz silniejszego przekonania, że rubinowy sygnet Theo ściśle wiąże się z tragedią, jaka wydarzyła się dwadzieścia lat temu i że jego nagłe zniknięcie nie jest czystym zbiegiem okoliczności. Jeżeli ktoś z rodziny obawia się, że zdołam jakoś powiązać pierścień z zabójstwem mego ojca, mógł usunąć klejnot z zasięgu mojego wzroku, aby zapobiec dalszym przebłysłom pamięci.

To było jakieś wyjaśnienie, lecz czułam, że kryje się za tą „kradzieżą” coś jeszcze, choć nie wiedziałam co. Historia

z listem do Edwarda i zaginięcie pierścienia wytrąciły mnie z równowagi.

Po tej parodii sądu w pokoju babki odmówiłam zjedzenia kolacji w towarzystwie rodziny; raz jeszcze spożyłam posiłek w swoim pokoju, w kojącym ciepłe płonącego na kominku ognia. Potem zwinęłam się w kłębek w fotelu i przerzucałam strony mojego przewodnika po ogrodach Cremorne, znajdując ucieczkę we wspomnieniach szczęśliwych dni spędzonych z Edwardem. Nie miało sensu wysyłanie do niego następnego listu. Nie było też takiej potrzeby. Byłam pewna, że podejmując znów wysiłek i koncentrując się lepiej zdołam rozwiązać zagadkę tego domu, po czym będę mogła powrócić w ramiona mojego Edwarda.

Kiedy zrobiło się późno, przebrałam się w nocną koszulę, wyszczotkowałam długie włosy i położyłam do łóżka, gdyż rozpaczliwie potrzebowałam wypoczynku.

Już miałam zgasić świecę, gdy zobaczyłam ten tom. Na *Tankredzie* i *Sandition*, dwóch książkach, które planowałam przeczytać podczas pobytu w Hurst, leżała jeszcze jedna, która z pewnością nie należała do mnie. Przez chwilę przyglądałam się jej zdziwiona, aż wreszcie wzięłam książkę do rąk i przysunęłam bliżej świecę. Zapewniwszy sobie w ten sposób lepsze światło, obejrzałam książkę z mieszaniną zdziwienia i wahania.

Była to stara książka, musiała mieć co najmniej trzydzieści lat, oprawiona starannie w czarną skórę. Tytuł, wydrukowany na grzbiecie zblakłymi złotymi literami, głosił: *Prace zebrane Thomasa Willisa*.

Ogromnie zaskoczona, wpatrywałam się w napis, nie otwierając książki, bardziej zdziwiona faktem pojawienia się jej w moim pokoju niż zaciekawiona treścią.

Płomień świecy drgał, poruszany podmuchami powietrza, które od czasu do czasu przesuwały się przez pokój. Zegar nad wygasłym kominkiem cicho tykał, delikatnie przypominając, że czas ucieka, ucieka, ucieka... A ja z niedowierzaniem gapiłam się na *Prace zebrane Thomasa Willisa*.

W końcu otworzyłam książkę i zaraz na wstępie natknęłam się na poważne, uroczyste wręcz spojrzenie autora.

Z owalnej ramki, podpisanej: *Thomas Willis, profesor medycyny Kolegium Medycznego, London et Societ Reg Socius*, patrzyła na mnie twarz świadcząca o mądrości i szlachetnym charakterze tego człowieka. Oczy spoglądały spod ciężkich brwi przedzielonych imponującym nosem, rzucały się też w oczy wystające kości policzkowe. Usta, na wpół ukryte pod cienkim wąsem, były wąskie i rozciągnięte w lekkim uśmiechu. Doktor Willis ubrany był w niemodny od dawna strój z epoki Cromwella, świadczący jednakże o znaczeniu i bogactwie, jakie stało się udziałem jego właściciela. Poniżej owalnego portretu znajdowała się informacja: *Thomas Willis (1621—1675). Miedzioryt ukazujący go w wieku 45 lat, wykonany przez Isabellę Piccini. Frontysepis wzięty z Opera omnia 1694.*

Strona tytułowa informowała, iż mam przed sobą zbiór prac Willisa, przygotowanych do druku przez sir Anthony'ego Cadwalladera z Oksfordu, profesora katedry posiadającej przywileje królewskie, opublikowany przez wydawnictwo „Mortimer i Synowie”, Londyn, 1822 roku.

Od strony tytułowej przeszłam do spisu treści, nadal zdziwiona, nie domyślając się powodu, dla którego obdarowano mnie tym dziełem. Nie wiedziałam też, dlaczego ktoś spodziewa się, iż zainteresują mnie prace człowieka nieżyjącego od prawie dwustu lat. Zaraz jednak dowiedziałam się, w czym rzecz. Spis treści zawierał bowiem tytuły wszystkich prac, pomieszczonych w tomie, wraz z krótką notką na temat każdej z nich. Wyglądało to mniej więcej tak:

*Pharmaceutice rationalis albo rozprawka o działaniu leków na ludzkie ciało (w którym najpierw opisuje miastenie, cukrzycę czy też zły moc, astmę, skurcz wpustu i zapalenie opłucnej);*

*Defebñbus (w której znajdziemy jego wczesne opisy epidemii tyfusu i różnych gorączek tyfoidalnych);*

*Anatomia mózgu (łącznie z dokładnym opisem anatomii systemu nerwowego i obwodu tętnic u podstawy mózgu, zwanego kołem tętniczym Willisa);*

*Praktyka sztuki lekarskiej (gdzie opisuje gorączki śmiertelne, złośliwe i epidemiczne).*

Nie trzeba było szczególnej bystrości umysłu, by zrozumieć, że celem ofiarodawcy książki było oświecenie mnie w kwestii dziedzicznej choroby Pembertonów. Jakiż inny byłby powód jej podrzucenia? Wszystkim było wiadome, że nie jestem studentką medycyny, nie przejawiam żadnego zainteresowania anatomią ani też nie kolekcjonuję dziwacznych ksiąg. Prawdę mówiąc, nie czytywałam żadnych książek nie będących beletrystyką, a zajmowały mnie głównie modne powieści współczesne. Najwidoczniej ten, kto zakradł się do mego pokoju i podrzucił książkę, liczył na to, iż zacznę ją przeglądać, co zresztą właśnie zrobiłam, przy czym natknę się na jakiś szczególnie interesujący fragment. A cóż mogłoby mnie zainteresować bardziej, niż informacja na temat choroby, której objawy przypominałyby „przekleństwo Pembertonów”?

Niecierpliwie wertowałam książkę, jeszcze bardziej rozżalona i zła na swoją rodzinę. Jakby nie dosyć było zniszczenia listu do Edwarda, oskarżenie o kradzież nastawiło przeciwko mnie wszystkich krewnych. A teraz, z powodu, którego nie byłam pewna, jeden z moich krewnych podrzucił mi tę książkę, obawiając się zapewne mojej reakcji na próbę osobistego jej wręczenia i licząc prawdopodobnie na to, że sama znajdę właściwy fragment.

Po co to wszystko? Aby wzbudzić moje współczucie z powodu żałostnego przeznaczenia rodziny? Czyżbym miała żałować swego gniewu, skoro przekonam się o prawdziwości informacji przekazanych mi wcześniej?

Nie byłam jednak w odpowiednim nastroju. Doszłam do wniosku, że książka to pułapka, w którą nie zamierzałam wpaść. Cokolwiek pan Willis miałby mi do powiedzenia, straciłam już serce do Pembertonów. To samolubne plemię głęboko mnie zraniło. Jeśli nawet jakiś lekarz z dawnych czasów opisuje chorobę podobną do „gorączki Pembertonów”, mnie to nie interesuje! Nie zamierzam ulec żadnej presji! Nie będę tańczyła, jak mi zagrają...

Przepełniona gniewem, rzuciłam książkę na podłogę, zgasiłam świecę i wsunęłam się pod przykrycie. Po tak męczącym dniu rozpaczliwie potrzebowałam snu, wypoczynku przed

stawieniem czoła kolejnemu dniowi wypełnionemu walką o odzyskanie pamięci i potyczkami z moją nieustępliwą rodziną.

Sen jednak nie nadchodził. Leżałam wylękniona, wpatrując się w sufit, a wzrok uczonego Thomasa Willisa ściagał mnie poprzez stulecia. Cóż takiego mógł napisać ów sławny badacz, którego imieniem nazwano sieć tętnic, że ktoś w tym szalonym domostwie mógł uznać to za interesujące dla mnie?

Przewróciłam się na drugi bok w poszukiwaniu wygodniejszej pozycji. Z oczami mocno zaciśniętymi i z uszami pełnymi świstu szalejącego wiatru w gałęziach drzew, złapałam się na tym, że powtarzam w myśli spis treści książki: miastenia, cukrzyca, astma, skurcz wpustu, zapalenie opłucnej, tyfus i gorączki tyfoidalne, anatomia mózgu... „gdzie opisuje śmiertelne, złośliwe i epidemiczne gorączki”. Otworzyłam oczy.

Wiedziałam już, że nie zaznam spoczynku, dopóki nie przekonam się, co takiego napisał Willis, co w jakikolwiek sposób mogłoby odnosić się do Pembertonów. Ktokolwiek położył tę książkę na moim stoliku — ciotka Anna, Theo, Colin czy Martha — dobrze zdawał sobie sprawę, iż moja ciekawość doprowadzi w końcu do tego, że zacznę czytać w poszukiwaniu fragmentu opisującego chorobę podobną do tej, na jaką zapadali Pembertonowie. Ponieważ byłam niewolnikiem własnej ciekawości — czyż to nie ona była jedną z przyczyn mojego przybycia do Hurst? — ustąpiłam i teraz, poddając się władzy, jaką sprawowała nad moim życiem.

Zdając sobie sprawę, że całkiem wybiłam się ze snu, wstałam z łóżka, włożyłam szlafrok, rozpaliłam mały ogień na kominku i zwinęłam się w kłębek w fotelu stojącym obok lampy naftowej, z *Pracami zebranymi Thomasa Willisa* w rękę.

Biografia uczonego medyka średnio mnie zainteresowała. Urodzony w 1621 w Great Bedwyn w Wiltshire, po otrzymaniu w 1642 drugiego stopnia naukowego wstąpił do armii króla Karola I i uczestniczył w wojnie domowej, a potem został żołnierzem garnizonu stacjonującego w Oksfordzie. W 1646 ukończył studia medyczne, uzyskał kolejny tytuł naukowy i rozpoczął praktykę w Oksfordzie. Przez cały ten czas pozo-

stał wierny sprawie rojalistów i Kościołowi anglikańskiemu. W tym właśnie okresie opublikował dysertacje na temat fermentacji, gorączki i moczu.

Po Restauracji Willis został profesorem historii naturalnej w Sedleian w Oksfordzie. W tym samym roku uzyskał stopień doktora i został członkiem Królewskiego Towarzystwa Londyńskiego dla Rozwoju Nauk Przyrodniczych. W 1667 rozpoczął praktykę w Londynie. Szybko zyskał sławę i majątek, a w konsekwencji otrzymał członkostwo Królewskiego Kolegium Lekarzy i mianowany został nadwornym lekarzem króla. Po chwalebnej karierze, wypełnionej wnikliwymi obserwacjami klinicznymi i znaczącymi publikacjami, Thomas Willis zmarł w roku 1675 i został pochowany w opactwie westminsterskim.

Krótko mówiąc, Thomas Willis był człowiekiem wielkiej wiedzy, którego słowu z pewnością można zaufać.

Pierwsza księga, którą przekartkowałam — *Pharmaceutice rationalis* — była zarazem najdłuższa i najnudniejsza, nie wzbudziła więc mojego zainteresowania. W rozdziałach omawiających zaburzenia oddychania, zanik mięśni, cukier w moczu czy chroniczne wymioty nie znalazłam niczego, co mogłoby mieć związek z Pembertonami. Szczegółowe opisy przypadków tyfusu i gorączek tyfoidalnych w rozdziale *De febribus* także zdawały się nie mieć nic wspólnego z problemem, a *Anatomia mózgu* była tak nasycona skomplikowaną terminologią i opatrzona tyloma wykresami, że po prostu ją pominęłam. Ostatni rozdział, *Praktyka sztuki lekarskiej*, wydawał się najbardziej obiecujący, zgodnie z zapowiedzią miał bowiem zawierać rozprawę na temat różnego rodzaju gorączek. Zważywszy zaś na przypadek ojca, a także żaloszny stan mego biednego wuja, uznałam, że to właśnie sprawą gorączek powinnam się zainteresować.

A zatem w ciszy przerywanej tylko delikatnym tykaniem zegara, obwieszczającego godzinę drugą nad ranem i odgłosami wiatru, uderzającego wściekłymi podmuchami w moje okna, zaczęłam przedzierać się przez archaiczny język i zawiły styl dzieła doktora Willisa.

*ROZDZIAŁ XIV. O śmiertelnych i złośliwych gorączkach w szczególności oraz o innych, epidemicznych.*

*Poznawszy naturę zarazy, zgodnie z porządkiem naszej rozprawy powinniśmy zająć się teraz przypadłościami, które zdają się być zbliżonej z nią natury, to znaczy głównie gorączkami, zwanymi śmiertelnymi i złośliwymi, ponieważ ogólnie wiadomo, że gorączki te czasami wielce się rozpowszechniają, tak że gwałtownością objawów, wielką liczbą chorych i wielką siłą zarażania rzadko ustępują epidemiom.*

*Jednakże, choć naśladują te z rodzaju tyfusowych, to jednak nie zabijają tak pewnie jak zaraza i nie zarażają tak niezawodnie, nie zasługują zatem na miano zarazy, ale powinny zostać opatrzone bardziej szczegółowym mianem zgubnej gorączki. Poza nimi są jeszcze gorączki innego rodzaju, których zgubne skutki i ich zaraźliwość wydają się bardziej opieszale, ale ponieważ są one zaraźliwe...*

Przeskoczyłam na następne strony. W gorączce morowej i innych śmiertelnych przypadłościach tego rodzaju nie było dla mnie niczego ciekawego. Powinnam posuwać się wolniej, studiować dzieło uważniej, jeżeli chciałam odnaleźć to, o co chodziło anonimowemu ofiarodawcy książki.

Doktor Willis przystąpił teraz do opisu pomniejszych plag, takich jak *gorączka obozowa i inne złośliwe zarazy*, przytaczając od czasu do czasu przykłady przypadków występujących spośród szlachetnie urodzonych chorych, jak na przykład lord Essex czy księżna Kentu.

Czytałam:

*Ten środek napotny to nie było nic innego jak proszek z ropuch, przeczyszczony starannie solą, a potem rozpuszczony w najlepszym winie i lekko zwapniony w glinianym naczyniu. Kiedy nadeszła jesień, choroba ta stopniowo straciła swoją zwyczajną zawziętość, mniej ludzi zaczęło na nią zapadać i wielu z nich wyzdrowiało...*

Nadal mowa była wyłącznie o chorobach epidemicznych, które zabrały nieskończoną liczbę ofiar za jednym atakiem.

Jak dotąd, pomimo bardzo uważnego czytania, nic nie zdawało się mieć związku z chorobą Pembertonów

Już miałam na dobre zamknąć książkę, uznając, iż jej pojawienie się w mojej sypialni musiało być pomyłką lub żartem, gdy moje spojrzenie padło na następujące słowa:

*Istnieją jednakże inne gorączki, których objawy wykazują odstępstwo od tych, które możemy zaobserwować przy gorączkach spowodowanych zarazą, i które nie są epidemicznej natury.*

Spojrzałam na dalszą część tekstu, przybrałam wygodniejszą pozycję, przysunęłam książkę bliżej oczu i zaczęłam czytać jeszcze uważniej.

*Kiedy się ta gorączka po raz pierwszy pojawiła, sprawiała wrażenie czegoś w rodzaju tyfusowego Synochus, lecz nie dawała się wyleczyć i zawsze kończyła się śmiercią. Występowanie tej gorączki, którą możemy nazwać chorobą mózgową i która ma zwyczaj ponawiać się w najbardziej zdradziecki sposób napadem najbardziej złośliwych objawów, obserwuje się zwłaszcza w pewnych dotkniętych nią rodzinach. Jedna szczególnie obserwacja, którą uczyniłem mniej więcej w okresie letniego przesilenia, dotyczy syna sir Geoffreya z Pember Town, parafii na południe od Londynu. Mówiono mi, że szanowny sir Geoffrey także cierpiał ten sam los co jego syn, niepokojony przez objawy gorączki, a to: delirium, napady szału, zaburzenia umysłowe, otepienie, senność, zawroty głowy, drżączkę, konwulsje i rozmaite inne dolegliwości głowy, te zaś prowadziły do wielkich uszkodzeń mózgu i szoku nerwowego. Po śmierci ojca i syna miałem okazję przyjrzeć się mózgom ich obu, za zgodą izby, by wejrzeć w naturę choroby Pember Town, i znalazłem w nich zatrute jajo. Określiłem je jako guz, który narósł w ciele mózgu i zniszczył tętnice, na co nie mogły pomóc żadne medykamenty i ofiara nie mogła wyrwać się z mocy choroby. W Hurst, gdzie sir Geoffrey i jego syn cierpieli z powodu mózgowej choroby, są jeszcze inni członkowie dotkniętej chorobą rodziny, których czeka taki sam los, gdyż to wola Boska sprawia, że guz rośnie*



*i żadne recepty lekarzy nie zdają się na nic, a choroba mózgowa (czy też gorączka Pember Town) nie daje się wyleczyć za pomocą żadnych sprawdzonych środków.*

Siedziałam długo, wpatrując się w ostatnie słowa, z książką otwartą szeroko na kolanach, a za oknami złowieszcze światło świtu torowało sobie drogę wśród drzew.

Poza tą wzmianką, zapisaną w roku 1674, Thomas Willis nie napisał o tajemniczej chorobie już nic więcej. Następna strona zaczynała się od:

*Nie mniej często spotykanym objawem gorączki jest biegunka czy też wypływ z brzucha...*

Nie miało to nic wspólnego z chorobą Pembertonów. Jeden tylko przypadek opisany został zwięźle i poparty faktami. Doktor postawił kropkę nad „i” bez dalszego deliberowania.

Thomas Willis był w Anglii czasów Cromwella niekwestionowanym autorytetem od gorączki i chorób mózgu, i dlatego też został wezwany do leczenia cierpiącej na tajemniczą chorobę rodziny w Hurst. Nie mająca charakteru epidemii, nie stanowiąca źródła zakażenia — jak na przykład plagi i infekcje — „choroba Pembertonów” dotyczyła wyłącznie rodziny. Powodowała ją zatem na pewno jakaś szczególna skaza właściwa temu właśnie rodowi.

Z westchnieniem odchyliłam głowę na oparcie fotela i zapatrzyłam się w sufit, czując łyż pod powiekami. A zatem to prawda... Przez dwieście lat, a może więcej, rodzina padała ofiarą tej samej choroby — guza mózgu, dziedzicznego jak hemofilia i jak ona nieuleczalnego. Podobnie jak Romanowowie, Pembertonowie byli skazani.

Nie wiem, o której godzinie zwlokłam się w końcu z fotela, rozprostowałam członki i podeszłam sztywno do łóżka. Poprzez zasłony widać już było szare światło poranka, a ten szczególny chłód, właściwy wczesnej porze, dotkliwie kąsał moje ciało. Czytałam dzieło Willisa przez całą noc.

Z uczuciem nie znanej sobie dotąd pustki wsunęłam się w pościel, poruszając się jak automat i przez długi czas leża-

lam pogrążona w dziwnym transie. Przed moimi oczami widniała twarz zdolnego przewidzieć przyszłe wydarzenia Thomasa Willisa, człowieka, który odkrył i opisał „chorobę Pember-tonów”. Sama nie wiedziałam, czy mam go za to przeklinać, czy błogosławić. W końcu, dzięki jego archaicznym wywodom, poznałam przyczynę hysterii panującej wśród członków rodziny. Otrzymałam odpowiedź, której szukałam. Szaleństwo Pember-tonów naprawdę istniało, a spowodowane było guzem mózgu. Ten właśnie kaprys natury skazywał wszystkich potomków sir Geoffreya z Pember Town na taki sam los.

A zatem mój ojciec także musiał paść ofiarą przeznaczenia. W ataku szaleństwa zabił mojego brata Thomasa, a potem siebie. Guz zabił również mego ciotecznego dziadka Michaela, dziadka Johna, a teraz choroba dopadła wuja Henry'ego. Gdyby nie wypadek, pewnie to samo przydarzyłoby się ojcu Colina.

No cóż, chciałam otrzymać dowód. Uzyskałam go. Fakty zostały stwierdzone i zbadane naukowo przez człowieka zasługującego na szacunek. Sekcja zwłok wykazywała istnienie guza. Pewnie wszyscy nosimy już w sobie jego załączek.

Czy i w moim mózgu znajdowało się to małe nasionko śmierci, uspięne do czasu, gdy nadejdzie pora kiełkowania? Czy mój guz już nabrzmiewał, czy też upłynie wiele lat, zanim choroba zaatakuje?

A Martha i kuzyn Theodore? Ile czasu im pozostało? Czy pójdą śladem brata sir Johna, Michaela i umrą tuż po trzydziestce, czy też dotrą do sześćdziesiątki jak wuj Henry?

A Colin? Czy popłynęły mi po policzkach, mocząc poduszkę. Dobry Boże, Colin też jest skazany! Jego umysł, gburowaty, odrzucający dobre maniery, także zawiera załączek guza, który wcześniej czy później rzuci mego kuzyna w objęcia śmierci. Colin...

## 11

To Gertrudę wyrwała mnie z głębokiego, pozbawionego marzeń snu. Pograżona w najczarniejszej otchłani, nie usłyszałam pukania do drzwi i powróciłam do świadomości dopiero, gdy gospodyni delikatnie potrząsnęła moim ramieniem.

— Panienko Leylo... — szeptała. — Rodzina pyta o panią. Nie zeszła panienka na śniadanie; teraz zastanawiają się, czy zje pani z nimi lunch.

Zamrugałam oczami.

— Lunch? Która godzina?

— Wpół do pierwszej. Czy panienka jest chora?

Wreszcie przytomna, usiadłam na łóżku i przyjrzałam się pościeli. Była niemal nienaruszona, jakbym we śnie w ogóle nie zmieniała pozycji.

— Nie, nie jestem chora. — Ciało miałam obolałe i zeszywniały kark. I choć powinnam odczuwać głód, czułam jedynie szarą pustkę, jakby zgasła we mnie wszelka nadzieja. — Zejdę na dół, Gertrudę. Dziękuję.

Zawahała się, pochylając się nade mną macierzyńskim ruchem. Niepokój w jej oczach zdradzał, iż ta pulchna gospodyni jest raczej członkiem rodziny niż służącą.

— Wszystko w porządku, naprawdę. Proszę, zawiadom rodzinę, że wkrótce zejdę — dodałam.

— Tak, panienko.

Gdy odwróciła się, aby wyjść, szeleszcząc staromodną krynoliną, mój wzrok padł na dzieło sir Anthony'ego Cadwalladera. Zadrżałam.

— Gertrudę...

— Tak, panienko Leylo?

— Jak się czuje dzisiaj wuj Henry?

Jej dłonie powędrowały ku obfitej piersi w geście świadczącym o zatroskaniu.

— *Er ist sehr krank, Liebchen.* Bardzo chory, bardzo.

— Rozumiem. Dziękuję, że mnie obudziłaś.

Zaczekałam, aż kroki gospodyni ucichną w korytarzu, po czym wysliznęłam się z łóżka i przebiegłam na palcach przez wyziębiony pokój do umywalni. Kiedy odświeżyłam się w lodowatej wodzie i osuszyłam twarz, moje spojrzenie pobiegło ku delikatnemu flakonikowi z różaną wodą kolońską, który Edward podarował mi z okazji ostatnich urodzin. Poczułam ucisk w krtani na myśl o biednym Edwardzie i o tym, jak bliska byłam wyrządzenia mu krzywdy. Z pewnością zrozumie, będzie musiał zrozumieć, że nie mogę zostać jego żoną.

*...nazywamy chorobą mózgową... ogranicza swoje występowanie do niektórych rodzin... odkryto, że zawsze kończy się śmiercią...* — przypomniałam sobie.

Uniosłam flakonik do nosa i napełniłam nozdrza delikatnym zapachem. Byłam Pembertonówną, należałam do skazanej rodziny i musiałam strzec się, by nie kontynuować rodu. Nie urodzę syna, który mógłby skończyć tak jak mój biedny ojciec, ani córki, która musiałaby cierpieć tak jak ja teraz. Muszę znaleźć sposób, by powiadomić Edwarda o nowych okolicznościach, opowiedzieć mu o dziedzicznej chorobie i o tym, jak okrutne byłoby obarczanie nią niewinnych dzieci.

*...ofiary nie mogą wyrwać się z mocy choroby...*

Wiedziałam, jak mój narzeczony przyjmie tę wieść — poważnie, z troską, lecz bez szczególnych emocji. Edward chlubił się swoją angielskością, dżentelmeńskim wychowaniem, umiarkowaniem. Wiedziałam, że będzie patrzył na mnie nieporuszenie, kiwając głową, jakby zatwierdzał plan piętra.

Kiedyś kochałam go za te właśnie cechy. Podziwiałam jego obiektywizm i chłodny temperament. Uważałam go za męż-

czyżnę wyrafinowanego, dobrze wychowanego, taktownego i o delikatnym obejściu. Teraz, wdychając zapach wody kolońskiej i wspominając rzeczowy sposób, w jaki poprosił mnie o rękę, zobaczyłam Edwarda takim, jakim był w rzeczywistości — człowiekiem sztywnym, nudnym i snobistycznym.

Odstawiłam flakonik i dokończyłam toaletę, a potem porządnie wyszczotkowałam włosy, rozdzieliłam je na środku i spłotłam w węzeł na karku.

Wszystko było już za mną... Zdałam sobie sprawę, że jestem jedną z nich, że należę do tego domu i nie mam prawa żyć w realnym świecie. Wiedziałam już, co to znaczy być Pembertonem.

*... W Hurst, gdzie sir Geoffrey i jego syn cierpieli z powodu choroby mózgowej, są jeszcze inni członkowie dotkniętej nią rodziny, których czeka ten sam los...*

Zanim opuściłam pokój, ubrana w poranną suknię z kasztanowej wełny i szal, który zwykle nosiłam, zatrzymałam się jeszcze nad słowami Thomasa Willisa, jakby pragnąc upewnić się, że naprawdę je czytałam, że przeżycia ostatniej nocy nie były tylko snem.

*...ponieważ to wola Boska sprawia, że guz rośnie i żadne recepty lekarzy nie zdają się na nic, a choroba mózgowa (albo gorączka Pember Town) nie daje się wyleczyć za pomocą żadnych sprawdzonych środków...*

W jadalni znajdowali się wszyscy poza wujem Henrym. Od razu spostrzegłam ponury nastrój tej małej grupki, doskonale współgrający z moim. Moja dusza, kiedy poznała prawdę o rodzinie, jakby straciła całą żywotność i siłę, pozostawiając mnie pustą i zrezygnowaną. Nie byłam wprawdzie smutna ani przygnębiona, nie doznałam też szoku, ale czułam się odrywająca na ciele i duszy. Nowomodni lekarze określiliby zapewne ten stan mianem znieczulenia.

Kiedy siadałam przy stole, tylko Colin podniósł na mnie wzrok. Obserwował mnie uważnie, przy czym czujny wyraz

jego oczu uniemożliwia! mi poznanie, w jakim naprawdę jest nastroju. Unikałam jego spojrzenia udając, iż jestem bardzo głodna i myślę jedynie o filiżance herbaty.

Theo i ciotka Anna przedstawiali sobą żałosny widok: mieli potargane włosy, a ich lekko wyłupiaste oczy były podkrążone. Musieli być na nogach przez całą noc, czuwając przy wuju, bezradni i nieużyteczni w obliczu jego cierpienia. Martha siedziała posepna, a torba na jej kolanach wyglądała jak śpiący kot. Zazdrościłam mojej kuzynce możliwości ucieczki od rzeczywistości, jaką zapewniało jej to małe hobby.

— Dobrze się czujesz? — zapytał w końcu Colin.

— Tak, dziękuję. Czy mógłbyś podać mi dżem?

Zachowywał się z nonszalancją, choć nie wiedziałam dlaczego. Ciotka oraz Theo i tak przecież nie dostrzegali niczego, zatopieni w ponurym zamyśleniu, a Martha siedziała z kwaśną miną, najwidoczniej nadąsana z jakiegoś nieznanego mi powodu. Skoro więc Colin udawał bez troskę, musiał to czynić ze względu na mnie, nie potrafiłam sobie jednak wyobrazić, dlaczego tak się zachowuje.

— Wyjechałam przed świtem na przejażdżkę — oznajmiłam napełniając swoją filiżankę. — Zobaczyłam światło w twoim pokoju. Musiałas pójść do łóżka bardzo późno albo też wstałas nadzwyczaj wcześnie.

— Czytałam — odparłam krótko.

— Tak? — Jego jasnobrzazowe brwi powędrowały ku górze. — Wydajesz się dzisiaj w złym humorze.

— Nie jestem w złym humorze.

— Ale i nie w dobrym, jak sądzę.

Nie uśmiechnęłam się. Czułam się przygnębiona i pozbawiona chęci do życia. Za oknami widać było szare niebo, a ja czułam się podobnie — żadnej czerni ani bieli, żadnych żywych kolorów ni ostrych konturów. Wszystko roztopiło się w beznadziejnej szarości, a co najdziwniejsze — było mi z tym dobrze.

— Czytałas coś interesującego?

— W miarę. — Spojrzałam mu w oczy, aby przekonać się, czy zdołam coś z nich wyczytać. Colin zdążył wszakże przybrać maskę Pembertonów. Nie dało się poznać, jakie myśli skrywa jego przystojna twarz.

Chleb i dżem nie miały smaku. Herbata, choć parująca i przyprawiona pomarańczą, smakowała nijako i wydawała się letnia. Chyba straciłam smak. Siedziałam zrezygnowana, upodabniając się w ten sposób do moich fatalistycznie usposobionych krewnych, jak oni pokonana przez nieuchronność przeznaczenia. Jakże inaczej mogłam zareagować?

Jeszcze wczoraj byłam pełna życia, przepełniały mnie uczucia, dzięki którym gotowa byłam walczyć pazurami i zębami o własną przeszłość. Dziś nie zależało mi już na niczym. Przeszłość to po prostu minione dni, nie było sensu przywoływać jej z powrotem. Nie czułam już więcej potrzeby, by walczyć z tymi ludźmi, odeszło także pragnienie, aby ponownie znaleźć się w zagajniku. Nie zależało mi nawet na tym, by dowiedzieć się, kto położył książkę na moim nocnym stoliku, gdyż cel tego kroku został osiągnięty. To mi wystarczało.

— Nie przypominasz dzisiaj siebie, droga Leylo — usłyszałam głos Colina.

— Doprawdy? Na czym polega różnica?

— Nadal rozmyślasz o tym sygnecie, prawda?

— O sygnecie? Ach, to! Nic nie jest dalsze od przedmiotu moich rozmyślań niż ten klejnot. Założę się, że to sprawka którejś ze służących.

Przez chwilę przyglądał mi się uważnie.

— A może gniewasz się na mnie?

Otworzyłam szeroko oczy.

— Gniewam się na ciebie? — powtórzyłam. — O co?

Wzruszył ramionami.

— Twoje dzisiejsze zachowanie... Wydajesz się taka... nieobecna, tak pełna rezerwy, że pomyślałem...

Roześmiałam się krótkim, ostrym śmiechem.

— Jakiż ty jesteś próżny, kuzynie. Dlaczego sądzisz, że mój nastrój zależy od ciebie? Nawet o tobie nie pomyślałam.

— Och... — Wydawał się niezadowolony. — A zatem o co chodzi, powiedz, proszę?

Odstawiłam filiżankę na spodek, odłożyłam nadgryzioną grzankę i opuściłam dłonie na kolana. Wpatrując się w ścianę, rozmyślałam o fragmencie książki Thomasa Willisa i o tym, że jedna niewinna na pozór strona, zapisana staroświeckim języ-

kiem, zawierająca nie więcej niż trzysta stów może mieć większą siłę niszcząca niż ukąszenie węża.

Jakież to cios znaleźć konkretną wzmiankę o rodzinie! Tam, gdzie spodziewałam się ewentualnie opisu choroby, której objawy mogłyby przy dużej dozie wyobraźni przypominać efekt rzekomej kławy, znalazłam konkretny, niepodważalny dowód, że choroba Pembertonów naprawdę istnieje. Spostrzeżeń doktora Willisa nie mogłam obalić.

— Grosik za twoje myśli, Leylo.

Potrząsnęłam głową i spjrzałam na Colina. Czy rzeczywiście dojrzałam na jego twarzy przeblysł sympatii? Lecz jego rysy natychmiast znieruchomiały w kształt zwykłej maski.

— Myślałam o tym, że jako dziecko często przyłapywałam matkę na przyglądaniu mi się, na obserwowaniu mojej twarzy. Dziś wiem, że wyglądało to tak, jakby czekała na coś, co musi się w związku ze mną wydarzyć. Pewnie tak właśnie było; ona wypatrywała pierwszych objawów szaleństwa Pembertonów.

— Leylo... — pochylił się nad stołem.

— Wy wszyscy również bez żenady przyglądaliście mi się pierwszego dnia; studiowaliście moją twarz w poszukiwaniu czegoś sobie wiadomego, zadając mi pytania o ból głowy. Teraz dopiero to rozumiem.

— O czym ty mówisz, Leylo?

— Mówię, że mieliście rację co do choroby. Ona naprawdę istnieje.

Nagle dostrzegłam twarz Theo. Czy była to tylko gra, to pozorne pograżenie w ponurym zamyśleniu, podczas gdy przez cały czas bacznie przysłuchiwał się naszej rozmowie? Nie obchodziło mnie i to.

Colin wydawał się szczerze zaskoczony.

— Co, na Boga, spowodowało, że zmieniłaś zdanie? Wczoraj byłaś jak żołnierz w wigilię bitwy, jak pantera. A dzisiaj siedzisz tu pełna rezygnacji i przyznajesz nam rację. Jak to się stało?

Przeniosłam wzrok na Theo, a potem znów na Colina. Martha wyjęła robótkę z torby i spokojnie zajęła się wyszywaniem. Ciotka Anna, tak zwykle wymowna, bez słowa kręciła



łyżeczką w pustej filiżance, wpatrując się nieobecny wrokiem w przestrzeń.

— Wystarczy, jeśli ci powiem, że to się zdarzyło — odrzekłam.

— To znaczy... — zapytał szybko Theo.

— To znaczy, że zdałam sobie w pełni sprawę, co kryje się za przynależnością do rodu Pembertonów. Przestało mi więc zależeć na poznaniu przeszłości. Macie zapewne rację co do mego ojca, a skoro tak, to nie mogę wrócić do Edwarda. Nigdy.

Obaj kuzyni przyjęli to oświadczenie z ulgą, choć każdy na inny sposób. Theodore zdawał się zadowolony przede wszystkim z tego, że porzuciłam projekt wyprawy do lasku, podczas gdy po ustach Colina przemknął uśmiech, kiedy wspomniałam o Edwardzie.

— Wiesz już o guzie... — powiedział Theodore.

— Wiem. Dlaczego nikt nie powiedział mi o tym wcześniej?

— Ponieważ chcieliśmy, abyś wyjechała i żyła własnym życiem, wykreślając nas z pamięci. — Głos Theo był delikatny, wręcz współczujący. Jego ściągnięta napięciem twarz złagodniała w wyrazie żalu, gdy ujął przez stół moje dłonie i zamknął je w braterskim uścisku. — Przyjechałaś do nas taka niewinna, Leylo, taka naiwna i nieświadoma historii tej rodziny. Kiedy się zjawiłaś, nie miałaś pojęcia o tym, jak wyglądała twoja przeszłość; sądziłaś, że ojciec i brat zmarli na cholera. Mieliśmy nadzieję, że uda nam się odesłać cię w stanie tej nieświadomości, nie splamioną skandalami ciążyącymi nad tym przeklętym domem. Mimo woli jednak, kawałek po kawałku, zdradziliśmy ci prawdę, nadal żywiąc nadzieję, że i tak nie przestaniesz wierzyć w dobro i sprawiedliwość. Nawet zeszłego wieczoru, gdy padło podejrzenie, że mogłaś ukraść mój pierścień — w co zresztą nie wierzyłem ani przez chwilę! — mieliśmy nadzieję, iż uda nam się rozgniewać cię na tyle, byś opuściła ten dom i powróciła do narzeczonego.

Skinęłam z wolna głową, dostrzegając logikę w postępowaniu rodziny. Fakt, że ktoś zwabił mnie do tego domu, a potem usiłował w nim zatrzymać, niszcząc list do Edwarda,

nie zaprzętała już moich myśli. Jeżeli ktoś spośród członków rodziny pragnął, bym tu pozostała, nie miałam zamiaru dłużej się nad tym zastanawiać.

— Gdybyśmy przedstawili ci niezbity dowód na istnienie choroby, prawdopodobnie podjęłabyś decyzję o pozostaniu w Hurst, tak jak zapewne teraz zamierzasz. Bardzo mi przykro, droga Leylo, że twój powrót do domu okazał się taki nieszczęśliwy. Nie chciałyśmy cię skrzywdzić.

— Wszystko w porządku, Theo. Uważam, że powinno się znać prawdę.

— A zatem czytałaś tę książkę?

— Tak.

— Gdzie ją znalazłaś?

— Ktoś przyniósł ją do mego pokoju.

Obaj kuzyni wyglądali na zdziwionych.

— Czy to znaczy, że ktoś zostawił ją u ciebie celowo?  
— zapytał Colin.

— Jakież to ma znaczenie? Powiedziałam już, że wolę znać prawdę.

— Ale to nie w porządku, Leylo! Mogłaś wyjechać w przekonaniu, że kłątwa to tylko wymysł i wieść w oddali szczęśliwe życie.

— Tego właśnie chcieliście? Żebym kontynuowała linię, podczas gdy ty, Martha i Theo nie macie tego zamiaru? Powiedz mi, Colinie, czy to byłoby w porządku? Ktokolwiek przyniósł tę książkę, zrobił dobrze i nie czuję się wcale urażona. Ktoś uznał, że powinnam przekonać się o słuszności waszego wyboru i poznać prawdę o chorobie rodzinnej.  
— Czułam, że zaschło mi w gardle. — Czy ty, Colinie, uważałybyś, że to w porządku, gdybym wiodła szczęśliwe życie i rodziła dzieci, podczas gdy wy musieliście wyrzec się potomstwa?

Zielone oczy Colina wpatrywały się we mnie bez słowa, lecz Theodore powiedział szybko:

— Nie żyje nam się tu przecież źle, Leylo. Nie ma powodu, by się nad nami litować. Pembertonowie są bardzo zamożni, mogą zatem zapewnić sobie wygodne, a nawet luksusowe życie.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, kuzynie, ale nie szkodzi. Jedno z was — może ciotka Anna, Gertrudę czy nawet babka Abigail, podrzuciło mi tę książkę. Uważam, że słusznie.

Kątem oka dostrzegłam zajęte robótką ręce Marthy i przypomniało mi się, co powiedziała zeszłej nocy — jak bardzo mi zazdrości, że mogę wyjechać i poślubić mężczyznę, którego kocham.

— Naprawdę nie zależy mi, żeby dowiedzieć się, kto dał mi tę książkę, ponieważ nie ma to żadnego znaczenia — dodałam. — Liczy się tylko to, że mogłam poznać prawdę. — Spojrzałam na swoje jakby pozbawione życia dłonie. — Jestem wdzięczna temu nieznanemu ofiarodawcy.

Następne minuty zdawały się ciągnąć w nieskończoność, brzemiennie ciężką ciszą, która tłumiła nawet tykanie zegara nad kominkiem. Wszystkie nasze uczucia zbladły, stając się równie szare co widok za oknem.

W końcu wstałam od stołu i jeszcze raz obrzuciłam spojrzeniem moją rodzinę, a potem powiedziałam:

— Chciałabym pójść teraz na spacer. Och, nie obawiaj się, Theo! Nie mam zamiaru zbliżyć się do zagajnika, wybieram się w przeciwnym kierunku. Mieszkając w Londynie, odkryłam, że popołudniowe spacery pomagają mi uporządkować myśli, a właśnie tego mi potrzeba. Pozwólcie więc, że was przeproszę...

Theodore i Colin również wstali od stołu; ich spojrzenia, gdy przyglądali się mojej twarzy, wyrażały czujność. Przez chwilę zdawało mi się, że Theo przemówi, lecz widocznie zmienił zdanie i nie powiedział nic.

Gdy w swoim pokoju szykowałam się do wyjścia, usłyszałam podjeżdżający powóz, a kiedy podeszłam do okna, zobaczyłam, że wysiada z niego pełen godności dżentelmen ze skórzaną walizeczką w ręku. Kiedy już miałam opuścić pokój, więcej niż dostatecznie zabezpieczona przed dokuczliwym, lodowatym wiatrem, usłyszałam kroki na korytarzu — podobne do tych, które nie pozwoliły mi zasnąć w nocy — i zaniepokojony szept ciotki Anny, a także kontrastujące z nim, poważne w tonie, uspokajające pomrukiwania. Najwidoczniej doktor

Young znowu przyjechał zobaczyć się ze swoim pacjentem. Obiecując sobie, że później i ja odwiedzę mego biednego wuja, zeszałam po schodach i wyszałam przez frontowe drzwi.

Wzgórze zdawało się znajdować w centrum lodowatego zimna i wichru szarpiącego szeleszczące i ocierające się o siebie gałęzie drzew. Musiałam ze wszystkich sił walczyć z wiatrem, aby przytrzymać szeroką spódnicę i łopoczącą pelerynę, ale kłujący ziąb mile chłodził rozpalone policzki i napełniał świeżym powietrzem płuca.

Stawiłam czoło zimowym podmuchom i przez chwilę oddychałam głęboko, a potem skierowałam się na żwirowaną alejkę, wiodącą prawdopodobnie do drogi ku East Wimsley.

Musiałam spacerować długo, gdyż ręce zdrętwiały mi z zimna, a policzki szczypały, lecz spacer ten dobrze mi zrobił. A poza tym miałam teraz okazję wejrzeć w głąb siebie. Nagie drzewa, błotnisty grunt i zachmurzone niebo zdawały się sprzyjać wewnętrznym refleksjom. Nic nie zakłócało toku myśli, byłam zupełnie sama pośród tej dzikiej przyrody, mogłam więc dobrze przyjrzeć się swoim uczuciom i zastanowić co dalej.

To, co odkryłam spacerując, sprowadziło się do jednego: właśnie zaczęłam nowy etap życia. Po przeczytaniu książki Thomasa Willisa wszystko, co do tej pory odgrywało w moim życiu ważną rolę, przestało mieć znaczenie. Podrobiony list ciotki Sylvii, mój spalony list do Edwarda, skradziony pierścionek Theo i wszystkie inne tajemnice otaczające moją rodzinę nagle zupełnie przestały się liczyć, podobnie jak najważniejsza jeszcze wczoraj potrzeba pełnego poznania przeszłości.

Wiedziałam teraz, że opowieść o moim ojcu była prawdziwa, że padł ofiarą guza mózgu i w ataku szaleństwa popełnił zbrodnię. Jego choroba została uwieczniona w opisie wiarygodnego świadka, uczonego, ataki zdarzały się już wcześniej innym Pembertonom, a teraz to samo przydarzyło się wujowi Henry'emu. Za jakiś czas choroba zaatakuje także mnie.

Nie mogłabym teraz wrócić do Londynu; zrezygnowałam z tego, gdyż nie zależało mi już na Edwardzie. Kiedy się nad tym zastanowiłam, uświadomiłam sobie, że nigdy naprawdę

go nie kochałam — nie tak, jak powinno się kochać, miłością głęboką i namiętą — zaledwie go lubiłam, szukając u niego pociechy w chwili smutku i żałoby.

Teraz mieszkańcy Hurst są moją rodziną, a ich dom moim domem; tak długo, jak długo przyjdzie mi żyć.

Doktor Young został zaproszony na kolację. Jego powóz nadal stał obok stajni. Weszłam do domu tylnym wejściem, starając się uniknąć spotkania z kimkolwiek i po cichutku przekradłam się do swego pokoju, gdzie ogień buzował w kominku, a lampy płonęły jasnym światłem. Ciężkie zasłony izolowały pokój od chłodnego zmierzchu, z zadowoleniem stwierdziłam, że sypialnię wypełnia przyjemne ciepło.

Książka Thomasa Willisa nadal leżała tam, gdzie ją zostawiłam. Jej podniszczona okładka i tłoczony złotymi literami tytuł stanowiły symbol nagiej zmiany w moim życiu. Co dziwne, nie czułam żalu. Moją duszę wypełniło uczucie łagodnej rezygnacji, pogodzenia się z losem, któremu już dłużej nie mogłam się przeciwstawiać.

Policzki nadal płonęły mi czerwienią, gdy nagłe pukanie do drzwi przerwało moje zabiegi wokół doprowadzenia fryzury do porządku. Miałam nadzieję, że to Colin. Zdziwiło mnie rozczarowanie, jakiego doświadczyłam, gdy zobaczyłam, że to Theo stoi na progu mego pokoju. Kuzyn, ubrany jak zwykle starannie, choć nieco zbyt wytwornie, jak zresztą wszyscy Pembertonowie, spoglądał na mnie z wyrazem, który określiłabym jako pełen podziwu.

— Bardzo przypominasz swoją matkę! — powiedział spokojnie, uśmiechając się lekko.

— Dziękuję bardzo, Theo.

— Ona też zawsze miała zaróżowione policzki, kiedy wracała do domu, a musisz wiedzieć, że uwielbiała wprost przebywanie na dworze. Zajmowała się ogrodem, spacerowała albo jeździła na swojej ulubionej klaczy.

— Naprawdę? — Przed oczami stanął mi obraz matki w naszym ciasnym mieszkanku w podłej dzielnicy Londynu, jej szczupłego ciała, pochylonego nad igłą i nitką, jej skóry niemal białej, gdyż nigdy nie widziała słońca.

— Jesteś do niej podobna pod wieloma względami — powiedział Theo powoli, jakby z namysłem. Zawsze nosiła włosy tak jak ty teraz. — Wyciągnął dłoń i musnął czubkami palców falujące włosy, spadające na ramiona. — Babce się to nie podobało; mawiała, że rozpuszczone włosy dobre są tylko dla Jezebel. Jednak Jenny, nawet kiedy już wyszła za twego ojca, pozostała nieujarzmiona i dziecinnie wprost uparta.

Wpatrywałam się w Theo z najwyższym niedowierzaniem, bo nigdy dotąd nie słyszałam, by mówił w ten sposób ani też nie widziałam jego twarzy tak łagodnej.

— Ogromnie za nią tęskniłem, gdy wyjechała z tobą, Leylo. Byłem załamany.

Odsunęłam się od kuzyna, który stał teraz tuż obok mnie.

— Skoro tak, to dlaczego za nami nie pojechałeś? — spytałam.

Jego oczy zaszyły mgłą.

— Nie mogłem, Leylo. Po prostu nie mogłem.

Odwrociłam się od niego i podeszłam do toaletki, gdzie dokończyłam splatanie włosów. Gdy wyglądałam już znowu tak jak przed wyjściem na spacer — z gładko uczesanymi włosami i przybladłymi już policzkami, odwróciłam się do Theo i powiedziałam chłodno:

— Żałuję, że za nami nie pojechałeś. Może wówczas nie musiałabym doświadczyć tego, czego doświadczyłam.

Dostrzegłam, że owładnęło nim jakieś dziwne uczucie, którego nie byłam w stanie określić, zarazem gniew i żal. Wyglądało to tak, jakbym przywołała jakieś dawno pogrzebane uczucia, które zdominowały teraz zwykłą — pełną rezerwy — postawę Theo.

— Chciałem, Leylo! Naprawdę chciałem!

— Więc kto cię powstrzymał? Babka? Och, Theo, teraz nie ma to już doprawdy znaczenia, już nie. Ja także pragnę pozostawić przeszłość za sobą, gdyż nic dobrego nie płynie z rozgrzebywania starych smutków. Wszystkich nas czeka jednakowa przyszłość, ten sam los. Nic już nie będzie takie jak przedtem.

Theodore jeszcze przez chwilę wpatrywał się we mnie, a wyraz jego oczu sprawiał wrażenie, że widzi na moim

miejscu kogoś innego. Raptem niepokój znikł z jego twarzy jak chmura odsłaniająca słońce i kuzyn Theo znowu był sobą: człowiekiem pewnym siebie i zrównoważonym. Jeszcze przez kilka minut rozmawialiśmy o zwykłych sprawach, a potem zesliśmy na dół. Nie przysłuchiwałam się uważnie temu, co mówił, gdyż zorientowałam się, że niecierpliwie wyczekuję chwili ujrzenia Colina.

Weszliśmy do salonu, by wypić szklaneczkę wina przed obiadem. Dostrzegłam siedzącą przed kominkiem Marthę, jak zwykle zajęta haftem, w towarzystwie kogoś, kogo ujrzałam po raz pierwszy.

Usłyszałam głos Theodore'a:

— Leylo, sądzę, że nie miałaś jeszcze okazji poznać naszego domowego lekarza. Oto doktor Young.

Jego twarz zdawała się stworzona, by patrzeć na nią z profilu; tak wspaniale rzeźbione miał rysy, tak doskonały nos i mocną linię szczęki. Zdumiało mnie, że wygląda tak młodo — miał w sobie tyle sił żywotnych, że z trudem przychodziło uwierzyć, iż wiekiem przypomina wuja Henry'ego — musiał dobiegać sześćdziesiątki. Jego nieskazitelne siwe włosy szesane z czoła odsłaniały przystojną twarz; lecz nie dostrzegłam na nich śladu olejku makasarowego, a bokobrody — choć długie i białe, nie przypominały kształtem baranich kotletów, co było tak popularne wśród starszych mężczyzn. Gdy się uśmiechnął, to był to uśmiech szczery i pełen ciepła, a jego małe niebieskie oczy zapłonęły nagle niczym choinka. Poniżej tej uderzająco przystojnej twarzy znajdowało się arystokratyczne ciało, które poruszało się z niezwykłym wigo-rem, zdradzając siłę właściwą raczej mężczyźnie o połowę młodszemu. Ubrany w kasztanowy surdut, czarne spodnie, lnianą koszulę i kamizelkę, przedstawiał sobą kwintesencję dystynkcji i nieskazitelnego smaku.

Bardziej niż wygląd i strój uderzył mnie jednak jego głos. Gdy weszłam do pokoju i zobaczyłam, jak szybko doktor podnosi się i wita mnie serdecznym uśmiechem, poczułam do niego sympatię. Kiedy zaś powiedział swoim miękkim, pięknie modulowanym głosem: „Jakże się pani miewa, panno Pemberton?” — wiedziałam już, że jest to człowiek, któremu mogę

zaufać. Jego głos, choć cichy, wypełnił pokój. Wiedziałam, że ten spokojny głos nawykły jest do wydawania poleceń.

— Jak się pan ma, doktorze? — odpowiedziałam.

Jeszcze nie przebrzmiało echo moich słów, gdy do pokoju weszła ciotka Anna i od razu pośpieszyła w stronę lekarza. Czekwała przy jego boku grzecznie, acz nieco niecierpliwie, zaciskając dłonie w geście rozpaczy, niczym porzucona kochanka.

— Doktorze — dobiegł mnie jej pełen napięcia głos.  
— Musi pan pójść do Henry'ego, bardzo proszę.

Doktor uśmiechnął się jeszcze szerzej, uśmiechem, który zawierał w sobie całą cierpliwość świata, niespieszną i bezinteresowną.

— Oczywiście, Anno — za chwilę. Nie znałem dotychczas twojej uroczej bratanicy. Mieszkała pani dotąd w Londynie, prawda? — Przemówił przyjaznym tonem, z uśmiechem przeznaczonym tylko dla mnie.

— Tak, doktorze. Czy był pan tam kiedyś? — spytałam.

Roześmiał się miękko jakby do własnych myśli, na wspomnienie sobie tylko znanego żartu.

— Tak, panno Pemberton, byłem kiedyś w Londynie — odparł.

— Doktorze... — ponagliła niecierpliwie ciotka Anna.

— Już, już, moja droga. Nie doprowadzaj się do takiego stanu. — Zwrócił teraz całą uwagę na ciotkę, jakby poza nią w pokoju nie było nikogo.

Ja zaś patrzyłam z podziwem, jak łatwo uspokaja ją za pomocą kilku gestów, jak szybko ciotka odpręża się w jego kojącej obecności.

Oto lekarz z powołania, powiedziałam sobie.

— On się obudził, doktorze, ale nie chce nic jeść — powiedziała ciotka.

— No cóż, będę musiał tam pójść. — Doktor Young zwrócił się teraz do mnie i powiedział tym swoim miękkim głosem o lekko nosowej intonacji: — Proszę mi wybaczyć, panno Pemberton, muszę zobaczyć się z wujem pani. Szybko wrócę i z przyjemnością zjem obiad w pani towarzystwie.



Obserwowałam, jak opuszcza bibliotekę, unosząc ze sobą magiczny czar swojej osobowości. Czy ów majestatyczny sposób bycia był mu wrodzony, czy też wykształcił go podczas lat praktyki, trudno było stwierdzić, lecz fakt, że doktor Young ma niebywałą zdolność wzbudzania zaufania, nie budził żadnych wątpliwości.

W następnej chwili spokój biblioteki został brutalnie zakłócony gwałtownym wtargnięciem mojego drugiego kuzyna.

— Co za paskudna pogoda! — poskarżył się z krzywym uśmiechem, otrzepując ze spodni resztki jeżynowych pędów i pokrzyw. Nalał sobie szklaneczkę sherry, a potem obrzucając mnie figlarnym spojrzeniem, popatrzył na Theo i Marthę i powiedział: — Jesteśmy w towarzyskim nastroju, co?

Roześmiałam się cichutko, lecz Theo bynajmniej nie wydawał się rozbawiony.

— Cóż z ciebie za prostak, Golinie! Tak wpadać do pokoju, jakbyś wkraczał na hipodrom. I czy nie uczono cię, że należy się przebrać do kolacji?

Colin spojrzął po sobie.

— Przecież nie jestem nagi!

Martha poderwała głowę.

— Colinie Pemberton...! — Jej twarz przybrała kolor szkarłatu.

— Wybacz mi, siostrze. To nie był dobry dowcip. I jak, kuzynko Leylo? — odmaszerował od bufetu i podszedł do mnie, najwidoczniej wciąż w wojowniczym nastroju. — Czy spacer sprawił ci przyjemność?

— Tak, dziękuję.

— Teraz będziesz musiała pozwolić mi, abym nauczył cię jeździć konno.

— Jestem pewna, że sprawi mi to wielką przyjemność.

Jego oczy wpatrywały się we mnie, lecz wytrzymałam to spojrzenie i nie spuściłam wzroku.

— Doprawdy...? — spytał już spokojniej.

Stał blisko mnie, a ja poczułam, iż jego bliskość przyspiesza bicie mego serca. Oczywiście, to bzdura — zbeształam się — żeby obecność tego gburę tak na mnie działała. Co prędzej

przypisałam więc swoje podniecenie wina, które przed chwilą wypiałam.

— A zatem czy mogę towarzyszyć ci do jadalni? — Wyciągnął ramię, a ja położyłam na nim dłoń.

Martha i Theo ruszyli za nami. Ponieważ było nas tylko czworo, nakrycia zostały ustawione stosownie dla tak małej liczby stołowników. Po jednej stronie stołu siedzieli więc Theo i Colin, a ja z Martha po drugiej. Gdy służba wniosła naczynia z gęstą, gorącą zupą, kromkami gorącego chleba i kawałkami masła, rozmowa urwała się.

Doktor Young i ciotka Anna dołączyli do nas wkrótce, wybawiwszy wuja Henry'ego od cierpień za pomocą środka nasennego. Oboje zasiedli przy stole. Gdy doktor Young częstował się zupą, nie mogłam powstrzymać się, by na niego nie patrzeć, tak doskonałe było jego obycie i tak miła twarz. Światło świec tańczyło w jego falistych białych włosach, a po ustach przemyczał co i rusz ów szczególny uśmiech.

Rozmowa ożywiła się dopiero po kotletach baranich z ziemniakami, gdy służba roznosiła gotowane na parze warzywa. Ponieważ ciotka Anna sprawiała wrażenie przygnębionej i śmiertelnie zmęczonej, doktor Young, starając się przywrócić nieco radości jej otoczonym ciemnymi kręgami oczom i opadłym kącikom ust, opowiedział zabawną anegdotę o nowej modzie spędzania letnich wakacji nad morzem. Historyjka rozbawiła nas wszystkich, poza ciotką Anną, która nie była w stanie zmusić się nawet do grzecznościowego uśmiechu. Prawdę mówiąc, nie byłam nawet pewna, czy w ogóle słyszała, o czym mówi doktor, gdyż wydawała się zatopiona w myślach. Sądzę, że nie wiedziała nawet, co znajduje się na jej talerzu.

— Nigdy nie byłam nad morzem, doktorze Young, lecz jak rozumiem, taki pobyt może być korzystny dla zdrowia — powiedziałam.

Skinął głową.

— Powietrze tamtejsze ma działanie lecznicze, a woda działa odmładzające. Zalecam wyjazd nad morze wszystkim swoim pacjentom.

— Mnie z pewnością by się tam nie spodobało — oznajmiła Martha, obdarzając doktora jednym ze swoich najpięk-

niejszych uśmiechów. — Nic, tylko piasek i wiatr, z którymi trzeba się zmagać, nie wspominając już o brudnej wodzie.

Gdy rozprawiali na ten temat, obserwowałam doktora Younga, za wszelką cenę starając się przypomnieć go sobie. Jeżeli bywa! tu równie często podczas choroby mojego ojca, jak teraz u wuja Henry'ego, powinnam była go sobie przypomnieć. Jednakże — podobnie jak w wypadku Colina, Theo i pozostałych domowników z wyjątkiem Marthy — doktor Young pozostawał ukryty za zasłoną przeszłości.

W końcu, przyłapawszy mnie na bezceremonialnym przyglądaniu się mu, doktor przywołał na twarz jeden ze swoich serdecznych uśmiechów i powiedział tym swoim cudownie dźwięcznym głosem:

— Grosik za twoje myśli, panienko.

— Zastanawiałam się, sir — powiedziałam z wahaniem — czy jest coś, co mogłoby pomóc memu cierpiącemu wujowi.

— Gdyby istniało coś takiego, to zapewniam panią, że zostałyby zastosowane. Niestety, mózg jest wciąż tajemniczym organem, o którym rodzaj ludzki wie jeszcze bardzo mało. Badali go nieliczni tylko anatomowie i nieliczni diagnostycy opisywali nieprawidłowości jego budowy i działania. Choroby mózgu pozostają więc nadal w gestii Boga, podobnie zresztą jak w gruncie rzeczy wszystkie schorzenia ludzkiego ciała. Lekarze są tylko przedstawicielami Pana i jeśli woli On zatrzymać coś w tajemnicy przed nami — jak na przykład właśnie mózg — jesteśmy bezradni.

Westchnęłam i położyłam widelec obok talerza. Wydawało mi się niesprawiedliwe, że ze wszystkich chorób dziedzicznych, na które mogą cierpieć ludzie, Pembertonowie zapadają akurat na taką, która nie poddaje się leczeniu.

— Jednak — powiedział kuzyn Theodore, delikatnie ocierając serwetką usta — ciągle dokonuje się znaczących odkryć w tej dziedzinie. Ten miody uczoney z Paryża — jak on się nazywa? — ostatecznie obalił teorię samoródtwa. A po tym wielkim brytyjskim odkryciu — anestezji — trudno w ogóle przewidzieć, czego w przyszłości będzie można oczekiwać po medycynie.

Doktor Young uśmiechnął się grzecznie, jego oczy rozbłysły.

— Anestezja to amerykański wynalazek, jak mi się zdaje, lecz ma pan rację co do pana Pasteura pracującego w Paryżu i jego godnych najwyższego uznania eksperymentów. Gdyby udało się połączyć odkrycia naukowe z medycyną, zamiast pracować nad każdą z nich oddzielnie, można by dokonać jeszcze znaczniejszych postępów.

— Co pan przez to rozumie, doktorze?

Odpowiadając na pytanie Theo, doktor Young patrzył na mnie.

— Uważam, iż lekarze powinni w większej niż dotąd mierze stać się badaczami, zająć się mikroskopem, nie ograniczając swojego pola działania do łóża chorego. Jak dotąd bowiem postęp nauki dokonuje się głównie w chemii, zoologii i geologii, lecz nie w medycynie, co przyniosłoby większą korzyść ludzkości. Ale z pewnością ten temat nudzi panie, może więc porozmawiamy o czymś, co zainteresowałoby wszystkich.

— Nic podobnego, doktorze! — zaprotestowałam gorąco. — Jestem bardzo zainteresowana pańską opinią na temat postępów medycyny. Widzi pan, nazbyt często stykałam się ze śmiercią bliskich i...

— Jak na przykład ze śmiercią ojca?

— Czy pan go znał?

Doktor Young potrząsnął głową.

— Osiedliłem się w East Wimsley przed sześciu laty, kiedy postanowiłem przejść na częściową emeryturę i odpocząć od szalonego rytmu pracy w wielkim mieście. To doktor Smythe zajmował się ojcem pani.

Przebłysk pamięci! Znajome nazwisko wywołało niejasny wizerunek twarzy i jakieś ulotne wrażenie. Nazwisko Smythe wypowiedane szeptem. Tęgawy niski człowieczek wprowadzany do pokoju mego ojca pośród szelestu krynolin i pośpiesznych kroków. Dobiegający z wewnątrz szloch młodej kobiety. Tak wiele wspomnień wywołanych samym dźwiękiem nazwiska! To dlatego doktor Young z niczym mi się nie kojarzył: nie pochodził stąd, nie był częścią mojej przeszłości.

— Oczywiście, przeczytałem historię choroby...

Jego ciepły głos wdarł się w tok moich myśli. Podczas gdy ja pracowicie wspomniałam niejasne obrazy, doktor Young mówił:

— Przepraszam... — powiedziałam. — Proszę mi wybaczyć, zamyśliłam się.

Roześmiał się.

— Mówiłem, że kiedy osiadłem w East Wimsley, znalazłem czas, aby zapoznać się z notatkami doktora Smythe'a na temat jego pacjentów. Ponieważ Pembertonowie są znaną rodziną, która w dodatku otrzymała większą porcję cierpienia, niżby należało, z historiami ich dolegliwości zapoznałem się szczególnie dokładnie. W ten sposób dowiedziałem się o tym guzie...

Opuściłam wzrok. Słowa „ten guz” wywarły na mnie ogromne wrażenie. „Ten guz” był także moim guzem i moim wyrokiem śmierci.

Colin zdecydował się zabrać głos, zmiotłszy wszystko ze swojego talerza i opróżniwszy filiżankę.

— Proszę mi powiedzieć, doktorze, czy w swojej praktyce zetknął się pan już wcześniej z podobnym problemem?

Doktor zastanawiał się przez chwilę.

— Medycyna odnotowuje mnóstwo przypadków występowania chorób dziedzicznych, jak na przykład daltonizm czy hemofilia, szpotawa stopa, obłąd, a nawet podatność na ataki serca. Nigdy dotąd nie natknąłem się jednak na chorobę, która miałaby tak długą historię. Wasza bowiem sięga wstecz na całe stulecia. Żadna też z chorób, z którymi się zetknąłem, nie dotyczyła wszystkich członków rodziny. Chociaż i to mnie nie zaskakuje. W swojej praktyce natknąłem się na wiele zaskakujących rzeczy, dziwniejszych nawet od przypadku Pembertonów.

Teraz ja zadałam pytanie:

— Proszę mi wybaczyć, doktorze Young, lecz co to takiego atak serca? Nigdy o tym nie słyszałam.

— To nowa nazwa starego schorzenia, panienko, które nadal poddawane jest badaniom. Stanowi wspaniały przykład na poparcie mojej tezy, iż lekarze powinni przywiązywać

większą wagę do badań naukowych, które mogą stać się źródłem cennych informacji, te zaś w przyszłości z pewnością pomogą ocalić komuś życie.

Atak serca, jak coraz częściej bywa nazywany ten przypadek, to nazwa nadana zespołowi objawów charakteryzujących się bólami w piersi i lewym ramieniu, trudnościami w oddychaniu, mdłościami i poceniem. Między moimi kolegami toczy się obecnie zawzięta dyskusja na temat przyczyny tych ataków. Sekcje zwłok — panie wybaczą — ujawniły istnienie skrzepów w tętnicach zasilających mięsień sercowy. Ta tajemnicza dolegliwość, jak się ostatnio przekonaliśmy, zdradza tendencję do częstszego występowania w niektórych rodzinach. Jeśli na przykład czyjś ojciec umarł z powodu ataku serca, istnieje duże prawdopodobieństwo, iż syn także doświadczy tego losu.

— Nigdy o czymś takim nie słyszałem! — powiedział Theo, poruszony wyraźnie wywodem doktora. — Nie ma na to żadnego lekarstwa?!

— Tylko takie, które łagodzi objawy, ale nie leczy samego schorzenia. Z nie znanych nam dotąd powodów wyciąg z naparstnicy, zwany digitalis, podany podczas ataku, na ogół usuwa ból i poprawia samopoczucie pacjenta. Nikt jednak nie wie, dlaczego tak się dzieje.

Spojrzałam na Theo i zrozumiałam, że muszę mieć podobną minę. Wiedziałam, że myśli o tym samym co ja.

— Czy wierzy pan, doktorze, iż pewnego dnia medycyna znajdzie lekarstwo na naszego guza mózgu? — spytałam.

Doktor Young popatrzył na mnie łagodnie i uśmiechnął się zniewalająco.

— W medycynie zawsze istnieje nadzieja, panienko, ale do poznania przez nas mózgu jeszcze bardzo daleka droga. Dzisiaj lekarze próbują walczyć przede wszystkim z infekcją w miejscu operacji, szukają leku przeciwko suchotom, temu groźnemu zabójcy, albo też usiłują sobie radzić z kamieniami żółciowymi czy wyrostkiem robaczkowym. Te choroby powodują znacznie więcej zgonów niż guzy, a my nadal jesteśmy wobec nich bezradni. Potrzebujemy naukowców... — Potrząsnął głową.

— Proszę mi powiedzieć...—rzekł Theo. — Czy nie wspominał pan kiedyś, że osiedlił się w East Wimsley, aby prowadzić badania?

— Prawdę mówiąc, tak, i dlatego postanowiłem zamieszkać poza miastem, w niejakim odosobnieniu. Stara farma Ivy była akurat na sprzedaż, a ponieważ znajdowała się dostatecznie daleko od miasta, aby zapewnić mi spokój — dobre dwie mile — a zarazem na tyle blisko drogi, bym mógł być osiągalny w razie nagłych wezwań, zdecydowałem się tam zamieszkać. Mam małe laboratorium, a nawet własny mikroskop. Moją specjalnością jest cukrzyca i mam nadzieję, że doczekam dnia, kiedy znajdziemy na nią lekarstwo. Dziś choroba ta zabiera bardzo wiele ofiar.

Cukrzyca. Pomyślałam o książce Thomasa Willisa i o rozdziale poświęconym tej chorobie. Ciekawe, czy doktor Young zna to dzieło i czy za aktualne uznaje opinie dawnego lekarza.

Podczas gdy Colin i Theo, spragnieni rozmowy, która dotyczy innych spraw niż fabryki bawełny czy też brytyjska polityka zagraniczna, z zapałem dyskutowali z doktorem, obserwowałam ich w milczeniu, pogrążona w myślach, które kłębiły mi się pod czaszką. Gdybym mogła porozmawiać na osobności z doktorem, zapytałabym o jego profesjonalną opinię na temat odkryć Willisa. Chciałabym też dowiedzieć się więcej o tym guzie. Nie czułam się jednak na tyle swobodnie, żeby poruszyć ten temat w obecności kuzynów. Może później nadarzy się okazja, by porozmawiać z doktorem bardziej prywatnie.

Po warzywach podano ciężki pudding z masą bitej śmietany. Jadłam w milczeniu. Ciotka Anna, która nie odezwała się dotąd ani słowem, przeprosiła nas i udała się na górę, do wuja Henry'ego. Obserwując jej zmęczony krok, poczułam współczucie. Możliwe zresztą, iż na współczucie zasługiwali wszyscy Pembertonowie, łącznie ze mną.

Po posiłku przeszliśmy do salonu, gdzie mężczyźni wybrali towarzystwo moje i Marthy, zamiast oddalić się, aby wypalić cygaro i wypić szklaneczkę porto. To odstępstwo od ustalonych zwyczajów wywołane zostało zapewne szczególnym charakterem tego popołudnia — potrzebą bycia razem w trud-

nych chwilach, gdyż cierpienie wuja odcisnęło niewątpliwe piętno na nas wszystkich.

Bez zwykłej wesołości rozlokowaliśmy się pomiędzy solidnymi meblami rodzinnego salonu, odgradzając się od chłodnej nocy płonącym jasno ogniem, migotliwym światłem świec, szklaneczką czerwonego wina i dźwiękiem fortepianu. Usadowiłam się obok doktora na kanapce zarzuconej poduszkami zdobionymi paciorkami i ułożonymi na oparciu koronkowymi serwetkami. Colin ulokował się w *prie-dieu* naprzeciw kominka, a Theo zapadł w skórzany fotel, opierając stopy na podnóżku. Martha zasiadła do fortepianu, delikatnie ułożyła łańdy swojej obfitej spódnicy i zagrała Chopina.

Atmosfera panująca w salonie sprzyjała pogrążeniu się we własnych myślach, co też uczyniłam. W końcu w ciągu ostatnich kilku miesięcy, od pogrzebu matki, nie miałam wielu okazji, aby w spokoju oddawać się refleksjom. Podczas gdy Martha wydobywała z instrumentu delikatne dźwięki, z loczkami tańczącymi wokół jej twarzy i nieodłączną torbą na robótki u stóp, siedziałam spokojna i jakoś ukojona przy boku doktora Younga.

Godzina minęła niepostrzeżenie. Nikt z nas się nie odzywał, a moja kuzynka wciąż grała, prezentując obszerny repertuar utworów, wybranych najwidoczniej ze względu na ich lekki charakter i spokojne melodie. Gdy w końcu wyprostowała się i zdjęła dłonie z klawiatury, a doktor Young bardzo grzecznie pochwalił jej talent, odkryłam ku swemu przerażeniu i konsternacji, że całą tę godzinę spędziłam wpatrując się w Colina.

Jego profil, rysujący się na tle płomieni, nie zdawał się świadczyć o wewnętrznym spokoju i odprężeniu. Napięte mięśnie szczęki, mocno zaciśnięte usta, pochmurny wyraz oczu oraz brwi ściągnięte w gniewnym grymasie znamionowały stan poruszenia. Muzyka Chopina nie ukołysała go, nie pomogła zapomnieć o strapieniach, a kiedy umilkła, zdawało się, iż niepokój Colina za chwilę znajdzie ujście w gwałtownym wybuchu.

Jakież to dziwne — pomyślałam, porównując niepokój Colina z pełną wewnętrzną pogodą postawą Theo. W zaist-



niałych okolicznościach to raczej ten ostatni powinien być zmartwiony... A jednak było odwrotnie.

Choć ojciec Theo złożony został śmiertelną chorobą, choć jego samego czekał ten sam los, Theodore wydawał się obojętny i pogodzony z sytuacją. Colin zaś, zapatrzony gniewnie w ogień, sprawiał wrażenie człowieka na krawędzi załamania.

Kiedy po chwili uniósł nagle wzrok, by na mnie spojrzeć, poczułam, że twarz powleka mi się szkarłatem. Jego zielone oczy, w kolorze letniego mchu, wpiły się intensywnie w moją twarz, jakby odwzajemniając spojrzenie, którym obdarzałam go przez ostatnią godzinę, jakby przez cały czas wiedział, że nie odrywam od niego oczu, i nagle zmieszana zorientowałam się, że nie wiem, co powiedzieć.

— Kto teraz zagra? — spytał na szczęście Theo.

— Kuzynka Leyla, oczywiście — powiedział Colin.

— Nie grałam od tak dawna... Naprawdę. W porównaniu z Martha...

— Proszę, panienko — dobiegł mnie z bliska nosowy głos doktora Younga.

Widząc jego szeroki uśmiech i zachęcające spojrzenie, nie mogłam się dłużej wykręcać, wstałam więc i podeszłam do Marthy.

— Obawiam się, że ani nawet w najmniejszym stopniu ci nie dorównam — powiedziałam do niej, podnosząc jej torbę. Ciężka od igieł, drutów, szydełek i tamborków, stanowiła istotę jej życia. W pewien sposób zazdrościłam jej tego.

— Mój brat twierdzi, że gram mechanicznie — odrzekła.

— Nie wkładam w grę serca. Może twoja gra bardziej spodoba się Colinowi, Leylo, bo mnie nigdy nie udało się go zadowolić.

Próbując zignorować natrętny wzrok Colina, usadowiłam się na taborecie, nieco zdenerwowana.

Minęło już trochę czasu, odkąd ostatni raz grałam na fortepianie. Kiedy więc moje dłonie zawisły nad klawiszami, pewna byłam, że nie pamiętam nic z tego, czego się kiedyś uczyłam.

Z początku szło mi marnie, częściowo dlatego, że wyszłam z wprawy, a częściowo, ponieważ świadoma byłam, że Colin

nadal mi się przygląda. Dziwny wpływ, jaki na mnie wywierało to spojrzenie, niepokoił mnie i nie pozwalał się skoncentrować. Próbowałam wprawdzie wyrzucić kuzyna z myśli i poświęcić się wyłącznie muzyce, ale nie udało mi się to. Choć utwór Beethovena wymagał skupienia uwagi i tak zdawałam sobie sprawę, iż gram dla Colina i tylko dla niego jednego, jakby w pokoju — i na świecie! — nie było nikogo poza nim, i że wciąż bardziej i bardziej poddaję się oczarowaniu, nad którym przestałam mieć kontrolę.

Kiedy skończyłam „Dla Elizy” wszyscy grzecznie obdarzyli mnie brawami, lecz wiedziałam, że Colin spodziewał się po mnie czegoś więcej.

— Grałaś wspaniale — oceniła Martha. — O wiele lepiej ode mnie.

— Dziękuję, kuzynko, ale nie mogę się z tobą zgodzić. Theo, czy mógłbyś pośpieszyć mi na ratunek?

— Nie mam zdolności do gry, dlatego ten rodzaj aktywności towarzyskiej zostawiam moim bardziej utalentowanym krewnym. Colinie, pokaż Leyli, jakim jesteś artystą!

Wyrazista rywalizacja pomiędzy Colinem a Theo, choć na ogół trzymana w ryzach, tak iż byłam świadkiem jej nie kontrolowanego przejawu zaledwie raz czy dwa razy, znowu dawała o sobie znać. Obaj kuzyni wpatrywali się w siebie, niczym dwa bojowe koguty.

— Proszę, zagraj dla nas — włączyła się Martha. — Colin jest lepszy niż my wszyscy razem wzięci, a poza tym pisze własną muzykę — dodała.

Wstałam więc i czekałam, aż Colin zajmie moje miejsce. Kiedy z wyniosłą miną kroczył w moją stronę, starałam się uniknąć jego wojowniczego spojrzenia, lecz nie udało mi się to i znowu poczułam, jak moje serce zaczyna szybciej bić, poruszone jego bliskością. Gdy usiadł, wróciłam szybko na swoje miejsce obok doktora Younga i wlepiłam wzrok w płomienie.

Słuchanie gry Colina było rzeczywiście nowym przeżyciem, gdyż było w tym coś więcej niż tylko muzyka; cała żarliwość jego duszy zdawała się przepływać z palców na klawisze. Zdumiała mnie gwałtowność, z jaką kuzyn atakował instrument.

## PRZEKLNIJ TEN DOM

Niby czarodziej rzucający zaklęcie, mój kuzyn porwał nas od razu, przenosząc z najgłębszych otchłani ku niebotycznym wysokościach, zmuszając, byśmy odczuli namiętności jego serca, wplątując nas w sieć swego ducha i swoich emocji. Nigdy dotąd nie słuchałam tak płomiennej muzyki ani nie byłam świadkiem takiego obnażenia duszy, jak uczynił to Colin za pośrednictwem swej muzyki. Pochylony nad klawiaturą, jakby próbując okiełznać dziką bestię, zawładnął naszymi duszami, zmuszając nas, byśmy śmiali się wtedy, gdy on tego chciał i płakali tam, gdzie on by zapłakał.

Kiedy tak patrzyłam, słuchałam i poddawałam się temu magicznemu czarowi, dotarło do mnie, że pokochałam Colina uczuciem, którego żadna moc ziemską nie zdoła powstrzymać.

## 12

Nadchodzi! świt, gdy wreszcie udało mi się zasnąć, ponieważ większą część nocy spędziłam na przewracaniu się z boku na bok. Zniknęło gdzieś poczucie bezpieczeństwa, jakie dawał Londyn i znajome otoczenie, a także miłość i opieka Edwarda, na zawsze odeszła jasna przyszłość z rodziną i dziećmi. W zamian za to zostałam członkiem dziwacznej rodziny, marniejącej z wolna w starym domostwie, nawiedzanym przez duchy, a na dodatek zakochałam się w mężczyźnie, który bez wątpienia odpłaci mi jedynie szyderstwem.

Znałam Edwarda od jedenastu miesięcy, widywałam go przy różnych okazjach towarzyskich co najmniej raz w tygodniu od czasu, kiedy poznaliśmy się w Mudie's Library. Dopiero wówczas się w nim zakochałam. A i wtedy to było raczej letnie uczuciem wywołane bardziej potrzebą opieki niż rzeczywista namiętność. Edward był tak dystyngowany, spokojny i dobrze wychowany... Znajomość z Colinem trwała zaledwie sześć dni, kiedy przekonałam się, że jestem zakochana, a uczucie to nie przypominało niczego, co przeżywałam dotąd. Sięgało zakamarków mej duszy, których istnienia nawet nie podejrzewałam, budziło nie znane mi dotąd namiętności i poruszało moje serce nie spotykanym, elektryzującym doznaniem, które sprawiało, że miałam ochotę zarazem śmiać się i płakać.

Gdy w końcu udało mi się zasnąć, mężczyły mnie niesamowite sny. Colin w jakiś sposób uwolnił moją wyobraźnię, pobudzając tym samym twórczą moc mego umysłu.

Oglądając we śnie zdumiewające, wspaniałe wizje w żywych kolorach, doświadczając nowych doznań, uświadomiłam sobie, iż Colin nie tyle stworzył nową osobę, co uwolnił drugą stronę mojej osobowości, skrytą dotąd pod maską równowagi i rozsądku. Nawet gdyby kuzyn nie podarował mi już nic więcej, to przecież dał mi to: nowy, wspaniały sposób postrzegania życia.

Przedziwne rozdwojenie nie dawało mi spokoju nawet, gdy w końcu przebudziłam się i samotnie spożywałam śniadanie. Czułam się jednocześnie szczęśliwa z racji mojej świeżo uświadomionej miłości i smutna z powodu dziedzictwa Pembertonów, z którym będę musiała się pogodzić. Nie było przyszłości dla nas obojga, nawet gdyby Colin jakimś cudem mnie pokochał, gdyż choroba wisiała nad nami jak miecz Damoklesa, uniemożliwiając normalne życie. Tak więc, choć z jednej strony cieszyłam się nową miłością, to z drugiej ogarniał mnie żal, ponieważ wiedziałam, iż jest to miłość przeklęta, skazana na niespełnienie.

W dodatku miłość ta pozostanie na zawsze moją tajemnicą; nikt nie dowie się, co czuję. Będę nosiła ją w sercu, radowała się nią, gdy tylko będzie to możliwe, lecz nigdy nie odsłonię przed nikim tajemnicy swego serca. Obiecałam to sobie tego szarego, burzliwego poranka, przygotowując się do kolejnego długiego spaceru.

Znowu dokuczał mi ból głowy, spowodowany zapewne walką toczącą się w mojej duszy, i miałam nadzieję, że świeże powietrze okaże się skutecznym lekarstwem. Kiedy jednak zamknęłam za sobą drzwi pokoju, zorientowałam się, że dzień nie będzie tak przyjemny, jak pragnęłam.

Martha, rozdrażniona i wytracona z równowagi, biegła korytarzem w stronę pokoju wuja Henry'ego.

— Chodzi o sygnet Theo! — krzyknęła w odpowiedzi na moje „dzień dobry”. — Babka przeszukała pokoje dla służby i osobiście przepytowała wszystkich, ale niczego z nich nie wydo była. A teraz grozi, że przeszuka także nasze pokoje.

— Nie może być!

— To prawda, i wcale mi się nie podoba. Życzyłabym sobie, by ten, kto zabrał pierścień, czym prędzej go zwrócił.

— Dlaczego to dla babki takie ważne? — spytałam, ignorując insynuację zawartą w wypowiedzi.

— Och, nie chodzi tylko o pierścień, lecz o zasadę. Babka nie zniesie myśli, że ktoś spośród domowników może być złodziejem. Jest naprawdę wściekła.

— A jak się czuje wuj Henry?

Martha wzruszyła ramionami w sposób zupełnie dla siebie nietypowy.

— Doktor Young został u nas na noc i teraz jest przy wuju. Mam zamiar nakłonić ciotkę, by nieco odpoczęła. Sądzę, że nie spała od kilku nocy. Och, Leylo, to wszystko jest takie okropne!

Odeszła powłócząc nogami, rozżalona jak dziecko, któremu odmówiono udziału w pikniku. Moja trzydziestodwuletnia kuzynka okazała się pod wieloma względami tak niedojrzała, tak skłonna do obrażania się, jak tylko może być zepsuta mała dziewczynka, z drugiej zaś strony przypominała starą pannę o tak ustalonym trybie życia, iż najmniejsze zakłócenie zupełnie wytrącało ją z równowagi. Obserwowałam, jak sunie korytarzem, a jej krynolina unosi się, ukazując nogawki pantalonów z karbowanej koronki, ukrytych pod całymi jardami bielizny i zastanawiałam się, czy po siedmiu latach pobytu pod tym dachem ja także stanę się do niej podobna.

Spacer okazał się zbawienny dla mego ciała i ożywczy dla ducha. Poczułam spokój potrzebny skupieniu myśli. Nie usunął jednak bólu głowy, kiedy więc wróciłam do domu, poleciłam Gertrudę, aby przyniosła mi wraz z kolacją małą dawkę laudanum. Nikt z rodziny nie jadł dziś wieczór na dole, gdyż stan wuja wymagał, by jego żona i syn nie odstępowali od łoża boleści. Martha zniknęła w swoim pokoju, gdzie zajęła się jedną ze swoich licznych robótek, Colin zaś przepadł gdzieś bez śladu. Usnęłam szybko w ciepłe płynącym z kominka, z nie przeczytaną książką na piersi.

Obudziłam się rano z jeszcze silniejszym bólem głowy i chociaż powinno mnie to zaalarmować, nie stało się tak. Nie pomyślałam nawet, że ból mógł zostać spowodowany czymś innym niż tylko panującą w domu atmosferą nieustannego

napięcia, zlekceważyłam go więc i wzięłam nieco większą dawkę laudanum, zanim udałam się na spotkanie kolejnego samotnego dnia.

Spacerowałam po okolicznych laskach, radując się obcowaniem z naturą nie skażoną bliskością miasta, a potem, po lekkim podwieczorku, zwinęłam się w fotelu, z wierszami Edgara Allana Poego, które znalazłam w bibliotece na dole.

Wokół mnie panowała przygnębiająca cisza. Czułam to tak, jakby wszystko w otoczeniu zamarło w oczekiwaniu na coś, co wkrótce musi nadejść. Zdawało się, że czas przestał płynąć. Służba szeptała między sobą, uciszała się wzajemnie, starając się nie zburzyć ciszy naelektryzowanej napięciem. Z pokoju biednego wuja nie dobiegały żadne odgłosy, nie było też słychać kroków w korytarzu. Trwaliśmy, jakby zawieszeni w czasie; czekając...

Jednak kiedy w połowie lektury „Kruka” znowu poczułam ból głowy, poprosiłam Gertrudę, by przyprowadziła do mnie doktora.

Po chwili usłyszałam delikatne pukanie do drzwi, miękkie i umiarkowane, charakterystyczne dla całego zachowania lekarza. Ukryłam stopy pod jardami aksamitu, które składały się na moją spacerową suknię, wsunęłam zakładkę pomiędzy kartki książki i powiedziałam:

— Proszę wejść.

Pierwsza weszła Gertrudę, jakby chciała sprawdzić, czy wszystko jest jak należy i czy sytuacja pozwala, aby wprowadzić do mnie mężczyznę. Jej hoża sylwetka o szerokich ramionach, przyodziana w długą suknię z krepy ze sztywnym białym kołnierzykiem, wypełniła pokój. Gertrudę przyjrzała mi się uważnie, potem badawczym spojrzeniem obrzuciła pomieszczenie. Dopiero kiedy uznała, że wszystko jest w porządku, a ja wyglądałam skromnie i przyzwoicie, odsunęła się, by wpuścić mojego gościa — mężczyznę.

— Dziękuję, że pan przyszedł — powiedziałam do doktora, który cierpliwie przeczekał zabiegi gospodyni.

Gertrudę, wpuściwszy lekarza, zamknęła drzwi i stanęła przy nich z rękami założonymi na piersiach, niczym wartownik na służbie.

— Jak samopoczucie, panno Pemberton? — spyta! doktor.

Ciepło, jakie emanowało z jego postaci, natychmiast rozproszyło cienie, a uśmiech, jasny i zycziwy, od razu przyniósł mi ulgę. Obecność doktora Younga przywracała dolegliwościom odpowiednią miarę, miała moc łagodzenia waśni i kojenia cierpiących dusz.

— Prawie doskonałe, sir — odparłam nieco speszona, gdyż nie nawykłam do obecności w moim pokoju kogokolwiek spoza rodziny.

Pochylając się nieco, przysunął sobie wyściełane krzesło i usiadł naprzeciw mnie, tak iż nasze oczy znajdowały się na jednym poziomie. Przez chwilę przyglądał mi się badawczo.

— Coś jednak panią niepokoi... — stwierdził.

— Lekki ból głowy, ale myślę, że to nic poważnego.

— Czy nie byłoby lepiej, gdybym ja to ocenił?

Przysunął się bliżej i sięgnął po swoją skórzaną walizczkę. Od razu pojawiła się u mego boku Gertrudę, by być pod ręką w trakcie badania. Choć sama nigdy dotąd nie byłam badana przez lekarza, to podczas choroby matki na ryłe często bywałam świadkiem wizyt lekarskich, by teraz wiedzieć, czego się spodziewać.

Najpierw doktor Young zmierzył mi częstotliwość uderzeń serca za pomocą badania pulsu w nadgarstku. Siedziałam spokojnie, kiedy przyglądał się moim powiekom, sprawdzał barwę małżowin usznych i oglądał czubek języka. Gdy wreszcie wyciągnął stetoskop, byłam zadowolona i podekscytowana, ponieważ miałam nadzieję, iż doktor okaże się obznajomiony z najnowszymi metodami badań medycznych. W Londynie tylko jeden spośród lekarzy mojej matki używał stetoskopu. Doktor umieścił długi na stopę cylinder z polerowanego drewna na mojej piersi, przyłożył do niego ucho i polecił

— Proszę nabrać powietrza. Dziękuję. Proszę wypuścić powietrze. Dziękuję.

Powtórzyło się to sześć razy, przy czym doktor za każdym razem zmieniał położenie instrumentu na mojej piersi, a wierna Gertrudę przez cały ten czas trwała czujnie u mego boku.



Wreszcie doktor Young schował stetoskop z powrotem do torby i zatrzasnął zamek. Kiedy instrument był już bezpiecznie schowany, doktor przystąpił do zadawania mi pytań tym swoim głębokim, uspokajającym głosem.

— Czy kiedykolwiek cierpiała pani na zaburzenia widzenia?

— Zaburzenia widzenia? — Nie wiedzieć czemu, pytanie to zaniepokoiło mnie; czułam wzrastające napięcie. — Mój wzrok jest zupełnie normalny — odpowiedziałam sztywno.

— Czy w ciągu ostatnich dni dokuczały pani mdłości?

— Nie, proszę pana. — Ręka Gertrudę, która przez cały czas spoczywała na moim ramieniu, nagle wydała mi się nieznacznie ciężka.

— A czy zauważyła pani osłabienie narządów ruchu, spadek aktywności jednej kończyny lub wszystkich albo też nagłe bóle w którejś z nich?

— Nie, sir.

— Czy pani mowa ulega niepożądanym zmianom — staje się niewyraźna lub może jąka się pani?

— Mojej mowie niczego nie brakuje, doktorze.

— Jestem tego pewien. — Z namysłem spojrział na Gertrudę, a potem znów na mnie. — Jest pani bardzo zdenerwowana, panno Pemberton. Czy powiedziałem coś, co panią uraziło?

Bezpośredniość tego pytania zaskoczyła mnie. Przez chwilę zwlekałam z odpowiedzią.

— Pańskie pytania, sir, zdają się zmierzać w określonym kierunku, tak jakby zdążył pan już wyrobić sobie opinię na temat moich dolegliwości.

Gertrudę pochyliła się nade mną, a jej dłoń przycisnęła moje ramię.

— Owszem — przyznał doktor. — Pani odpowiedzi przekonały mnie jednak, że się myliłem. Te bóle głowy, panno Pemberton, to tylko rezultat napięcia wewnętrznego i niczego więcej. — Jego głos rozbrzmiewał znów ciepłem i pewnością siebie, ręka Gertrudę, nie wiedzieć czemu, nagle wydała mi się znacznie lżejsza. — Czy sądzi pani, iż podejrzewałem, że cierpi pani na guza mózgu? Proszę mi wybaczyć, lecz jak mogę

postawić diagnozę, nie zadając pytań? Oczywiście, niektóre z nich mogą budzić niepokój. Gdyby odpowiedziała pani twierdząco na któreś z nich... — Umilkł, lecz jego błękitne oczy dopowiedziały mi resztę.

— Dziękuję, panie doktorze—powiedziałam z westchnieniem. — Wuj Henry od dawna cierpi na bóle głowy, a jeszcze wcześniej dokuczały one mojemu ojcu...

— Wiem o tym. Po raz pierwszy badałem wuja pani rok temu; była to moja pierwsza wizyta w Hurst. — Uśmiechnął się szeroko. — W East Wimsley ludzie wzdrygają się na sam dźwięk nazwy Hurst. Mówią, że to nawiedzone miejsce, zamieszkałe przez szaleńców; słyszy się też, że jesteście rodziną trucielei.

— Jest w tym odrobina prawdy — powiedziałam, wspomniawszy przypadek ciotecznej dziadka Michaela, brata sir Johna.

— Odwiedzałem ten dom jeszcze dwa razy, kiedy kuzynka Martha cierpiała na wapory. — Jego oczy błysnęły żartobliwie. — A co do pani, młoda damo, mogę zalecić tylko dużo odpoczynku i zajęcie się czymś, co odwróci myśli od nieszczonego wuja pani.

— Biorę laudanum — wyjaśniłam.

Doktor Young zachmurzył się.

— To lek, którego w naszym kraju nadużywa się, ponieważ ludzie uważają go za panaceum. Odnosi się to zwłaszcza do członków próżniaczej klasy, którzy nie mają nic do roboty, a bardzo chcą zapomnieć o nudzie. Bogacze mają za złe biedakom ich karczmy, a sami wlewają w siebie laudanum jak wodę. Morfina jest niebezpiecznym lekiem, panno Pemberton. W dodatku zbyt łatwo osiągalnym.

— Obiecuję, że będę ostrożna.

— W porządku — powiedział, uśmiechając się lekko. Ze sposobu, w jaki na mnie spojrział, wywnioskowałam, że moje towarzystwo sprawia mu przyjemność. — W porządku — powtórzył.

Tknięta nagłą myślą, odrzuciłam głowę i spojrzałam na Gertrudę. Stała nade mną, wysoka, niewzruszona — istne uosobienie opiekuńczości.

— Możesz odejść, Gertrudę, doktor nie będzie mnie już badał — powiedziałam.

— Ależ, *Liebchen*... — zaczęła z wahaniem.

Roześmiałam się i leciutko ją popchnęłam.

— Wszystko w porządku, Gertrudę. Zapewniam cię.

Niechętnie podeszła do drzwi niepewna, co powinna zrobić, mnie zaś rozbawiło jej zmieszanie, wywołane wymuszonym odstępstwem od nakazów zwyczaju. Gdy ona była w moim wieku, żaden lekarz nie mógłby jej nawet dotknąć, nie mówiąc już o osłuchiowaniu stetoskopem czy zadawaniu pytań osobistych. Pozostawienie mnie samej z doktorem — bez przyzwoitki! — musiało wydać się jej w najwyższym stopniu niestosowne.

— Będę w pobliżu, gdyby panienka mnie potrzebowała.

— Rzuciła doktorowi ostre spojrzenie. — Bardzo blisko — dodała.

— Dziękuję, Gertrudę.

Doktor tymczasem podniósł z fotela tom Edgara Allana Poego i zaczął czytać na głos:

*Raz w północnej, głuchej dobie, gdy znużony siedział sobie*

*Nad księgami dawnej wiedzy, którą wieków pokrył kurz —  
Gdy się drzemiąc chylił na nie, usłyszałem niespodzianie  
Lekkie, ciche kołatanie, jakby u drzwi moich tuż.*

*„ To gość jakiś — wyszeptalem. — Puka snadź przy drzwiach  
mych tuż;*

*Nic innego chyba już”\**.

Jego dźwięczny jak u wielkiego aktora głos nagle umilkł, pozostawiając po sobie zadziwiającą pustkę.

— Proszę, niech pan czyta dalej, doktorze — nalegałam.

— Znakomicie pan to robi.

Doktor pochylił swoją szlachetną głowę i kontynuował czytanie, a czynił to z takim uczuciem, taką wrażliwością, iż

\* Przekład: Zenon Przesraycki-Miriam.

zapadłam w fotel i zamknawszy oczy, próbowałam przywołać obraz „utraconej Lenory”.

Gdy skończył, usłyszałam, że zamyka książkę, a potem dobiegł mnie jego głos:

— Jak tam ból głowy, panno Pemberton?

Musiałam się uśmiechnąć.

— Zapomniałam o nim. — Usiadłam prosto. — Jeżeli nie śpieszy się panu, chciałabym prosić o chwilę rozmowy. Czy to możliwe?

Jego oczy patrzyły życzliwie.

— Byłaby to dla mnie przyjemność — rzekł szarmancko.

— Bardzo boję się tego, co dzieje się z moją rodziną, doktorze. Czy naprawdę nic nie można zrobić?

— Medycyna pełna jest zagadek, Leylo.

— Wiem o tym, a jednak... — Ominęłam go spojrzeniem i zatopiłam wzrok w żarzących się na kominku głowniach. — To, że mamy świadomość choroby, a nie możemy nic zrobić, wydaje się wprost nieludzkie, niesprawiedliwe!

Doktor zachował milczenie.

— Obawiam się nie tyle o siebie, co o innych. — Splotłam palce i zaczęłam je zaciskać aż do bólu. — Ja jestem najmłodsza, a więc prawdopodobnie mam najwięcej życia przed sobą, ale moi kuzyni... Theodore ma prawie czterdzieści lat! A Martha trzydzieści dwa. Czuję się zupełnie bezradna.

— A kuzyn Colin?

Odwróciłam wzrok od kominka.

— Colin...?

— On ma trzydzieści cztery lata — rzekł doktor.

— O niego także się martwię. — Wpatrywałam się w twarz doktora, usiłując odgadnąć, co wie. Czyżby jego wyćwiczony zmysł obserwacji podpowiedział mu, co czuję do Colina?

— Nie mogę znieść myśli, że wszyscy jesteśmy skazani. Doktorze Young, zna pan zapewne książkę Thomasa Willisa, prawda?

— Thomasa Willisa? — Zacisnął usta. — On żył dawno temu. Czytałem jego prace, to prawda, lecz dawno temu, podczas studiów medycznych.

— Mam książkę zawierającą prace zebrane Willisa w opracowaniu niejakiego Cadwalladera. Czy przypomina pan sobie, co ten uczony napisał o „guzie Pembertonów”?

Doktor roześmiał się.

— Thomas Willis, o ile pamiętam, pisał nudne zdania, rysował zawiłe wykresy anatomiczne i posługiwał się nieprawdopodobną pisownią! I to wszystko, co pamiętam. Czy rzeczywiście wspomina o Pembertonach? Zastanawiałem się, jak daleko wstecz sięgają korzenie tej historii.

— Mam tę książkę, więc gdyby pan zechciał... — Zaczęłam już wstawać, lecz doktor Young zatrzymał mnie delikatnie.

— Proszę nie robić sobie kłopotu. Mój skromny domek wypchany jest książkami aż po sufit i jestem pewien, że znajdzie się tam i egzemplarz wspomnianego dzieła. Poszukam w wolnej chwili i zorientuję się, co miał do powiedzenia w tej kwestii znakomity pan Willis. — Doktor zamilkł, a po chwili zapytał: — Czy jest jeszcze coś, czym chciałaby się pani ze mną podzielić, Leylo?

Zacisnęłam mocniej dłoń. Czego naprawdę od niego chciałam? Przeanalizowania naszej rodzinnej choroby i odrobiny nadziei. On jednak najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z moich oczekiwań. Uświadomiłam sobie też, iż doktor Young jest, jak my wszyscy, człowiekiem omylnym.

— Proszę mi powiedzieć, jakie są pierwsze objawy choroby? Czego powinnam się spodziewać? — spytałam w końcu.

— Droga panno Pemberton, obawiam się, że za wiele pani o tym myśli, zbytnio się tym przejmuję. Jest pani bardzo młoda i jestem pewien, że czeka panią długie życie. Proszę nie marnować czasu na obsesyjne myśli; nie doprowadzi to do niczego dobrego. Proszę na razie zapomnieć o klątwie. Być może będzie pani miała szczęście i choroba panią ominie.

— Cenię pańską opinię, doktorze, lecz jeśli nie sprawiłoby to panu kłopotu, chciałabym jednak wiedzieć, czego mogę się spodziewać.

Zapadła ciężka cisza, przerywana tylko trzaskaniem ognia w kominku. Doktor Young siedział w milczeniu, z za-

ciśniętymi mocno ustami i z dłońmi ułożonymi płasko na kolanach.

— Nie mamy tu do czynienia z klasycznym przypadkiem guza mózgu, Leylo, a zatem objawy różnią się od tych opisanych w podręcznikach. Zależą one, jak przypuszczam, od tego, w jakim obszarze mózgu rozwinię się guz. Typowe uszkodzenie mózgu może spowodować np.: afazję, czyli utratę kontroli nad mową, zaburzenia motoryczne rąk i nóg, zaburzenia wzroku, bóle głowy, utratę czucia w różnych miejscach ciała. Krótko mówiąc, każda część ciała, którą zawiaduje uszkodzony przez guz obszar mózgu, zdradza zaburzenia. W przypadku Pembertonów nie można natomiast mówić o żadnej określonej prawidłowości fizjologicznej; nie potrafię też umiejscowić guza, gdyż nie znalazłem nic na ten temat w notatkach doktora Smythe'a, a symptomy są nietypowe. Mogę jednak powiedzieć, iż biorąc pod uwagę rozwój choroby u pani wuja w ciągu ostatniego roku, objawy przypominają dokładnie te, które wystąpiły u pani ojca i u sir Johna.

— Rozumiem. — Pochyliłam się ku doktorowi. — Jakie to były objawy?

— Zgodnie z tym, czego dowiedziałem się z zapisków doktora Smythe'a, ojciec pani i sir John cierpieli na bóle głowy, mdłości, torsje, bóle brzucha, osłabienie mięśni, delirium, konwulsje, a śmierć następowała nagle. Obydwaj chorzy doświadczyli wymienionych objawów w ciągu mniej więcej dwóch miesięcy przed śmiercią.

— Powiedział pan jednak, że po raz pierwszy wezwano pana do wuja Henry'ego rok temu!

— Cierpiał wówczas na ból głowy spowodowany zapaleniem zatok i nie mający nic wspólnego z obecnym stanem. Zostałem wezwany, ponieważ ból zaniepokoił pani wuja. Przyznam też, że chętnie skorzystałem z okazji, gdyż—jak dowiedziałem się z notatek mego poprzednika—niewielu osobom, z lekarzami włącznie, udało się znaleźć w tym domu.

— Obawiam się, że moja rodzina nie jest usposobiona towarzysko. Historia rodu jest raczej ponura i nie chcemy, żeby traktowano nas jak cyrkowe osobliwości.

— Nie sądzę, by goście kierowali się takim zamiarem.

— A te wszystkie okropne historie, które opowiadają sobie chłopcy?!

— To prawda...

— Och, doktorze Young, mam chaos w głowie! Przyjechałam ponad tydzień temu, pełna nadziei, które teraz legły w gruzach. Rzadko uśmiechałam się od śmierci mamy i...

— Mamy? Proszę mi wybaczyć, lecz kiedy przy kolacji wspomniała pani, że zetknęła się ze śmiercią, pomyślałam, że chodzi o ojca pani. Czy matka pani dawno zmarła?

— Dwa miesiące temu. Nie była to nagła śmierć; matka niedomagała od dawna. Doktor Harrad przygotował mnie...

— Doktor Harrad! — Brwi lekarza powędrowały ku górze. — Proszę mi wybaczyć, że ciągle pani przerywam, ale zaskoczyła mnie pani opowieść. Czy matką pani opiekował się doktor Oliver Harrad?

— Tak właśnie brzmiało jego nazwisko.

— Z Guy Hospital?

— Tak, a dlaczego?

Nie przypuszczałam, że doktor Young może być tak podkscytowany, że jego zachowanie tak różnić się będzie od codziennej, pełnej godności postawy. Niebieskie oczy doktora, tak na ogół spokojne i życzliwe, teraz błyszczały podnieceniem.

— Znam Olivera Harrada z czasów studenckich. Obaj też zatrudniliśmy się w Guy Hospital, gdzie przez wiele lat zajmowaliśmy się pacjentami. Kiedy przeniosłem się do Edynburga, aby dołączyć do personelu Royal Hospital, prowadzącego interesujące mnie badania, obiecaliśmy sobie, że nie stracimy z sobą kontaktu. Jak to jednak bywa wśród przyjaciół, którzy przez dłuższy czas mieszkają z dala od siebie, a każdy z nich pochłonięty jest swoją pracą, korespondencja schodziła na coraz dalszy plan, a wreszcie kontakt się urwał z górami dziesięć lat temu. — Doktor Young wpatrywał się w przestrzeń ze wzrokiem utkwionym w coś, co tylko on potrafił dostrzec. — Oliver Harrad... Ten stary łobuz! A więc nadal pracuje w Guy Hospital...

— Tak, i jest powszechnie kochany — mruknęłam.

Doktor Young powrócił do mnie spojrzeniem zamglonym nieco przez wspomnienia.

— Przywołała pani tak wiele wspomnień! Minęło już tyle czasu, a ja wciąż byłem zajęty...

— Zrobił dla mojej mamy wszystko, co mógł. Dbał, by czuła się jak najlepiej. Nigdy mu tego nie zapomnę.

Jeżeli doktor Young już wcześniej sprawiał wrażenie bliskiego mi człowieka, którego obdarzyłam zaufaniem, on zaś traktował mnie, jakbyśmy znali się od lat, to teraz więź między nami jeszcze się zacieśniła. Spojrzał na mnie w ten swój jedyny w swoim rodzaju sposób, jakby znał moje najtajniejsze myśli. Odniosłam wrażenie, że przywołując imię doktora Harrada, jeszcze wzmocniłam przyjacielskie nastawienie doktora Younga wobec mnie.

— Jakie to dziwne... — stwierdził filozoficznie. — Kiedy na dobre pogrzebiemy przeszłość, nagle coś przywołuje ją z powrotem, tak jasną i żywą, jak gdyby chodziło o dzień wczorajszy. Oliver Harrad i ja byliśmy serdecznymi przyjaciółmi w czasach młodości, a przy tym narwanymi zapaleńcami, którzy sądzili, że są w stanie zmienić świat. Z czasem złagodnieliśmy i zadowala nas teraz posuwanie się drogą postępu małymi kroczkami. Cóż za zbieg okoliczności, że poznała pani mego starego przyjaciela, Harrada!

— Cieszę się, sir — powiedziałam przypominając sobie, jak przed kilkoma dniami walczyłam o to, by przeszłość wróciła do mnie.

Doktor nie zdążył otworzyć ust, gdyż nagle rozległo się głośne pukanie do drzwi.

— Proszę wejść! — zawołałam i zobaczyłam Gertrudę, która patrzyła na nas podejrzliwie, przeskakując spojrzeniem od doktora do mnie i z powrotem.

— Proszę mi wybaczyć, panienko, ale przysyła mnie pani Pemberton.

— Czy ciotka Anna chciałaby zobaczyć się z doktorem?

— Nie, panienko, to nie madame Anna po mnie przysłała, ale madame Abigail. Jest u pana Pembertona i chce, by doktor też był tam obecny.



Uniosłam brwi. Opuszczenie apartamentu musiało być dla babki nie lada wydarzeniem. I mogło oznaczać tylko jedno...

— Wuj Henry! — Skoczyłam na równe nogi.

Doktor natychmiast znalazł się obok, uspokajając mnie i pocieszając.

— Zaopiekuję się nim, proszę się nie trapić. Zrobię wszystko, co tylko będę mogła.

Z wdzięcznością uściśnęłam jego dłoń.

— Dziękuję— wyszeptałam, oczami pełnymi łez przyglądając się, jak pośpiesznie wychodzi wraz z Gertrudą.

Kolację znowu zjadłam sama, gdyż babka zabroniła mi wstępu do sypialni wuja. Widziałam ją tylko przez chwilę, kiedy późnym wieczorem otwierałam drzwi mego pokoju na dźwięk kroków w holu i zobaczyłam, jak znika w oddali, poruszając się z istic królewską gracją, jakiej nie spodziewałam się po zartretyzmowanym ciele. Kuzynka Martha wstąpiła do mnie na moment, z oczami spuchniętymi i czerwonymi od płaczu, by powiadomić mnie, że stan wuja wciąż się pogarsza. Przez cały dzień nie widziałam Theo ani ciotki Anny. Nie widziałam też Colina.

Wuj Henry był o krok od śmierci.

Następny dzień wstał szary i zimny, jakby natura dostosowała się do naszego nastroju. Wiatr pędził po niebie zwały burzowych chmur. Choć przez cały ranek kręciłam się po domu, nie spotkałam nikogo z rodziny. Jedyne odgłosy życia, jakie odnotowałam, gdy przemierzałam ponure korytarze domu, zbyt poruszona, aby zatrzymać się gdziekolwiek na dłużej, dochodził spoza zamkniętych drzwi apartamentów babki.

Słyszając jej ostry głos dobiegający przez grube drzwi, stanęłam jak wryta, sądziłam bowiem, iż babka znów przebywa w sypialni chorego syna. Chociaż mówiła głośno, nie sposób było zrozumieć słowa, więc choć z jej tonu poznałam, że jest zagniewana, nie mogłam dowiedzieć się dlaczego. W następnej chwili usłyszałam też cichy szloch, płacz pełen skruchy, zdający się wskazywać, iż babka kogoś łaje. Chociaż wiedzia-

lam, że to płacz kobiety, nie byłam w stanie określić, kto jest ofiarą gniewu babki. Mogła to być ciotka Anna, kuzynka Martha, Gertrudę lub któraś ze służących. Zawstydzona niewątpliwym podsłuchiowaniem, odeszłam szybko.

Po południu wybrałam się na spacer, który domownicy zaczęli już uważać za mój stały zwyczaj. Kiedy wróciłam do domu, nadal panowała w nim złowieszcza cisza. Pośpieszyłam do swego pokoju w poszukiwaniu pociechy, jaką mógł mi przynieść płonący na kominku ogień i gorąca herbata. O ósmej pokojówka podała kolację, a przed dziewiątą, wyczerpana całodziennym niepokojem, usnęłam.

Musiła dobiegać północ, gdy obudziły mnie krzyki.

Usiadłam na łóżku, wyrwana z głębokiego snu i przez chwilę przyzwyczajałam wzrok do ciemności. Zza drzwi dochodziły przygłuszone odgłosy biegnących stóp, szybko wypowiadanych poleceń i szelest szlafroków. Nim rozległ się ponowny krzyk, biegłam już w stronę drzwi.

Nie zwracając uwagi na swój strój i bose stopy, wypadłam na korytarz, w samą porę, żeby zobaczyć, jak zasnana Martha wyłania się ze swego pokoju.

Przez chwilę, otumaniona, rozglądała się wokoło, przecierając oczy i wydając niezrozumiałe dźwięki. Zatrzymałam się niepewnie na progu mego pokoju, gdy nagle rozległ się kolejny ostry krzyk; tym razem poznałam, że głos należy do ciotki Anny.

Nie tracąc czasu, schwyciłam szlafrok i pomknęłam korytarzem, wpychając po drodze dłonie w rękawy. Martha niemrawo podążyła za mną.

Drzwi do sypialni wujostwa stały otworem, ale w pomieszczeniu nikogo nie było. Nieustający już teraz ani na chwilę krzyk powiódł mnie ku nie używanym piętrom, zamieszkiwanym niegdyś przez Pembertonów. Choć nie miałam czasu na zastanowienie, czułam gwałtowne bicie serca, szarpanego przecuciem tragedii. Pędziłam więc niemal na ślepo w stronę krzyku, kierując się odgłosem ciężkich kroków, które słyszałam przed sobą na zakurzonej dywanie.

Głos ciotki doprowadził mnie piętro wyżej, na trzecią kondygnację domu, do skrzydła, gdzie światło nie gościło już od

lat. Daleko przed sobą zobaczyłam coś, co wyglądało jak małe świetliki, tańczące w powietrzu, kiedy podeszłam bliżej, okazało się, iż są to płomyki świec, trzymane przez tych, którzy znaleźli się tu przede mną.

Spiesząc w ich stronę, zwróciłam uwagę na okropny zaduch, kojarzący się nierozzerwalnie z wieloletnim kurzem i pajęczynami. Nie ulegało wątpliwości, że to piętro nie było używane od całych dziesięcioleci.

Wstrętna, jakby trupia woń sprawiła, że krtań mi się ścięła, przyprowadzając mnie o atak kaszlu.

Krzyki ciotki rozbrzmiewały coraz głośniejsze, a w pewnej chwili dobiegł mnie głos Colina: — „Ciotko Anno, gdzie jesteś?”

Odpowiedziała coś, lecz jej słów nie sposób było zrozumieć. Pędziliśmy dalej całą grupą, ja zaś instynktownie trzymałam się blisko Colina, poruszając się w migotliwym blasku jego świecy. Ze zdumieniem dostrzegłam, że jest ubrany, podczas gdy reszta z nas — doktor Young, ja i Gertrudę — przyodziani byliśmy tylko w szlafroki, które w pośpiechu zdołaliśmy na siebie narzucić.

Wpatrywaliśmy się w siebie z lękiem, który dotyczył nie tyle nas, co złowieszczonego przeczucia niebezpieczeństwa, czyhającego gdzieś tam, przed nami.

Colin nie spojrział nawet na mnie, zajmując się gorliwym przeszukiwaniem kolejnych pomieszczeń. Czynił to z determinacją, która mnie zdumiała. Zagniewany i niespokojny, bez wahania objął przywództwo.

Došliśmy w końcu do wąskiego korytarzyka kończącego się schodami, które wiodły do wschodniej wieży, czyli do miejsca, gdzie dziesięć lat temu poniósł śmierć sir John. To stamtąd dobiegał krzyk. Ponieważ było tu dość wąsko i nie daliśmy rady pomieścić się wszyscy, Colin nakazał Gertrudę, aby została z tyłu ze świecami. Potem, ku memu zdumieniu, schwycił mnie za rękę, a nakazał doktorowi, by również trzymał się z tyłu. Mnie zaś pociągnął w górę po kamiennych stopniach.

Z wieży dobiegał teraz odgłos tłumionego szlochu ciotki Anny, coraz słabszego, jak gdyby ta kobieta znajdowała się na granicy skrajnego wyczerpania. Kiedy minęliśmy zakręt — ja

wciąż z dłonią mocno zaciśniętą na dłoni Colina — usłyszeliśmy inny głos — znacznie spokojniejszy.

— Proszę cię, mamó, zostań tam. Nie podchodź bliżej. Zostań tam. — To był głos Theo, cichy, lecz stanowczy.

Colin zwolnił kroku, spoglądając na mnie z troską. Nie wiedzieliśmy, co dzieje się w wieży, musieliśmy więc zachowywać najdalej posuniętą ostrożność, by nasze nagłe wtargnięcie nie wywołało katastrofy. Powoli wspinaliśmy się stopień po stopniu, usiłując przebić wzrokiem ciemność i wsłuchując się w coraz wyraźniejsze słowa Theo.

— Po prostu zostań tam, gdzie jesteś, mamó. Wszystko będzie dobrze. Nic nie mów, ja sobie z tym poradzę.

W końcu znaleźliśmy się na tyle wysoko, by móc zerknąć do małego pomieszczenia na szczycie wieży, pomieszczenia, którego jedynym przeznaczeniem było zachowanie architektonicznego stylu budowli. Na środku podłogi stała tam naftowa lampa płonąca jasno i oświetlająca znajdujące się w pomieszczeniu osoby.

Najpierw zobaczyłam ciotkę Annę, która stała blisko drzwi, ubrana we flanelowy szlafrok. Twarz miała bladą i przerażoną, a jej rozpuszczone włosy sięgały poniżej talii. Podświetlone od dołu przez ostry płomień lampy rysy ciotki wyglądały dziwnie i przerażająco, tak że wylękniona zamarłam w bezruchu. Oczy zdawały się wychodzić jej z orbit, usta wąskie i zaciśnięte w kreskę wyglądały, jakby pozbawiono je warg, a policzki stwarzały wrażenie ciemnych jam.

Na dalszym planie dostrzegłam dwie główne postaci rozgrywającej się tu sceny: wuja Henry'ego i Theo, przy czym od pierwszego rzutu oka rozpoznałam jedynie Theodore'a, gdyż wuj, ogarnięty najwyraźniej szaleństwem i oświetlony pod dziwnym kątem lampą stojącą na podłodze, zdawał mi się kimś przerażająco obcym, kimś, kogo nigdy wcześniej nie widziałam. Z dziko płonącymi oczami i wykrzywionymi w grymasie gniewu wargami, biedny, udręczony człowiek stał w odległym kącie, trzymając w dłoniach rzeźnicki nóż. Pot spływał mu po twarzy, a ostrze błyskało złowieszczo. Niczym zapędzony w kąt szczur przebiegał oczami od swego syna do żony.

Kuzyn Theodore, również blady i przerażony, ubrany w strój nocny, spojrział na mnie i Colina, nie zmieniając wyrazu twarzy. Jego ojciec nie zauważył naszego przybycia i tak z pewnością było lepiej.

— Posłuchaj mnie, ojcze — powiedział Theodore opanowanym głosem, choć oddychał szybko i urywanie, a jego twarz także zroszona była potem mimo nocnego chłodu. — Musisz odłożyć ten nóż. Odłóż go, ojcze.

Wuj Henry zawył jak zwierzę, obnażając zęby i napinając grzbiet, jakby gotował się do skoku. Teraz w jego twarzy nie było już nic znajomego; nie pozostało ani śladu po subtelnej urodzie Pembertonów czy szlachetnym wdzięk, który napawał mnie takim podziwem. Teraz widziałam jedynie furiata miotającego się w ataku szału.

Ciotka Anna jęknęła boleśnie i natychmiast zakryła usta dłońmi. Strach odbijający się w jej wyłupiastych oczach przypawił mnie o głęboki żal i współczucie. Uświadomiłam sobie, że dwadzieścia lat wcześniej moja matka cierpiała tak samo.

— Odłóż ten nóż, ojcze — powtórzył Theo.

Ale wuj Henry tylko rozciągnął usta w przebiegłym uśmiechu. Więc tak to wyglądało! Tak zakończył życie mój cioteczny dziadek Michael, mój ojciec i mąż babki Abigail, John. Czy kobiety z rodziny Pembertonów — Martha i ja — też miały umrzeć podobnie?

Colin postąpił do przodu, ja za nim. Theo wyprostował się trochę, westchnął ciężko i szepnął ledwie otwierając usta:

— Zaatakował mnie tym nożem, ale na szczęście chybił. Uciekł aż tutaj. Obawiam się, że nic nie poradzimy, Colinie. Powtarza się historia wuja Roberta. Jego także nie zdołaliśmy powstrzymać...

Colin nie odpowiedział. Stał czujny, ze wzrokiem wbitym w wuja.

— Czy doktor Young jest w pobliżu? — spytał Theo. — On ma jedną z tych nowych igieł, które pozwalają wprowadzić lekarstwo przez skórę. Chyba nadszedł moment na sprawdzenie skuteczności tego urządzenia.

— Nie — szepnęłam mimo woli.

Nie mogłabym znieść widoku wuja zaatakowanego przez trzech mężczyzn, powalonego i związanego jak dzikie zwierzę. Choć opętany szaleństwem i niebezpieczny, nadal pozostawał człowiekiem i zasługiwał na to, żeby traktować go po ludzku.

Mój szept widocznie dotarł do wuja, który spojrział na mnie. Przez krótką chwilę, gdy oczy szaleńca wpatrywały się we mnie, bałam się o życie. Nóż mógł uderzyć szybciej, niż Colin czy Theo byliby w stanie zareagować...

Lecz oto stało się coś dziwnego. Kiedy tak przypatrywaliśmy się sobie, twarz wuja zaczęła ulegać niezauważalnej niemal przemianie. Po chwili, choć nadal dzika i przerażająca, złagodniała nieco, przypominając wreszcie prawdziwe rysy wuja.

— Bunny? — spytał zduszonym głosem.

— Tak, wuju Henry. — Z sercem mocno bijącym w piersi i zaciśniętym gardłem postąpiłam do przodu, pokonując machinalnie kilka stopni.

— Bunny, nie powinnaś być tutaj. Wiesz... że nie powinnaś...

Najwidoczniej dźwięk mego głosu przywrócił wuja do przytomności. W tej chwili był świadomy tego, co się dzieje.

— Nie mogę się powstrzymać! — zaszlochiał nagle. — To przez ten ból. Och, Bunny, nie mogę znieść tego bólu! Moja głowa płonie, a to doprowadza mnie do szaleństwa. Nie mogę przed tym uciec. Dobry Boże, pomóż mi! Nie dopuść, bym zrobiła to, co mój brat!

Zachowując ostrożność, zbliżyłam się do wuja. Czułam, że oczy zebranych śledzą każdy mój ruch; czułam sztywność ciała i bolesne bicie serca. Nagle, kierowana jakąś nieznaną siłą, wyciągnęłam rękę.

— Nie zrobisz niczego złego, wuju — powiedziałam cicho. — Daj mi ten nóż.

Jego oczy zabłyśły.

— Muszę zabić! — krzyknął. — To jedyne, co może powstrzymać ból! O Boże, ten ból! — Jego krzyk wypełnił pokój, cały dom i z pewnością poniósł się echem po lesie. — Nie mogę się powstrzymać!

— Daj mi ten nóż — powtórzyłam.

Znowu zwarliśmy się spojrzeniami, a potem, ruchem tak szybkim, że mało nie krzyknęłam ze strachu, wcisnął mi trzonek noża do ręki i szepnął:

— Zabierz to stąd, szybko!

Odsunęłam się, a Golin i Theo ujęli wuja pod ramiona. Nogi ugięły się pode mną. Całe szczęście, że był z nami doktor Young, który objął mnie w pasie i sprowadził ze schodów.

Wróciliśmy do naszego skrzydła jak orszak żałobny: na przodzie doktor Young, otaczający ramieniem moją talię, dalej wuj Henry, wlokący się pomiędzy Colinem i Theo, na końcu zaś szlochająca spazmatycznie ciotka Anna i Gertrudę, trzymająca świece.

Pod drzwiami sypialni wujostwa Colin podał mi ramię, ponieważ wciąż nie mogłam utrzymać się na nogach, doktor zaś pomógł Theo położyć wuja do łóżka. Colin wyjął nóż z moich zaciśniętych kurczowo palców i wręczył go Gertrudę. Nie odezwał się ani słowem: żadne z nas nie przemówiło, dopóki wuj nie znalazł się bezpiecznie w łóżku.

Gdy ciotka Anna ściągała mu buty, a doktor Young szykował strzykawkę, wuj nagle krzyknął i zapadł się pomiędzy przescieradła. Zamarliśmy; jedyną osobą, która się poruszyła, był doktor Young. Szybko ujął przegub pacjenta i badał jego puls przez chwilę, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność. A potem usłyszałam, jak jego dźwięczny głos rozbrzmiewa wśród nocy:

— Henry Pemberton nie żyje.

Ciotka Anna rzuciła się na kolana przy łóżku i objęła ramionami pierś męża. Doktor Young stał przy jej boku z dłonią ulokowaną pocieszającym gestem na jej głowie, podczas gdy oszołomiony i odrętwiały Theo opadł bezsilnie na fotel.

Colin domknął drzwi sypialni wujostwa i poprowadził mnie korytarzem.

— Przynajmniej już nie cierpi, biedaczysko — rzekł.

Tak — pomyślałam w osłupieniu — męczarnie wuja już się skończyły, ale nasze dopiero miały się rozpocząć.

Pod drzwiami mojego pokoju Colin spojrzął na mnie uważnie. Po chwili milczenia powiedział:

— To, co dziś zrobiłaś, było bardzo odważne.

— Doprawdy? — spytałam apatycznie.

Byłam tak oziębiała, że nie reagowałam nawet na bliskość Colina, na jego dotyk i miękki głos. Obojętność, jaka mnie ogarnęła, gdy cztery dni temu przeczytałam książkę T.W., nasiliła się jeszcze, gdyż na własne oczy zobaczyłam, jak wygląda z bliska przekleństwo Pembertonów. Dzisiejsze wydarzenia, których byłam świadkiem, musiały przypominać scenę oglądaną już raz przed dwudziestu laty. Dziś jednak byłam w stanie zapobiec tragedii.

— Jestem pewien, że ocaliłaś kogoś przed poważnym zranieniem — ciągnął Colin. — Jesteśmy ci winni wdzięczność.

W żałosnym stanie, w jakim się znajdowałam, nie zaprzętałam sobie głowy dociekaniem, dlaczego, choć było już po północy, Colin nie rozebrał się do snu. Nie zauważyłam także, że Martha znikła po drodze na wieżę. Nie zastanawiałam się też, jak wujowi udało się wejść w posiadanie noża. Wszystko, czym byłam w stanie zająć myśli, sprowadzało się do nieuniknionego wyroku losu wiszącego nad nami jak ostrze gilotyny, wyroku, którego żadna moc nie mogła zatrzymać.

— Dobranoc, Colinie. — Próbowałam odwrócić się od niego, lecz trzymał mnie mocno.

— Leylo — powiedział spokojnie. — Muszę cię o coś zapytać.

— Słucham.

— Czy już zrezygnowałaś z prób przypomnienia sobie przeszłości?

— Teraz byłoby to bezcelowe.

— Wierzysz zatem, że twój ojciec i brat zginęli tak, jak ci to przedstawiono?

— Tak. Po dzisiejszym wieczorze, po tym, co stało się z wujem Henrym, wiem już, że to musi być prawda. Proszę, pozwól mi odejść.

Puścił mnie bez słowa i zaczekał, aż zamknę drzwi. Gdy jego kroki ucichły w korytarzu, zaczęłam przemierzać pokój, gnana dziwnym niepokojem. To wszystko było takie straszne, tak niesprawiedliwe!



Ta okropna klątwa już mnie naznaczyła, naznaczyła nas wszystkich, wytyczając nam ten sam los, który dotknął wuja Henry'ego.

Gdy w końcu padłam ze szlochem na podłogę, łkałam rozpaczliwie przez długi czas, dopóki nie poczułam, że nie mam już łez. Podniósłszy się po słupkach baldachimu, zrzuciłam szlafrok i zanurzyłam się w pościeli. *Prace zebrane Thomasa Willisa* leżały na nocnym stoliku. Sięgnęłam po książkę i nie bacząc na zapuchnięte powieki i słabe światło, przeczytałam przeklętą stronę jeszcze raz.

## 13

Mój dziesiąty dzień w Pemberton Hurst zaczął się pulsującym bólem głowy. Przed udaniem się na spoczynek poprzedniego dnia udało mi się nakłonić służącą do przyniesienia mi mocnej herbaty. Obudzwszy się o świcie, stwierdziłam jednak, iż herbata nie tylko nie pomogła mi dobrze spać, lecz wywołała niewiarygodne sny i koszmary.

Odświeżywszy się nieco przy umywalce i przywdziawszy żałobną suknię z czarnej wełny, zasiadłam przed lustrem, na próżno próbując przywrócić mojej twarzy normalny wygląd. Ciężkie doświadczenia poprzedniej nocy pozostawiły wyraźne ślady wokół moich oczu i ust. Spuchnięta i pofałdowana, moja biedna twarz wyglądała, jakby okładały ją setki pięści, i żadne zimne okłady ani największa nawet ilość kremu nie mogły tu nic pomóc. Włosy, przypominające wronie gniazdo, wymagały półgodzinnych intensywnych wysiłków, zanim w końcu udało mi się je rozczesać i spleść w warkocz, ale nawet uporządkowanie fryzury niewiele pomogło memu wyglądowi.

Przypatrywałam się sobie z rozdrażnieniem. Incydent w wieży był koszmarnym przeżyciem. Głowa pulsowała mi teraz boleśnie, dopóki laudanum nie wywarło swego dobroczynnego wpływu. Jednak tym, co najbardziej wyprowadzało mnie z równowagi tego deszczowego poranka był fakt, iż za Boga nie mogłam przypomnieć sobie pewnego snu. Inne, żywe i barwne, nie były niczym więcej niż zwykłymi nonsensownymi marzeniami sennymi, zaludnionymi postaciami bez twarzy,

poruszającymi się w tajemniczym otoczeniu. Jeden natomiast sen zdecydowanie się wyróżniał, zdając się mieć szczególne znaczenie. Odebrałam go jako przesłanie z głębszych warstw mojego umysłu. Właśnie tego snu nie potrafiłam sobie przypomnieć, chociaż usilnie się o to starałam. Pamiętałam jak przez mgłę, iż chodziło w nim o guza i zbudziłam się z przekonaniem, że natychmiast powinnam się tym zająć. Szczegóły jednak umknęły bezpowrotnie z nastaniem poranka, a ból głowy nie pozwalał mi na intensywne rozmyślenia.

W salonie poza ciotką Anną i Theo, gładzącym delikatnie dłoń matki, znajdował się też pastor. Była tam także Martha, pochłonięta jak zwykle szydełkowaniem jakiegoś szala, z nieodzowną torbą na robótki na kolanach. Twarz miała co prawda nieco bladą i ściągniętą, ale poza tym wydarzenia nocy nie odbiły się na jej wyglądzie. Moja szczęśliwa kuzynka miała bowiem godną pozazdroszczenia umiejętność odsuwania od siebie nieprzyjemnych myśli i pograżania się w ulubionym zajęciu. Colin, sądząc po dźwiękach dobiegających z korytarza, szukał ucieczki w muzyce, atakując klawisze z kości słoniowej z furją, która miała ukoić jego sfrustrowaną duszę. Nie przyłączyłam się do niego, choć miałam na to ochotę, gdyż wiedziałam, że moje miejsce jest teraz u boku ciotki Anny i jej syna.

— Co za straszna śmierć! — lamentowała moja biedna ciotka z twarzą ukrytą w dłoniach. — To nie w porządku! To nie w porządku!

Spojrzałam na Theo. Wiedziałam, jak musi się czuć. Oboje straciliśmy ojców w bardzo podobny sposób; oboje nas czekał ten sam los. Wiele więc nas łączyło.

Dostrzegłszy mnie, Theo puścił dłoń matki i przysiadł obok mnie na sofie. Po krótkim zastanowieniu powiedział:

— Nie miałem okazji podziękować ci w nocy. Przypuszczam jednak, że ocalałaś mi życie.

Pomyślałam o swoim ojcu, podrzynającym gardło Thomassowi. Wyobraziłam sobie pięcioletnią dziewczynkę, ukrytą w zaroślach i przyglądającą się tej strasznej scenie.

— Działałam pod wpływem chwili, Theo, to nie miało nic wspólnego z odwagą — odrzekłam.

— A jednak...

Siedzieliśmy przysłuchując się dobiegającym z salonu gwałtownym dźwiękom muzyki. Wyobraziłam sobie Colina grającego z rozwianym włosom i nieprzytomnym wyrazem oczu. Zazdrościłam mu, iż znalazł sposób ulżenia swoim cierpieniom.

— Ojciec zostanie pochowany jutro w rodzinnym grobowcu w East Wimsley. Spocznie obok swego ojca i wuja Michaela. A także swoich dwóch braci.

— Pewnego dnia ty także się tam znajdziesz, Theodore. I Colin. A także Martha i ja.

— Wszyscy musimy umrzeć, Leylo.

— Ale nie w taki okropny sposób! Pomyśl też, że twój ojciec miał ciebie, abys mu pomagał. Sir John miał syna i wnuki, które go opłakiwały. My natomiast nie możemy pozwolić sobie na luksus posiadania dzieci. Kto zatem będzie nas opłakiwał, Theo? Kiedy zestarzejemy się i popadniemy w szaleństwo, kto zajmie się nami?

Nagle umilkłam. Gorączka Pembertonów... Pisał o niej Thomas Willis. Co mnie tak uderzyło...? Coś związanego z tym snem...

Drzwi otwały się i wszedł doktor Young, ubrany w cylinder z bobrzej skóry, pelerynę i rękawiczki. Poinformował pastora, iż ciało jest gotowe do złożenia w kaplicy, a przygotowania do pogrzebu zostały rozpoczęte. Pomyślałam, że postępuje bardzo taktownie — zwłoki zostały zabrane w nocy, tak aby oszczędzić pogrążonej w żałobie rodzinie kolejnych przykrych przeżyć.

— Zadepeszowałem także do pana Hortona w East Wimsley. Przyjedzie wieczorem — informował doktor.

— Dziękuję panu — powiedział Theodore. — Jest pan bardzo uprzejmy.

Doktor Young przerwał, by spojrzeć na mnie przez pokój. Nie wiedziałam, o czym myśli, ale wyglądało na to, że ma ochotę coś powiedzieć.

— Pan Horton ustali z panem szczegóły — dodał Theodore, mając na myśli rodzinnego prawnika.

Doktor Young zignorował te słowa. Jego niebieskie oczy zabłyśły dziwnie, kiedy mówił ledwie słyszalnym głosem:

— Gdybym z jakiegokolwiek powodu okazał się potrzebny, będę w domu.

— Dziękuję panu, doktorze — powtórz! Theodore, choć odniosłam dziwne wrażenie, że ostatnią informację doktor Young skierował wyłącznie do mnie.

— To bardzo rozsądne, że zdecydował pan, by ojciec nie leżał w domu przed pogrzebem — mówił doktor. — Ludzie z East Wimsley mogą złożyć mu uszanowanie w kościele.

— O to mi właśnie chodziło. Na pewno będzie wielu chętnych. Pracownicy fabryki i ich rodziny, kilkoro zamożniejszych członków gminy, urzędnicy... — Potrząsnął głową. — Nie mogę sobie wyobrazić ich wszystkich snujących się po domu.

Patrzyłam prosto przed siebie. Tak, nie wolno dopuścić, by natręci naruszali naszą prywatność. Jesteśmy przecież jak mnisi w klasztorze...

Wstałam. Salon, pomimo panującego w nim chłodu, zdawał się zamykać wokół mnie; czułam, że zaraz się uduszę.

— Pójdę na spacer — oznajmiłam.

— Uważaj na siebie — powiedział Theodore.

Na dworze siało, lecz nie zwracałam na to uwagi. Moje myśli zaprzątnięte były czymś innym. Chodziło o sen z ostatniej nocy, jakieś odkrycie, którego dokonałam, ale zapomniałam o nim po przebudzeniu. We śnie owo odkrycie wydawało mi się niezwykle ważne, a i teraz, choć zapomniałam, czego dotyczyło, konieczność podjęcia pilnych kroków wciąż mnie gnębiła. Miało to coś wspólnego z książką Thomasa Willisa.

Pozwoliłam, by kropla deszczu spadła z mojego czepka i popłynęła po policzku, staczając się po rzęsach i zakłócając zdolność widzenia. Woda z rzadka rozsianych kałuż chlupotała pod stopami. Wiatr nie był już tak przenikliwy, a powietrze tak ostre jak dotąd, ale może tylko mi się wydawało, ponieważ pograżona w rozmyślaniach, nie zwracałam uwagi na otoczenie.

Śniłam o książce Thomasa Willisa i o jakimś wstrząsającym odkryciu związanym z nią. Teraz, skoro nie mogłam przypomnieć sobie snu, logiczne wydawało się przejście nad nim

do porządku, lecz jakaś cząstka mego umysłu nie potrafiła uwolnić się od tej sprawy. Usiłowałam więc dociec, o co we śnie chodziło.

Spacer nie pomógł mi i po dwóch godzinach moknięcia na deszczu nadal niczego sobie nie przypomniałam. W końcu, czując, że wilgoć przesiąka mi przez ubranie, zdecydowałam się wrócić do domu i spróbować kąpieli przed kominkiem. Potem, odświeżona i ożywiona, przywdziałam ciemnobrązową aksamitną suknię, zapiętą pod szyję, ze staroświeckimi, obcisłymi mankietami. Uczesałam się, spinając włosy w kok na karku ze zwisającymi po bokach puklami i postanowiłam zjeść kolację w gronie rodziny.

Gdy weszłam do jadalni, nieco niespokojna o nastrój krewnych, z zadowoleniem spostrzegłam uśmiechającego się do mnie Colina. On także najwidoczniej poczynił pewne wysiłki, aby poprawić swój wygląd, gdyż ciemnozielony surdut i czarne spodnie, które miał na sobie, były nowe i modnie uszyte, buty wyczyszczone, a jasnobrązowe włosy po raz pierwszy, odkąd go poznałam, sprawiały wrażenie starannie przyczesanych.

— Jak się czujesz, Leylo? — spytał wstając na mój widok.

— Tak dobrze, jak to możliwe w tych okolicznościach.

A ty?

Wpatrywał się we mnie, gdy szłam przez pokój, by zająć swe miejsce naprzeciw niego. Martha zaś zdawała się mnie nie zauważać, pochłonięta oglądaniem karnetu z igłami.

— Wyglądasz o wiele lepiej niż wczorajszej nocy — orzekł Colin.

Przypomniawszy sobie swój wygląd w nocy — szlafrok i rozpuszczone włosy, zaczerwieniłam się i odwróciłam wzrok.

Theo usiadł w milczeniu przed swoim nakryciem, a jego podkrążone oczy zatrzymały się na krześle, które zwykle zajmował jego ojciec. Ciotka Anna nie zeszła na posiłek.

Jedliśmy jak zwykle w ciszy, uznając stek barani za zbyt ciężki dla naszych wątłych apetytów, lecz za to racząc się nader swobodnie winem; nawet Martha wypijała dwa kieliszki, aż zaczerwieniły się jej policzki. Gdy skończyliśmy kolację, Gertrudę oznajmiła, iż w gabinecie czeka na nas pan Horton, doradca prawny rodziny.

Colin towarzyszył swojej siostrze, ja zaś wsparłam się na ramieniu Theo. Weszliśmy do pomieszczenia, w którym nie byłam jeszcze ani razu. Podobnie jak biblioteka, był to przytulny pokój, wyposażony w kryte skórą meble z ciemnego drewna, wypełniony książkami. Było tu też olbrzymie mahoniowe biurko z licznymi szufladami i przegródkami — bez wątpienia to przy nim właśnie załatwiano rozliczne finansowe sprawy Pembertonów.

Za biurkiem siedział niezwykle drobny mężczyzna, przypominający wyglądem mysz; miał błyszczącą łysinę i malutkie oczka. Rozmiary biurka i wielkiego, wyściełanego skórą krzesła, na którym prawnik siedział, czyniły zeń niemal karła, lecz wkrótce przekonałam się, że bystrość jego umysłu w pełni wynagradza niedostatki postury.

Ciotka Anna już tam była, przerażająco blada w czarnej jedwabnej sukni i czarnym welonie na włosach. Siedziała sztywno na brzeżku krzesła, jakby gotując się do ucieczki. My zaś rozlokowaliśmy się wygodnie wokoło, tak by móc widzieć prawnika i słyszeć jego głos.

Pan Horton, który najwidoczniej nie lubił tracić czasu na drobiazgi, przeszedł od razu do rzeczy, to znaczy do omówienia testamentu wuja. Utkwiwszy paciorkowate oczka w papierach leżących przed nim, przemówił spokojnie i rzeczowo:

— Panowie Theodore Pemberton i Colinie Pemberton, moim obowiązkiem jest powiadomienie panów, że Henry Pemberton zmarł, nie pozostawiwszy testamentu.

Odczekał, aż sens tych słów dotrze do nas, a następnie kontynuował:

— W tych okolicznościach, zgodnie z literą prawa, należałoby podjąć pewne kroki. Jednakże...

— Co ma pan na myśli, mówiąc, że ojciec nie pozostawił testamentu? — odezwał się nagle Theo.

— Dokładnie to, co powiedziałem, proszę pana.

— Do licha, człowieku! Wiem, co znaczą te słowa, ale to przecież niemożliwe. Wiem, że sporządził testament! Wiem to na pewno!

— Nie powierzył mi go, sir, a przecież zajmuję się interesami rodziny od dwunastu lat.

— No to musi być w sejfie. Na pewno tam go ojciec schował.

— Przeszukaliśmy sejf, panie Pemberton, i nie znaleźliśmy testamentu. W świetle prawa pański ojciec zmarł, nie pozostawiając ostatniej woli.

Theodore, który podnosił się już, opadł z powrotem na krzesło.

— A zatem, jakie kroki należałoby podjąć? — spytał dość opanowanym głosem.

— Prawo przewiduje takie przypadki i interesy wszystkich członków rodziny zwykle zostają dobrze zabezpieczone. Jednak przypadek, z którym mamy tu do czynienia, różni się od innych. O ile bowiem ojciec pana zmarł, nie pozostawiając testamentu, to jego ojciec, czyli pański dziadek, musiał przewidzieć taką okoliczność. Testament pańskiego dziadka zawiera w związku z tym klauzulę dotyczącą rozporządzenia majątkiem, gdyby pański ojciec zmarł, nie wyrażając ostatniej woli.

— Ma pan kopię tego testamentu?

— Tak, proszę pana. — Pan Horton przez chwilę ostentacyjnie przerzucał papiery, choć byłam pewna, że mogłby treść testamentu wyrecytować z pamięci.

Kiedy czekaliśmy na efekt jego poszukiwań, przyjrzałam się moim krewnym. Zaczerwienione oczy ciotki wpatrywały się w dywan; siedziała załamując bezwiednie ręce. Wątpię, czy słyszała choć słowo z tego, co zostało powiedziane. Kuzynka Martha zajęta była robótką, a pobrzękiwanie jej drutów współgrało z tykaniem zegara. Tylko Colin i Theo uważnie wsłuchiwali się w słowa pana Hortona, przy czym rumieniec na twarzy Theo i jego zaciśnięte dłonie wskazywały, iż słucha w wielkim napięciu. Z kolei Colin, którego jasnobrązowe włosy błyszczały w świetle kominka, wyglądał całkiem zwyczajnie; jego zachowanie nie zdradzało niepokoju.

— Kodycyl w testamencie pańskiego dziadka głosi, iż w razie niepozostawienia testamentu przez Henry'ego Pembertona, wszelkie ziemie, dochody, budynki i ich wyposażenie przechodzą w całości na wnuka...

Theo pochylił się do przodu.



— ...Colina Pembertona — dokończy! prawnik.

Przez chwilę panowała cisza, a potem Theo zerwał się na równe nogi i ze słowami: „Co, u diabła!” wyrwał notariuszowi testament z dłoni. Twarz Colina pobladła, źrenice jego oczu rozszerzyły się ze zdumienia.

— To niemożliwe! — krzyczał Theo, zawisając nad panem Hortonem jak jastrząb nad kurczęciem. — Nie wiedzieliśmy o tym!

— Z prawnego punktu widzenia testament jest ważny — stwierdził nieporuszony pan Horton. Najwidoczniej nieraz już był świadkiem podobnych scen przy odczytywaniu ostatecznej woli. — Jeżeli pan o tym nie wiedział, to zapewne dlatego, że nikt nie uznał za stosowne powiadomić pana. Nikt też nie przypuszczał, że pański ojciec nie zostawi testamentu.

— Najwidoczniej sir John tak właśnie przypuszczał — burknął Theo, uważnie studiując dokument.

— Może pan badać go, jak długo pan zechce, drogi panie, ale zapewniam, że wszystko jest w największym porządku. Dokument zawiera datę i moją pieczęć.

Théodore czytał przez chwilę, a potem odłożył dokument na biurko. Jego wzrok zwrócony na Colina był tak nieprzyjemny i przepełniony nienawiścią, że aż mnie przeraził.

— Ty... ty bękarcie! — wykrztusił przez zaciśnięte zęby. — **Wiedziałeś!** Przez cały czas wiedziałeś! To za twoją sprawą dziadek obrócił się przeciwko nam, kiedy nas tu nie było. Lecz to ci się nie uda!

Colin wyprostował się na całą wysokość, górując nad Theo. Z wymuszonym spokojem w głosie oświadczył:

— Zapewniam cię, że nie miałem o tym pojęcia.

— **Wiedziałeś!** — krzyknął Theo. — To twoje skradanie się, intrygowanie...

— Dość tego! — dobiegł nas czyjś głos.

Odwróciliśmy się wszyscy w stronę kominka, dopiero teraz dostrzegając, iż w pokoju jest również szósta osoba. Ukryta w *prie-dieu*, odwróconym do nas oparciem, babka Abigail przysłuchiwała się każdemu słowu, które tu padło.

Samą swoją obecnością była w stanie zapobiec kłótni między Colinem i Theodore'em. Suchymi kościstymi palcami

wsparta się na poręczach fotela i z trudem stanęła na niepewnych nogach. Była wysoka i chuda, bez funta zbędnego ciała. Czarna jedwabna suknia z niemodną szeroką krynoliną wisiała na niej jak na szkielecie, a białe, jedwabiste włosy ostro kontrastowały z czarnymi, twardymi w wyrazie oczami, spoglądającymi tak władczo, iż wszyscy ugięliśmy się pod tym spojrzeniem.

— Pan Horton ma rację — oznajmiła głębokim, donośnym głosem. — Byłam obecna przy sporządzaniu tego testamentu. Podczas odczytywania ostatniej woli mego męża, dziesięć lat temu, przekonaliście się, że pozostawił wszystko swemu jedynemu synowi, Henry'emu. Potem dodał kodycył na wypadek, gdyby jego syn zmarł, nie pozostawiając testamentu... Było to zrozumiałe, zważywszy na częste przypadki nagłej śmierci wśród Pembertonów... Tak czy inaczej, woła sir Johna było, aby kontrola nad majątkiem przeszła w ręce syna Richarda, nie Henry'ego. Pragnął, żeby to Colin został jego spadkobiercą, i tak właśnie się stanie.

Głos babki, zimny i bezosobowy, nie zdradzał, co ona sądzi o takim rozporządzeniu majątkiem. Czy aprobowała wybór dziedzica, czy też nie, miało pozostać dla nas tajemnicą.

— To jest przeklęta rodzina, której nie powinno się pozwolić na dalsze trwanie. Mój mąż zmarł w wyniku kławy, podobnie jak wszyscy moi trzej synowie. A dwaj wnukowie, którzy mi pozostali, także na to umrą.

Jeżeli babka próbowała pozyskać w ten sposób naszą sympatię, to nie udało się jej, gdyż ten zimny głos i wyprane z wszelkich emocji słowa nie mogły wzbudzić przyjaznych uczuć. Zastanowił mnie stoicki spokój babki, jej niesłychane opanowanie tuż po stracie ostatniego syna. Jeżeli nawet była matką okrytą żałobą, absolutnie nie rzucało się to w oczy.

— Zastosujemy się do życzenia sir Johna — oświadczyła stanowczo. Jej małe czarne oczka rozjarzyły się na widok Colina. Czy był w nich gniew? Nienawiść? A może triumf...? Spojrzała na notariusza.

— Panie Horton...? — ponagliła go.

Mała fretka chrząknęła.

— Jakikolwiek był powód, Henry Pemberton nie uznał za stosowne spisać testamentu. Może było to po prostu przeoczenie, ale zostawianie tego typu spraw na ostatnią chwilę, zwłaszcza przez człowieka, któremu los depece po piętach, nie wydaje się postępowaniem rozsądnym. Jak już mówiłem, takie przypadki powinny trafić do sądu, choć tym razem nie wydaje się to konieczne. Wszystko, z czym mamy tu do czynienia, jest zgodne z prawem. A teraz... — znowu chrząknęła.

— Sir John zatroszczył się także o kobiety z rodziny. Testament stanowi, iż ma im zostać zapewnione utrzymanie i życie w dostatku, jak długo pozostawać będą pod tym dachem. Jeżeli opuszczą Hurst, fundusze asygnowane na ich utrzymanie zostaną cofnięte. — Pobrząkiwanie drutów Marthy umilkło, przez co cisza w pokoju wydała się jeszcze cięższa, dopóki, nie zmieniając wyrazu twarzy ani pozycji, Martha podjęła swoje zajęcie. — I to już wszystko, panowie — rzekł prawnik.

— Kopia dokumentu jest tutaj, do wglądu. Gdyby pan Colin Pemberton znalazł w przyszłym tygodniu wolną chwilę i przybył do mojego biura, wprowadziłbym go w szczegóły rodzinnych interesów. Czy są jakieś pytania?

— Nie ma żadnych — stwierdziła babka głosem nie dopuszczającym sprzeciwu. Obrzuciła nas jeszcze raz swoim wyniosłym spojrzeniem, po czym wymaszerowała z pokoju z zaciśniętymi ustami i uniesioną dumnie brodą.

Wstałam z fotela, gdy przechodziła obok mnie. Także Marcie udało się jakoś pozbierać swoje przybory i podnieść się. Tylko Anna wciąż siedziała, Anna, która zdawała się nie słyszeć ani słowa z całej tej konferencji.

Gdy tylko ciężkie dębowe drzwi zamknęły się za Gertrudę, która ruszyła za babką, by służyć jej pomocą, atmosfera w pokoju stała się naładowana elektrycznością. Colin i Theo spoglądali na siebie gniewnie, Theo z nienawiścią, a Colin z oburzeniem.

— Powiadam panu, sir, że był testament — powiedział Theodore na pozór spokojnie.

— Może i był. Nie miałem z tym nic wspólnego. Pan Horton także nic nie wie na ten temat.

— Nic mi nie wiadomo o testamencie spisany przez Henry'ego Pemberton — potwierdziła łasica zza biurka.

— Musi być jakiś sposób! — wykrzyknął Theo. Przestraszył mnie. Nie spodziewałam się, że może być zdolny do takiego wybuchu. — Zaangażuję własnego prawnika i złożę sprawę w sądzie. To kwestia pierworództwa. Kuzyn...

— Proszę mi wybaczyć, panie Pemberton, lecz jestem przekonany, że wówczas dowie się pan...

— A ja jestem przekonany, panie Horton, że wypełnił pan swój dzisiejszy obowiązek. Nie potrzebujemy pańskich usług.

Pan Horton wstał i choć nie wydał się przez to specjalnie wyższy, to jego oczy zwięzły się niebezpiecznie, kiedy przemówił:

— Pozwoli pan, że zdecyduje o tym pan Colin jako nowy właściciel Pemberton Hurst.

Oczy Theo zabłyśły groźnie, żyły na szyi nabrzmiały, a twarz przybrała kolor szkarłatu.

— On nie jest jeszcze panem Pemberton Hurst! I nie zostanie, jeśli tylko zdołam temu zapobiec!

Gdyby moja interwencja mogła się na coś przydać, to przemówiłabym właśnie teraz, ale przecież tę sprawę mężczyźni musieli załatwić pomiędzy sobą.

— Theo, doprawdy... — zaczął Colin z twarzą wyrażającą gniew i konsternację. — Nie miałem pojęcia...

— Ty, kuzynie, jesteś tylko zasmarkanym wyrobnikiem!

— Nie pozwolę obrażać się we własnym domu!

— Ależ ten dom jeszcze nie jest twój, Colinie Pembertonie, przynajmniej dopóki ja żyję.

Poczułam znowu ból głowy. To na pewno z powodu wina po obiedzie; zbyt dużo wypiałam. A teraz jeszcze ta kłótnia...

Przeprosiłam obecnych, lecz żaden z mężczyzn nie zwrócił na mnie uwagi, tak bardzo absorbowała ich kłótnia. Widok ich obu skaczących sobie do oczu, gdy ciało biednego wuja Henry'ego nie zostało jeszcze pochowane, bardzo mnie zasmucił. Nie czułam się jednak na siłach, by interweniować.

Droga do mego pokoju zdawała się trwać wieczność. Światła zostały przykręcone i wszystko tonęło w ponurym

półmroku. Głowa bolała mnie coraz bardziej, a przed oczami wciąż stała mi twarz wuja, taka, jaką widziałam zeszłej nocy: z nieprzytomnym wzrokiem i wykrzywionymi w upiornym grymasie ustami. Pomyślałam o ogromnym cierpieniu, które poprzedziło jego śmierć — o bólach głowy, mdłościach i torsjach, dolegliwościach brzucha, o delirium i konwulsjach. Mimo woli zaczęłam zastanawiać się, ile czasu mi jeszcze zostało...

W sypialni, szukając zacisznego miejsca, skorzystałam z ciepła bijącego od kominka; zapadłam w fotel z uniesionymi do góry stopami. Potoki deszczu uderzały o szyby, w naturze zapanował chaos. Ból głowy był teraz silniejszy niż kiedykolwiek przedtem, a jego intensywność spowodowała dolegliwości żołądkowe. Wzięłam trochę laudanum, nieco więcej niż zwykle, przypisując swoje dolegliwości napiętej atmosferze, nieustannie panującej w tym domu.

Kiedy już znalazłam się z daleka od gabinetu i sporów rodzinnych, poczułam, że znowu powraca do mnie nazwisko Thomasa Willisa, prześladując mnie niczym natrętny refren, kołaczący w zakamarkach świadomości.

Lek uspokoił mnie, postanowiłam odpocząć.

Kiedy znalazłam się w łóżku, usiadłam z tomem Cadwaladera na kolanach i zapatrzyłam się w tytuł dzieła z nadzieją, iż jego brzmienie przywoła zapomniany sen. Nagle do mego odurzonego lekami umysłu napłynęło inne wspomnienie. Przypomniała mi się mianowicie rozmowa z doktorem Youngiem. „Czytał pan dzieło Thomasa Willisa, prawda, doktorze?” — spytałam wówczas. Odrzekł: „Thomasa Willisa? On żył dawno temu. Czytałem jego prace, gdy byłem studentem”.

Nawet w obecnym stanie zdałam sobie sprawę, że jestem blisko rozwiązania tej zagadki. Otworzywszy zatem książkę na odpowiedniej stronie, prześledziłam uważnie słowa, napisane dawno temu przez doktora Willisa: *Poznawszy naturę zarazy... gorączki, zwane śmiertelnymi i złośliwymi... nie zabijają tak pewnie jak zaraza...*

Co takiego było w tych zdaniach, co nie dawało mi spokoju?! Coś mnie zaniepokoiło, a niepokój ten znalazł odbicie we śnie.

Powróciły do mnie słowa doktora Younga: „Z dzieła Thomasa Willisa zapamiętałem nudne zdania, skomplikowane wykresy anatomiczne i nieprawdopodobną pisownię!”

Pobiegłam spojrzeniem ku tej najważniejszej dla mnie stronie, która zaczynała się od: „Kiedy się ta gorączka po raz pierwszy pojawiła (...)”. Przeczytałam całą stronę, powróciłam do początku i przeczytałam jeszcze raz. Nagle zatrzymałam wzrok na fragmencie znajdującym się u dołu strony: *Sir Geoffrey cierpiął ten sam los co jego syn, niepokojony przez objawy gorączki\*...*

Z niedowierzaniem wpatrywałam się w tekst. Słowo „gorączka” było napisane błędnie, nie z punktu widzenia dzisiejszej ortografii, lecz inaczej, niż napisano by je w czasach Thomasa Willisa. Było to tym dziwniejsze, że w całej książce słowo to pisane było poprawnie; błąd pojawiał się jedynie we fragmencie dotyczącym choroby Pembertonów.

Odróciłam kartkę i przeczytałam ostatnią linijkę: (...) *a choroba mózgowia (czy też gorączka Pember Town) nie daje się wyleczyć za pomocą żadnych sprawdzonych środków.*

Znowu „gorączka” było napisane błędnie!

Tego właśnie dotyczył mój sen! Przypomniałam sobie. W śnie uświadomiłam sobie błąd występujący we fragmencie dotyczącym Pembertonów, i to nie dawało mi spokoju na jawie.

Teraz kiedy wpatrywałam się w błędnie napisane słowa, nie mogłam zrozumieć, dlaczego pisownia tak mnie zaniepokoiła. W końcu we wszystkich epokach popełniano błędy w pisowni, drukarzom nie zawsze udawało się je wychwycić.

Odłożyłam książkę na nocny stolik i zgasiłam lampę. Zwinęta pod kołdrą, przysłuchując się miarowym uderzeniom deszczu o szyby, wpatrywałam się w leżący na stoliku kształt.

Pomyślałam w końcu, odpływając już w sen, że pokażę tę książkę doktorowi Youngowi.

Choć w wyższych sferach nie istniał zwyczaj uczestniczenia przez kobiety w pogrzebach, to jednak w miarę upływu lat

\* W oryginale „feaver” w całym dziele, i „fever” we fragmencie dotyczącym Pembertonów (przyp. tłum.)

następowała pewna liberalizacja obyczajów i śmielsze niewiasty pojawiały się już na tych uroczystościach. Ku memu zdziwieniu, należała do nich i ciotka Anna, chociaż nie przypuszczałam, aby chodziło jej o okazanie buntu przeciwko obyczajom. To głęboka rozpacz ciotki skłoniła ją do spędzenia ostatnich chwil ze zmarłym mężem. Martha i ja nie poszliśmy na pogrzeb, ona dlatego, że wolała pozostać w ciepłym domu i dziergać coś przy kominku, a ja, ponieważ uważałam to za niewłaściwe. Kiedy chowano moją matkę, w drodze na cmentarz towarzyszył jej Edward, doktor Harrad i kilkoro najbliższych przyjaciół, podczas gdy ja opłakiwałam ją w odosobnieniu mieszkania. Niektórych rzeczy damy po prostu nie robią — takich między innymi jak gra w tenisa czy palenie cygar, choć w każdej społeczności znajdują się osoby, które uważają, iż dorównywanie mężczyznom to przejaw ich postępowości.

A zatem ciotka Anna pojechała powozem ze swoim synem i Colinem, Martha zaś i ja zostałyśmy w domu pogrążone w smutku.

Po śniadaniu znowu zaczęłam odczuwać ból głowy, lecz kolejna dawka laudanum pomogła mi usunąć dolegliwości. Potem próbowałam czytać, ale nie mogłam się skoncentrować. Trudno też było mi usiedzieć przy fortepianie, gdyż książka Thomasa Willisa nadal nie dawała mi spokoju. Myślałam o niej nieustannie — zarówno gdy jadłam w swoim pokoju lekki obiad, gdy przeglądałam grzbiety książek, szukając czegoś do czytania, czy też kiedy przerzucałam nuty.

Do pierwszej krewni jeszcze nie wrócili z pogrzebu, postanowiłam więc udać się na spacer. Przypomniawszy sobie, co doktor Young mówił na temat swego miejsca zamieszkania, wyruszyłam w tamtym kierunku, z Thomasem Willisem wygodnie ulokowanym pod pachą.

Po dwóch godzinach szybkiego marszu bez trudu odnalazłam farmę Ivy, sprzedaną doktorowi sześć lat temu przez człowieka, który stracił żonę i dwie córki podczas epidemii szkarlatyny. Wygodniej pewnie byłoby dostać się tu dwukółką, ale mogłoby to wzbudzić podejrzenia, a nie chciałam, by rodzina dowiedziała się o celu mej wyprawy. Sama zresztą trapiłam się niewłaściwością mego postępowania, ponieważ nie

przywykłam odwiedzać samotnie mężczyzn. Tłumaczyłam sobie jednak, iż ten akurat mężczyzna jest lekarzem, człowiekiem o nieposzlakowanej reputacji, o wiele starszym ode mnie i z pewnością zatrudniającym gospodynię. Gdyby jednak nie konieczność utrzymania tej wizyty w tajemnicy — chociaż nie wiedziałam dlaczego właściwie — wzięłabym ze sobą pokojówkę.

Kolumna szarego dymu wznosiła się w zachmurzone niebo, co było niewątpliwą oznaką, iż dom jest zamieszkały. We frontowych oknach, które musiały należeć do salonu, paliło się światło. Mimo to podążając błotnistą dróżką w stronę drzwi frontowych, nie czułam się zbyt pewnie.

Wiedziałam, że tylko kobiety z półświatka odwiedzają mężczyzn bez odpowiedniej eskorty, lecz zignorowałam tę swoją wiedzę, bo sprawa była poważna. Potrzebowałam laudanum — ból głowy nie ustępował — a poza tym gnębiła mnie niejasność związana z książką Thomasa Willisa.

Ku mojej nieskończonej głębokiej uldze drzwi otworzyła przysadzista starsza kobieta w poplamionym fartuchu i w czepku na siwych włosach. Gdy stało się jasne, że przyszłam sama, przyjrzała mi się z nie ukrywanym zdziwieniem.

— Czy pani chora? — zapytała stojąc w progu.

— Nie. Czy doktor jest w domu? — spytałam po raz trzeci.

Spojrzała na moją talię, szukając niewątpliwie oznak przyszłego macierzyństwa. Może była położną?

— Czy doktor pani oczekuje? — spytała.

— Nie sądzę. Jestem jego znajomą z Pemberton Hurst...

Wyraz jej twarzy sprawił, że umilkłam. Tak, byłam mieszkanką tego przerażającego miejsca, będącego tematem wielu opowieści o diabelskich sprawkach, które się tam dzieją. Ciekawe, co ta kobiecina o nas słyszała. Może doszło do niej na przykład, że pożeramy niemowlęta?

Od dalszego stania na zimnie wybawił mnie dopiero doktor Young, który nagle pojawił się za plecami gospodyni.

— Witam, Leylo. Co za miła niespodzianka!

Gospodyni niechętnie odsunęła się na bok, nie przestając przyglądać mi się podejrzliwie. Czyż nie powinnam teraz



w domu opłakiwać bolesnej straty w towarzystwie członków mojej rodziny...

— Pani Finnegan, czas na herbatę. Czy mogłaby pani podać ją w salonie?

Odetchnęłam z ulgą, kiedy odeszła kołyszącym się krokiem. Najwidoczniej nikt nie uświadomił jej niestosowności nachalnego przyglądania się ludziom, przy czym jej twarz zdradzała, co gospodyni myśli o moim zachowaniu.

Doktor Young pomógł mi zdjąć płaszcz i czepek, powiesił je i zapytał o moje zdrowie.

— Znowu dokucza mi ból głowy, doktorze, i nie mam już laudanum.

— Rozumiem — powiedział obrzucając mnie zatroskanym spojrzeniem.

— To z powodu tych wszystkich wydarzeń, proszę pana. Śmierć wuja, zamieszanie wokół testamentu, pogrzeb, i ta okropna pogoda w dodatku...

— Oczywiście. — Z małego holu wprowadził mnie do bardzo przytulnego saloniku, czystego jak łąza i umeblowanego w dobrym guście. — Tam... — powiedział wskazując jakieś drzwi — ...jest mój gabinet i pokój przyjęć. W piwnicy, pod kuchnią, znajduje się laboratorium, gdzie, jak zapewne sądzi pani Finnegan, współpracuję z diabłem.

Roześmiałam się i zajęłam wskazane miejsce.

Doktor Young ubrany był bardzo starannie w szary dwurzędowy surdut i czarne spodnie. Jego koszula i fular lśniły bielą; czułam unoszący się wokół niego leciutki zapach cygar.

— Cieszę się, że pani przyszła, Leylo. Gdy wspomniała pani o Oliverze Harradzie, sprawiło mi to wielką przyjemność. Po powrocie z Hurst wczoraj wieczorem pierwszą rzeczą, którą zrobiłem, było wysłanie listu do starego przyjaciela. Przyjaciele, a zwłaszcza wypróbowani przyjaciele, nie powinni tracić ze sobą kontaktu wyłącznie z powodu dzielącej ich odległości.

Jego oczy błyszczały głębokim zadowoleniem, a ja czułam satysfakcję, iż mimo woli sprawiłam radość temu miłemu człowiekowi.

— Widzę, że przyniosła pani książkę. Ach, tak, prace Wilisa, przygotowane do druku przez doktora Cadwalladera

z Oksfordu, rok tysiąc osiemset dwudziesty drugi. A oto i stary Tom we własnej osobie. — Wpatrywaliśmy się oboje w twarz dawno zmarłego anatoma. — Tak, jestem pewien, że mam gdzieś własny egzemplarz. Nie zdobyłem się jednak na znalezienie go.

— Chciałabym, by rzucił pan okiem na tę stronę, doktorze. Uśmiechnął się.

— Chętnie spełnię pani prośbę.

Przerzucałam kartki, aż natrafiłam na fragment, o który mi chodziło, a następnie siedziałam w napięciu, z dłońmi mocno zaciśniętymi, czekając, aż doktor ją przeczyta.

Po skończeniu lektury doktor popatrzył na mnie chmurnym wzrokiem.

— Rozumiem teraz, Leylo, dlaczego uznała pani za ważne, abym się o tym dowiedział. No cóż, to dowód na istnienie „guza Pembertonów”, udokumentowany przez jednego z najbardziej szanowanych uczonych. To bardzo pouczająca lektura.

— Czy zauważył pan coś jeszcze, sir?

— Coś jeszcze...?

— Na przykład nieprawidłową pisownię?

Odrzucił głowę i roześmiał się.

— O, tak! Medykamenta, ni mniej, ni więcej! Środek na-  
potny! Zapalenie opłucnej!

— I gorączka, doktorze Young.

— Tak, to przede wszystkim.

— Chodzi o to... — Sięgnęłam po książkę i pokazałam mu błędnie napisane wyrazy. — I co pan o tym sądzi? — spytałam.

Przestał się śmiać.

— Co sądzę? — Wzruszył ramionami. — Błędy drukarskie, tak uważam, choć to niezwykle w wypadku dzieła naukowego. Być może jednak tak to zostało napisane w oryginale, a wydawcy — o, Mortimer i Synowie — po prostu przeszli nad tym do porządku. Nie zwracałbym uwagi na pisownię, tym bardziej że w siedemnastym wieku sztuka drukarska nie była tak rozwinięta jak dzisiaj. Co się stało, Leylo? Wygląda pani na zmartwioną.

— Nie wiem, doktorze. Nie potrafię tego sprecyzować, ale wydaje mi się to ważne. Pewnie jestem po prostu niema- dra. Czy moglibyśmy rzucić okiem również na pański egzem- plarz?

Srebrzyste brwi doktora powędrowały do góry.

— Mój egzemplarz...? Oczywiście, jeśli pani sobie życzy, lecz to musi trochę potrwać. A oto i pani Finnegan z herbatą.

Spróbowałam uśmiechnąć się przyjaźnie do podejrzliwej gospodyni, ale ona pozostała niewzruszona. Rozumiałam brak aprobaty dla mojego samotnego zjawienia się u doktora, lecz nie mogłam pogodzić się z niechęcią gospodyni do wszystkiego, co wiązało się z nazwiskiem Pembertonów.

Rozmowa z przemiłym dżentelmenem, przy doskonałej angielskiej herbacie, odbywana w przytulnym pokoju z jasno płonąącym kominkiem, podczas gdy o szyby dzwonił zimny deszcz, była szalenie odprężająca. Czułam wręcz, jak topnieje mój niepokój związany z książką Thomasa Willisa.

— Wspomniała pani o testamencie, Leylo...

— Och! Chodzi o to, że wuj Henry zaskoczył wszystkich. Pan Horton poinformował nas wieczorem, iż wuj zmarł nie pozostawivszy ostatniej woli. Jak się okazało, dziadek, sir John, przewidział taką sytuację i zawarł w swoim testamencie odpowiednią klauzulę. Gdyby nie to — jak powiedział pan Horton — sprawę spadku musiałyby rozpatrywać sąd.

— O jaką to klauzulę chodzi?

— Bardzo ważną! Wygląda na to, że wszystko zostanie się Colinowi, a Theo zostanie na lodzie.

— Słucham...? — Odstawił filiżankę i przez chwilę wpa- trywał się we mnie z wyrazem najwyższego zdumienia. — Na- prawdę Colin dostanie cały spadek? Wszystko?

— No tak. Myślę, że starszy wnuk nie powinien być zosta- tak zupełnie pominięty, ale wygląda na to, że sir John uważał Colina za odpowiedniejszego spadkobiercę. Theo strasznie się rozgniewał... — Umilkłam. — Co się stało, doktorze?

— Jestem zdumiony, a nawet zaszokowany. — Podniósł filiżankę i zaczął sączyć herbatę. — Zważywszy zwłaszcza...

— Zważywszy na co, proszę pana?

— Zważywszy, iż Colin wcale nie jest Pembertonem.

Brzęk mojej filiżanki, uderzającej o spodek otrzeźwi! mnie wreszcie na tyle, że zdołałam zamknąć otwarte ze zdumienia usta. A potem zapytałam najgłupiej w świecie:

— Co...?

— Nie wiedziała pani? Wuj pani, Richard, poślubił matkę Colina, gdy chłopiec był jeszcze malutkim dzieckiem, mniej więcej dwuletnim. Richard Pemberton adoptował pasierba, a więc z punktu widzenia prawa wszystko jest w porządku. Colin należy do rodziny Pembertonów. Nie łączą go jednak z wami więzy krwi. Jak też nazywała się przedtem jego matka...?

— Skąd pan o tym wie, doktorze? — usłyszałam swój zniekształcony głos.

— Doktor Smythe prowadził dokładne notatki. Zostawił historie chorób wszystkich rodzin w promieniu dwudziestu mil od East Wimsley, w tym również zapiski na temat chorób Pembertonów. O ile mnie pamięć nie myli, brat pani ojca, Richard, przywiózł tu wdowę bodajże w 1825 i ożenił się z nią. Chłopcem, który z nimi przyjechał, musiał być mały Colin. Krótco po ślubie tych dwojga doktor Smythe został wezwany do Hurst w związku z dolegliwościami madame Jane, które wynikały ze spodziewanego macierzyństwa. Jeszcze tegoż roku urodziła się Martha...

Doktor mówił jeszcze coś, lecz ja już nie słuchałam. Słyszałam tylko bicie swego serca, które musiało być słyszalne w całym pokoju — byłam tego pewna.

— Leylo...? Panno Pemberton...?

— Och, proszę mi wybaczyć, zamyśliłam się. Ta wiadomość spadła na mnie zniecacka. Dlaczego Colin nie wspomniał, że nie jest Pembertonem i nie podlega tym samym klątwie?! Teraz rozumiem gniew Theo. Wyjaśnia to również pewną odmienność Colina.

— Widzę, że to istotnie dla pani nowość. Bardzo pani zbladła, Leylo. Dlaczego moje słowa tak panią zbulwersowały?

Ponieważ kocham Colina, a jego milczenie w tak ważnej sprawie równa się kłamstwu; nie mogłam jednak powiedzieć tego głośno.

— Nie, nie jestem wstrząśnięta, doktorze, tylko niezmiernie zaskoczona. Myślałam, że Colin jest moim kuzynem, że łączą nas bliskie więzy. A w rzeczywistości nie jest Pembertonem i nie dotyczy go klątwa!

— No, owszem, a skoro już o tym mowa... — Doktor Young odstawił pustą filiżankę i energicznie poderwał się na nogi. — Czy moglibyśmy spojrzeć na mój egzemplarz Cadwalladera?

Ten bystry człowiek próbował oderwać moje myśli od nowin, które wyraźnie wytrąciły mnie z równowagi. Byłam mu za to wdzięczna. Potrzebowałam czasu, aby oswoić się z wiadomością, że Colin nie jest jednym z nas...

Doktora nie było zaledwie przez chwilę lub tak mi się tylko wydawało, zważywszy na moje rozkojarzenie. Dopiero gdy ujrzałam go siedzącego na sofie ze znajomym tomem w rękę, otrząsnęłam się z zamyślenia. Zapragnęłam choć na moment zapomnieć o Colinie.

— No cóż, zobaczymy. To była strona... — Spojrzał na mój egzemplarz, a potem zaczął kartkować swój. — O, mam! Chociaż nie, jeszcze minutkę. To nie ta strona.

Kątem oka obserwowałam wertowane kartki, lecz spoza nich widziałam nadal twarz Colina. Tę twarz niepodobną do mojej, z innym niż u Pembertonów kształtem nosa i linią szczęki. Chyba powinnam czuć się szczęśliwa, że nie dopadnie go fatum...

— Proszę chwilę poczekać... — usłyszałam zdziwiony głos doktora Younga. — Co to się dzieje? Numery stron pasują, ale tekst jest inny...

— Słucham? — Starałam się skupić uwagę na słowach doktora. — Znalazł pan te same błędy?

— Wprost przeciwnie! Proszę zajrzeć do swego egzemplarza, Leylo, i przeczytać stronę poprzedzającą fragment o Pembertonach.

— Już. *Ten środek napotny to nie było nic innego jak proszek z ropuch, przeczyszczony starannie solą...*

— Wystarczy. Jak dotąd, tekst się zgadza. Teraz proszę czytać od góry następnej strony.

Zmarszczyłam brwi.

*Te gorączki różnią się zarówno od zarazy, jak i od siebie wzajem co do stopnia, choć ze swej natury są równie gwałtowne...* — Przerwałam czytanie, by zerknąć na doktora. Jego twarz przybrała wyraz, jakiego nie widziałam u niego nigdy dotąd.

— Co się stało? — spytałam niepewnie.

Bez słowa wyciągnął ku mnie swój egzemplarz, otwarty na tej samej stronie co mój. Odczytałam kilka pierwszych linii. Tekst był inny!

— Nie rozumiem...

— Ja także. Proszę mi podać swój egzemplarz, Leylo.

Doktor ułożył obie książki na swoich kolanach, rozłożone tak, iż widać było strony o tej samej numeracji. O ile jednak strony po lewej były identyczne w obu egzemplarzach, to te po prawej — z których jedna mówiła o chorobie Pembertonów — różniły się od siebie! Tylko jeden egzemplarz zawierał ten właśnie fragment, a był to mój egzemplarz.

— Numery stron się zgadzają... — powiedziałam oszołomiona. — Co się dzieje? Nie rozumiem.

Doktor Young wziął moją książkę i zbliżył ją do oczu. Przez chwilę przyglądał się bardzo uważnie, po czym nagły błysk zrozumienia rozjaśnił jego twarz.

— Znalazłem, Leylo.

— Co takiego?

— To fałszywa strona! Widzi pani? Ktoś bardzo starannie usunął oryginalną stronę, tę, którą możemy znaleźć w moim egzemplarzu, i zastąpił ją innym tekstem. Jeśli pomi-

nać ten fragment o Pembertonach, dalej jest już wszystko w porządku, oba teksty się zgadzają.

— Nadal nie rozumiem — powiedziałam, lecz przecież w niepojęty sposób — r o z u m i a ł a m . Przypomniałam sobie nagle cały sen. Jakaś część mego umysłu intuicyjnie rozpoznała fałszerstwo, chociaż świadomie nie dostrzegłam niczego dziwnego. Dopiero teraz stało się jasne, dlaczego myśl o dziele Thomasa Willisa tak mnie gnębiła!

— Ktoś majstrował przy tej książce, by sprokurować „chorobę Pembertonów” — wyjaśnił doktor dobitnie.

— Sprokurować! — krzyknęłam w sposób zupełnie nieodpowiedni dla damy. — Czy chce pan przez to powiedzieć, że ta choroba nie istnieje? Ze nie ma żadnego guza?

— W każdym razie Thomas Willis z pewnością o nim nie pisał.

— Doktorze Young...

— Proszę się przyjrzeć, Leylo. W miejscu połączenia stro-  
na wyraźnie się różni. Nie ulega wątpliwości, że ta została podrobiona, choć ostateczny dowód mógłbym uzyskać dopiero po zbadaniu jej pod mikroskopem. Interesuje mnie jednak nie tyle fakt, że stronę tę sfałszowano, ile powód, dla którego to zrobiono.

— Powód? — Mój głos brzmiał dziwnie głucho. Bez wątpienia dlatego, iż w ciągu niespełna pięciu minut przeżyłam dwa kolejne wstrząsy.

— Czy myśli pani o tym samym, co ja, Leylo?

— W ogóle nie myślę, doktorze...

— Proszę zatem pozwolić, że zaryzykuję pewne przypuszczenie. Otóż ten mały fragment tekstu musiał zostać sprokurowany w celu udowodnienia istnienia „choroby Pembertonów”, która, rozumując dalej tym tokiem, najwidoczniej jest fałszerstwem.

— Fałszerstwem... Nie ma więc żadnego guza! Dlaczego zatem ktoś miałby robić coś takiego? Nie mogę się z tym zgodzić, doktorze.

— Nie? A ma pani lepsze wytłumaczenie?

Przygryzłam wargę, wpatrując się w obie książki. Teraz, kiedy wiedziałam już, na co patrzeć, widać było wyraźnie, że

strona ta została sfałszowana. Zauważyłam też, że zadano sobie wiele trudu, by wyglądała jak część oryginału. Ale dlaczego?

— Nie potrafię tego pojąć, sir. Po prostu mam w głowie mętlik.

— Ja także nie bardzo wiem, o co chodzi. Ktokolwiek to zrobił, był artystą, a przynajmniej osobą bardzo dokładną. Z wyjątkiem błędu w pisowni, robotę wykonano niemal bez zarzutu. Wklejony fragment zachowuje styl Willisa, użyta w nim gramatyka i pisownia zgodna jest ze stosowaną w tamtym okresie, nawet rodzaj czcionki i papier zostały doskonale dobrane. Ktoś wyraźnie postanowił zapewnić historyjce o rodzinnym guzie solidne podstawy i wybrał w tym celu doktora Willisa. Innymi słowy, wygląda na to, że jakaś nie znana nam osoba wymyśliła „chorobę Pembertonów” — z nie znanych nam powodów — a potem zrobiła wszystko, co możliwe, by sprokurować przekonujący dowód.

— Ależ to wszystko jest wprost absurdalne! Jeżeli pańska teoria jest słuszna, oznacza zarazem, iż żadna „choroba Pembertonów” nie istnieje. Na co w takim razie zmarł mój ojciec, mój cioteczny dziadek Michael i sir John? — Urwałam spojrzawszy na doktora. Widać było, że myśli o tym samym. — Co spowodowało śmierć wuja Henry'ego? — dokończyłam.

Przejrzyste, błękitne oczy doktora, wyrażające wielką cierpliwość i inteligencję, odwzajemniły moje pytające spojrzenie. Kartka jest fałszywa. Czy możliwe, że ponure dziedzictwo Pembertonów to także falsyfikat? Skoro tak, to na co zmarł wuj Henry!

— Moja droga — powiedział doktor miękkiem, przekonującym tonem, a jego zachowanie świadczyło o głębokim współczuciu i chęci niesienia pomocy. — Proszę pozwolić, że przeprowadzę zaraz pewien eksperyment w swoim laboratorium. Nie zajmie to wiele czasu.

— Tak, oczywiście, ale...

— Wyjaśnię pani później, jeżeli moje przypuszczenia się potwierdzą. Jeżeli nie, będzie pani zmuszona zostać przy mnie — maniu o istnieniu guza. Zgadza się pani, Leylo?



— Tak.

— Wrócę niedługo, a jeśli będzie pani czegoś potrzebowała, proszę zadzwonić na panią Finnegan.

Siedziałam sztywno na sofie, obserwując, jak doktor kroczy przez pokój. Przyglądałam się jego szerokim barkom, jego młodzieńczym ruchom nietypowym u mężczyzny bliskiego sześćdziesiątki. Połączyła nas przyjaźń, a zatem musiałam mu zaufać. Był przecież człowiekiem, który wzbudzał powszechny szacunek. Dokądkolwiek się teraz udawał, cokolwiek zamierzał uczynić w tym tajemniczym laboratorium i jakkolwiek odpowiedź by miał mi przynieść, przyjmę ją bez żadnych zastrzeżeń.

W ciągu następnej godziny deszcz padał coraz mocniej i ogień na kominku musiał być wielokrotnie podsycany przez panią Finnegan, lecz ja nie zauważyłam upływu czasu. Nie potrafiłam się skoncentrować na niczym, co nie dotyczyło drogiego Colina. Colina o oczach w kolorze morskiej zieleni i włosach przypominających barwą drewno tekowe. Colina z usposobieniem kurka na dachu i zmiennymi nastrojami. Jakże go kochałam! Colin musiał mieć ważny powód, by nie wspominać o swoim pochodzeniu; byłam tego pewna...

Nie wiem, jak długo doktor Young stał w drzwiach, zanim go dostrzegłam, lecz kiedy już go zauważyłam, drgnęłam przestraszona, ponieważ stał nieruchomo i nie odzywał się. Kiedy mu się przyjrzałam, mój niepokój wzrósł, ponieważ doktor wyglądał zupełnie inaczej niż przed opuszczeniem pokoju. Zdjął modny surdut i krawat, rękawy koszuli miał podwinięte, jak marynarz, a na gorsie koszuli widniały wyraźne plamy. Najbardziej jednak przeraził mnie nie szokujący skądinąd stan jego odzieży ani też nagłe zjawienie się w progu, ale wyraz jego twarzy.

Błada jak płótno koszuli, ściągnięta i naznaczona wiekiem twarz ta nosiła na sobie ślady niedawno przeżytego szoku, a także ogromnego strapienia. To właśnie sprawiło, że poderwałam się na równe nogi.

— Leylo... — zaczął niepewnie, z wahaniem. — Niech pani usiądzie, proszę.

— O co chodzi?

— Proszę... — Przeszedł przez pokój i ujął moje dłonie. Jego ręka miała temperaturę śniegu. — Proszę, niech pani usiądzie, Leylo.

Usiedliśmy obok siebie, trzymając się za ręce. Zaczął mówić:

— Jak pani wie, przyjechałem tu, by wieść życie emeryta, ale także zająć się pewnym małym projektem, to znaczy ewentualnym wynalezieniem leku na cukrzycę. Zapewne nie wie pani wiele o badaniach naukowych, ale do naszych celów wystarczy, jeżeli poinformuję panią, że do badań tego typu potrzeba dobrze wyposażonego laboratorium, chemikaliów i pewnych... innych substancji. Nie chciałbym pani urazić, i proszę mi wybaczyć, jeżeli tak się stanie, lecz muszę to powiedzieć.

Aby kontynuować poszukiwania, potrzebuję niewielkich ilości krwi do doświadczeń. W grę wchodzi bardzo złożony proces, Leylo, a potrzeba do niego zarówno krwi osób zdrowych, jak i chorych na cukrzycę. Proszę mi wybaczyć niedelikatność sformułowań, ale przekona się pani, że są konieczne. Otóż badam właściwości krwi różnych osób w nadziei na wykrycie cech, które powodują powstawanie tej choroby. W nadziei, że uda mi się wynaleźć na nią lekarstwo.

Największe trudności mam z pozyskaniem krwi. Zgodnie z nowym prawem, dotyczącym *post mortem*, mogę zamówić krew u Guya i Barta, lecz krew od nich nadchodzi w bardzo złym stanie. Próbuję wówczas zdobyć krew na miejscu, na przykład od robotników z fabryki, których leczę po wypadkach. Kiedy więc zmarł pani wuj, ośmieliłem się poprosić jego żonę o pozwolenie na pobranie próbki krwi, którą mógłbym przechować i użyć następnie do moich badań.

Choć bardzo się starałam, nie udało mi się powstrzymać drżenia.

— Pani Anna łaskawie zgodziła się — kontynuował doktor. — Tak więc w moim laboratorium, w eterowej chłodni, znalazła się fiołka z krwią Henry'ego Pembertona. — Umilkł.

— Proszę, niech pan mówi dalej, doktorze. — Słyszałam własny głos dobiegający jakby z oddali. — Obiecuję, że nie zemdleję.

— Bardzo dobrze. Podczas dzisiejszej rozmowy zadała pani bardzo trafne pytanie, na co zmarł pani wuj. Przyszedł mi wtedy do głowy pewien pomysł. Gdybym zbadał kroplę jego krwi pod mikroskopem lub przeprowadził parę testów za pomocą odpowiednich przyrządów...

Przyłożyłam dłoń do wilgotnego czoła.

— Proszę, doktorze Young, niech pan powie, co pan odkrył.

— Zgodziła się pani dać wiarę moim odkryciom, prawda? Gdybym nic nie znalazł, zaufałyby mi pani i nadal wierzyła w istnienie guza? No właśnie. Proszę więc zaufać mi i teraz, gdy oświadczam, iż wuj pani nie zmarł z powodu guza mózgu.

Wlepiłam oczy w mężczyznę, który trzymał moje dłonie w lodowatym uścisku. Pokój zdawał się płynąć wokół, powietrze jakby stężało.

— Naprawdę...? — udało mi się wykrztusić. — Wuj Henry nie umarł z powodu guza mózgu? — Słowa brzmiały jak turkot olbrzymiej kuli po bruku. — A zatem... a zatem wie pan... na co on umarł?

— Wiem. W dodatku wiem to z całą pewnością. Czy przypomina sobie pani naszą dyskusję w pani pokoju, tę o objawach „choroby Pembertonów”? Powiedziałem wówczas, iż są one bardzo nietypowe i niezgodne z podręcznikowymi opisami. Teraz już wiem dlaczego. Bóle głowy, mdłości, bóle brzucha, delirium i konwulsje są częścią choroby zupełnie innej niż guz mózgu. Gdybym w swojej praktyce częściej się z nią spotykał, zapewne bym ją rozpoznał. Zbyt szybko jednak uznałem te symptomy za wynik guza, i to nieuleczalnego.

— Proszę, niech mi pan powie, do jakiego wniosku pan doszedł.

— Leylo, krew pani wuja zawiera olbrzymie ilości digitalisu, czyli wyciągu z naparstnicy.

Pokój zakołysał się teraz w moich oczach. Gdzie ja słyszałam o naparstnicy...? Mówił to jakiś mężczyzna, przy zastawionym do kolacji stole, mężczyzna o głosie podobnym do głosu doktora.

— Ponieważ rzadko miewałem do czynienia z pacjentami cierpiącymi na dolegliwości sercowe, nieczęsto spotykałem

się również z objawami charakterystycznymi dla przedawkowania digitalisu — kontynuował doktor. — Teraz jednak, gdy 0 tym myślę... Te bóle głowy, mdłości...

— Doktorze Young! — krzyknęłam. — Czy wuj zażywał to lekarstwo?

Przez dłuższą chwilę przyglądał mi się w milczeniu, po czym stwierdził ponuro:

— Zawartość digitalisu we krwi pani wuja znacznie odbiega od dawki leczniczej. Ta substancja została mu zaaplikowana jako tr u c i z n a, nie jako lekarstwo.

Natychmiast oprzytomniałam. Pokój przestał wirować i odzyskałam zdolność jasnego myślenia.

— Trucizna! — powtórzyłam zdumiona.

— Podawana stopniowo, łącznie z laudanum, które miało łagodzić bezpośrednie objawy jej działania. Doprawdy, trudno stwierdzić, co ostatecznie go zabiło — digitalis czy morfina, gdyż obie te substancje występują w jego krwi w olbrzymich ilościach.

— I twierdzi pan... że mu to p o d a n o ?

— Na pewno nie zażył sam. Digitalis jest lekiem typowo nasercowym, a wuj pani nie chorował przecież na serce. Gdyby nawet, to przecież powiedziałby mi o tym. W notatkach doktora Smythe'a także nie ma mowy o chorobie serca.

— A zatem uważa pan, iż wuj Henry został zam o r d o w a n y? Doktor Young zwlekał chwilę z odpowiedzią, lecz w końcu przemówił:

— Tak, Leylo, tak właśnie uważam.

Opadłam na fotel wyczerpana. Tyle się wydarzyło, tyle spraw wymagało przemyślenia — najpierw Colin, potem książka, teraz wuj Henry. Znowu zaczęła mnie boleć głowa.

— Musimy pójść na policję, Leylo.

— Na policję...?

— Pomogę pani. Mamy niepodważalny dowód, że wuj pani został zamordowany.

— Nie — zaprotestowałam. — Co może zrobić policja? Aresztować całą rodzinę? Przepytają wszystkich po kolei, a w końcu będą musieli nas wypuścić. Wtedy obydwójce znajdziemy się w niebezpieczeństwie... — Coś jeszcze torowało

sobie drogę do mojej świadomości. — Doktorze Young, powiedział mi pan tamtego wieczoru, iż według zapisków doktora Smythe'a mój ojciec i sir John cierpieli podobnie i zmarli w ten sam sposób.

— To prawda.

— Więc oni także musieli zostać zamordowani! — Siedziałam sztywno jak manekin. — Miałam rację! Cały czas byłam przekonana, że mój ojciec jest niewinny! Jego także zamordowano!

— Nic o tym nie wiem, Leylo. Mogę świadczyć jedynie w sprawie pani wuja. Śmierć innych członków rodziny to już przeszłość. Nie możemy do niej wrócić w żaden sposób.

Zmrużyłam oczy, kiedy to usłyszałam.

— Doprawdy? — spytałam z przekąsem. — Jest bowiem sposób — trzeba cofnąć się w przeszłość i zobaczyć, co się wówczas naprawdę zdarzyło. Należy tylko poszperać w pamięci pewnej pięcioletniej dziewczynki.

— Uważam, że źle pani podchodzi do tej sprawy, Leylo. Jeżeli podejrzewa pani kogoś z rodziny o morderstwo, powinna udać się pani na policję. Nie wolno pani brać tego na siebie; to niebezpieczne. Leylo, proszę, niech pani tego nie robi i nie każe mi żałować, że podzieliłem się z panią swoim odkryciem.

— Myślę, że wcześniej czy później i tak bym się dowiedziała. Jeżeli nie poprzez bezpośredni dowód, taki jak krew, to na podstawie domysłów związanych ze spreparowaną kartką. Fakt, że żaden rodzinny guz mózgu nie istnieje, oznacza, że wuj zmarł z innego powodu. Jeżeli zaś ta sama osoba, która wydrukowała fałszywy tekst, przyczyniła się do śmierci wuja, to jest ona mordercą. Kto to jest i dlaczego tak postępuje? Nic tu się nie zgadza. Ta podrabiana kartka musiała zostać wydrukowana dawno temu, zapewne jeszcze przed śmiercią mego ojca. Ktokolwiek zabił mego ojca i sir Johna, zabił też wuja Henry'ego. Świadczy o tym sposób, w jaki zginęli. Czy policja nie posługuje się w takich wypadkach specjalnym określeniem?

— Owszem: *Modus operandi* — odpowiedział doktor z rezygnacją.

— Och, muszę pomyśleć! Mam w głowie istny mętlik. Komu, u licha, zależało na śmierci wuja? Dlaczego? Na pewno nie ciotce Annie ani Marcie. One nie zyskują na jego śmierci. Mówi się, że trucizna jest bronią kobiet... Jeżeli to prawda, to która spośród kobiet Pembertonów mogłaby mieć motyw, by zabić wuja Henry'ego? Jego matka, Abigail? Po co? A może któraś ze służących, z zazdrości, skrywanej niechęci? A co z Theo i Colinem? Co oni mogliby zyskać...

— Słowa utknęły mi w gardle. Umilkłam z otwartymi ustami. Doktor Young nagłym ruchem uniósł głowę.

— Colin! — rzekł. — No, wreszcie mamy kogoś, kto miał wszystko do zyskania, a nic do stracenia!

— Doktorze Young!

— Cała fortuna Pembertonów! Fabryki! Posiadłość!

— Nie, nie! — krzyknęłam. — Nie będę tego słuchała. Tylko nie Colin!

Próbował mnie uspokoić, gładząc moje dłonie.

— Zaczynam rozumieć, że w pani sercu jest o wiele więcej uczuć dla Colina niż te, które zwykle łączą kuzynostwo. Jednakże jakie by nie były pani uczucia do tego mężczyzny, musi pani zachować obiektywizm. Nie wolno dopuścić, by zaciemniły pani obraz sprawy. Fakt, że pani go kocha, nie jest przecież jednoznaczny z tym, iż Colin nie jest zdolny do morderstwa. Rozumie mnie pani, Leylo?

Nie mogłam walczyć z logiką doktora, z jego siłą przekonania.

— Nikt nie wiedział przecież, że testament wuja zaginie...  
 — powiedziałam jednak słabym głosem. — Prawdę mówiąc, Theodore jest przekonany, iż jego ojciec spisał swoją ostatnią wolę. Wszyscy zresztą tak sądziliśmy. Theo spodziewał się spadku, więc także mógł popełnić morderstwo. Gdyby pan widział jego reakcję na wieść, że nie dostanie niczego! Colin z kolei twierdzi, iż nie wiedział o klauzuli w testamencie sir Johna... — Otworzyłam szeroko oczy. Nie! Nie będę o tym myślała. Colin jest niewinny. Zeszłego wieczoru upierał się, że nie wiedział o tym, iż wuj Henry nie sporządził ostatniej woli ani o kodycyлу w testamencie sir Johna. — Co więcej...  
 — podjęłam wywód zdecydowanie pewniejszym głosem.

— ...uważam, że wszystkie trzy morderstwa popełni! ten sam człowiek. A w chwili popełnienia pierwszego z nich Colin miał zaledwie czternaście lat!

Doktor Young zamyślił się. Za jego wypukłym czołem krył się tęgi umysł i wielka inteligencja. Ku mojej uldze, kiedy się wreszcie odezwał, usłyszałam:

— Punkt dla Colina. Jeżeli mówił prawdę, twierdząc, że nie wiedział o braku testamentu Henry'ego, logicznie uzasadnione wydaje się raczej podejrzenie Theodore'a. W końcu w momencie śmierci ojca pani miał osiemnaście lat i fizycznie był zdolny do popełnienia zbrodni.

Poczułam rozlewającą się w całym ciele słabość. Jakże absurdalne wydało mi się nagle to, iż siedzę tu sobie wygodnie, w przytulnym saloniku, z fałdami sukni starannie rozpostartymi na sofie, z rękawiczkami na kolanach, z tacą z herbatą i biskwitami na stoliku przede mną i próbuję sobie wyobrazić, kto z moich krewnych jest mordercą!

Doktor prawidłowo odczytał wyraz mojej twarzy, odezwał się bowiem:

— Gdybym przewidział, że to popołudnie przyniesie tyle przerażających rewelacji, zaproponowałbym pani brandy zamiast herbaty.

Uśmiechnęłam się z wdzięcznością. Jak zwykle ten spostrzegawczy człowiek dzięki bystrości swego umysłu potrafił odczytać odczucia innych i znaleźć właściwe słowa.

Ponieważ nękana wspomnieniem snu, czytałabym zapewne w kółko książkę Thomasa Willisa, a zatem wcześniej czy później odkryłabym jej tajemnicę. Jedno odkrycie prowadzi zwykle do drugiego, a więc najprawdopodobniej sama doszłabym w końcu do wniosków identycznych z tymi, które przedstawił doktor. Kiedy jednak tak siedziałam na sofie, przysłuchując się uderzającym o szyby falom deszczu, odczułam żywą wdzięczność, iż doktor Young towarzyszył mi w tych ciężkich chwilach. W samotności bowiem wszystko to byłoby o wiele trudniejsze do zniesienia.

— Co pani ma zamiar teraz zrobić, Leylo?

— Nie wiem, doktorze. Muszę postępować bardzo rozważnie, nie podejmować żadnych kroków bez namysłu.

Jestem przekonana, iż ktoś z mojej rodziny jest **mordercą**, i mam zamiar dowiedzieć się kto.

Nagle znalazłam się znów w punkcie wyjścia.

Ubiegły tydzień zatarł się w pamięci, jakby go nigdy nie było, jakbym znów stała nad zastawionym do kolacji stołem w trzy dni po przyjeździe do Hurst, kierując pod adresem rodziny buntownicze słowa: „Uważam, iż kłątwa Pembertonów to tylko zmyślenie, fałszywa opowieść, którą posłużono się, by zrzucić winę na mego ojca i osłonić prawdziwego mordercę!”

Było tak, jak gdyby nic się potem nie wydarzyło: książka Thomasa Willisa również znikła jak sen. Powróciła natomiast moja determinacja; powrócił gniew i rozgoryczenie — w miejsce smutku, poczucia klęski i lęku przed złym losem, którego nie sposób odwrócić.

Ta metamorfoza musiała widocznie odbić się na mojej twarzy, gdyż doktor Young powiedział:

— Chyba wiem, o czym pani myśli, Leylo.

Czułam coś jeszcze, coś, czego nie odczuwałam wcześniej — ślepa furie, spowodowaną świadomością, że mieszkańcy Hurst obrabowani zostali z wszelkiej radości życia w wyniku oszustwa. Ta jedna kartka z książki Cadwalladera uczyniła większe szkody niż tylko pogrążenie rodziny w smutku. Ona pozbawiła moich bliskich wszelkiej nadziei. To ona odebrała im szansę na przyszłość. Przez nią Colin i Martha zrezygnowali z życia rodzinnego, postanawiając zachować celibat. Ta spreparowana informacja pozbawiła rodzinę woli walki i uczyniła z nich bezwolne marionetki.

I to właśnie najbardziej mnie gniewało. I choćby z tego tylko powodu, pomijając już wszystkie inne, którymi kierowałam się do tej pory, byłam jeszcze bardziej zdecydowana odkryć tajemnicę Pemberton Hurst.

— Już zapadł mrok, Leylo... — usłyszałam miękki głos doktora.

— Muszę przemyśleć tyle spraw, doktorze...

Mój umysł, zupełnie jakby podniesiono wrota zapory, zalany został miliardem myśli: list ciotki Sylvii, rubinowy pierścień Theo, list do Edwarda spalony przez kogoś...



Edward! Ostatnio w ogóle o nim nie myślałam.

Tama runęła i wszystkie wątpliwości dręczące mnie w zeszłym tygodniu wróciły, by znowu mnie nękać. Kto ukradł pierścień i po co? Czy dlatego, iż był on w jakiś sposób związany z tragedią w zagajniku? A jeśli chodzi o zagajnik — czy mogę zrobić jeszcze coś, co przypomni mi ten dzień sprzed dwudziestu lat? Kto spalił mój list do Edwarda? Kto wysłał do mojej matki list, podszywając się pod ciotkę Sylvie?

Ktoś delikatnie dotknął mego ramienia. Gdzieś, spoza jakiejś tłumiącej zasłony, dobiegał mnie łagodny głos, lecz ja nie chciałam słuchać.

Byłam zbyt rozgniewana, by móc się odezwać. Przecież ten morderca nie tylko pozbawił życia trzy osoby, odebrał także ducha wszystkim Pembertonom! Biedna, wyprana z emocji, wyblakła Martha. Mój słodki, choć zgorzkniały Colin. Babka Abigail, pogrzebana za życia. Moja własna matka, w pocie czoła harująca pośród zaduchu slumsów, ponieważ sądziła, iż jej córka musi paść ofiarą nieuchronnej, podstępnej choroby.

Tyle niedoli, tyle cierpienia tylko dlatego, że jakiś maniak wymyślił „chorobę Pembertonów” i rozciągnął jej wymagowane fatum nad rodziną.

Znów usłyszałam miękki głos spoza grubej zasłony. „Leylo... Leylo...”

Gonitwa myśli ustała i mogłam wreszcie spojrzeć na doktora Younga. Trzymając dłoń na moim ramieniu, powtarzał moje imię.

— Przepraszam — szepnęłam.

— Wyglądała pani tak dziwnie, Leylo. Proszę mi powiedzieć, dlaczego bierze pani na siebie to brzemię?

— Ponieważ na mnie spoczywa odpowiedzialność. Przybyłam z zewnątrz, nie spędziłam z nimi wszystkimi lat zamknięcia niemal klasztornego. Tylko ja zachowałam obiektywne spojrzenie i tylko ja mogę szukać wyjścia. Inni już tego nie potrafią.

Oczy doktora badały uważnie moją twarz, która musiała przybrać kolor szkarłatu, ponieważ czułam, jak płonie. Wiedziałam, o czym myśli doktor; dostrzegał przecież mój gniew,

ponurą determinację, zamęt, jaki panował w moich myślach. Pewnie więc pyta! teraz siebie: „I ona sądzi, że może być obiektywna?”

Odwrociłam wzrok, ponieważ nie podobało mi się to, co wyczytałam w oczach doktora. W mojej duszy wrzały uczucia: miłość do Colina, żal po zmarłych, przekora wobec nieznanego wroga i — przede wszystkim — gniew. Doktor Young wiedział o tym. Jako ekspert w odczytywaniu ludzkich odczuć potrafił zajrzeć w głąb mojej duszy.

— Czy mogę odwieźć panią do domu? — spytał w końcu. Choć przypomniał mi wcześniej o upływie czasu, zdziwiło mnie, iż jestem tu aż tak długo. Wstałam szybko i naciągnęłam rękawiczki na drżące dłonie.

— Dziękuję za tę szlachetną propozycję, doktorze. Chętnie skorzystam z powozu. Proszę mi wybaczyć, że oderwałam pana od pracy; nie miałam zamiaru zająć panu aż tyle czasu.

— Cała przyjemność po mojej stronie — rzekł doktor serdecznie. — Moja praca polega przecież na niesieniu pomocy ludziom. Jeżeli udało mi się tego dokonać w ciągu ostatnich kilku godzin, to znaczy, że wypełniłem swoje zadanie.

Teraz ja położyłam dłoń na jego ramieniu.

— Nie wiem, jak bym sobie bez pana poradziła — szepnęłam.

— Muszę powiadomić panią o czymś, Leylo, zanim panią odwiezę. Otóż moim obowiązkiem jako lekarza jest poinformowanie o tych smutnych odkryciach policji. Nie, nie... Proszę poczekać; proszę pozwolić mi skończyć. Muszę im powiedzieć, wie pani o tym. Ze względu na panią i na to, czego musi pani dokonać, będę jednak zwleka! tak długo, jak długo będzie to możliwe z punktu widzenia etyki. Do tej pory może być pani pewna mojej dyskrecji.

Gdy doktor Young pomagał mi włożyć pelerynę, pani Finnegan spoglądała na mnie z dezaprobatą. Jej oczy wyrażały nie skrywane potępienie z powodu haniebnie długiej wizyty, złożonej doktorowi bez damskiej asysty. Zastanawiałam się, czy gospodyni usłyszała naszą rozmowę, ale w gruncie rzeczy nie obchodziło mnie to, podobnie jak wiele innych spraw.

Londyn i Edward na przykład należeli wyłącznie do przeszłości, która wydawała się równie odległa jak stary sen. Tylko Colin był ważny! Colin, Pembertonowie i mój obowiązek wobec nich.

Nigdy nie zapomnę zapachu wilgotnej skóry ani dźwięku kropli bębniących o dach powozu. Końskie kopyta uderzały o zalaną deszczem drogę, rozchlapując gęste błoto. Powóz podskakiwał i trząsł się na nierównej powierzchni alejki, a ja wpatrywałam się w podrygujące uszy konia, jego przylegającą do szyi mokrą grzywę. Ciężkie, ociekające wilgocią gałęzie szurały po dachu pojazdu, kiedy zwiększaliśmy szybkość. Krople deszczu wpadły do wnętrza powozu, zraszając mi twarz i mocząc derkę okrywającą moje kolana.

Nie odzywałam się. Nie było już nic do powiedzenia. Mężczyzna u mego boku, który z taką zręcznością kierował koniem, także milczał. Nie musieliśmy jednak rozmawiać. On i tak wiedział, o czym myślę.

Gdy droga doszła do miejsca, w którym krzyżowała się ze ścieżką prowadzącą do Hurst, poprosiłam doktora o zatrzymanie powozu.

— To już niedaleko, a wolałabym, aby rodzina myślała, że tak długo spacerowałam.

Doktor przez chwilę zastanawiał się, niechętny myśli o pozostawianiu mnie samej w odludnym miejscu, lecz wreszcie skinął głową.

— No dobrze, chociaż wydaje mi się to nierozsądne. Proszę jednak obiecać, że gdy podejmie pani jakąś decyzję, da mi pani znać, zanim zacznie działać.

Uśmiechnęłam się widząc jego zaniepokojenie.

— Obiecuję. A działać muszę, ponieważ nie mogę znieść myśli, że czai się wśród nas morderca. Poza tym nie wiemy, czy on lub ona nie uderzy jeszcze raz. Kilku członków rodziny już nie żyje. Następnym może to spotkać wkrótce.

Doktor Young wydawał się zaskoczony. O tym nie pomyślał.

— Leylo — prosił głosem przytłumionym niepokojem. — Bądź ostrożna. Proszę mi obiecać, że zachowa pani ostrożność.

— Obiecuję, i jeszcze raz bardzo dziękuję za wszystko, co pan dziś dla mnie zrobił.

Doktor wysiadł z powozu, stanął w błocie i pomógł mi zejść. Jego oczy mówiły: „Uważaj na siebie”. Potem wsiadł do powozu i odczekał, aż zniknę na zakręcie. Gdy brnęłam już wyżej położoną ścieżką, starając się uchronić spódnicę przez zabłoceniem, usłyszałam, jak powóz zawraca i odjeżdża.

Teraz byłam już naprawdę sama, sama pośród drzew, w deszczu i pod szarym niebem. Mogłam spokojnie się zastanawiać.

Moje myśli pobiegły najpierw ku Colinowi, jak zwykle od jakiegoś czasu, i jak zapewne będzie już zawsze. Tak, musiałam przyznać, iż Colin jako jedyny skorzystał na śmierci wuja Henry'ego. Niekoniecznie oznaczało to jednak, iż wiedział o tym wcześniej. Jeśli zaś nie wiedział o braku testamentu, to był przekonany, że wuj zapisze majątek swemu synowi, tak jak przekonany był Theo. Skoro tak się sprawy miały, należało szukać nie tyle osoby, która skorzystała na śmierci wuja, ile osoby, która spodziewała się na niej skorzystać.

Ten tok rozumowania wydawał mi się bardzo rozsądny, dopóki widok majaczących nad wierzchołkami drzew wieżyczek Hurst nie przypomniał mi o śmierci mojego ojca i sir Johna. Ich zgon bowiem stawiał moją — jakże wygodną! — teorię pod znakiem zapytania. Jeśli nawet Theo mógł spodziewać się korzyści po śmierci ojca, to co zyskiwał, zabijając swego wuja Roberta oraz dziadka? A pamiętać należy, że kiedy zginął sir John, Theo przebywał w Manchesterze!

Bez sensu! Choć każdy z nich mógł mieć motyw do zamordowania jednej z ofiar, to nie potrafiłam się domyślić, dlaczego miałyby popełnić wszystkie te zbrodnie. Choć popełniono je w zbliżony sposób, to trudno było dopatrzeć się wspólnego motywu.

Ten właśnie problem gnębił mnie, kiedy zupełnie przemoczona i zaczerwieniona z wysiłku wspinałam się po stopniach domu.

Martha w przyпіływie nieoczekiwanej energii otworzyła drzwi, zanim zdążyłam sięgnąć do klamki. Jej błyszczące oczy o szklistym spojrzeniu przyglądały mi się z dziwnym wyrazem.

— Leylo! — zawołała. — Gdzie ty byłeś! Nikt nie wiedział, dokąd poszłaś! Wszyscy są w domu już od wielu godzin i martwią się o ciebie.

— Spacerowałam — powiedziałam po prostu, pewna, że książka Thomasa Willisa spoczywa bezpiecznie ukryta pod moją peleryną.

— Babka jest wściekła! Nigdy nie widziałam jej w takim stanie! Czeką na ciebie...

— Co ja niby takiego znowu zrobiłam?

— Chodź, Leylo. Nie, nie, nie idź do swego pokoju. Ona jest w salonie. Wszyscy tam są.

— Jestem zupełnie przemoczona.

— To normalne, jeśli się spaceruje po deszczu — powiedziała ostrym tonem, którego nigdy bym się po niej nie spodziewała. — Chodź, bo popadniesz w jeszcze gorszą niełaskę.

Nie dając się zastraszyć, pozwoliłam, by Martha pośpiesznie odeszła, szeleszcząc krynoliną swej żałobnej sukni, i zdjęłam przemoczoną pelerynę, czepek i rękawiczki. Przycisnęłam chłodne palce do policzków i poczułam ich gorąco. Musiały wyglądać jak czerwone jabłuszka.

Tak jak nie mogło mnie mylić przecucie, że mój ojciec nie był mordercą, tak też instynktownie czułam, że również Colin jest niewinny. Umocniwszy się w tym przekonaniu, z książką Thomasa Willisa ukrytą za plecami, śmiało wkroczyłam do salonu.

Ponieważ w pokoju obecna była babka, rodzina rozlokowała się wokół niej, jak to było w zwyczaju. Babka siedziała sztywna i nieporuszona, przed nią zajęły miejsca Martha i Anna, a między nimi Theo. Colina nie było.

W przeciwieństwie do mojej ciotki i kuzynki postanowiłam nie siadać i na przekór obyczajom stałam, czekając na rozwój wydarzeń. Ponury nastrój wywołany surowością babki, jej brakiem życzliwości, ostentacyjną niechęcią wobec wesołości i pogody ducha unosił się nad pomieszczeniem, nad całym domem. Praktyczna kobieta, stawiająca życiu czoło jak Spartanka, rządziła tym domem i rodziną w sposób nie odbiegający wiele od tyranii.

— Gdzie byłaś? — zapytała zrzędliwym tonem. Jej małe, czarne oczka zdawały się przewiercać mnie na wylot.

— Na dworze, babko. Spacerowałam.

— W dniu pogrzebu? Tak okazujesz szacunek zmarłym, dziecko?

— Każdy opłakuje zmarłych na swój własny sposób, babko.

— Nie bądź bezczelna, panienko! Nie jestem w nastroju do znoszenia twoich wybryków. Prawdę mówiąc, jestem rozgniewana i wytracona z równowagi czymś, co się znów dzisiaj zdarzyło. — Zaciśnęła wargi tak mocno, że przekształciły się w ledwie widoczne kreski. — Mamy w domu złodzieja! — Podniosła głos. — Nie będę tolerowała przestępców!

Poczułam rozbawienie na myśl, iż jest wśród nas nie tylko złodziej, ale prawdopodobnie również morderca. Pano wałam jednak nad sobą i udało mi się nie wykrzyzczyć tej informacji. Nigdy nie doświadczyłam pełni gniewu tej imponującej kobiety i nie miałam zamiaru prowokować jej właśnie teraz.

— Czy znowu jestem o coś oskarżona? — spytałam chłodno.

— Nie mam zwyczaju oskarżać, młoda damo. Tak postępują słabeusze. Chcę jednak, aby to się skończyło, niezależnie od tego, kto jest za to odpowiedzialny. Zaznaczam, że nie mam zamiaru dopuścić, by kradzieże uchodziły winowajcy na sucho. Przesłstwo popełniono dziś rano, w czasie gdy odbywał się pogrzeb, a odkryte zostało, gdy rodzina wróciła do domu. Znowu skradziono biżuterię, tym razem cenny naszyjnik i broszkę. Zabrano je z pokoju mojej synowej, która oddawała ostatnią posługę mężowi.

Spojrzałam na ciotkę Annę, siedzącą w *prie-dieu* niczym ofiara jakiejś straszliwej zbrodni. Twarz miała bladą i ściagniętą, oczy wlepione nieprzytomnie gdzieś przed siebie. Wydawała się bardzo zdenerwowana.

— Skąd wiadomo, że biżuterię zabrano rano?

Twarz babki przybrała groźny wyraz. Kwestionowałam jej wiarygodność!

— Anna powiedziała, że precjoza były w pokoju, gdy wychodziła, a kiedy wróciła, nie zastała ich już. Chciałabym się dowiedzieć od ciebie, młoda damo, gdzie to spacerowałaś po południu?

Zwarłyśmy się wzrokiem jak dwie pary jelenich rogów, bo rzeczywiście było to starcie dwóch osób o silnej woli. Nie miałam przecież zamiaru pozwolić, aby ta nieprzejednana kobieta osaczyła mnie.

Pomyślałam także o tym, czego dowiedziałam się dziś od doktora Younga i utwierdziłam się w przekonaniu, że nie należy ujawniać tego odkrycia. Przynajmniej na razie, dopóki nie upewnię się, że nie grozi mi bezpośrednie niebezpieczeństwo, czego w tej chwili bynajmniej pewna nie byłam.

W następnej minucie od konieczności udzielenia odpowiedzi na temat spaceru uratowało mnie nadejście kolejnej osoby.

— Jakieś zebranie rodzinne? — dobiegł mnie znajomy głos. Odwróciłam się, gdy Colin wszedł do pokoju, czując, jak serce podskakuje mi w piersi. Było to zupełnie nowe przeżycie — przyjemne, a zarazem wprawiające w zakłopotanie.

Colin przebiegł wzrokiem po zebranych; jego twarz rozjaśniła się na widok Marthy, Theo i ciotki Anny. Było to krótkie, nieco błędne spojrzenie, które spoczęło również na mnie, a wówczas leciutki uśmiezek, właściwie tylko cień uśmiechu, pojawił się na wargach kuzyna. Nasze spojrzenia na moment spotkały się, a ja pomyślałam wówczas — modląc się zresztą o to z całego serca — iż Colin odczuwa to samo co ja.

Wyraz twarzy babki pozostał groźny, lecz w jej nastroju zaszła pewna zmiana, co natychmiast dało się odczuć w atmosferze panującej w pokoju. Nie mogłam tego zrozumieć. Colin nie był Pembertonem, a mimo to cały spadek przypadł właśnie jemu; na jego widok babka łagodnieje...

Kilkoma długimi krokami przemierzył pokój i znalazł się w moim pobliżu. Zachowywał się w sposób beztroski i nonszalancki, jak gdyby cały świat go nie obchodził.

— Ciotka Anna zgubiła swój ulubiony naszyjnik, tak? — spytał lekkim tonem.

Twarz babki przybrała nieugięty wyraz.

— Nie zgubiła, Colinie, skradziono go. Jakiś podły człowiek wszedł do pokoju Anny podczas jej nieobecności. W domu były wówczas tylko dwie osoby: Martha i Leyla.

— I ty, droga babko... — przypomniał Colin. Jej oczy zapłonęły obrazą.

— I ja — potwierdziła.

— Jak również służba...

— Przepytałam ich — oświadczyła babka.

— Mogłaś także przeszukać ich kwatery — podsunął.

— Nie mam zamiaru sprzeczać się z tobą, Colinie Pemberton. — Choć nie podniosła głosu, jej pierś zaczęła unosić się w ciężkim oddechu. — Sposób prowadzenia tego dochodzenia jest wyłącznie moją sprawą. Prawdę mówiąc, przeszukałam już pokój Leyli.

— Jak śmiałaś! — krzyknęłam. Mimo woli postąpiłam naprzód. Czułam tak szalony gniew, że byłabym z pewnością obsypała babkę gradem inwektyw, gdyby Colin nie ujął mojej dłoni. Chociaż nie patrzył na mnie, uśmiechając się wciąż bezosobowo do babki, poczułam silną więź łączącą mnie z tym mężczyzną.

— Ostrzegałam cię kilka dni temu, panienko, byś opuściła ten dom i nigdy tu nie wracała — kontynuowała babka. — Ty jednak jesteś uparta niczym muł i teraz płacisz za upór. Nie może być mowy o prywatności, jeśli zagrożony zostaje majątek rodziny. Wartość biżuterii nie ma zresztą większego znaczenia. Chodzi o z a s a d ę .

— Czy to naprawdę pora na takie sceny? Tuż po śmierci członka najbliższej rodziny? — spytał Colin.

Theo, który stał nieopodal, przestraszył mnie nagłym wybuchem.

— Do diabła z panem, sir! Co pana obchodzi śmierć mego ojca?!

Colin zachował spokój.

— To istotnie nie ma nic do rzeczy, kuzynie. Chodzi mi głównie o to, że zebraliście się tutaj, by odprawić sąd nad Leylą. — Uścisnął moją dłoń. — Sędzia, ława przysięgłych i kat — oto kim jesteście. Nie uważam tego za godne Anglików...



- Pańskie zdanie, sir, cholernie mało mnie obchodzi!
- Pozwól sobie przypomnieć, że są tu damy...
- To fakt, którym pan nie przejmował się nigdy dotąd
- odparował Theo.
- Doprawdy, Theodore...
- Theo wyprostował dumnie ramiona.
- Do diabła, nie pozwolę się dalej obrażać! Żądam satysfakcji.

Zdolność Colina do zachowania spokoju zadziwiła mnie. Po tak gwałtownym mężczyźnie oczekiwałam raczej utraty kontroli nad sobą, lecz nic takiego się nie stało. Wydawało się, że Colin wręcz manipuluje Theo, przez cały czas kontrolując sytuację.

- Oferuję ci połowę spadku — dobiegł mnie jego spokojny głos.
- Do licha ze spadkiem!
- I pełną kontrolę nad fabrykami.
- Obrażasz mnie, kuzynie! — Oczy Theo, jego zaciśnięte dłonie, wyrażały furję. — Nie chcę od ciebie jałmużny! To, co dostanę w spadku, dostanę na mocy prawa. Obiecuję to panu.

Spojrzałam na Colina, ale dostrzegłam tylko jego spokojny profil. Czy jego oferta była poważna? Czy naprawdę zamierza! odstąpić Theo połowę spadku, i to bez żadnych warunków?

- Z chęcią podpiszę wszelkie papiery, jakich zażadasz — kontynuował. — Możesz zostać jedynym właścicielem fabryk, jeśli tylko zechcesz.
- Nie myśl, że ci zaufam, Colinie, czy też jakimś papierem, które podsunie mi twój prawnik. Mam zamiar udać się do Londynu i walczyć sam.
- Doprawdy, Theo, to nie jest konieczne...
- Uspokójcie się obaj!

Na dźwięk głosu babki wszyscy unieśliśmy głowy. Jej dłonie, te szczupłe, podobne do bambusa palce, usiane brązowymi plamami, drżały, kiedy objęła nimi poręcz krzesła. — Nie dopuszczę do żadnych waśni rodzinnych. Nie pozwolę na brak poszanowania wobec woli mego męża. Sir John był w pełni

władz umysłowych, kiedy sporządzał testament. Musiał mieć powód, by pozostawić wszystko Colinowi. Zabraniam tych kłótni o majątek Pembertonów! Przynoszą ujmę naszemu nazwisku, okrywając nas niesławą. Zabraniam wam, panowie, wszelkich dalszych dyskusji na ten temat. A teraz zostawcie mnie samą. Zmęczyliście mnie. To przez was czuję się śmiertelnie znużona.

Theodore nadal popatrywał gniewnie na Colina. Ten jednak odwrócił się do mnie i spytał cicho:

— Czy mogę odprowadzić cię na górę?

— Tak — wyszeptałam.

Wysunęliśmy się z pokoju, jakbyśmy wymykali się z jakiegoś ponurego przyjęcia. Wyraźnie czułam spojrzenie dwóch par oczu wbite w nasze plecy.

Gdy zaczęliśmy wspinać się na schody, wyjęłam dłoń z jego ręki, by unieść spódnice — w drugiej nadal ściszałam tom Thomasa Willisa. Wchodziliśmy na górę w milczeniu — ten tajemniczy mężczyzna i ja. Wydawało mi się, że dziś wszystko wygląda inaczej niż zwykle. Światło gazowych lamp ledwie oświetlało drogę i panujący mrok sprawiał, że jeszcze mocniej odczuwałam bliskość Colina, ciepło i bijący od niego spokój. Inaczej niż Edward — którego znałam kiedyś — ten mój niedoszły „kuzyn” stawiał kroki swobodnie, beztrąsco kołysząc ramionami.

Na górze ujął mnie za ramiona i wbił we mnie ten swój badawczy wzrok.

— To podłość, Leylo, oskarżyć cię o kradzież! — rzekł.

Skinęłam głową; jego ton mnie poruszył. W gruncie rzeczy jednak nie bardzo przejęłam się oskarżeniami babki, ponieważ ich znaczenie zbladło na tle tego, czego dowiedziałam się dziś od doktora Younga. Czy wszystko to zdarzyło się jednego popołudnia?

Podniosłam oczy na Colina, zachwycona nowym uczuciem podniecenia, jakiego nie doświadczyłam nigdy wcześniej w obecności mężczyzny. Włosy miał zwichrzone, a krawat przekrzywiony. A jednak kochałam go i za to, że nie był doskonały, za niedostatki, które sprawiały, że wydawał się taki zwykły. Zastanawiałam się też, co on czuje do mnie.

— Wszyscy będą dziś jedli kolację w swoich pokojach, Leylo. Polecę Gertrude, żeby przysłała ci coś dobrego.

— Dziękuję.

Przez chwilę jeszcze patrzył na mnie, jakby chciał coś powiedzieć, lecz najwidoczniej zmieniawszy zamiar, odwrócił się nagle i spieszenie odmaszerował korytarzem.

Szybko przebrałam się w koszulę i szlafrok, wyszczotkowałam starannie włosy, aż opadały na plecy długimi, prostymi pasmami, po czym zwinęłam się przed kominkiem. Gertrude zjawiła się z tacą. W jej zachowaniu było coś dziwnego, jakby miała się przede mną na baczności. Spytałam ją o samopoczucie, lecz nie odpowiedziała; jej milczenie wydało mi się dziwnie złowieszcze.

Po posiłku pokojówka przyniosła mi filiżankę gorącego mleka, a ja wypłam je z wdzięcznością, spodziewając się, iż pomoże mi się rozluźnić. A potem zajęłam się rozważaniem skomplikowanych spraw, które wymagały wyjaśnienia. Co to na przykład za historia z kradzieżą biżuterii i w jaki sposób może mnie dotyczyć? Kto chciał ściągnąć tutaj moją matkę i mnie, podszywając się pod ciotkę Sylvie? Kto zniszczył mój list do Edwarda? Kim była kobieta, płacząca w pokoju babki tego dnia, gdy umarł wuj Henry?

Same retoryczne pytania. Zagadki niezależne od siebie, czy też części jakiejś przedziwnej łamigłówki? Byłam przekonana, że wszystkie te sprawy jakoś się zazębiają...

Oparłam się wygodnie i zapatrzyłam w ogień, który ogrzewał moją twarz, trzaskając uspokajająco.

Wszystkie małe tajemnice składały się na jedną najważniejszą, którą od początku postanowiłam rozwikłać. Kto zabił mego brata i ojca?

Odpowiedź na to pytanie kryła się w zakamarkach mojej pamięci. Muszę próbować wciąż od nowa, z nadzieją, że pewnego dnia wszystkie czynniki okażą się sprzyjające — pogoda, światło słoneczne, pora doby, nawet roku — a wtedy kurtyna się uniesie, ukazując prawdziwy przebieg wydarzeń.

Rozboleła mnie głowa. Zdenerwowana podatnością na tę dolegliwość, której nigdy przedtem nie doświadczałam, zaczęłam niespokojnie przemierzać pokój.

W ogrodach Cremorne cierpiałam z powodu głośnych wybuchów pirotechnicznych. Na wąskiej uliczce, przy której mieszkalam, dokuczał mi codzienny hałas — turkot powozów, stukot końskich podków i nawoływania ulicznych sprzedawców. Gdy matka zmarła po długiej chorobie, przyjąłam ten fakt spokojnie, opłakiwałam ją, ale bez zwykłych omdleń i napadów złego samopoczucia, tak częstych u młodych kobiet.

Dlaczego więc teraz...? Dlaczego dotąd tak silna i zdrowa, zaczęłam nagle cierpieć na bóle głowy? Doktor Young powiedział, że być może to kwestia napięcia nerwowego. Lecz ja nie czułam napięcia. Zaczął dokuczać mi także żołądek, a ataki stawały się coraz poważniejsze.

Kiedy stanęłam przed lustrem toaletki, zamierzając zaaplikować sobie solidną dawkę laudanum, uchwyciłam nagle odbicie moich rąk w lustrze. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu widok ten sprawił, że znieruchomiałam. Z głębin mego umysłu coś usiłowało przedostać się do świadomości. Spojrzałam znów w lustro, a potem na buteleczkę, którą dał mi doktor Young. I nagle echem powróciły jego słowa: „Dawka digitalisu we krwi pani wuja daleka była od leczniczej. Została podana jako trucizna, aplikowana w małych dawkach, podczas gdy laudanum miało łagodzić objawy jej zażycia”.

Zmarłam, przerażona śmiertelnie.

Głos doktora rozbrzmiewał dalej w mojej głowie: „Bóle głowy, mdłości, bóle brzucha to część objawów choroby zupełnie innej niż guz mózgu”.

— Dobry Boże! — krzyknęłam, upuszczając buteleczkę i szklanke. — Dobry Boże! Ktoś chce mnie otruć!

Podbiegłam z powrotem do fotela, zwinęłam się w kłębek i ukryłam twarz w dłoniach. To niemożliwe! — powtarzałam sobie wciąż od nowa. To niemożliwe. O Boże... Zastanów się, Leylo. Spróbuj się zastanowić.

Dowody jednak wydawały mi się więcej niż dostateczne...

Bóle głowy zaczęły mnie trapić krótko po tym, gdy znalazłam w kominku nie dopalony list do Edwarda i dokuczały mi codziennie przez tydzień. Za każdym razem, jak doskonale to

sobie teraz przypomi $\acute$ na $\acute$ łam, ból zaczynał się niemal natychmiast po wypiciu czegoś: herbaty przy śniadaniu, nalanej zanim nadeszłam; wina do obiadu, nalanego przez kogoś innego; gorącego mleka wieczorem, przyniesionego do mego pokoju.

Nie ulegało już wątpliwości, iż ktoś serwuje mi taką samą kurację, jaką zastosowano wobec wuja Henry'ego i że gdybym zabrała nieco mojej porannej herbaty do doktora Younga, na pewno znalazłby w niej wyciąg z naparstnicy.

Do wcześniejszego gniewu i determinacji dołączył teraz strach, mdlący, ogłupiający strach, który sprawił, że cała drżąca, musiałam mocno objąć się ramionami.

Kto to jest?! — krzyczał mój przerażony umysł. Kto spośród krewnych pragnie mojej śmierci, i dla czego?

## 15

Tej nocy spałam bardzo źle, dręczona przez groteskowe koszmary i straszliwy lęk. A poza tym, zważywszy, iż zawartość buteleczki z laudanum wylądowała na podłodze, musiałam przez wiele godzin znosić pełne skutki zażycia naparstnicy — pulsujące bóle głowy, zaburzenia żołądkowe i w końcu ból brzucha. Gdy rano pokojówka przyniosła śniadanie, zaczęłam, aż odejdzie i przelałam część herbaty do flakonika po laudanum, który przedtem starannie wymyłam i wysuszyłam, aby mieć pewność, że jest zupełnie czysty. Resztę herbaty wylałam do kominka. Gnębiona podejrzeniami i rozgniewana, nie tknęłam także tostu ni szynki.

Z wyjściem z domu zaczęłam do południa, wiedziałam bowiem, że domownicy przywykli już do moich popołudniowych spacerów i nie będą dopatrywali się w kolejnym niczego dziwnego. Ciotka Anna przebywała w swoim pokoju, cierpiąc na lekki atak waporów, podczas gdy Theo i Martha siedzieli w salonie: Theo zajęty lekturą, a Martha wyszywaniem. Colina nigdzie nie było widać.

Zastanawiając się, jak też spędza cały ten wolny czas, ruszyłam znajomą alejką, ściskając mocno w dłoni fiolkę z herbatą. Wiedziałam, że Colin dużo jeździ konno, więc doszłam do wniosku, że i teraz też pewnie tym się zajmuje-

Niebawem stanęłam przed domem doktora Younga.

Jego błękitne oczy straciły nieco ze swego blasku, gdy dopinając po drodze dwurzędowy surdut powrócił do saloniku, gdzie oczekiwałam na wynik badania herbaty. Powaga malująca się na jego twarzy, wydała mi się znajoma — tak samo wyglądał, gdy wrócił wczoraj z laboratorium. Dlatego też nie zdziwiły mnie jego słowa:

— Ma pani rację, Leylo. W herbacie jest tyle digitalisu, że gdyby pani ją wypić, ciężko by się pani rozchorowała.

— No tak... — westchnęłam, ściskając w dłoniach rękawiczki. — A zatem ktoś z mojej rodziny, niewykluczone zresztą, że oni wszyscy, oczekuje, iż będę dzisiaj złożona niemocą. Może ktoś spodziewa się znaleźć mnie jęczącą w łóżku, przeżaloną, iż guz już zaczął swoje niszczycielskie dzieło.

— Postąpiła pani bardzo mądrze, przynosząc do badania tę herbatę. Teraz będziemy mogli pójść na policję.

— Nie!

— Leylo, mamy niepodważalny dowód...

— Błagam, tylko nie policja! Moje życie znajdzie się w niebezpieczeństwie.

— Jeszcze większym niż teraz?

— O tak! Na razie mogę udawać, że jestem chora, aby zyskać trochę czasu i spróbować jeszcze raz przywołać wspomnienia.

Kiedy zjawiłam się tu z herbatą, opowiedziałam doktorowi o moim postanowieniu, aby przypomnieć sobie, co widziałam tamtego dnia przed dwudziestu laty.

— Kiedy odzyskam wspomnienia, udamy się na policję — obiecałam.

— Wówczas może być za późno...

— To ryzyko, które muszę podjąć.

— Jest pani bardzo dzielna, Leylo. Uśmiechnęłam się niepewnie.

— Ktoś inny mógłby nazwać to brawurą. Dziękuję panu za wsparcie, doktorze, a także za herbatę i ciasteczka. Podejrzewam, że powinnam teraz wystrzegać się posiłków w domu...

— Więc proszę zostać i zjeść ze mną kolację. Czuję się tu czasami samotny pomimo mojej pracy i książek.

— Wie pan, że muszę iść, lecz wkrótce wrócę. Mam nadzieję, że wówczas poproszę pana, by towarzyszył mi na posterunek w East Wimsley.

Ponieważ było jeszcze wcześniej, ja zaś pragnęłam pozostać sama ze swymi myślami, doktor, choć niechętnie, pozwolił mi odejść. Złożywszy solenną obietnicę, iż zjawię się, gdyby zagroziło mi jakieś bezpośrednie niebezpieczeństwo, ruszyłam w powrotną drogę, w najwyższym stopniu przerażona i pełna złych przeczuc.

Ktoś w tym domu pragnął mojej śmierci; ktoś próbował mnie zamordować. Ale dlaczego? Czy zostałam zwabiona tym sfałszowanym listem, by stać się ofiarą morderstwa? Kto mógłby pragnąć mojej śmierci?

Wuj Henry został automatycznie wykreślony z listy podejrzanych. Czy zabójczynią mogła być jego żona? Choć próbowała na swój grzeczny sposób, nie udało się jej wywołać we mnie odczucia, że jestem w Hurst mile widziana. Z początku wyraźnie wprawiałam ją w zmieszanie, a potem starała się trzymać ode mnie z daleka, tak jakbym już nie istniała...

Babka Abigail z pewnością nie cieszyła się z mojego przybycia, czemu nieraz dawała wyraz. Prawdę mówiąc, ona jedna próbowała zmusić mnie do jak najszybszego wyjazdu. W jej kościstej piersi nie było miejsca na uczucia do mnie, szczerze zresztą wątpiałam, czy żywi je dla kogokolwiek.

Theodore... Zawsze uprzejmy, zawsze starający się postępować, jak przystało na dżentelmena i oddanego kuzyna. Jeżeli nawet żywił wobec mnie mordercze zamiary, to doskonale ukrywał je pod maską nieskazitelnych manier.

Martha? Ta naiwna, niewinna kobieta, nadal dziecinna pod wieloma względami, która polubiła mnie od pierwszego wejrzenia, zdawała się absolutnie niezdolna do popełnienia morderstwa.

Ponieważ Colina postawiłam poza podejrzeniem, a nie sądziłam, by w grę wchodziła Gertrudę czy któraś ze służących, pozostawała mi tylko ta czwórka: Anna, Theodore, babka i Martha. Jeżeli ktoś z nich chciał mojej śmierci i w tym celu zwabił mnie z Londynu — rozmyślałam, przechadzając



się tego szarego dnia pomiędzy drzewami — to chyba nie powinnam rozglądać się za subiektywnym motywem.

Kiedy wróciłam, dom sprawia! wrażenie wymarłego. Zdawał się wznosić nade mną z oczekiwaniem... Nie ulegając panice, po schodach stąpałam powoli, na wypadek, gdybym natknęła się na kogoś z rodziny. Warto byłoby zobaczyć miny domowników, kiedy przekonaliby się, że po zaaplikowaniu mi takiej dawki digitalisu miałam siłę udać się na spacer. Niewinni nie zdradziliby się z niczym, lecz winni, gdyby dopisało mi szczęście, mogliby okazać zaskoczenie.

Niestety, nie spotkałam nikogo i bez żadnych incydentów dotarłam do swego pokoju. Ręce mi drżały, gdy rozwiązywałam wstążki czepka; strach zaczynał przejmować władzę nad całym moim ciałem. Jak długo zdołam znieść to napięcie?

Pukanie do drzwi wpędziło mnie w panikę. Kiedy je uchyliłam i ujrzałam uśmiechniętego Colina, poczułam ulgę.

— Wychodziłaś, prawda?

— Spaceruje na wsi wydają się bardziej odświeżające niż te nad Serpentine.

— To taki ponury dom, kuzynko. Zastanawiałem się, czy nie napiłabyś się ze mną sherry?

— Z rozkoszą.

Zeszliśmy po schodach, nie odzywając się do siebie, wyteżając oczy w tym szczególnym świetle, kiedy to na zewnątrz jest zbyt ciemno, by oświetlić wnętrze, a jednocześnie dość widno, by usprawiedliwić przykręcenie lamp. Zaprowadził mnie do salonu zatłoczonego poduszkami, koronkami i innymi dowodami talentu Marthy i usadowił przed kominem.

— Mieliśmy mroźną zimę, a wiosna też nie jest lepsza.

— Nalał wina, zachowując się w sposób tak swobodny i pewny siebie, jakby nie odczuwał atmosfery napięcia panującej w domu. Obserwowałam jego dłonie, opalone i szorstkie, tak inne od wypielęgnowanych rąk Edwarda. — To szczególne wino — zapowiedział z szelmowskim uśmiechem. — Ze specjalnej półki babki, przeznaczone do jej wyłącznego użytku. Przekląłaby nas, gdyby wiedziała, że dobraliśmy się do tego specjału. Proszę.

Wzięłam kieliszek i zapatrzyłam się w połyskujący płyn. Colin obserwował mnie.

— Nie masz zamiaru wypić?

— Mam, oczywiście. — Wino było słodkie i jedwabiste, z pewnością lepsze niż jakiekolwiek, które piłam w życiu.

Kiedy tak staliśmy przed kominkiem, sącząc wino i ciesząc się swoim towarzystwem, Colin uporczywie przyglądał mi się w sposób, który, gdyby chodziło o kogoś innego, z pewnością by mnie zaniepokoił. Ponieważ jednak był to mój drogi Colin, odwzajemniłam jego spojrzenie, śmiało i bez cienia zmieszania.

— Leylo — powiedział nagle, odstawiając kieliszek. — Próbowałem podjąć decyzję i wreszcie mi się udało. Muszę z tobą pomówić.

— Proszę bardzo.

Nagła powaga w jego głosie starła z mej twarzy uśmiech.

— Nie tutaj! To, co mam ci do powiedzenia, to sprawa poufna, a nie chciałbym, żeby nas ktoś zaskoczył. Czy zgodzisz się, bym zaprowadził cię w odpowiedniejsze miejsce?

Spojrzałam na swój kieliszek. Był pusty.

— Oczywiście, Colinie.

Poszłam za nim na górę, gdzie ze stolika z *papier mache* wzięliśmy małą świecę i zapaliliśmy ją od lampy w korytarzu. Gdy zaczęliśmy wspinać się jeszcze wyżej, poczułam się nieco zdziwiona, lecz milczałam. Liczyła się tylko obecność Colina. Przynosiła pociechę, przy nim czułam się bezpiecznie.

Weszliśmy do korytarza, w którym jedyne źródło światła stanowiła nasza świeczka. Pozwoliłam kuzynowi ująć moją dłoń. Kiedy uderzył mnie w nozdrza zaduch nie wietrzonych pomieszczeń, uprzytomniłam sobie, iż to właśnie wtedy biegłam tej nocy, kiedy zmarł wuj Henry.

Oddychałam szybko, czując się trochę nieswojo w ciemności, pośród tych nieprzyjemnych zapachów, lecz nie kwestionowałam naszych poczynań, ponieważ byłam pewna, że Colin musiał mieć powód do przyprowadzenia mnie tutaj. Nie byłam też wcale zdziwiona, gdy w końcu stanęliśmy przed łukowatym wejściem ukrytym za zasłoną. Tam właśnie znajdowały się schody prowadzące na wieżę. Wspomnienia tamtej

strasznej nocy sprawiły, że zadrżałam. Colin obserwował mnie uważnie, w milczeniu, a pełgający płomyk świecy nadawał jego twarzy tajemniczy wyraz.

— Musiałem cię tu przyprowadzić — szepnął. — Wybacz, Leylo.

W milczeniu patrzyłam w jego jasnozielone oczy.

— Nie możemy dopuścić, by ktokolwiek nas usłyszał, a babka wszędzie ma szpiegów. Czy możemy tutaj zostać?

Spojrzałam w górę na ciemne, wąskie stopnie, niknące za zakrętem. Colin wciąż ścisnął moją dłoń tak mocno, że niemal straciłam w niej czucie. Zwilżyłam językiem zeschnięte wargi i poczułam smak tego wyjątkowego wina.

— Wszystko w porządku, rozumiem. Musisz mieć mi do powiedzenia coś naprawdę ważnego — odparłam.

— O tak! Cieszę się, że mi ufasz, Leylo. Obawiałem się, że będzie inaczej. Wejźmy na górę?

Wyprzedził mnie, oświetlając drogę, stąpając powoli i ostrożnie, nie wypuszczając przy tym mojej dłoni z uścisku, z którego trudno byłoby mi się wyrwać. Ciekawość w końcu zwyciężyła lęk. O cóż tak ważnego chodziło, iż Colin nie mógł mi tego powiedzieć gdziekolwiek indziej?

Weszliśmy na górę i wstrząsnął mną kolejny dreszcz, bo szalony wzrok wuja i jego rozpaczliwe błagania znowu stanęły mi przed oczami. Colin umieścił świecę na kamiennej podłodze — na tyle daleko, by moje spódnice były bezpieczne, a zarazem wystarczająco blisko, aby zapewnić nam nieco światła. Wnętrze wieży było małym okrągłym pokoikiem, gdzie panowała wilgoć i chłód, z jednym oknem wychodzącym na nocny las. Te śmieszne, małe pokoiki, których w domu było siedem, zbudowano wyłącznie dla ozdoby, nie używano więc ich nigdy, a zatem i nie umeblowano.

— To tu zabit się sir John — powiedział Colin, ujmując moją drugą dłoń.

Nie mogłam dojrzeć jego twarzy, a z tonu nie umiałam odczytać intencji tych słów.

— Czy przyprowadziłeś mnie tutaj, aby poinformować mnie o tym?

Cisza.

— Nie, Leylo, nie dlatego cię tu przyprowadziłem. — Głos Colina brzmiał teraz dziwnie pusto. — Chciałbym, abyś wiedziała, że długo zastanawiałem się nad tym, co mam zamiar ci powiedzieć, rozumiesz więc, iż nie robię tego ot, tak sobie. Prawdę mówiąc, jest coś, co prześladowuje mnie od czasu, gdy powiedziałaś nam, że przeczytałaś książkę Thomasa Willisa. Pamiętasz, jak to było?

— Pamiętam.

— Byłem poruszony twoim zachowaniem tego ranka, do tej pory jestem. Wiele razy zamierzałem przystąpić do tej rozmowy, lecz w ostatniej chwili zmieniałem zamiar — z różnych powodów. Teraz jednak...

Głos ucichł. Colin postąpił krok bliżej mnie. Wpatrywałam się w jego oczy, zafascynowana, podekscytowana jego bliskością, z góry niespokojna o to, co usłyszę.

Jakby czytając w moich myślach, znów się odezwał:

— Nie mogę już dłużej zwlekać. Muszę powiedzieć, po co cię tu przyprowadziłem. — Rozejrzał się wokół. — Nikt nie wie, że tu jesteśmy, Leylo. Ta wieża znajduje się daleko do zamieszkałych pokoi. Gdybyś nawet chciała krzyczeć, nikt cię nie usłyszy.

— Dlaczego miałabym krzyczeć?

— Podkreślam w ten sposób, jak ważne jest, abyśmy porozmawiali poufnie. Nie chcę, by ktokolwiek dowiedział się, że tu jesteśmy.

— Wiesz, że ci ufam, Colinie.

Wydawało się, że po jego ustach przemknął leciutki uśmiech.

Wokół panowała cisza, najmniejszy ruch nie zakłócał naszych cieni drżących w pełgającym świetle lampki. Byliśmy zupełnie sami, oddzieleni od reszty świata.

— Leylo... — Znów ścisnął moje dłonie. — Wiem, że nie traktowałaś mnie poważnie, a już na pewno nie obdarzałaś mnie zaufaniem. Nie mogę cię za to winić. Muszę jednak prosić cię — nie, błagać — byś mi zaufała bez względu na to, co może się jeszcze wydarzyć.

Stałam zahipnotyzowana jego głosem i spojrzeniem.

— Tak — wyszeptalam słabo.

— A zatem przebaczysz mi i to, co będę musiał zaraz zrobić, chociaż z pewnością okaże się to dla ciebie bolesne.

Choć zaniepokojona, oznajmiłam:

— Wszystko ci przebaczę, Colinie.

— A zatem... — Puścił moje dłonie po to tylko, by natychmiast położyć ręce na moich ramionach. — Chciałbym cię poprosić, Leylo, abyś na powrót stała się taka jak kiedyś i spróbowała przypomnieć sobie, co dwadzieścia lat temu wydarzyło się w zagajniku.

W pierwszej chwili nie zareagowałam, lecz kiedy jego słowa w pełni do mnie dotarły, otworzyłam usta i zapytałam tylko:

— Co...?

— Prosiłem cię, abyś mi wybaczyła i powiedziałaś, że to uczynisz. Choć zdaję sobie sprawę, że może się to okazać bolesne, chciałbym cię poprosić, byś sobie przypomniała, co zdarzyło się w dniu śmierci twego ojca.

Byłam zdumiona, zaskoczona ponad wszelkie wyobrażenie.

— Ale... Ja nie rozumiem. Po co?

— Dlatego, że...

Przyglądałam się jego twarzy. Było w niej teraz coś nowego.

— Proszę, mów dalej! — ponagliłam.

— Dlatego, że sądzę, iż twój ojciec został zamordowany. Muszę więc wiedzieć przez kogo.

— Colinie!

— Wiem, o czym myślisz. Że to nie ma sensu.

— Nie, zaczekaj!

— Pozwól mi skończyć, Leylo. — Jego otwarte szeroko oczy błyszczały podnieceniem. — Nigdy nie wierzyłem, że twój ojciec popełnił samobójstwo, ale też nie miałem dowodu, że było inaczej. Nie mogłem również podnosić tego tematu, ponieważ cała rodzina nienawidzi mnie. Och, Leylo, wiem, jaki to musi być dla ciebie szok po tym, jak udawałem, że jestem z nimi i zachowywałem się tak jak oni. Kiedy zjawiła się tu nagle po dwudziestu latach, była to odpowiedź na moje modlitwy. Gdy oznajmiłaś, że jesteś zdecydowana przypomnieć

sobie przeszłość, odżyłem. Wróciłaś mi nadzieję. Byłem przy tobie przez cały ten czas, niespokojny, czy zdołasz sobie wszystko przypomnieć. Kiedy zatem nagle się poddałaś z powodu tej nieszczęsnej książki, byłem załamany. Jesteś przecież moją jedyną nadzieją na oczyszczenie nazwiska Pembertonów. — Jego oczy przyglądały mi się bacznie, a głos wznosił się coraz wyżej. — Wiem, że nie odczuwasz już potrzeby poznania prawdy, lecz proszę cię, byś spróbowała jeszcze raz, abyś zrobiła to dla mnie.

— Colinie, mam mętlik w głowie, nie wiem, co powiedzieć.

— Wiesz już o guzie i wierzysz, że twój ojciec popełnił samobójstwo, uśmierciwszy przedtem twego brata. Poczekaj, pozwól mi dokończyć. Proszę cię, byś cofnęła się do momentu sprzed znalezienia książki Thomasa Willisa i spróbowała sobie przypomnieć te wydarzenia. Uważam, że twój ojciec był niewinny.

— I nie powiedziałaś o tym nikomu?

— Nie mogłem. I tak by mnie nie słuchali, oni...

Mój głos był teraz tylko zduszonym szeptem.

— Dlaczego ta rodzina cię nienawidzi?

Przez chwilę wpatrywał się we mnie, a potem z rezygnacją opuścił ramiona.

— Z powodu, o którym powinienem był powiedzieć ci już dawno.

— Cóż to za powód?

— Nie jestem Pembertonem, Leylo, przynajmniej nie z krwi i kości. Moja matka była wdową, gdy Richard Pemberton ożenił się z nią i przywiózł nas tutaj. Gdyby mój prawdziwy ojciec, kapitan statku, wciąż żył, nazywałbym się dzisiaj Colin Haverson i mieszkałbym w Kent.

— Dlaczego jednak Pembertonowie mieliby cię nienawidzić?

— Ponieważ jestem wolny od tej nieszczęsnej klątwy.

— Och, Colinie... — westchnęłam. — To wszystko dzieje się zbyt szybko.

— Sir John niezwykle mnie polubił i zmienił testament, tak że zostałem jego jedynym spadkobiercą. Nie wiem jed-

nak nic o zaginionym testamencie wuja Heniy\*ego, przysięgam!

— Wierzę ci.

Jego oczy wędrowały niespokojnie po mojej twarzy, ramionach, włosach, jakby widziały mnie po raz pierwszy.

— Wierzysz mi...

— Jakie to dziwne, że mówisz mi takie rzeczy — szepnęłam.

— Zrobisz to, o co cię proszę? Wiem, że musi ci się to wydawać niejasne i niepotrzebne. Myślałaś przecież, że nie chcę, byś sobie przypomniała, a teraz okazuje się, że jest inaczej.

— Och, chodzi o coś więcej, Colinie. O wiele więcej.  
— Uśmiechnęłam się szeroko. — Nie masz pojęcia, jaka to ulga móc ci wszystko powiedzieć!

— Przypomniałaś sobie?!

— Nie, nie. Jeszcze nie. Ale ja także tego pragnę, i to nie tylko dlatego, że mnie poprosiłeś. Nie masz pojęcia, Colinie, czym było dla mnie duszenie tego wszystkiego w sobie.

— O co chodzi? Czego się dowiedziałaś?

Nie spiesząc się, opowiedziałam mu o mojej pierwszej wizycie u doktora Younga, starając się nie opuścić żadnego szczegółu, a kiedy dotarłam do momentu, gdy odkryliśmy, że kartka książki została spreparowana, wykrzykną: „Dobry Boże!” Opowiedziałam o swoich odczuciach i o tym, co wówczas krążyło mi po głowie, wspomniałam także o uwagach doktora.

Kiedy doszłam do opowieści o badaniu krwi wuja Henry'ego, kiedy wyjawiałam, że zawierała śmiertelną dawkę wyciągu z naparstnicy, Colin odsunął się ode mnie i z całej siły uderzył dłonią w kamienną ścianę.

— Piekło i szatani! — krzyknął. — A zatem to prawda, przez cały czas miałem rację! — Zamilkł nagle, uważnie wpatrując się we mnie. Chociaż nie mogłam dostrzec jego rysów, słyszałam ciężki, nierówny oddech i doskonale mogłam sobie wyobrazić jego twarz w tym momencie. — To oznacza — zaczął znów niepewnie. — Ten guz... Leylo, ten guz!  
— Postąpił krok w moją stronę i zatrzymał się. — Czy chcesz

mi powiedzieć... że to tylko wymysł? Że guz Pembertonów nie istnieje?

— Nie istnieje, Colinie.

— Mój Boże... Żadnego guza, żadnej kławy!

— To właśnie odkryliśmy z doktorem.

— Mój Boże — szepnął znów głosem pełnym niedowierzania. — Nie mogę w to uwierzyć. Nie wiedziałem... — Zaczął przemierzać mały pokój, wchodząc w krąg światła i znowu niknąć w mroku. — Nie do wiary! Po wszystkich tych latach! Guz kłamstwem! Przez całe lata, dziesiątki lat, wieki całe. — Znowu uderzył dłonią w ścianę. — Sir John, wuj Robert i wuj Henry! A więc miałem rację, Leylo! Twój ojciec został zamordowany! — Odwrócił się, by na mnie spojrzeć. Z twarzą na poły ukrytą w cieniu, wykrzyknął: — A ty?! Jesteś wolna od kławy! Nie masz żadnego guza!

— Tak...

Nie wiem dokładnie, co wydarzyło się potem, ponieważ wszystko, co pamiętam, to ramiona Colina obejmujące mnie i moja twarz przytulona do jego szyi. Ścisnął mnie z pasją równą tej, którą słyszałam przed chwilą w jego głosie. Choć zaskoczona, czułam się dobrze w jego ramionach — zupełnie, jakby tam było moje miejsce. Czułam jego ciepło i jego siłę. Poprzez ten uścisk Colin wyraził swoje uczucia jaśniej, niż mógłby to uczynić za pomocą słów.

Staliśmy tak przez jakiś czas, dwa ciała wtulone w siebie, obejmując się ramionami, aż w końcu wyszeptał:

— Moja najdroższa Leylo, nie wiesz, czym dla mnie było tych kilka ostatnich dni... Kochałem cię już, lecz miałem świadomość, że i ty nie unikniesz losu Pembertonów. Musiałem siedzieć spokojnie, obserwując cię przez stół, podczas gdy moja miłość do ciebie wzrastała z każdą godziną. Próbowałem pogodzić się z nieuchronnym przeznaczeniem, ale było to niewykonalne. Byłem taki zgorzkniały, zagniewany na los...

Odsunął mnie nieco i pogłaskał po włosach, spoglądając błyszczącymi oczami.

— Nie wiedziałem, co zrobić. Zakochałem się w kobiecie, która nie mogła być moja, i to sprawiało mi ból nie do znie-



sienią. A teraz jesteś wolna! Oboje jesteśmy wolni od nie-  
szczęsnej klątwy, wiszącej nad tym domem od pokoleń. Och,  
Leylo, moja Leylo...

Spogląda! na mnie z czułością jeszcze przez chwilę, a po-  
tem jego twarz nagle spochmurniała. Gwałtownie objął mnie  
jeszcze raz i cofnął ramiona.

— Dobry Boże! — wybuchnął. — Proszę mi wybaczyć!  
Nie myślałem... Po usłyszeniu tych wspaniałych nowin ogar-  
nęła mnie taka radość, że zapomniałem się. Przepraszam za  
to zachowanie. Nie będę miał pani za złe, jeżeli mnie pani  
spoliczkuje!

— Dlaczego miałabym to robić? — Moje serce wezbrało  
uczuciem, nie wiedziałam, czy śmiać się, czy płakać.

— Zachowałem się okropnie, wykorzystując twoją słabość.  
Proszę, uwierz mi, nie mam zwyczaju napastować młodych  
kobiet. Straciłem głowę...

Musiałam się roześmiać.

— Och, Colinie, nie obchodzi mnie, co masz w zwyczaju.  
Jeśli nawet zachowałeś się okropnie, tym bardziej cię za to  
kocham.

Wpatrywał się we mnie z niedowierzaniem. Zdziwiłam  
samą siebie, przy czym zdziwiło mnie nie tyle to, co powie-  
działam, ile jak łatwo mi to przyszło:

— Kocham cię, Colinie — szepnęłam.

Błyskawicznie objął mnie znowu, a tym razem uściskowi  
towarzyszył pocałunek — ekscytujący i czuły zarazem. Sta-  
liśmy w wieży, całując się tak, jak nigdy dotąd nie byłam cało-  
wana i wydawało mi się to zupełnie naturalne. Nic innego nie  
miało znaczenia. Ani fałszywy guz, ani morderca, ani tajemnic-  
ce Pemberton Hurst.

Kiedy odsunął się, by znów na mnie popatrzeć, zobaczy-  
łam, że jego twarz się zmieniła; rysy jakoś zmiękły, odprężyły  
się. Wyglądało to tak, jakby charakter Colina uległ raptownej  
zmianie.

— Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Oto  
trzymam w ramionach małą Leylę, całuję ją — to jak sen,  
który się ziścił. Myślałem, że nigdy się nie zakocham, pozosta-  
nę do końca życia cynicznym kawalerem. Potem przybyłaś ty,

zjawą z przeszłości. — Delikatnie przesuną! dłonią po moim policzku. — Czy pamiętasz swoje pierwsze słowa skierowane do mnie? „Ciotka Anna powiedziała, bym się tu z tobą spotkała i za wszelką cenę starała się unikać tego dziwaka Colina, bo spotkanie z nim mogłoby okazać się katastrofą”.

— Byłam załamana!

— I wyraz twojej twarzy! Pozostanie na zawsze w mojej pamięci! Nie wiedziałem, że ktoś może jednocześnie czerwienić się i błędnąć!

— Och, Colinie...

Przyciągnął mnie znowu i objął z siłą zapierającą dech w piersiach.

— Nie mogę cię znowu stracić — szepnął ochryple.

— Dwadzieścia lat temu zniknąłś bez śladu, lecz teraz wróciłeś i już tu pozostaniesz! Nic nie może nas rozdzielić, Leylo, ponieważ zostaliśmy złączeni przez Boga.

Z zadowoleniem wtuliłam się w mocne ramiona, przysłuchując się głosowi Colina. Jeżeli dla niego nasze porozumienie oznaczało spełnienie snów, to dla mnie było to równoznaczne z zakończeniem koszmaru.

Z Colinem u boku nie musiałam już obawiać się o życie ani też nieść ciężaru wiedzy sama.

— Cóż takiego dobrego zrobiłem w mojej bezwartościowej przeszłości, że skłoniło to Boga, by przysłał cię do mnie?

— szeptał mi teraz do ucha.

Te słowa przywołały mnie do rzeczywistości. Radość, podniecenie wywołane dotykiem Colina spowodowały, iż na chwilę zapomniałam, że jest coś jeszcze, o czym powinnam mu powiedzieć.

— Colinie, ty nie wiesz wszystkiego. Mój przyjazd do Hurst nie jest dziełem przypadku. Przyjechałam na listowne zaproszenie.

— Zaproszenie? — Colin odsunął się nieco ode mnie, ale nie puścił moich dłoni. Opowiedziałam mu o liście pochodzącym rzekomo od ciotki Sylvii, w którym zapraszała nas do odwiedzenia jej w Hurst. Wyjaśniłam, że list przyszedł na krótko przed śmiercią matki. Podzieliłam się też z Colinem odkryciem, że nie został napisany ręką ciotki.

— Nie rozumiem... Czy uważasz, że ktoś zwabił cię tutaj? Dlaczego jednak posłużył się imieniem ciotki Sylvii?

— Sądzę, że to z tej przyczyny, iż ciotka leżała już wówczas na łożu śmierci. Ktokolwiek napisał ten list, nie chciał, by odkryto jego tożsamość. Teraz, kiedy już tu jestem, osoba ta udaje, że pragnie mojego wyjazdu z Hurst. Czy domyślasz się może, kto spłatał mi tego figła, Colinie?

Zamyślił się.

— Będziesz musiała pokazać mi ten list; może rozpoznam pismo. Nadal nie wiem, kto chciałby cię tutaj ściągnąć w tajemnicy przed domownikami.

— No cóż... — zawahałam się, niepewna, w jaki sposób przekazać następne nowiny. — Musisz wiedzieć, że i to jeszcze nie wszystko. Chodzi o ten wyciąg z naparstnicy, który zabił wuja Henry'ego. Ja także zaczęłam uskarżać się na bóle głowy, więc, wiedziona przecuciem, zabrałam po kryjomu trochę mojej porannej herbaty do doktora Younga i poprosiłam go o wykonanie analizy.

— Co udało mu się odkryć? — spytał Colin bez tchu.

— Mnie także podawano ten wyciąg.

— Chryste! — krzyknął, przerażając mnie. — Piekło i szatani! Leylo, muszę wydostać cię z tego domu!

— Colinie...

— Proszę, wybac mi mój język, lecz nie potrafię teraz dbać o dobre maniere. To nie do wiary! Jak mało wiem o tym, co dzieje się tu, wprost na moich oczach! Przyprowadziłem cię na tę wieżę, aby poprosić cię o podjęcie kolejnej próby przywołania przeszłości, co kiedyś było także twoim pragnieniem. Obawiałem się, że będziesz się ze mną sprzeczała, że uznasz moją teorię za niedorzeczną, ale w końcu ulegniesz. Dowiaduję się nagle, iż nie tylko podjęłaś już decyzję, ale że wuj Henry i sir John zostali zamordowani, a ty masz być następną ofiarą. Leylo! — Znów chwycił mnie mocno za ramiona. — Pozwól, że odeślę cię do Londynu!

— Nie, Colinie — powiedziałam miękko.

— Nie wolno ci narażać się na niebezpieczeństwo! Zajmę się wszystkim sam, a potem przyjadę do ciebie.

— Colinie, zrozum, ja muszę tu zostać.

Jego spojrzenie stwardniało, wyrażało teraz gniew.

— Nie mogę ci pozwolić.

— A ja nie mogę wyjechać. — Nie chciałam się z nim sprzeczać, ale wiedziałam, że muszę postawić na swoim. — Mamy tak wiele informacji, Colinie, a mimo to nie wiemy niczego. Nie znamy tożsamości mordercy. Oboje zdajemy sobie jednak sprawę, że ten szczegół tkwi gdzieś w moim umyśle, zagrzebany głęboko wraz z resztą wspomnień. Być może przywołanie ich nie będzie tak trudne, jak to się teraz wydaje. Z całą pewnością jednak wiem, że w Londynie nigdy mi się to nie uda; muszę pozostać w Hurst i nadal próbować.

Colin wpatrywał się we mnie zawiedziony, jego palce wciąż zaciskały się mocno na moim ramieniu. Nie mógł odmówić mi racji, lecz jego uczucia — tak jasno odbite na twarzy — nakazywały mu protestować przeciwko moim zamierzeniom.

— Nie znajdę się w bezpośrednim niebezpieczeństwie, dopóki nie zdradzę, że wiem, co mi podają — powiedziałam spokojnie. — Muszę więc dalej odgrywać swoją rolę, udawać bóle głowy i chorobę, dopóki w końcu nie przypomnę sobie wszystkiego. Jeżeli jednak morderca zorientuje się, że odkryłam jego plany...

— ...lub jej.

— ...znajdę się w niebezpieczeństwie.

Colin oddychał ciężko. Świeczka prawie się wypaliła, tak że już tylko nikły płomyk rozświetlał otaczający nas mrok.

— Jak długo jeszcze...? — zapytał ochryple. — Po pierwszej bytności w lasku nie przypominałaś sobie niczego. Ile razy będziesz musiała tam wrócić?

Zastanowiłam się przez chwilę, zanim odpowiedziałam:

— Było... coś, o czym ci nie powiedziałam. W lasku, gdy tak stałam samotnie wśród drzew, pewne wspomnienie jasno mignęło mi w głowie.

— Cóż takiego?

— To może nie mieć nic wspólnego...

— Ale może też okazać się bardzo istotne. Co sobie przypominałaś?

— Nie było to właściwie wspomnienie, lecz raczej krótki obraz, jak widok widziany w blasku błyskawicy. Ujrzałam nagle rubinowy pierścień, który teraz nosi Theo.

Colin zeszywniał.

— Pierścień? — powtórzył. — To dziwne.

— Ja też tak pomyślałam. Najwidoczniej nie ma on nic wspólnego ze śmiercią mego ojca, lecz ujrzałam go właśnie w lasku. Być może nie przywiązywałabym do tego żadnej wagi, gdyby nie fakt, że pierścień tak tajemniczo zniknął.

— Jestem pewien, że to wyłącznie zbieg okoliczności — rzekł bagatelizujące

Choć nie mogłam dostrzec jego twarzy, odniosłam wrażenie, że Colin poważnie się zaniepokoił.

— Czy mogę o coś zapytać?

Z widocznym wysiłkiem skupił uwagę na moim pytaniu.

— Dlaczego byłeś pewien, że mój ojciec jest niewinny? Można by pomyśleć, że po przeczytaniu książki Thomasa Willisa i zapoznaniu się z rodzinną opowieścią o guzie przyjmiesz to wyjaśnienie jak inni. Czyżbyś nie wierzył w istnienie klątwy Pembertonów?

— Wierzyłem, a raczej u w i e r z y ł e m, jak wszyscy inni, że sir John i wuj Henry zmarli z powodu guza i że ty, Martha i Theo także jesteście skazani na podobną śmierć. Jednak twój ojciec stanowił wyjątek z powodu pewnego szczegółu, o którym nikt nie wie. Gdyby nie ten drobny fakt, ja także uznałbym jego śmierć za spowodowaną klątwą Pembertonów i nie zaprzętałbym sobie głowy podejrzeniem, że został zamordowany.

— O co chodzi, Colinie?

Zdawał się rozważać swoje następne słowa. A potem powiedział:

— Tego dnia, gdy zmarł twój ojciec i brat, nie byłaś w lasku sama. Była tam jeszcze czwarta osoba.

— Kto taki?

— Ja.

Usłyszałam, że z mego gardła dobywa się dziwny dźwięk. Otwarłam szeroko oczy.

— Ty...? — szepnęłam.

— Tak, ja także byłem w lasku, kiedy twój brat i ojciec zostali zamordowani.

— A zatem — widziałeś!

— Nie, nie widziałem. — Mówił teraz szybko, bez tchu. — Włóczyłem się po lesie, gdy nagle usłyszałem krzyk małego Thomasa. Pomyślałem, że zrobił sobie jakąś krzywdę i pobiegłem w stronę, z której dobiegał płacz. Było już jednak za późno. Wbiegając do zagajnika, zobaczyłem wśród krzaków ciebie z dziwnym wyrazem twarzy. Potem usłyszałem głuchy odgłos, jakby ktoś upadł na ziemię, a kiedy spojrzałem w tamtą stronę, zobaczyłem twego ojca leżącego w pobliżu Thomasa. W tej samej chwili usłyszałem, że ktoś przedziera się przez krzewy. Pobiegłem za nim, lecz nie udało mi się go dogonić.

— Widziałeś mordercę!

— Byłem blisko mordercy, lecz wszystko, co zobaczyłem naprawdę, to tylko szelest i ruch gałęzi. Ktokolwiek to był, ucieczka mu się powiodła.

— Powiedziałeś komuś o tym?

— Komu, Leylo? Do kogo miałbym się zwrócić? Byłem jedynie przerażonym czternastolatkiem. Po raz pierwszy w życiu widziałem martwego człowieka. Do kogo miałem z tym pójść? Wiedziałem, że ktoś z Pemberton Hurst popełnił dwa morderstwa. Skąd miałem wiedzieć, że osoba, do której się zwrócę, nie okaże się właśnie mordercą, że nie zabije także mnie? Dokąd, Leylo, miałem się udać? Przez całe dwadzieścia lat, dwadzieścia długich, samotnych lat żyłem z tą tajemnicą w sercu, zasiadałem codziennie do stołu z moją rodziną i wciąż zastanawiałem się, które z nich dopuściło się morderstwa.

— Colinie — szepnęłam, a po policzku spłynęła mi łza.

— A potem nagle, nie wiadomo skąd, zjawiłaś się na naszym progu, niczym Anioł Zemsty. Pomyślałem wówczas, że moje modlitwy zostały wysłuchane!

— Dlaczego od razu mi wszystkiego nie powiedziałeś?!

— Nie mogłem, Leylo. Nie ufałaś mi przecież. Jak mogłem zrzucić na twoje barki takie jarzmo i spodziewać się, że mi uwierzysz? Byłoby to tylko moje słowo przeciwko słowu

całej rodziny. Wolałem też, byś przypomniała sobie wszystko sama, bez żadnych sugestii z mojej strony. Podsunąłem ci jedynie pewne ślady, byś mogła za nimi podążyć, ale nie wolno mi było powiedzieć wszystkiego, by nie skierować cię na złą ścieżkę. Powiedz mi, Leylo, czy uwierzyłabyś mi wtedy?

— Sama nie wiem. To wszystko brzmi tak niewiarygodnie. Kto mógł to zrobić, Colinie? Nie masz żadnych podejrzeń?

— Mam ich wiele. — Odwrócił się i znowu zaczął przemierzać pokój. — Nieraz leżałem bezsennie w nocy, próbując rozwiązać tę zagadkę. Motywy były, owszem. Mój własny ojciec i wuj Henry mogli zrobić to dla spadku. Sir John był stary i jego trzech synowie mogliby podzielić się majątkiem. Wraz ze śmiercią twego ojca ubywał jeden z pretendentów do fortuny. Tak, oni mieli motyw. Ale jak widać, nie mógł to być Henry, ponieważ on także nie żyje. Nie mógł też być to mój ojciec, gdyż zginął wiele lat temu. Od tego czasu zdarzyły się jeszcze dwa zgony.

— No dobrze, a zatem trzech synowie sir Johna to ofiary, nie podejrzani. A czy zastanawiałeś się nad Theo? Czy on ma motyw?

Colin zatrzymał się nagle i spojrzał na mnie z namysłem.

— Czy Theo miał motyw? Leylo, on przede wszystkim zyskiwał na śmierci twego ojca, lecz pewnie wiesz o tym.

— Wiem o czym?

— Że Theo kochał twoją matkę.

Cofnęłam się o krok.

— Co takiego?

Twarz Colina przybrała nieobecny wyraz, a jego głos dobiegał jakby z oddali.

— Theo miał wówczas osiemnaście lat, a twoja matka dwadzieścia pięć. Boże, jakaż ona była piękna! Nasz kuzyn nie krył się ze swymi uczuciami ani też z faktem, że ma za złe twemu ojcu, iż poślubił tę kobietę. Theodore nienawidził Roberta i wszyscy o tym wiedzieli.

— To takie dziwne... — Pomyślałam o wieczorze z zeszłego tygodnia, kiedy to Theo przyszedł do mego pokoju. Zachowywał się wówczas tak dziwnie, był taki delikatny i sentymentalny.

talny, gdy wspominał, jaką fryzurę nosiła moja matka. Teraz pojęłam przyczyny jego zachowania.

— A ciotka Anna? To zaborcza, dominująca matka, ślepa na wady swego syna. Może była zdania, że to on powinien poślubić Jennifer? Lub może powzięła do twego ojca niechęć z jakichś nie znanych nam powodów. Możliwe zresztą, że pragnęła, by spadek został podzielony tylko pomiędzy dwóch braci i dlatego zabiła twego ojca. Kto wie? To niewykluczone — kontynuował Colin.

— A Martha? — podsunęłam.

— Miała wówczas dwanaście lat. Jak przypuszczam, byłoby to możliwe, ale wysoce nieprawdopodobne.

— No i babka Abigail.

— Jak sędzę, zdolna jest do morderstwa, gdyby ją do tego doprowadzono. Dlaczego jednak miałyby kolejno zabijać własnych synów? Bardzo kochała Roberta, to nie ulega wątpliwości, i naprawdę lubiła Jenny. Babka pragnęła, aby majątek podzielono równo między trzech synów i wątpię, by tu można doszukać się jakiegoś motywu. Choć, jak przypuszczam, nie powinniśmy skreślać jej całkowicie.

Wpatrywałam się w Colina z oczekiwaniem.

— Och, Colinie, kto to mógł zrobić?!

Znowu ujął mnie za ramiona.

— No właśnie, Leylo. Kto to mógł zrobić? I, co ważniejsze — dlaczego?

— Jakże żałuję, że nie potrafię sobie przypomnieć!

— A zatem idź do lasku, Leylo. Idź tam od razu, zanim i ty padniesz ofiarą mordercy! — Przyciągnął mnie do siebie i zamknął w uścisku tak silnym, że z trudem mogłam oddychać. Z twarzą ukrytą na jego szyi modliłam się bezgłośnie, aby ten koszmar wreszcie przeminał. Wszystko, czego teraz pragnęłam, to kochać tego mężczyznę i być przez niego kochaną. Przeszłość i teraźniejszość to senne marzenia. Jedyne przyszłość zdawała się realna. Liczyło się tylko moje życie z Colinem.

I znałam sposób, by to osiągnąć.



Spędziłam bardzo złą noc, wypełnioną godzinami czuwania i płytkim, niespokojnym snem, w którym nie było miejsca na marzenia i który nie przyniósł odpoczynku. Powitałam świt z mieszaniną podniecenia i niepokoju. Z jednej bowiem strony niecierpliwie wyczekiwałam dnia, z drugiej zaś obawiałam się tego, co może przynieść.

Myślałam o Colinie, o jego ramionach, pocałunkach, zapewnieniach miłości. W metalicznym, szarym blasku poranka, spoglądając z mego wysokiego okna na nagie drzewa, zastanawiałam się, czy wczorajsze wydarzenia nie były jedynie snem. Czy naprawdę spotkaliśmy się w mrocznej wieży, całowaliśmy się i obejmowali? Czy naprawdę zwierzałyśmy się sobie, opowiadając szeptem o morderstwach, zemście i rodzinnej zachłanności? I choć zdarzyło się to zaledwie przed kilkoma godzinami, choć pozostaliśmy w wieży jeszcze długo po tym, jak wszelkie słowa zostały już wypowiedziane, odnosiłam teraz wrażenie, że wszystko to wydarzyło się wieki temu.

Ubrałam się bardzo starannie, przywdziawszy najlepszą suknię poranną i splótszy włosy starannie w warkocze, ponieważ miał to być szczególnie ważny dzień. Miałam znów udać się do zagajnika i jeszcze raz spróbować przypomnieć sobie wszystko. Dziś jednak szłam tam z nowym nastawieniem, ponieważ wiedziałam już na pewno, że została tam popełniona zbrodnia.

Odzyskanie przeze mnie wspomnień było tym ważniejsze, iż moje życie znalazło się w niebezpieczeństwie. Im dłużej pamięć odmawia mi posłuszeństwa, tym dłużej muszę żyć w zagrożeniu. Śmierć krążyła wokół mnie tak, jak wcześniej osaczała wuja Henry'ego. Musiałam się ratować!

Z drzeniem wkroczyłam do jadalni. Martha i Theo spokojnie jedli śniadanie, usiadłam więc na swoim zwykłym miejscu i sięgnęłam po grzanekę z dżemem. Rozmowa przy stole była banalna — wymienialiśmy uwagi o dolegliwościach ciotki Anny, zastanawialiśmy się, kiedy w końcu pojawi się spóźniona w tym roku wiosna oraz rozważaliśmy, czy należy zastąpić stary kryty powóz nowym.

Kiedy pojawił się Colin, moje serce gwałtownie podskoczyło. Czy nigdy nie przywyknę do tego mężczyzny, do jego obecności, do jego nagłych wejść? Miałam nadzieję, że nie, ponieważ cokolwiek czułam, było to cudowne przeżycie.

Usiadł naprzeciw mnie i nalał sobie herbaty.

Ja jeszcze nie tknęłam swojej.

Rozmowa, która nagle przestała być naturalna, obracała się teraz wokół problemów związanych z fabrykami, nowymi projektami ustaw wniesionymi do parlamentu, pogłosek o tym, iż francuski uczony Pasteur, ostatecznie obalił teorię „samoródtwa”.

— Nasze czasy charakteryzuje wielki pośpiech, kuzynie. Dni nie biegną już spokojnie i jednostajnie. Nastała epoka gazowego oświetlenia, silników parowych i balonów wypełnionych gorącym powietrzem — mówił Colin, wymachując przy tym ramionami. — Nigdy przedtem człowiek nie podróżował tak szybko ani tak daleko.

Nagle jego dłoń zawadziła o moją filiżankę, wylewając zawartość.

— Och, przepraszam, Leylo, ależ ze mnie gapa.

Przyglądałam się Colinowi, próbującemu zetrzeć rozlany płyn serwetką. — Proszę — powiedział w końcu zakłopotany, wręczając mi swoją filiżankę. — Weź moją.

Uświadomiwszy sobie, co zrobił, podziękowałam mu uśmiechem i z wdzięcznością przyjąłam herbatę.

— To wiek postępu, a my musimy się dostosować albo pogodzić z tym, że zostaniemy odsunięci na bok, jak robi się z rzeczami, które wyszły z użycia. Ty, Theo, będziesz musiał współzawodniczyć z innymi fabrykantami. Z tego, co słyszałem, niemal oni wszyscy zamierzają kupić nowe warsztaty tkackie i zwiększyć produkcję o pięćdziesiąt procent.

Rozmowa toczyła się dalej. Martha milczała niezłomnie; Theodor lekceważąco odnosił się do uwag Colina, gadatliwego i niewychowanego jak zawsze. Niespokojnie przycupnięta na skraju krzesła, myślałam, że już nigdy nie wyjdą z pokoju, lecz w końcu Theo i Martha oddalili się, a ja odetchnęłam z ulgą i nieco się odprężyłam.

Colin zwrócił się do mnie:

— Czy pójdziesz dzisiaj do zagajnika, moja kochana?

— Owszem, i to tak szybko, jak to tylko możliwe. Chciałabym jednak udać się tam sama. Dziękuję, że wczoraj zaofiarowałeś mi swoje towarzystwo, lecz będzie lepiej, jeżeli pójde tam sama. Mam sporo do przemyślenia.

— Gdyby cię długo nie było, przyjdę po ciebie — zaproponował.

— Dziękuję... — Złapałam się na tym, iż wpatruję się w moją pustą filizankę. Tak, miałam o czym myśleć. Kto napisał list, by mnie tu zwabić? Kto spalił mój list do Edwarda? Kto ukradł cenną biżuterię, w tym pierścień? Ten pierścień...

Spojrzałam na Colina i zobaczyłam w jego rysach tylko uprzejmość i delikatność. A jednak ostatniej nocy wydawał się poruszony, kiedy wspomniałam o pierścieniu.

— Cóż to może oznaczać, Colinie, iż ten rubinowy sygnet błysnął w mojej pamięci w lasku, i nigdzie indziej?

Tak, moje odczucie było słuszne. Siedzieliśmy przecież w dobrze oświetlonym pokoju, inaczej niż zeszłej nocy, gdy byłam w stanie odnieść zaledwie wrażenie. Tym razem zobaczyłam, że twarz Colina zmienia się na wzmiankę o pierścieniu. Próbował jednak to zbagatelizować.

— Nie mam pojęcia — odrzekł.

— Theo odziedziczył go po dziadku Johnie, prawda? Dlaczego sygnetu nie otrzymał najpierw wuj Henry?

— Prawdę mówiąc... — Colin chrząknął, sprawiając wrażenie, jakby zastanawiał się, co powiedzieć. — ...Najpierw przekazano go memu ojcu. Otrzymał go jeszcze jako mały chłopiec i nosił przez wiele lat. Po tym, jak zginął w wypadku, sir John zabrał go z powrotem i nosił aż do swojej samobójczej śmierci. Następnie klejnot przypadł Theo, ponieważ wuj Henry nie lubił biżuterii.

— Jak przypuszczasz, dlaczego został skradziony?

Colin na pozór spokojnie smarował masłem kromkę chleba.

— To pewnie sprawa służby.

Jego zachowanie było zbyt obojętne, zbyt bezceremonialne, lecz nie naciskałam dłużej. Jeżeli Colin nie życzy sobie rozmawiać o pierścieniu, to ja się do tego dostosuję, tym bardziej że zapewne klejnot ten nie ma żadnego znaczenia.

— Pospaceruję teraz trochę, Colinie, a potem pójdę do lasku. Jeżeli przypomnę sobie coś, powiem ci o tym wieczorem.

Ku memu wielkiemu zdumieniu wstał nagle i obszedł stół, by stanąć obok mnie. Z twarzą ściągniętą napięciem powiedział:

— Obiecuj mi, Leylo, że będę pierwszą osobą, którą powiadomisz, jeżeli coś sobie przypomnisz!

— Oczywiście.

— Bez względu na to, co odkryjesz, przyjdź z tym do mnie. Nie do doktora Younga ani do kogoś innego! Rozumiesz?

Dziki wyraz jego oczu przestraszył mnie.

— Obiecuję — wyjąkałam.

Oblicze Colina rozjaśniło się.

— Martwię się o ciebie, Króliczku. Bardzo żałuję, że nie potrafiłem przekonać cię, byś stąd wyjechała i zaczekała gdzieś na mnie. Nie potrząsaj głową! Masz równie złe manieiry jak ja. No dobrze, moje uparte kochanie, zobaczymy się później.

Dzień wydawał mi się szczególnie chłodny i szary, chociaż wygląd nieba nie wróżył złej pogody, a wiatr wiał niezbyt mocno. Najwidoczniej. I najwidoczniej to wyobraźnia sprawiła, że

kiedy oddalałam się od domu, czułam na plecach czyjeś spojrzenie.

Tylko raz odważyłam się odwrócić i spojrzeć na dom, lecz wszystkie okna były ciemne lub zasłonięte. Nie zobaczyłam nikogo, nie odnotowałam żadnego ruchu, nie mogłam też wyobrazić sobie, kto mógłby mnie szpiegować. Theo i Martha nie zwrócili żadnej uwagi na fakt, że moja herbata została wylana. Moja kondycja fizyczna także ich nie interesowała. Jeżeli to któreś z nich mnie truło, to bez wątpienia mam do czynienia z piekielnie sprytnym przeciwnikiem.

Nerwy miałam napięte niczym postronki — prawdopodobnie z powodu tych wymaginowanych oczu, które mnie śledziły; spacer nie przyniósł mi więc odprężenia. Bardzo pragnęłam mieć już to wszystko za sobą, co oznaczało, że za wszelką cenę muszę odzyskać pamięć.

Kiedy stanęłam na wzgórzu i spoglądałam w dół na zagajnik, ogarnęło mnie dziwne uczucie. Było tak, jakbym wiedziała, że wkrótce coś tu się wydarzy i że nie będę musiała wielokrotnie wracać do zagajnika, by odkryć jego tajemnicę. Nade mną przetoczył się grzmot niczym zapowiedź podniosłej chwili.

Kiedy już znajdę się na dole, nie będzie odwrotu! Byłam zdecydowana wejść między akacje i wygzekwować moje prawo do przeszłości. Ponure drzewa chroniły tajemnicę, która należała do mnie, zamierzałam zatem rzucić im wyzwanie.

Byłam znowu Króliczkiem stojącym na skraju lasu; małym, ciekawskim dzieckiem, szukającym ojca i brata, którzy weszli tam kilka minut wcześniej. Z połami peleryny łopoczącymi na wietrze, ze wzrokiem wbitym w kępę drzew, czułam, iż wszystko zaczyna ulegać przemianie. Ja także zaczęłam się zmieniać. Jak posąg czekający na pocałunek, który ma wrócić mu życie, wrosłam w ziemię, ze wzrokiem wbitym w ścianę drzew.

To wreszcie się działo. Zaczęłam sobie przypominać.

Małymi stopkami przemierzam nierówny grunt, starając się nie zaczepić sukienką o gałęzie. Mama gniewałaby się,

gdym ją podarła. Ale tata i Tom poszli do lasu, a ja chcę iść z nimi.

Moje ciało dorosłej kobiety podażyło w ślad za umysłem dziecka. Weszłam do zagajnika. Moje oczy postrzegały wszystko w odmienny sposób — drzewa zdawały się olbrzymie niczym strażnicy z innego świata, tajemniczego i nierzeczywistego. Miałam znów pięć lat. Przede mną rozległ się jakiś dźwięk.

„Tatusz?” — pomyślałam. Śmiało ruszyłam dalej. W uszach rozbrzmiewały mi echa odległych dźwięków — śmiech dziewczynki, krzyk ptaka nad głową. Przebywałam teraz w innej rzeczywistości — w pełnym cudów świecie pięcioletniego dziecka.

Wspominałam. Wspominałam...

Nagle zatrzymałam się. To ten przegniły pień. Gładki otoczek. Porośnięty mchem średniowieczny mur. I dźwięki. Dźwięki będące dysonansem w naturze — stłumione odgłosy walki. Na tle gęstej zastony drzew i wilgotnej ziemi zobaczyłam poruszające się widmowe kształty dwojga dorosłych i małego chłopca. Uśmiechnęłam się, rozpoznając całą tę trójkę. Odalili się nagle, a mój umysł wypełnił obraz ojca — wysokiego, przystojnego, imponującego. Ze swymi kruczoczarnymi włosami i wyrazistymi rysami Pembertonów wyglądał jak młodsze wcielenie wuja Henry'ego. Pokazywał Thomasowi ropuchę, taka mała lekcja przyrody. Druga osoba stała z tyłu, niewidoczna.

Stałam nieruchomo jak w transie, wpatrując się w obrazy, widoczne tylko dla mnie. Czas najpierw stanął w miejscu, a potem zaczął się cofać, jakby ktoś postawiwszy na rzece zapórę, zawrócił jej bieg. Pod powierzchnią wody zobaczyłam odległe twarze trojga ludzi, słyszałam ich głosy, jakby naprawdę rozmawiali właśnie teraz.

Zobaczyłam tę trzecią osobę. Wiedziałam już teraz, kim jest morderca, lecz nie mogłam się ruszyć. Dramat musiał się rozegrać; musiał zostać doprowadzony do krwawego końca, zanim zostanę uwolniona z przeszłości i przywrócona przyszłości odległej o dwadzieścia lat.

Zobaczyłam nagle, że trzecia osoba wykonuje gwałtowny ruch, wypada zza krzaków i podbiega do mego małego

brata. Zanim zdolałam się odezwać, nóż błysnął w powietrzu i opadł na szyję Thomasa. Stoję jak skamieniała. Mój ojciec odwraca się, zaczyna krzyczeć, lecz zaraz pada, uderzony nożem w pierś. Oczy niemal wychodzą mi z orbit. Coś czerwonego, znajomy pierścień, zostaje rzucony na ziemię, gdzie jego czerwień zlewa się z inną, rozlaną na trawie.

— Dobry Boże! — krzyknęłam nagle, uwalniając się z okowów przeszłości. Uniosłam dłonie do twarzy, czując ból przenikający całe ciało, ból wywołany okropnością tego, co zobaczyłam i panicznym strachem. Przypomniałam sobie to wszystko, każdy szczegół; czułam to samo przerażenie co dwadzieścia lat temu.

Tym razem mogłam przynajmniej płakać.

— Colinie! — załkałam w uniesione ku twarzy dłonie.  
— Och, Colinie!

Mój płacz zagłuszał zbliżające się kroki, aż stało się za późno na ucieczkę. Niezwykle silne ramię objęło moją szyję, zobaczyłam nad sobą dłoń dzierżącą nóż.

— Jesteś przeklęta, jak wszyscy oni! — dobiegł mnie ochrypły, pełen pasji szept. Walczyłam, ale na próżno.  
— Musisz umrzeć tak jak oni, aby powstrzymać zło.

— Nie, nie! — udało mi się wykrztusić, zanim zadziwiająco silny chwyt pozbawił mnie tchu.

Nóż wzniosł się wysoko, błysnął na tle bezlistnych drzew, szarego nieba i opadł.

I nagle wrzask. A potem inny głos, wydający zduszone okrzyki. Nie poczułam uderzenia, które zdawało się tak nieuchronne. Kiedy stalowy uścisk osłabł nagle, odwróciłam się szybko i zobaczyłam Colina pogrążonego w śmiertelnej walce.

I wtedy zjawili się inni. Wreszcie było po wszystkim.

Babka leżała w łóżku, oddychając ciężko. Jej twarz miała szary kolor, a źrenice były rozszerzone. Doktor Young, który właśnie przed chwilą przybył, stał nad nią jak posąg. Jego także zaskoczyła siła tej starej kobiety.

Gdzieś w głębi pokoju czyjś głos powtarzał wciąż od nowa: „To niemożliwe, nie wierzę w to”. Głos ten dochodził z *prie-dieu*, gdzie oszołomiony Theo, ukrywszy twarz w dło-

niach, z niedowierzaniem potrząsała głową. Ciotka Anna siedziała naprzeciw niego, jej twarz przypominała nieporuszoną alabastrową maskę. Martha oniemiała, stała obok doktora, po przeciwnej stronie łóżka niż Colin i ja. Jej twarz stanowiła istne studium dziecięcego zadziwienia. Jeżeli nawet kuzynka zrozumiała, co się tu działo w ciągu ostatniej godziny, nie dawała tego po sobie poznać.

No i Colin! Colin, który ocalił mi życie, a teraz mocno obejmował mnie w talii. Jego uścisk dodawał mi siłę, a potrzebowałam ich bardziej niż kiedykolwiek.

Od strony łóżka na wpół tylko żywy głos sęczył straszliwe wyznania:

— Przekłęci — szeptała. — Wszyscy jesteście przekłęci. To musi się skończyć...

Doktor Young, który przyglądał się chorej uważnie i z namysłem, pochylił się nieco nad łóżkiem i miękko spytał:

— Co musi się skończyć, Abigail?

Chociaż jej biedne ciało postradało siły, to w oczach nadal widać było żywotność i siłę.

— Zła krew Pembertonów! Powinno się zrobić z tym koniec już dawno, ale nikt nie miał odwagi, by zakończyć tę przeklętą linię. Ten guz to klątwa diabła, rzucona na tę rodzinę. Będzie trwała tak długo, jak długo będzie żył ostatni Pemberton.

Colin, którego przystojna twarz wyrażała oszołomienie, pochylił się nad babką i spytał:

— Próbowaaś doprowadzić do zniszczenia rodu? Ze względu na chorobę?

— Musiałam... Zbyt wiele osób cierpiało z tego powodu. Przez wieki, przez stulecia...

— A wuj Henry? — Odsunął się ode mnie, by stanąć bliżej leżącej. — Czyjego także zabiłaś?

— Musiałam. Był przecież nieszczęsnym Pembertonem. Spojrzałam porozumiewawczo na doktora Younga.

Colin pytał dalej:

— Czy sir John wiedział, że zabiłaś Roberta i Thomasa?



Jej małe, czarne oczy wpatrywały się niespokojnie w sufit, gdy tak leżała na plecach. Usta miała otwarte i oddychała ciężko.

— Przypuszczam... — powiedziała z trudem — ...że teraz mogę już wszystko powiedzieć. Tak... Sir John wiedział. Henry, Thomas, Robert i... Richard także.

Colin zesztyniał.

— Mój ojciec? Co chcesz przez to powiedzieć?

Jej oczy zamknęły się na chwilę, a oddech zamarł.

— Babko, co miałas na myśli, mówiąc o Richardzie?

Oczy umierającej powoli otworzyły się.

— Ten wypadek to wcale nie był wypadek. Został **zaaran-**żowany.

— Dobry Boże...

— Colinie — rzekła prosząco, gdy jej kościste dłonie szukały czegoś w powietrzu. — Colinie, posłuchaj mnie. Usiądź tu i słuchaj.

Z twarzą pobladłą i oszołomioną Colin przysiadł na skraju łóżka i spojrzał na babkę. Mówiła z przerwami, lecz jasno.

— Ta nieszczęsna choroba spowodowała już zbyt wiele cierpienia. Chcę, żeby się to skończyło. Od lat próbowałam to zwalczyć. Ty nie jesteś Pembertonem, więc możesz przejąć nazwisko i fortunę. Dlatego zniszczyłam testament Henry'ego. Miał zamiar zostawić wszystko Theo. Nie mogłam do tego dopuścić. Wszystko powinno dostać się tobie, Colinie — nie Pembertonowi, a jednak Pembertonowi. Dzięki tobie rodzina rozkwitnie na nowo.

— To nonsens! — wykrzyknął.

— Myślisz, że jestem szalona? Zabiłam trzech synów, byś mógł odziedziczyć fortunę Pembertonów. Z tym guzem i tak nie było dla nich żadnej przyszłości. Zabiłam własnych synów po to, by przyszłe pokolenia nie musiały żyć w lęku przed nieuniknionym wyrokiem losu, tak jak żyją dziś Martha i Theo. Spójrz na nich! Godne pożałowania istoty! Czy chcielibyście skazać na takie życie swoje dzieci i wnuki?

— Przecież żaden guz nie istnieje, babko! — wykrzyknął znowu Colin. Chwytał jej dłonie i przyciągnął do swojej piersi. — To zwykłe kłamstwo, mistyfikacja!

— Nie, nie! — powiedziała z nagłą siłą. — Sir John próbował wmówić mi to samo, ale ja go nie słuchałam. Powiedział, że jego brat Michael postradał zmysły i opracował plan, który miał pomóc mu zdobyć Hurst tylko dla siebie. Ponieważ był szalony, stworzył plan niezwykle zawiły, który przewidywał nawet wykonanie fałszywych druków i wymyślenie rodzinnej kłątwy. John miał czelność powiedzieć mi, że Michael... — Nabrała powietrza w płuca. — ...Ze Michael w swoim szaleństwie wymyślił tę historię z guzem, sfabrykował dowód na poparcie jej, a potem zamierzał pozbyć się Johna i matki. John twierdził, że Michael spodziewał się, iż nikt nie będzie go podejrzewał o morderstwo, jeżeli uda mu się przekonać władze, że oba zgony spowodowane zostały przez chorobę mózgu. John jednak odkrył ten plan, a przynajmniej tak mi powiedział, i obrócił go przeciwko Michaelowi. Michael i jego matka ponieśli śmierć. Kiedy John oprzytomniał i uzmysłowił sobie, co zrobił, podtrzymał historyjkę o guzie, aby oczyścić się z podejrzeń. Uwierzono mu i oba zgony przypisano chorobie mózgu. To właśnie opowiedział mi twój dziadek w noc poprzedzającą jego śmierć...

Babka przerwała, by zaczerpnąć powietrza. Z jej piersi dobywało się rżenie. Wpatrywaliśmy się w nią przerażeni i zafascynowani zarazem, próbując wyobrazić sobie szalonego Michaela i jego wielki plan, który miał go uchronić przed podejrzeniami o morderstwo. Plan ten obrócił się przeciw niemu, a po śmierci brata sir John, także obawiający się policji, podtrzymał mit kłątwy Pembertonów.

— Zabiłam Roberta i Thomasa, ponieważ chciałam, aby ród wymarł — mówiła dalej z coraz większym trudem. — Musiałam zabić Roberta, zanim spłodzi więcej potomków, i musiałam zabić Thomasa, ponieważ pewnego dnia on także zostałby ojcem dzieci noszących zatrutą krew. Zabiłabym też... małą Lyle, gdyby jej matka nie... uciekła... z nią.

Szloch wyrwał mi się z gardła, lecz nikt go nie usłyszał. Babka mówiła dalej, walcząc o każdy haust powietrza:

— Sir John wiedział, że popełniłam te morderstwa, ale kochał mnie, więc milczał. Kiedy jednak pewnego dnia powie-

działam, że będę musiała zabić... Richarda... i Henry'ego oraz Theo, wtedy... — Przesunęła suchym językiem po spękanych wargach. Jej twarz miała kolor kory brzozonej. — ...Wtedy John opowiedział mi tę szaloną historię o Michaelu, lecz ja wiedziałam, że ją po prostu wymyślił. Oświadczył, że ma zamiar przeciwstawić mi się... pójść na policję... otrułam go więc i wypchnęłam z więzy. John był głupcem: nie wierzył w istnienie choroby. Ale... guz istnieje... — Schwycił ją atak kaszlu.

Colin pochylił się i stanowczym głosem powiedział:

— Babko... — położył dłoń na jej ramieniu. — Babko, nie ma żadnego guza. John mówił prawdę. Michael rzeczywiście wymyślił tę chorobę.

Ona jednak zdawała się nie słyszeć.

— A potem odnalazłam Leylę i Jenny w Londynie i dowiedziałam się, że Leyla zamierza wyjść za mąż. Nie mogłam do tego dopuścić. Miałyby dzieci, przekazałyby im złą krew. Więc zwabiłam ją tutaj tym listem...

— To ty! — szepnęłam.

Wycieńczona stara kobieta, spoglądająca już przez otwarte wrota śmierci, powiedziała:

— Aby upewnić się, że tu zostanie, nalegałam, by opuściła ten dom. Jak dobrze znam ludzką naturę...

Pochyliłam głowę, walcząc ze łzami.

Abigail oddychała z coraz większym trudem, a skóra wokół jej oczu i ust poszarzała.

— Leyla... Uparta i nieustępliwa dziewczyna. Próbowała wysłać list do tego swojego mężczyzny w Londynie, ale udało mi się przechwycić go i spalić...

Uniosłam głowę i spojrzałam na Colina. Wyglądało na to, że myślami błądzi gdzieś daleko.

— A sygnet? — usłyszałam swój głos. — Sygnet z rubinem?

Głowa babki ruszyła się na poduszce. Walka w zagajniku pozbawiła tę kobietę resztek sił.

— Sygnet? — szepnęła ledwie słyszalnym głosem. — Należał do Richarda. Ktoś mógłby nie uwierzyć, że to Robert zamordował Thomasa, a potem popełnił samobójstwo. Mu-

siałam więc zostawić jakiś dowód, wskazujący na kogoś innego. Richard nie zgubił pierścienia. To ja rzuciłam go na ziemię, aby go później znaleziono. — Jej ściągnięta bólem twarz zachmurzyła się nagle. — Lecz Colin go zabrał. To nie był najlepszy pomysł. Wszyscy i tak uwierzyli w moje słowa o Robercie i delirium. Podrzucenie sygnetu nie było potrzebne...

Gdy babka mamrotała swoje wyznania, spoglądałam znów na Colina, w jego pełne bezdenne smutku oczy.

— Mój ojciec nosił ten sygnet — powiedział tak cicho, że nikt inny nie mógł go usłyszeć. — Znalazłem go we krwi Thomasa i pomyślałem, że to ojciec popełnił oba morderstwa. Och, Leylo...

Moja dłoń sama powędrowała ku jego barkom. Chciało mi się płakać.

— Osłaniałeś go — szepnęłam.

— Skazani! — dobiegł nas nagle skrzeczący okrzyk babki, już nie tyrana, sprawującego nad tym domem władzę absolutną, lecz wycieńczonej, umierającej kobiety. — Ocaliłam przyszłe pokolenia przed złą krwią Pembertonów. Postąpiłam słusznie. — Jej krucha czaszka znów niespokojnie poruszyła się z boku na bok. — Wszyscy umarli. Leyla też umrze. A Martha... — Jej głos skrzyział jak nie naoliwione zawiasy. — No cóż, nie ma potrzeby truć Marthy. Ona już nigdy nie wyjdzie za męża. Już nie. Jest za stara, by znaleźć sobie mężczyznę. Nie trzeba się jej obawiać. Może sobie tu mieszkać przez całe życie wraz z Colinem i...

Ku memu wielkiemu zdziwieniu Martha nagle wybuchła.

— Jak śmiałaś! — krzyknęła, dając chyba upust od dawna wzbierającym uczuciom. — Jak śmiałaś zmarnować mi życie! Chciałam wyjść za męża, kochać mężczyznę i mieć dzieci. Lecz ty, samolubna starucho, nie pozwoliłaś mi. A ja byłam głupia! Powinnam uciec stąd dawno temu, kiedy jeszcze byłam młoda i ładna!

— Ale guz...

— Nie obchodzi mnie żaden guz! Jeżeli mam umrzeć z jego powodu, to umrę. Ale na razie chcę żyć, żyć! To ty,

wiedźmo, zmusiłaś mnie do desperackich środków, do tego, żebym kradła!

Martha umilkła, zanim następne słowo zdążyło wymknąć się jej z ust. Spojrzała na mnie przez łóżko.

— Tak, kradła! — krzyknęła do mnie. — Myślisz, że byłam szczęśliwa, żyjąc tu jak pustelnica, Leylo? Mam trzydzieści dwa lata. Jestem starą panną! Babka nie dałaby mi środków na życie, gdybym opuściła ten dom. Musiałam znaleźć inny sposób. Musiałam kraść, aby zgromadzić środki na ucieczkę. Cóż innego mogłam uczynić? Jestem samotną kobietą, bez mężczyzny, który by się mną opiekował. Jak daleko zdołałabym uciec bez pieniędzy? Więc kradłam. Tak, okradałam własną rodzinę!

Chwyliła swoją torbę na robótki i rzuciła ją na łóżko. Torba otwarła się, ukazując liczne przybory, a także podwójne dno skrywające skarby, jakie udało się Marcie zgromadzić.

— Wszystko jest tutaj! — krzyczała. — Pieniądze, biżuteria! Wystarczy na urządzenie się w Londynie i życie na odpowiednim poziomie.

— Martho! — krzyknęła stara kobieta. — Twoja choroba...

— Nie dbam o żadną chorobę! — łkała Martha, a łzy spływały jej po policzkach. — Czy sądzisz, że żyłam w tym więzieniu z własnej woli? Czekałam tylko stosownej chwili, babko! Wydostanę się stąd!

— Martho...

Moja kuzynka wypadła z pokoju, zalewając się łzami, pozostawiając swój pozałowania godny schowek, którego zawartość miała zapewnić jej szczęśliwszą przyszłość.

Ze zdumieniem spoglądałam na Colina, który milczał, podobnie jak Theo i doktor Young. Byliśmy zbyt zaszokowani, by zdobyć się na słowa. Przeżycia ostatniej godziny zaczęły zbierać swoje żniwo.

A zatem babka zwabiła mnie tutaj, by mnie zamordować. To ona podrzuciła książkę Thomasa Willisa do mojej sypialni. Przez ostatnie dwadzieścia lat rządy w Pemberton Hurst sprawowała kobieta obłąkana!

— Zrobiłam to dla Pembertonów... — dobiegł nas od strony łóżka ledwie słyszalny głos. — Postąpiłam tak, ponieważ kocham Pemberton Hurst, kocham bardziej niż własne życie. Nie chciałam zobaczyć, jak popada w ruinę. Musiałam uwolnić je od klątwy, a potem przekazać Colinowi. On by umiał o nie dbać i zapewniłby ciągłość nazwiska. Zrobiłam to wszystko dla Colina...

Martha przeprowadziła się do Londynu, gdzie dzięki szczodrości brata otworzyła w jednej z modnych dzielnic sklep z kapeluszami dla dam. Theo i Colin uporządkowali sprawy majątkowe, po czym Theo powrócił do Manchesteru, gdzie ma zamiar zająć się rozbudową fabryk bawełny. Ciotka Anna, która po śmierci męża straciła zainteresowanie światem, żyje z nami w spokojnym odosobnieniu, nieświadoma niczego, co dzieje się wokół niej.

Doktor Young został naszym najbliższym i najserdeczniejszym przyjacielem. Był na podorędziu, gdy rodził się nasz pierwszy syn, któremu przez pamięć mojego ojca daliśmy na imię Robert.